

Margaret Murphy

Jak ćma

Przekład: Wojciech Kallas

Tytuł oryginału:

THE DESIRE OF THE MOTH

Dla Lianne, Jane i Beverly

PROLOG

Ogromny, prawie kulisty księżyc wisiał nisko nad drzewami, śledząc jego poczynania z milczącą dezaprobatą, przynajmniej tak wydawało się jego wyostrzonym zmysłom, i powlekał wyschnięte pola swym żółtym światłem. Długie cienie tworzyły nisze prawie namacalnej ciemności, w których można by się ukryć. Za dziesięć minut przejdzie, tak jak każdego wieczora, z prawej strony w lewo, oddaloną metr od niego błyszczącą szarym światłem ścieżką. Z psem, absurdalną brązową płataniną sapiącą, ujadającą sierści. Najpierw pies, potem ona. Szybko, cicho i ostatecznie.

Ann rozpoznała go natychmiast. Nawet w ciemności. Nawet z maską narciarską na twarzy. Co ważniejsze, wiedziała dlaczego. Oszczędziło mu to bólu wyjaśnień i usprawiedliwień: od kiedy pamiętała, szczerze przyznawała się do winy. Nie obawiała się, nie na początku, ale później nauczyła się go bać.

Pierwszą określono jako zaginioną w miejscowej gazecie, ale Chris rzadko miała czas na przeglądanie wiadomości czy telewizję, a nigdy nie słuchała lokalnej rozgłośni, szczególnie od kiedy sama zaczęła w niej występować. Druga znalazła się już w prasie ogólnokrajowej.

- Co robisz? - Ted z oburzeniem zasłonił gazetę i spojrzał spode łba na koleżankę.

- Usiłuję czytać ci przez ramię, ale nie jesteś zbyt skory do współpracy - odparowała Chris.

Spędzali przerwę w pokoju dla personelu na pododdziale psychologii klinicznej w szpitalu dziecięcym Hazel Mount. Pokój zajmował jedną piątą powierzchni całego oddziału, co w ciągu ostatnich upalnych tygodni było często komentowane przez psychologów i logopedów, którzy musieli przeprowadzać wywiady w ciasnych pokoikach i porażającej duchocie.

- Nikt ci wcześniej nie mówił, że dobrze wychowani ludzie nie czytają przez czyjeś ramię?

- Niestety. Źle mnie wychowano. Wlewam też najpierw mleko do kubka, a dopiero potem herbatę. Co cię do diabła dzisiaj rano ugryzło?

- Upał - wyjaśniła Jo Dowling, nie podnosząc wzroku znad raportu. - Ciesz się, że nie było cię tu wczoraj. On już po południu był nieznośny.

- Spróbujcie zdiagnozować zaniedbane dzieciaki w dusznym i gorącym pokoju, a zobaczycie, jak wam pójdzie.

- Jeśli tobie się nie udawało, to nikt by sobie nie poradził - przyznała Chris. Ted był znany z anielskiej cierpliwości, zarówno wobec dzieci, jak i rodziców. - No dobra, a teraz pokaż mi gazetę. Wydaje mi się, że ją znam.

- Tę socjalną? - spytał. - Dlaczego od razu nie mówisz? Chris otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale się rozmyśliła.

- Nieważne - rzekła tylko. Nagłówek brzmiał:

„DRUGI PRACOWNIK SOCJALNY PORWANY”.

Pod spodem było zdjęcie ścieżki, na której ostatni raz widziano Ann Lee. Teraz ścieżka była odgradzona taśmą policyjną. Chris przeleciała wzrokiem po tekście, wyłapując wszystkie ważniejsze informacje. Pieska Ann znaleziono na ścieżce uduszonego: smycz była ciasno owinięta wokół jego szyi. Po właścicielce nie było ani śladu.

Ted patrzył na nią kątem oka, w duchu ciesząc się z przebywania tak blisko doktor Christine Radcliffe. Delikatnie pachniała subtelnymi perfumami, ale i tak je wyczuł, kiedy schyliła się, żeby czytać. Położyła mu rękę na ramieniu. Czuł jej ciepło przez koszulę i starał się oddychać normalnie. Jej lśniąco, złote włosy uczesane były w kok. Lekka opalenizna nadawała jej bladej twarzy zdrowy wygląd. Dyskretny makijaż uwydatniał te najlepsze cechy: wyraziste fioletowoniebieskie oczy i zmysłowe usta. Delikatny róż podkreślał wysokie, delikatne kości policzkowe.

Frances Lowe, stojąca w części kuchennej pokoju, odwróciła się do zlewu. Nie była w stanie znieść dłużej upału, więc wyciągnęła papierowy ręcznik z podajnika, zmoczyła go w wodzie, po czym delikatnie zwilżyła nim twarz.

- Jest tak cholernie gorąco - wymamrotała.

Kiedy się odwróciła, Chris Radcliffe trzymała w ręku gazetę, a Jo i Ted przyglądali się jej z niejakim zdziwieniem i ciekawością.

- Co się stało? - spytała, zdając sobie sprawę, że nie wie o czymś ważnym.

- Ta socjalna - wyjaśniła Jo, rozszerzając oczy, żeby podkreślić wagę wypowiedzi. - Chris ją zna.

- Znała - poprawiła ją Chris, nie przestając czytać. - Na gruncie zawodowym. Pracowałyśmy razem przez jakiś czas.

- Z tą, która zaginęła? - spytała Fran. Dodając z nutką zadowolenia w głosie: - Jakie to straszne.

Jo spojrzała z niesmakiem na recepcjonistkę. Frances czasami naprawdę nie grzeszyła

wrażliwością. Fran zerknęła na nią zuchwale i podeszła do stolika, stukając sandałami na wysokich obcasach, wzięła szklanę wody w spoconą rękę, a w drugą wilgotny ręcznik. Postawiła ją ostrożnie na stole i przetarła czoło papierowym ręcznikiem. Z podniesioną nad oczu grzywką i zmierzwionymi włosami wyglądała dziewczęco. Jej pulchne, różowe policzki zaokrągliły się z rozkoszy.

- No, powiedz nam coś o niej.

Jo zmarszczyła brwi. - Przekraczasz wszelkie granice, Frances.

- Nie próbuj mi powiedzieć, że ciebie to nie interesuje. - Fran nawet nie starała się ukryć pogardy. Jo Dowling zaczynała zadzierać nosa, tylko dlatego, że uczestniczyła w paru wywiadach. Wytrzymała spojrzenie Jo, patrząc w jej matowe, szare oczy logopedy: niech tylko śmie zaprzeczyć.

- Nie ma o czym mówić - powiedziała Chris z rezygnacją. - Ostatni raz ją widziałam chyba z dziesięć lat temu. Pracowałyśmy razem nad kilkoma przypadkami. Spotykałam ją tylko wtedy.

Fran nadęła się.

- Jeśli to wszystko, to po co w ogóle mówić, że ją znałaś? Ted i Jo spojrzeli na nią, a ona prowokująco uniosła brodę.

- To już druga - rzekł Ted, starając się wyłączyć Chris z rozmowy.

- Tak - odparła Chris. - Druga.

- Matka dwójki dzieci.

- Porwana w drodze do domu z aerobiku - rzuciła podnieconym głosem Fran. - Straszne, prawda? Jak się zastanowić, to przecież mogła być każda z nas.

Jo zmierzyła Fran wzrokiem, wątpiąc czy kiedykolwiek w życiu była na aerobiku.

- Bardzo mało prawdopodobne - zawyrokowała. - Czy kiedykolwiek pracowałaś dla rady miejskiej?

Twarz Fran przez chwilę była bez wyrazu, po czym jej mięsiste wargi ułożyły się w idealne „O” i nawet nie próbując opanować podniecenia rzekła:

- Chcesz powiedzieć, że ma to coś wspólnego z tą aferą w domu dziecka?! - Zrobiła duże oczy. - Czy nie pracowałaś dla rady miejskiej mniej więcej wtedy, kiedy to się stało?

Jo syknęła na Fran, szukając poparcia u Teda, ale on był pochłonięty oglądaniem twarzy Chris. Pomyślała, że mógłby nie afiszować się tak ze swoimi uczuciami. Jo lubiła Teda Maya. Pod maską raczej nieopierzonego i niezorganizowanego człowieka kryła się wspaniała intuicja, którą umiał odpowiednio spożytkować. Będąc logopedą, Jo uczestniczyła z nim w niezliczonej ilości sesji z dziećmi i ich rodzicami, i widziała, jak ten duży i zwalisty

mężczyzna potrafił skurczyć się tak, aby przysiąść na dziecięcym krzeselku koło badanych, wybierając testy na pozór przypadkowo, cały czas gawędząc z rodzicami i dziećmi, zadając z pozorów niewinne pytania, umiał każdego rozluźnić i dowiadywał się w ciągu godziny więcej o problemach swoich pacjentów, niż niejeden pracownik w ciągu miesiący czy lat.

W sytuacjach impasowych przywoływano Teda, niby po to, żeby ocenił zdolności edukacyjne dziecka, ale faktycznie po to, żeby znalazł rozwiązanie zadawalające obie strony.

Kiedy teraz na niego patrzyła, jego siwe włosy układały się jakby w grzebień, przez co przypominał jakiegoś starego punka. Pałał pożądaniem, wiedząc, że jego opętanie na punkcie Chris nie mogło być spełnione i że było nieco śmieszne, ale i tak nie potrafił nad sobą zapanować. Jo miała nadzieję, że w końcu to zrozumie, ale jak na razie z przykrością obserwowała jego obsesję. Nawet jeśli Chris zdawała sobie sprawę z siły jego uczuć, nie okazywała tego; Jo była pewna, że darzyła Teda szacunkiem, ale była przekonana, że traktowała go tylko jako zdolnego i godnego zaufania kolegę.

Fran westchnęła i poszła nalać sobie wody. Ted wstał i zbliżył się do Chris, która ponownie czytała artykuł. Jo słyszała, że szepce coś do niej, schylony nad nią.

- Głucha to ja jeszcze nie jestem, Ted - odrzekła Chris, obracając się zbyt szybko i uderzając w niego. Zaklęła cicho, wcisnęła mu gazetę w rękę i wyszła z pokoju, mamrocząc coś pod nosem.

1

Darren Lewis klęczał na ziarnistym cemencie i czytał gazetę. Używał jej na podpałkę. Pustostanów. Chodziło o ubezpieczenia. Nic zdrożnego.

„AFERA W DOMU DZIECKA CALDERBANK”.

Widząc nagłówek poczuł, jakby go ktoś uderzył w brzuch. Ostatnio docierało do niego dużo wiadomości - z różnych źródeł. Najpierw ta krowa Hardy, potem stara obrzydliwa Lee o rybiej twarzy, a teraz to. Same afery w domu dziecka: prasa zerowała na tym - całe to zamieszanie wokół bicia... Dziennikarze nie patrzyli, że sprawa dotyczy ludzi, którzy muszą utrzymać reputację. Dzieci wykorzystywane jak dziwki z Lime Street czyniły całą sprawę bardziej pikantną: wykorzystywanie dzieci było ciągle chodliwym towarem.

Lewisowi nagle zrobiło się gorąco i oczy napełniły mu się łzami. To tylko kurz w powietrzu, powiedział sobie.

- Nie muszę o tym myśleć - powiedział na głos. - Nie mogą mnie do tego zmusić.

Skoncentrował się na rozpalaniu ognia, czynności wymagającej uwagi i cierpliwości. Jeśli upchać zbyt ciasno, to nie ma ciągu - co gorsza, może się tlić godzinami, nie zajmując się naprawdę, co grozi katastrofą, jeśli jakiś wścibski przechodzień zobaczy. Jeśli jest zbyt luźno, to zajmuje się natychmiast i spala w mig, nie dając żaru.

Zrobił sobie przerwę, wziął do ręki gazetę i spojrzał na nazwisko dziennikarza. Milton. Może zadzwoni do tego Milтона. A może go odwiedzi.

Zwinął papier, po czym ugniół z niego ciasną kulkę i umieścił ją u podstawy ognia.

Kiedy Chris skończyła sesję tuż po dwunastej, Fran już czekała za drzwiami. Dobrze wiedziała, że doktor Radcliffe nie toleruje przerywania wywiadów, w odróżnieniu od pana Maya. Chris zobaczyła wyraz cichej satysfakcji na twarzy Fran.

- Detektyw sierżant Foster z wydziału dochodzeniowego w Merseyside chciałby się z panią spotkać. Zostawił numer telefonu.

Chris zrobiło się słabo. Więc tak. Znaleźli związek.

- Zadzwonię od razu - powiedziała, biorąc kawałek papieru ze spoczonej dłoni Fran.

- Gorąco, co? - rzuciła impertynencko Fran.

- Słucham? - Chris powiodła wzrokiem za recepcjonistką - do pokoiku, w którym prowadziła rozmowę. Jej marynarka była przewieszona przez jeden z foteli. Pomyślała, że nie

może pozwolić Fran wyprowadzić się z równowagi. Uśmiechnęła się uświadamiając sobie, że tej kobiecie zdecydowanie brak subtelności i wycucia sytuacji. Niech się cieszy swoim małym triumfem.

Zabrała marynarkę i poszła do pokoju, który dzieliła z Tedem Mayem. Zasłony były zasunięte, więc w pokoju było ciemno, ale nie zapaliła światła. Ted miał sesję w pokoju obok, a żaluzje, normalnie zakrywające szybę, która w drugim pokoju była lustrem, były podniesione. Chris widziała spiętą matkę, siedzącą na samym brzegu fotela. Ted siedział plecami do lustra i jak zwykle gawędził z pacjentką, żeby ją rozluźnić. Nic nie było słychać - fonię wyłączono. Odwróciła się plecami do nich i usiadła przy biurku, żeby zadzwonić pod numer, który dała jej Fran. Sierżant Foster umówił się na wizytę po południu. Zapewnił ją, że chodzi o kilka rutynowych pytań, ale nic więcej nie chciał powiedzieć. Lekki wietrzyk uniósł nieznacznie ciężką, czarną zasłonę i Chris zamknęła oczy, ciesząc się chwilowym chłodem.

- Przepraszam.

Chris otworzyła oczy. Przyszła doktor Silverman z pokoju obok. Była neurologiem na tym wydziale. Współpracowała z zespołem, asystując w diagnozowaniu skomplikowanych przypadków i pomagając w wyborze terapii.

- Ted prosił mnie, żebym ich obejrzała. Masz coś przeciwko?

- Ależ nie. Proszę - zachęciła ją Chris.

Sięgnęła pod szybę i nacisnęła przycisk. Natychmiast włączył się głos Teda:

- ...bez problemów? Kobieta wzruszyła ramionami.

- Mówią, że nie.

Otworzyły się nagle drzwi i do pokoju wszedł chłopiec. Miał osiem albo dziewięć lat, ale pomimo tego, że był rudy jak matka, miał wąskie i skośne oczy, nadające jego twarzy wygląd raczej orientalny niż północnoeuropejski.

W jego ruchach było coś frenetycznego, niemal maniakalnego. Podszedł prosto do stołu stojącego przed lustrem, nie zauważając obecności matki. Podnosił i opuszczał zabawki, cały czas wydając z siebie okrzyki i jęki, ale nie używając słów. Potem, zobaczywszy po raz pierwszy lustro, wydał z siebie okrzyk zdziwienia i zaczął robić miny. Jego krzywo i beładnie osadzone zęby wydawały się odpowiadać chaosowi jego umysłu. Mrużył oczy i stękał do własnego odbicia, a nawet wdrapał się na stół, żeby mieć lepszy widok.

Matka podeszła i zawołała go. Wyglądało na to, że nie słyszy. Przykucnęła przy nim i zaczęła gładzić go po policzkach, żeby zwrócić na siebie uwagę.

- Jason. Nie miałeś tu przychodzić. Mówiłam ci, żebyś został z tatusiem.

Chłopiec odpowiedział oburzonym piskiem.

- Wracaj do tatusia - rzekła zdecydowanym tonem.

Chłopiec wyszedł niechętnie, tylko po to, żeby za chwilę wrócić do nich, do przerwanej zabawy.

- W ogóle nie mówi? - spytał Ted.

- Mówił do czasu, kiedy miał zapalenie opon mózgowych, ale potem już nic.

- Ale jego słuch jest w porządku?

- Tak wynika z badań. Ted pokiwał głową.

- Wydaje się rozumieć to, co pani do niego mówi.

- Proste polecenia.

- A w szkole uparcie twierdzą, że jest opóźniony w rozwoju.

Doktor Silverman stała w lekkim rozkroku z rękoma głęboko w kieszeniach kitla. Mrużąc oczy, spoglądała znad okularów na ludzi w pokoju. Jej inteligentne, szare oczy przesuwały się szybko z matki na dziecko i z powrotem oraz na Teda.

- Nie ma innych problemów... - Ted używał swojej strategii polegającej na wracaniu do pytania, na które uważał, że nie dostał wyczerpującej odpowiedzi.

Doktor Silverman odwróciła się do Chris.

- Teraz chodzi do szkoły specjalnej - wyjaśniła.

Chris pokiwała głową i spojrzała przez szybę na kobietę, która uniosła się nieco w fotelu i przyglądała się dziecku.

- Zależy - powiedziała matka.

- Tak... - Ted zamilkł, ale kiedy nie kontynuowała, spytał: - A od czego to zależy?

Chris zauważyła, że kobieta zaciska szczękę. Jej syn rozebrał jedną z lalek i teraz wydawał się żałować tego, co zrobił. Podbiegł do niej i wcisnął jej w ręce lalkę, chrząkając niecierpliwie. Odpowiadając Tedowi, zręcznie złożyła lalkę.

- Od czego to zależy? - powtórzyła pytanie. - Od nauczyciela. Od pory dnia. Od pogody.

Ted cały czas milczał, pokazując, że nie chce jej ponaglać, ale że chce usłyszeć, co ona o tym myśli.

- Mówią, że wszystko jest z nim w porządku, a potem spotykany w szpitalu, bo wybił ręką szybę. Nie ma z nim problemów, ale uderzył nauczyciela albo ugryzł dziecko, albo złamał krzesło, albo wpadł w szal i nikt nie chce się do niego zbliżyć... - Urwała, zdziwiona, że dała się naciągnąć na tak szczerą wypowiedź i jakby trochę obawiając się reakcji psychologa. Przyzwyczała się, że to ją się wini za zachowanie jej syna i teraz uświadomiła sobie, że lata ciągłej krytyki jej sposobu wychowywania Jasona zrobiły z niej zgorzkniałą

kobietę.

Ted dał chłopcu kilka testów, ale musiał zrezygnować, kiedy chłopiec chciał podrzeć papierową układankę, bo nie potrafił ułożyć wzoru znajdującego się w książce z części, które dał mu Ted.

- Zaburzenia ze strony środowiska rodzinnego? - spytała Chris. Doktor Silverman przytaknęła i spojrzała na nią przenikliwie.

- Ale nie tylko to. - Pani neurolog pokiwała głową w geście aprobaty. Jej szare loki podskakiwały zabawnie, jak u nastolatki. - Środowisko rodzinne, epilepsja, afazja - uszkodzenie mózgu po jego zapaleniu. Biedny dzieciak rozpaczliwie potrzebuje pomocy.

- Jego matka też - zauważyła Chris.

- Jego matka może jeszcze bardziej. - Silverman wstała, żeby wyjść. Wyłączyła dźwięk, przeprasząc ponownie za kłopot.

Chwilę później, Chris zobaczyła, że otwierają się drzwi do pokoju i z ruchów ust odczytała, że Ted przedstawił doktor Silverman, która uścisnęła rękę matki, po czym usiadła, żeby z nią porozmawiać.

Chris odwróciła się do komputera i zaczęła spisywać notatki ze swojej własnej sesji, ale nie mogła się skupić.

Czego chciał ten sierżant Foster?

Pierwszą zaginioną była Dorothy Hardy, cicha, pulchna kobietka, była nauczycielka, która w wieku lat trzydziestu zrezygnowała ze stanowiska wicedyrektorki szkoły podstawowej i zaczęła pracować w okręgowym wydziale oświaty na rzecz dzieci specjalnej troski. Raczej nieśmiała istota, unikająca konfliktów i zawsze skłonna do kompromisu w spornych kwestiach.

Matka dwójki dzieci, podała gazeta. Dzieci musiały pojawić się później, bo nic o nich nie wspominała, kiedy Chris z nią pracowała.

Pukanie w drzwi zakłóciło tok jej myśli. Jednym z przyjemniejszych dziwactw Teda było pukanie do drzwi jego własnego biura, kiedy spodziewał się, że jest tam Chris.

- Nie przeszkadzam, prawda? Chris rozejrzała się wokół.

- Tylko ja tu jestem. Właśnie miałam iść na lunch.

- Yyy... - Ted manipulował przy zegarku i spojrzał na zegar ścienny.

- Ciągle wskazuje pół do jedenastej - zauważyła Chris. - Już od dwóch miesięcy.

Ted uśmiechnął się słabo.

- Chciałem tylko powiedzieć - tak naprawdę to się spytać - czy wszystko w porządku. Mam na myśli ten artykuł w gazecie...

- Czy Fran coś gadała? Uśmiechnął się szerzej.

- Czy ona kiedykolwiek tego nie robi? Ale od przerwy jej nie widziałem. A o co chodzi? Powiniennem coś wiedzieć? - Ted umiał formułować wypowiedzi.

Wszedł i zamknął za sobą drzwi. Chris zastanawiała się.

- Możesz to równie dobrze usłyszeć ode mnie. Ktoś z policji Merseyside przyjdzie po południu zadać mi parę pytań. Nie martw się, Ted - dodała, widząc troskę na jego twarzy. - Tylko kilka rutynowych pytań. Rozmawiają pewnie z każdym, kto może im coś powiedzieć o tych dwóch kobietach.

- Ale przecież mówiłaś, że ledwie znałaś tę Lee. I to w dodatku dawno temu. Co możesz im powiedzieć?

Chris wzruszyła ramionami.

- Będę mogła skorzystać z pokoju? - poprosiła. - Nie czuję się zbyt bezpiecznie w pokoju do sesji. Nigdy nie wiadomo, kto słucha.

Ted zarumienił się lekko.

- Mam nadzieję, że nie chcesz powiedzieć, że... Chris uśmiechnęła się.

- Bez paranoi, Ted. Proszę tylko o odrobinę prywatności. Ted zmarszczył brwi.

- Jak chcesz, to napiszę ci kartkę z „Nie przeszkadzać” - wydusił w końcu. - Możesz ją powiesić na drzwiach.

I wyszedł, zamykając drzwi z takim opanowaniem, że Chris była pewna, iż jest na nią wściekły.

*

Detektyw inspektor Alan Jameson musiał oszczędnie rozporządzać swoimi podwładnymi: jego przełożony skierował część pracowników, na czele z Rayem Stainesem, do sprawy serii podpaień, która przez wzgląd na brutalność incydentów stała się pierwszoplanowa.

Jameson rozumiał sytuację, ale oznaczało to, że ma mniej ludzi do rozwikłania zagadki porwań.

Drugie porwanie sugerowało, że może chodzić o coś w rodzaju wendety skierowanej przeciw pracownikom rady miejskiej Calderbank. Jego policjanci już przesłuchiwali obecnych i dawnych przyjaciół, znajomych, kolegów i petentów dwóch kobiet i chodzili od drzwi do drzwi domów w dzielnicy przylegającej do parku, w którym zaginęła Lee. Inni zajmowali się sprawdzaniem dokumentów sprzed dziesięciu lat, kiedy to Ann Lee i Dorothy

Hardy zaczęły razem pracować. Biorąc pod uwagę ilość niezbędnej pracy, zadanie było niesłychanie trudne i czasochłonne. Z dotarciem do danych komputerowych nie było większych problemów, ale starsze dane nie zostały wprowadzone do bazy danych rady miejskiej, a to oznaczało konieczność przekopania się przez stosy papierów, żeby znaleźć nazwiska, które mogą mieć coś wspólnego z Hardy i Lee jednocześnie.

Nadinspektor z Calderbank zrobił co było w jego mocy, wprowadzając ludzi w specyfikę urzędu i ułatwiając współpracę. Przydzielił nawet policjanta jako łącznika, ale on sam dysponował jeszcze mniejszym personelem, niż komenda w Merseyside, a skoro obie kobiety mieszkały i płaciły podatki w Liverpoolu, dochodzenie należało do policji z Merseyside.

Jameson przyglądał się gorączce pracy w biurze z ponurą rezygnacją. Dzwoniły telefony, na które odpowiadali kompetentni ludzie, urzędnicy przenosili informacje z papieru na komputerową bazę danych, policjanci dzwonili i odbierali telefony, skwapliwie zapisując informacje w notatnikach, sprawdzali dane w komputerach, wymieniali nawzajem notatki i komentarze w odizolowanej atmosferze klimatyzowanej komendy policji.

- Pracują jak najęci, szefie - powiedział sierżant Foster, który nagle się przy nim zjawił.

Jameson pokiwał głową.

- Ale czy są jakieś postępy?

- Wyeliminowaliśmy paru potencjalnych podejrzanych.

- A co jeśli związek między dwiema kobietami jest czystym przypadkiem? Wtedy okaże się, że zmarnowaliśmy cenny czas na szukanie nieistotnych powiązań. Nawet nie mamy pewności, że zostały uprowadzone - jeśli zostały uprowadzone - przez jednego człowieka. A jeśli jeszcze żyją, nie możemy marnować wysiłków na bezowocne spekulacje. Każdy zły ruch oznacza stratę czasu, a to Dorothy Hardy i Ann Lee zapłacą za nasze błędy.

Foster był przyzwyczajony do tego fatalistycznego podejścia u swojego przełożonego; ten rys stał się bardziej widoczny w ciągu ostatniego roku, co było dla niego zrozumiałe, ale to, co kiedyś było przydatną przezornością, ostrożnym ocenianiem szans, teraz zaczęło paraliżować początkowe stadia dochodzeń. Pomimo tego, kiedy Jameson się rozkręcił, ciągle działał ze starym wigorem.

- Moglibyśmy zawęzić sprawę wyłączając niepełnosprawnych - zasugerował, starając się nie dopuścić do szerzenia się zaraźliwego pesymizmu Jamesona.

Jameson uniósł brodę. Miał silnie zbudowaną szczękę, która sugerowałaby nieczułość, gdyby nie delikatne usta i prawie nieśmiały sposób mówienia, którego co prawda używał

rzadko i przeważnie w towarzystwie kobiet.

- To niekoniecznie bardzo zawęzi pole poszukiwań - zawyrokował.

- Cynicznie zabrzmiało...

Spojrzał na Fostera lekko rozbawionym wzrokiem.

- Warto jednak spróbować. Jeśli nic z tego nie wyjdzie i tak będziemy musieli przepytąć wszystkich klientów z dziesięciu lat, ale to, co proponujesz, to chyba rozsądny kompromis, Bob.

- W porządku - odparł od razu podniesiony na duchu Foster. Chciał już odejść, ale Jameson go zatrzymał.

- Skoro w tym siedzisz, mógłbyś się zapytać o powiązania z domem dziecka Sunnyside.

Foster uniósł brwi.

- Czy te dwie...?

- Ich szef utrzymuje, że tak. I Ann, i Dorothy miały do czynienia z dziećmi, które wysłano do Sunnyside w połowie i pod koniec lat osiemdziesiątych. A z mojego doświadczenia wynika, że ludzie długo czekają, żeby wyrównać rachunki.

2

Chris Radcliffe spacerowała po ogrodzie swojego nowego domu, rozkoszując się zapachem kapryfolium. Był późny wieczór, a dzień niepostrzeżenie przerodził się w noc, kiedy dopiero co uporała się z papierkową robotą tego wariackiego dnia. Na lawendzie zaczynały pojawiać się gdzieniegdzie purpurowe plamki, jej kwiaty dotykały łodyg róż. Róże były teraz w pełnej krasie: na końcach każdej łodygi dumnie sterczały fiołkoworóżowe i różowe kule.

Mieszkanie, które wynajmowała razem z Hugh, było duże i wygodne, ale nie było jej. Hugh dał to do zrozumienia jednoznacznie, choć nienatrętnie. Mieszkała z nim w Wallasey jeszcze długo potem, jak już chciała się wyprowadzić. On nigdy by się nie wyprowadził, gdyby nie dostał rocznego kontraktu w Indiach, gdzie miał zajmować się biologiczną kontrolą pasożytów ryżu. Zapłacił nawet za rok z góry, żeby oszczędzić sobie niewygodny przenoszenia swoich rzeczy do magazynu i konieczności szukania nowego lokum po powrocie. Hugh lubił rutynę i porządek w życiu, co pod koniec zaczęło już jej bardzo działać na nerwy. Powiedział jej bez emocji, że może zostać, jeśli sobie tego życzy. Chłodne pożegnanie po trzech wspólnych latach.

Wściekła na niego Chris zaczęła szukać jakiegoś lokum. Miała dużo szczęścia, że znalazła ten mały dom. Zgubiła się na wsi, gdzieś w Cheshire, wracając z lunchu w pubie ze znajomym ze studiów. Nie mogła się oprzeć widokowi błyszczącego w zachodzącym słońcu różowego budynku z piaskowca. Tabliczka z napisem „Na sprzedaż” była nieco przechylona, sugerując niemałą desperację. Zaskoczyła ją nieco radość właściciela, że jest gotowa go kupić od ręki, ale Ted wyliczył jej potem wszystkie niedogodności, kiedy chce się sprzedać dom. Wynegocjowała cenę, obejrzała miejscowe plany zagospodarowania, podpisała stosowne dokumenty i zawarła kontrakt w ciągu miesiąca - w niecałe dwa tygodnie po wyjeździe Hugh, budynek stał się jej domem. Łagodnie pofałdowana wiejska okolica Cheshire z wolnymi przestrzeniami i różnorodnością wysokich, zielonych żywopłotów działała na nią kojąco.

Westchnęła i znowu zaczęła, myśleć o ogrodzie. Właściciel starego mieszkania - teraz już tak o nim myślała - zarezerwował ogród tylko dla siebie i swojej żony i dlatego teraz ogrodem cieszyła się dużo bardziej, niż tym, że ma więcej miejsca, czy też tym, że najbliżsi sąsiedzi mieszkają pięćdziesiąt metrów dalej. Ogród ceniła sobie nade wszystko. Bardziej niż

zadowolenie z tego, że w końcu należy do klasy właścicieli nieruchomości (myśl, która ciągle wywoływała u niej śmiech, kiedy przychodziła jej do głowy), czy też wolność wynikająca z bycia samemu. Z przyjemnością uczyła się dziennych rytmów, rządzących temperaturą i zapachami i cykli wyznaczających różne pory dnia. Najbardziej lubiła wczesny ranek, kiedy szarozielone, płaskie, woskowate liście orlika pokrywały się rosą, wyglądającą jak kropelki rtęci. Była to najspokojniejsza pora dnia, ciszę mącił tylko agresywny szczebiot drożdów albo kosów, których śpiew bardziej przypominał balladę. Wieczór, z dźwiękami i zapachami narastającymi do crescendo, wypełniał się różnorodną aktywnością, ale ze spokojną rutyną natury: brzęczały wokół pszczoły, a nieustające, spokojne odgłosy życia mogły być przerwane dzikim świergotem kosa, który zobaczył kota sąsiada skradającego się w cieniu drzew w głębi ogrodu. Ale nawet w tym był spokój, jakby żywe istoty przygotowywały się do nadchodzącej ciemności, po pełnym aktywności dniu. Chris zauważyła, że jej też udziela się ten rytm. Ludzie, z którymi miała sesje i którym udzielała rad w ciągu dnia, stopniowo wtapiali się w szum ogrodu i razem ze słońcem znikali w mroku.

Wszyscy oprócz sierżanta Fostera.

Wydawało jej się, że sprawy przybrały zły obrót już od początku. Fran, narażając się na jej gniew, wprowadziła go do gabinetu, w którym właśnie próbowała przekonać raczej defensywną matkę, że powinna zwrócić się do doradztwa rodzinnego, gdzie powiedzą jej, co zrobić, żeby wyeliminować destrukcyjne skłonności chłopca. Musiała przerwać rozmowę, aby wprowadzić sierżanta do swojego biura. Przed powrotem do gabinetu zatroszczyła się o to, żeby żaluzje były spuszczone. Jej krótka nieobecność sprawiła, że prowadzona od godziny rozmowa urwała się. Wiedziała, że tak będzie. Skończyło się na tym, że umówiła się na następne spotkanie, żeby wtedy definitywnie rozwiązać problem. Drzwi od biura były otwarte. Kiedy weszła, sierżant stał odwrócony do niej plecami, głowę miał przechyloną, gdyż ukradkiem oglądał jej notatki ze spotkań.

- Chyba nie jestem zbyt wścibski, co? - spytał zupełnie nieskrępowany jej pojawieniem się.

Ciągle wściekła na Fran i sfrustrowana z powodu straconego czasu, uznała, że taka poufałość jest zdecydowanie nie na miejscu. Podeszła do biurka i zamknęła segregator, który przeglądał Foster.

- Jest coś konkretnego, o co chciałby mnie pan zapytać, sierżancie? - spytała. - Mam dużo pracy.

Spięta, pomyślał Foster. Jameson prosił o szczegółową obserwację reakcji lekarki. Słyszał ją w radio w zeszły czwartek, w programie „Świat dzieci” z Jilly Henderson. Doktor

Radcliffe dostała pół godziny na temat „Psycholog radzi w sprawach rodzinnych”. Lekarka wspomniała, że w przeszłości pracowała też w radzie miejskiej Calderbank, jak się okazało razem i z Dorothy, i z Ann.

Foster wyjął swój notatnik i powiedział: - Tylko parę pytań.

Pomyślała, że jak na policjanta, to jest niski. Nie wyższy od niej; sztywny człowiek, nienagannie ubrany w cienki krawat i jasnoszary garnitur z wąskimi klapami w marynarce. Brodę miał starannie przystrzyżoną, a włosy równo obcięte tuż nad kołnierzykiem. Koszula miała wzór, który nieodparcie przypominał jej sprzedawców: szerokie niebieskie pasy i szeroki kołnierz, nie pasujący rozmiarami do klap marynarki. Maniery też miał kupieckie - przynajmniej wskazywała na to poufałość, z jaką zaczął rozmowę, i schludny strój. Niemal czekała, że rozejrzy się po pokoju i rzuci jakiś komplement dotyczący wystroju.

- Pracowała pani zarówno z panią Hardy, jak i panią Lee... Chris położyła rękę na szafce, której chłód ostudził nieco jej złość. Foster rzucił jej niecierpliwe spojrzenie i spytał: - Tak?

- Przepraszam - powiedziała. - To było pytanie?

Foster zacisnął wargi, bawiąc się starannie przystrzyżonymi włosami.

- Czy zajmowała się pani wtedy jakimiś... niezwykłymi przypadkami? Chris potrząsnęła głową.

- Nie przypominam sobie. To było dawno temu.

- Dziesięć lat. Mniej więcej. - Znowu czekał na odpowiedź, a kiedy konsekwentnie milczała, postanowił przyjąć inną taktykę. - Jak długo pani z nimi pracowała?

- Prawie dwa lata.

- I nic specjalnego sobie pani nie przypomina? Nikogo, o kim wspominała pani Hardy czy pani Lee?

- W odniesieniu do czego?

Wzruszył ramionami. - Nie wiem. Może mówiły o jakimś pacjencie. O kimś, kto się dziwnie zachowywał. O kimś, kogo wkurzyły.

Chris spojrziała na niego ze świeżym zainteresowaniem. Spodziewała się, że zapyta o jej związki zawodowe z nimi. Znajomi, jakieś szczegóły z ich życia osobistego - nie, żeby mogła mu coś na ten temat powiedzieć - ale jego pytania brzmiały złowieszczo.

- Myśli pan, że oba zaginięcia są powiązane, prawda?

Tym razem on nie odpowiadał, ale czekał na jej dalsze słowa i wyglądało na to, że nie będzie przerywał ciszy.

- No dobra - powiedziała Chris. - To było tak. Dorothy Hardy miała bardzo nikły

bezpośredni kontakt z dziećmi i ich rodzicami. Zbierała informacje o pacjentach i uczestniczyła w sesjach jako przedstawicielka administracji. Nie sądzę, żeby mogła kogoś wkurzyć, czy w ogóle w jakikolwiek sposób kogoś zdenerwować. Przynajmniej wtedy taka mi się wydawała. Ale, jak już mówiłam, to było dawno temu.

- A pani Lee?

Wzruszyła ramionami. Ann Lee skończyła studiować nauki społeczne w wieku lat czterdziestu, wkrótce potem rozwiodła się z mężem i zaczęła pracować jako pracownik socjalny.

- Miała reputację niezastąpionej w trudnych przypadkach. Czasami bywała nieco szorstka, co spotykało się z określonymi reakcjami. Dzieciaki przezywały ją „Zimna ryba”. - Widziała, jak Foster uniósł brwi. - Ale Ann w ogóle to nie przeszkadzało. Tak naprawdę, wyglądało na to, że cieszy się z tego przydomka.

Chris przypomniała sobie jej wylupiaste oczy, przymknięte w obronie przed dymem, który nieustannie sączył się z papierosa zwisającego z jej ust. I słowa: „Kiedy dzieciak jest draniem nie do zniesienia, to mu to mówię. Trzeba umieć brać rzeczy do siebie, ale też mówić czasem wprost innym”.

- Rozumiem że pani nie aprobowała takiego zachowania - powiedział Foster, a Chris zdała sobie sprawę, że milczała zbyt długo.

- Czasem takie podejście się sprawdzało - odparła. - Problem w tym, że Ann miała tylko jedno podejście, jedną metodę: atak.

- Dlaczego cały czas mówi o niej pani w czasie przeszłym? Była, miała? Chris zarumieniła się lekko.

- Och, ja... miałam po prostu na myśli, że tak było, kiedy ją znałam. To było dawno temu.

- OK. - Foster zamknął z rozmachem notatnik. - To wszystko.

- Chyba niespecjalnie pomogłam - zauważyła Chris. Samą siebie zaskoczyła tą niekontrolowaną uwagą, wywołaną chyba niespodziewanym zakończeniem rozmowy. - Jeśli pan myśli, że zostały porwane przez rodzica jednego z ich pacjentów, to bardziej prawdopodobne, że ma to związek z jakąś świeżą decyzją komisji oceniającej.

- Dlaczego pani tak sądzi?

- Często tacy rodzice są bardzo zestresowani. I znajdzie się wiele powodów do desperacji - dziecko może być zapłakane i znerwicowane, czasami dzieci bywają po prostu zagubione, poupychane w przeludnionych klasach, nie potrafią sprostać wymogom stawianym przez programy nauczania, które przekraczają ich możliwości. Rodzice chcą jak

najlepiej dla swojego dziecka. Chcą, żeby dziecko było szczęśliwe, chcą im ułatwić życie i nie zawsze otrzymują to, co uważają za najlepsze. Temperament daje czasem o sobie znać, ale przeważnie na krótko - ludzie chcą dalej żyć, większość wykorzystuje jak może najlepiej to, co się im proponuje.

- A co z dziećmi? Bywają agresywne?

- Dzieci to też ludzie. Bywają sfrustrowane, mają swoje obawy i niepokoje, tak jak dorośli. Ale chyba nie sądzi pan, że mogło to zrobić dziecko?

Foster grzbietem dłoni pogładził brodę od gardła w górę.

- Ale dzieci dorastają, prawda?

Te słowa, wypowiedziane ostro, wręcz zadziornie, uparcie przychodziły jej do głowy jeszcze kilka godzin po rozmowie. Nie ma nic dziwnego w tym, że dzieci chowają urazy wobec tego, co postrzegają jako zamach władz na ich życie prywatne i osobiste szczęście. Chris znała od podszewki gorycz, jaką wnosi się w dorosłe życie.

Wzdrygnęła się słysząc niespodziewany hałas. Odwróciła się i zobaczyła ruch klamki przy starej drewnianej furtce, prowadzącej do ogrodu.

- Przepraszam, Chris. Dzwoniłem do drzwi, ale bez rezultatu. - To był Simon. Zauważył, że ją przestraszył. Był ożywiony i podniecony. Próbował zamaskować swoje emocje nonszalancją, ale niezupełnie mu to wychodziło.

- W porządku, Simon. Rozkoszowałam się przestrzenią. Tutaj nie słyhać dzwonka - odparła, uśmiechając się, po czym nerwowo szarpnęła za grzywkę, starając się zasłonić kosmykiem włosów bliznę nad lewą brwią.

- Mogę zrobić tak, żeby tu też było słyhać. - Wypowiedź była pełna entuzjazmu, który bulgotał pod jego nieprzeniknioną maską. Po chwili, opanowując się, dodał: - Jeśli sobie tego życzysz.

Chris zauważyła, że przez te dziesięć lat Simon niezbyt się zmienił. Nadal miał w sobie coś dziecięcego. Był gładko ogolony, ale była pewna, że nie golił się częściej niż raz czy dwa na tydzień; jego skóra była gładka i raczej blada. Kształt jego brwi nie zmienił się od czasu, kiedy go poznała, choć zarost był nieco bujniejszy niż u jedenastolatka. Brwi tworzyły prawie prostą, ciemnobrązową linię, dużo ciemniejszą niż jego włosy.

- Jadłeś już? - spytała. Wspólna kolacja przekształciła się w jeden z ich rytuałów, trochę dlatego, że dopiero jego dzwonek uświadamiał jej, że nic nie jadła od lunchu, a trochę dlatego, że podejrzewała, iż Simonowi czasami zdarzało się zapomnieć o jedzeniu. Hugh kiedyś spytał ją, w jednym z rzadkich momentów rozgoryczenia, czy nie ma jakiegoś psychologicznego terminu na kobiecą potrzebę karmienia swoich mężczyzn. Zignorowała tę

uwagę, traktując ją jako przejaw zazdrości, nie tyle o Simona, co o pracę, której poświęcała bardzo dużo czasu.

Zjedli na trawniku, siedząc na drewnianej ławeczce w altanie pełnej róż i trzymając talerze na kolanach. Powietrze wokół nich przepelnione było zapachem kwiatów i brzęczeniem pszczół.

- Chyba będę musiała kupić stół i krzesła - powiedziała Chris. - Bycie właścicielem domu to dla mnie nowe doświadczenie.

- Wszystko jest w porządku - odparł Simon, uśmiechając się przelotnie. Miał inteligentne oczy, bardziej skłonne do oceny niż do pytań, ale była pewna, że nie myliła się widząc w ich nieśmiałym spojrzeniu przywiązanie do niej. Szybko zjadł kurczaka w młodej cebuli, którego naprędce przyrządziła.

- Przejrzałem papiery, które mi dałaś. Kserokopie są w samochodzie. - Dodał nieśmiało: - W związku z nimi przyszło mi do głowy kilka uwag...

Koniecznym chciał je przynieść i po chwili wrócił z kilkoma książkami i mnóstwem skserowanych stron i wycinków.

Chris zbierała materiały do swojej nowej książki już ponad rok. Ofiary opisywały własne doświadczenia swoimi słowami, a ona miała zamiar zebrać je w grupy tematyczne, ale chciała też, by książka była czymś więcej niż tylko zbiorem poszczególnych przypadków. Miała nadzieję wytłumaczyć, przynajmniej w części, nieudane więzi emocjonalne, które prowadziły do tego rodzaju psychozy, która czyniła z mężczyzn oprawców. Mając to na uwadze, dała Simonowi listę czterech ekspertów w tej dziedzinie. Pierwszy na niej był Bowlby. Poleciała też książki Wedge'a i Prossera oraz Wedge'a i Essena, jako te, które mogą być przydatne przy ustalaniu przyczyn niepowodzeń w związkach emocjonalnych. Sugerowała też zapoznanie się z nowszymi teoriami Ruttera, polemicznymi w stosunku do Bowlby'ego, dotyczącymi skutków nieobecności matki.

Chris roześmiała się na widok stosu książek, które przyniósł, a Simon wyszczerzył zęby.

- Myślisz, że przesadziłem? - spytał, rumieniąc się lekko.

- Są dwie rzeczy, których pracownik naukowy nigdy nie ma za dużo - powiedziała Chris. - Czasu...

- I materiałów do badań - skończył za nią Simon. - Zastosuję się do tej zasady.

Chris wzięła jego talerz, który postawił na trawie, i weszła za nim do jadalni. Wyjaśnił jej po kolei, dlaczego poszczególne fragmenty są ważne - przeczytał je wszystkie i zrobił krótkie notatki.

Gwizdnęła z uznaniem, a on uśmiechnął się do niej szeroko.

- Wiesz, sam mógłbyś napisać tę książkę - powiedziała.

- Ja? Z moim podłym, więziennym wykształceniem?

Chris zamyśliła się. Czy to dobry moment, żeby znowu wracać do tematu wyższego wykształcenia? W międzyczasie Simon już odwrócił się do niej bokiem i wyglądał na pochłoniętego przyniesionymi papierami. Westchnęła. Lepiej go nie poganiać.

3

Inspektor Jameson poszedł o szóstej do domu, na godzinę. Musiał odpocząć od biura, a w dodatku musiał wyjść z psami na spacer. Ledwo zauważył ich entuzjastyczne powitanie. Wziął prysznic, zmienił jeden wygnieciony garnitur na drugi taki sam, mając nadzieję, że nie wyprasowana koszula nie za bardzo rzuca się w oczy pod marynarką. Było to i tak mało ważne, zważywszy, że zaginęły dwie kobiety - może zginęły - a on nie miał żadnych poszlak, żadnych podejrzanych ani żadnych pomysłów. Musiał być ktoś, kto coś widział. Przesłuchania znajomych i współpracowników dwóch kobiet szły niemrawo; cholernie niemrawo. Jeśli zajdzie taka potrzeba, będą przesłuchiwać ludzi do późna w noc. Foster się tym zajmie.

Spędził w parku tylko dwadzieścia minut i wrócił do domu nie pamiętając faktu przechodzenia przez ulicę. Otworzył drzwi. Psy, których pazury głośno stuknęły na drewnianej podłodze przedpokoju, jak narwane wpadły do kuchni. Rozległo się ciche i nieprzyjemne bicie zegara. Spojrzał na jego wypolerowaną tarczę i wszedł do kuchni. Siódma.

Psy łapczywie chleptały wodę z misek, uderzając ich metalowymi krawędziami o ścianę, co brzmiało jak natarczywy, dwutonowy klakson. Jameson przeszedł po czerwonych płytkach, które niedawno zastąpiły poprzednią nierówną i zapadającą się podłogę kuchenną, i otworzył lodówkę. Z pustego wnętrza dobywało się białe światło. Westchnął. Na Lark Lane było mnóstwo restauracji, które mógłby odwiedzić, ale może pójdzie tam później, jeśli skończy pracę przed ich zamknięciem. Odwrócił się i spojrzał na pustą kuchnię. Ze starego, sosnowego stołu uprzątnięto okruchy, które zostawił na nim wychodząc rano, i przetarto blat. Wyraźnie zjawiała się pani Delaney - na jeden z jej ranków, jak o tym mówiła. Przychodziła trzy razy w tygodniu, chociaż, kiedy tylko on jeden śmiecił, nie było to konieczne. Nie miał serca, żeby jej o tym powiedzieć, a poza tym opiekowała się psami i stwierdził, że zwolnienie jej byłoby równie nie w porządku w stosunku do niej samej, co do psów. Więc w domu zawsze było czysto. Czysto i sterylnie, pomyślał.

Teraz psy już siedziały i przeszywały go wzrokiem, wyczekująco się oblizując. Zaczęły sapać, szczerząc zęby, jakby śmiały się z jakiegoś kawału.

- Na co czekacie? - spytał.

Równocześnie zamerdały ogonami, uderzając nimi w metalowe miski i błagalnie

uniosły brwi. Napełnił ich miski wodą i zabrał się za otwieranie puszek z psim żarciem.

- Nigdy nie zrozumieję, jak możecie jeść taki syf - powiedział, kładąc miskę przed każdym.

Tizzy i Lizzy. Zoe wcale nie uważała, że przez takie podobne imiona zwierzęta będą się mylić - okazało się to nawet pomocne: oba psy reagowały na każde imię i dawały sobie nawzajem przykład posłuszeństwa. A Zoe dowiodła słuszności swojego pomysłu.

Najświętszy Boże - Zoe!

Podbiegł do telefonu i wykręcił kierunkowy.

- Roz? Cześć, mówi Alan. - Był spięty i bez powodzenia starał się rozluźnić. - Słuchaj. Mam do ciebie prośbę.

- To Alan - usłyszał, jak mówi.

Nawet nie próbowała ukryć oczywistej irytacji. Głos jego byłej żony był mocny, żywy i taki bliski, że fala uczucia do niej ogarnęła Jamesona, pomimo chłodu w jej głosie.

- Wiesz, która jest godzina? - spytała. A potem: - Nie zapomniałeś, prawda, Alan?

- Pracuję nad pilną sprawą - wyjaśnił. - Zaginęły dwie kobiety. Jestem zajęty non stop od dwóch tygodni.

- Zapomniał - powiedziała swemu niewidocznemu towarzyszowi.

- Czy to Brain jest z tobą?

- A kto miałby tu być w środku nocy?

- Posłuchaj. Miałem jej coś wysłać. Wszystko było zaplanowane, kiedy wyplęła ta sprawa.

- Zawsze coś wypływa.

- Nie zrobiłem tego celowo, na miłość boską.

- Wiesz, co jeszcze pogarsza sytuację? Gdybyś to zrobił celowo, przynajmniej musiałbyś o tym pamiętać.

- Już ci mówiłem, że pamiętałem - tylko to dochodzenie. Pracuję po szesnaście godzin dziennie...

- Wystarczy już, Alan - rzuciła. - Takie teksty zachowaj sobie dla przełożonych. Twój pracoholizm mi nie imponuje.

Chryste, pomyślał. Mówi, jakby kompletnie jej odbiło w tej Ameryce.

Zapanowała cisza, normalna w ich obecnych rozmowach telefonicznych: gwałtowny atak i parę ciosów od Roz, po których zapadała cisza pełna mieszanych uczuć, o których chcieli sobie powiedzieć, ale nigdy tego nie robili.

- Kupiliśmy jej coś super - rzekła Roz. To zwykle ona przerywała ciszę; nie wiedział

czy z litości, czy po to, żeby szybko skończyć rozmowę. - Tak na wszelki wypadek - dodała z sarkazmem. - Dokładnie, to co chciała. Żebyś nie musiał zgadywać, gdybyś przypadkiem znalazł wolną chwilę i zadzwonił do swej córki w jej urodziny.

Odetchnął z ulgą, bo pomimo, że nawet nie starała się ukryć niechęci do niego, to i tak ochroni Zoe przed jego nietaktami.

- Ile jestem ci winien? - spytał. Pieniądze były kolejnym śliskim tematem. - Wyślę ci czek - dodał z zakłopotaniem.

- Daj sobie spokój - odparła Roz. - Tylko na pewno do niej zadzwoń.

Rozłączyła się i znowu stał sam w wypolerowanym korytarzu. Nieprzyjemną ciszę przerywało tylko tykanie zegara.

4

Philip Greer skończył jeść śniadanie tuż przed przyjazdem policji. Śniadanie było najłatwiejszym posiłkiem. Wieczorem wystawiał miseczkę, którą stawiał na talerzu, a obok kładł nóż i łyżeczkę. Cukierniczka stała na samym środku stołu, a przed nią jego tabletki. Toster stał koło czajnika, w którym było odmierzone pół litra wody. Przed dziobem czajnika stał kubek i łyżeczka tak, aby mógł go tylko przechylić, żeby woda wlała się do środka i nie się nie rozlało.

Przygotowywał wszystko w określonym porządku: najpierw saszetka z herbatą do kubka, potem włączyć czajnik. To dawało dosyć czasu, żeby dwa razy stostować chleb i ułożyć go na talerzu w odpowiedniej pozycji, który można następnie przesunąć na lewo, troszkę nad miseczką. Kiedy woda w czajniku się zagotowała, nalewał ją do kubka, zostawiając centymetr miejsca u góry, po czym wyciskał saszetkę z herbatą łyżeczką raz, dwa, trzy, cztery razy przed wyjęciem jej, wyciśnięciem i wyrzuceniem do śmietnika otwieranego na pedał. Musiał się skupić, kiedy to robił, bo z jego koordynacją nie było najlepiej, a musiał utrzymywać równowagę, żeby pedał zadziałał za pierwszym podejściem. Nie musiał już myć rąk po korzystaniu ze śmietnika, bo Flip powiedziała mu, że zarazki nie mogą przenieść się z jego stóp na ręce. Oczywiście zdawał sobie z tego sprawę, w końcu był to fakt, ale i tak jakoś musiała go w tym utwierdzić, nim to w pełni zaakceptował. Dolewał mleka do kubka i ustawiał go z prawej górnej strony miseczki. Potem zalewał mlekiem płatki kukurydziane i słuchał jak trzeszczą, nim schował mleko do lodówki. W dobre dni odczuwał przyjemność, słysząc to co nazywał „początkiem trzeszczenia”.

Śniadanie udało się. Wszystko dobrze wymierzył. Wszystko poszło jak z płatka. To dobrze. Potem usłyszał pukanie do drzwi. Poczuł delikatny skurcz niepokoju w brzuchu. Jeszcze nie pozmywał. To była następna czynność, którą miał wykonać.

Spojrzał na zegarek. Była ósma dwadzieścia pięć, a miał skończyć zmywanie przed ósmą trzydzieści. Usiadł, kołyszając się ledwo zauważalnie. Może sobie pójdą.

Znowu pukanie.

- Jestem zajęty - krzyknął Phil, czując jak wzbiera w nim niepokój. W jego głosie można było wyczuć strach, przez co zaczął się jeszcze bardziej bać. Miał tylko pięć minut.

- Phil. To ja, Dave. Możesz otworzyć? Muszę z tobą porozmawiać.

- Jeszcze nie jestem gotowy - odpowiedział Phil, włączając wodę i dodając płyn do mycia naczyń. Zrobiło mu się zimno. Zła kolejność. Zła Kolejność. Płyn do mycia naczyń miał być pierwszy. Wszystko szło Źle.

- Phil, musisz otworzyć drzwi. To ważne.

Dave był dozorcą - słowo, którego Phil nie lubił. Przywodziło na myśl więzienie. Dozór więzienny. Ale Dave był w porządku. Był miły. Dave rozumiał, że Phil martwi się różnymi rzeczami. Pomagał mu, kiedy wszystko szło Źle. Ale teraz Dave przyczyniał się do tego, że szło Źle, więc nie wiedział, co robić.

Stał na środku swojej małej kuchni, na przemian splatając i rozplatając palce rąk. Woda wylewała się z miseczki. Spływała do zlewu. Zakręcił kurek i z przerażeniem wpatrywał się w pianę spływającą w dół miseczki i gromadzącą się na dnie. Był zestresowany, więc oddychał nerwowo, wydając przy tym ciche jęki. Dave przemówił ponownie, więc podbiegł do drzwi i otworzył je.

Detektywi konstable Nolan i Flynn równocześnie zrobili krok do tyłu na widok człowieka o dzikim spojrzeniu, który ukazał się w drzwiach. Facet był wyższy od nich obu i wyglądał na niebezpiecznego.

- Wszystko poszło źle! - krzyknął Phil.

Nolan spojrzał nerwowo na dozorcę, ale na Davie Quinnie, o głowę niższym od Phila i zdecydowanie grubszym, nie wydawało się to robić żadnego wrażenia.

- Zaraz się tym zajmujemy, Phil, nie martw się - powiedział.

- Ale muszę iść do pracy!

- Phil pracuje trzy dni w tygodniu w bibliotece głównej - wyjaśnił. Nolana nie obchodziło, gdzie pracuje ten duży facet, bo miał mu tylko zadać kilka pytań i sobie pójść. To Jameson chciał, żeby przesłuchać Greera. Z dwóch powodów: po pierwsze, jego nazwisko pojawiało się w dokumentach jako pacjenta, którym zajmowała się i Ann, i Dorothy, po drugie, wiadano, że kręcił się przy radzie miejskiej, przysparzając Dorothy kłopotów. Spojrzał na Flynn, który uniósł ramiona w geście zdziwienia.

- Mogę cię podrzucić do pracy - zaproponował Quinn.

- Ale ja zawsze jeżdżę autobusem!

Duży mężczyzna splótł ręce i zaczął delikatnie kołysać się w biodrach. Nolan przygotowywał się do starcia. Miał nadzieję, że Flynn go wesprze, ale na niego nigdy nie można było liczyć, gdyż zależało to od jego nastroju.

Dave Quinn wiedział, że trzeba pozwolić detektywom zadać pytania i pozbyć się ich jak najszybciej, żeby zająć się uspokajaniem Phila. Od przybycia Phila dwa tygodnie temu,

Dave widział już kilka podobnych sytuacji kryzysowych. Chris Radcliffe zapewniła go, że kiedy Phil wpadnie w rutynę, uspokoi się, ale żadne z nich nie zakładało wizyty policji.

- To są panowie detektywi konstable Nolan i Flynn...

- Czego chcą? Nic nie zrobiłem! - Normalnie podniesiony głos Phila stawał się jeszcze głośniejszy, kiedy był w stresie.

- Chcemy tylko zadać panu kilka pytań, panie Greer - zaczął Nolan.

- O co? - spytał nerwowo. - Nic nie zrobiłem!

- O panią Hardy i panią Lee, Phil - wyjaśnił Dave. - Pamiętasz, spotykałeś się z nimi..

- Nie. Nie spotykałem się z nimi. Nic nie zrobiłem!

- Do diabła, przyjacielu. - Nolan zniecierpliwiał się jego ciągłymi protestami. - Niech pan już się zatka, dobrze?

Philip zamilkł natychmiast, patrząc ze zdziwieniem i niedowierzaniem na konstabla. Potem spytał:

- O co mu chodzi?

Dave wyjaśnił, że Phil traktuje rzeczy bardzo dosłownie.

- Chce, żebyś się uspokoił, Phil. Zadadzą ci tylko parę pytań, a potem możesz iść do pracy.

Odwrócił się do Nolana i przy okazji zobaczył w spojrzeniu Flynna pogardę i brak współczucia.

- Panowie, zadajcie już te wasze pytania, co? - wycedził, w końcu sprowokowany do gniewu. - I zostawcie tego biednego człowieka w spokoju.

- Przecież nawet go nie dotknęliśmy. To on jest trochę stuknięty. Wejdźmy lepiej do środka i pogawędźmy chwilę - zaproponował Nolan.

Quinn mrugnął oczyma, a Greer w tym czasie spojrzął ze strachem na rozświetlone słońcem wnętrze swego mieszkania. Będą dotykali rzeczy. Będą ruszali rzeczy. Nigdy nie doprowadzi wszystkiego do porządku.

Flynn włączył się, wzruszając ramionami, żeby się pobudzić. To miało być rutynowe kilka pytań.

- Lepiej weźmy go na komisariat, Nol. Tam z nim porozmawiamy.

- Nie! - Greer chwycił rękoma za framugę i Nolan już widział, że zanoszą się na kłopoty. - Nie pojedę na komisariat. Nie pojedę! Nic nie zrobiłem. Patrzenie nie boli.

- Patrzenie na kogo, panie Greer? - spytał Nolan, przeciskając się koło dozorca. - Na panią Hardy? Panią Lee? - Położył rękę na drzwiach, a Philip spanikował.

Uderzył Nolana w piersi jedną ze swych dużych rąk. Konstabl stracił równowagę i

uderzył we Flynna. Obaj się przewrócili i razem stoczyli się kilka schodów w dół.

Quinn krzyknął i rzucił się do przodu, ale Phil zatrzęsął mu drzwi przed nosem. Dave słyszał, jak się miota po swoim mieszkaniu. Nolan podniósł się i kulejąc wszedł po schodach do góry. Flynn potrzebował trochę więcej czasu.

- Cholerny świr! - krzyknął Nolan.

- Czego się pan spodziewał? Wystraszył go pan i... - Quinn urwał, uciszając protesty Nolana niecierpliwym gestem. - Cholera! - zaklął i zaczął zbiegać po schodach, skacząc po dwa naraz, przy okazji prawie powalając Flynna znowu na ziemię.

- Co się, kur...? - rzucił Flynn.

- Chyba było słychać, że otwiera okno w mieszkaniu... - odkrzyknął Quinn przez ramię.

Kiedy znalazł się pod oknem z tyłu domu, Phila już nie było. Została tylko marynarka z portfelem w środku, na wieszaku przy drzwiach; brudne naczynia leżały w zlewie, a piana powoli znikwała w zlewie.

5

Czterech ludzi cisnęło się w biurze inspektora Jamesona. Był to mały pokój, który wydawał się jeszcze mniejszy w panującej atmosferze beznadziei. Jameson siedział przy biurku, a Nolan i Flynn stali.

Nolan był blady. Był przerażony całą sytuacją; pracował z Jamesonem dopiero od miesiąca i nie tylko nie zaimponował mu niczym, ale w dodatku pozwolił zbiec głównemu podejrzanemu w najpoważniejszej sprawie, w jakiej do tej pory brał udział. Nikt nigdy nie wiedział, co myśli Flynn; lakoniczność była częścią jego nieprzenikliwości. Patrzył na biurko Jamesona, kiedy Nolan się tłumaczył.

- Poprosiłem go, żeby przyjechał na komisariat, grzecznie, a jemu zupełnie odbiło, prawda? - Nolan spojrział na kolegę, oczekując wsparcia, bez rezultatu i już po raz setny zastanawiał się, dlaczego Flynn zawsze na niego zwała gadanie.

Jameson przyjrzał mu się dokładnie, tak jakby brał miarę na jego mundur - być może mundur policjanta drogówki, jeśli można było wyciągać jakieś wnioski z jego spojrzenia.

- Pan Quinn wniósł zażalenie. Wiesz który? Jest dozorcą na Mansfield Street. Mówi, że byłeś agresywny w stosunku do pana Greera. Mówi, że pan

Greer ma problemy z kojarzeniem. I że bierze leki, które zostawił w domu, kiedy uciekł.

- Niech pan posłucha, sir. Szczerze. Gościu wypadł na nas z krzykiem, nim zdążyliśmy powiedzieć dzień dobry.

- Nie znam się na trudnościach z kojarzeniem. Ale gościu nie jest normalny - wtrącił się Flynn.

Obaj spojrzeli na niego, spodziewając się dalszego ciągu, ale uparcie milczali.

- Jest zbudowany jak atleta - kontynuował Nolan, kiedy się zorientował, że Flynn nic więcej nie powie. - Musi mieć z metr dziewięćdziesiąt i jest potężnej budowy. Jak mnie pchnął, to wpadłem na niego. - Skierował kciuk w stronę Flynnna. - Spadliśmy do półpiętra, a on trzasnął drzwiami. Z tego co wiemy, zaraz potem wyskoczył przez okno.

Flynn pokiwał głową, potwierdzając taką wersję wydarzeń.

- I żaden z was nie zaczął go gonić.

- Skręciłem sobie nogę w kostce, sir - usprawiedliwił się z zażenowaniem Nolan.

- A ja mam przetrącone plecy. - U Flynna nie było widać ani śladu zażenowania, zdenerwowania, czy czegokolwiek. Po prostu stwierdzał fakt.

Jameson wywrócił oczy.

- Wróćmy do tego, co mówił, kiedy wspomnieliście o Ann i Dorothy. - Łatwiej było myśleć o nich po imionach; stawały się przez to bardziej ludzkie, bliższe.

Nolan sprawdził notatki: - Powiedział: „Nic nie zrobiłem. Patrzenie nie boli”.

Flynn pokiwał głową.

- Na pewno dokładnie im się przyglądał.

- Niby nic groźnego - rzucił Nolan.

Jameson znowu mu się przyglądał tym swoim przenikliwym, krępującym wzrokiem.

- W rzeczywistości, panowie - rzekł w końcu z naciskiem - sytuacja może być bardzo niebezpieczna. Nie wydaje wam się?

Zestresowany Nolan, szamocząc się, wymamrotał jakieś przeprosiny. Twarz Flynna pozostała nieprzenikniona.

- Nie znaleźliście w jego mieszkaniu żadnego zdjęcia, prawda?

- Rozejrzeliśmy się, sir... - zaczął Nolan.

Flynn po raz pierwszy podniósł wzrok; Jamesonowi wydawało się, że z pogardą.

- Żadnych książek, żadnych zdjęć, zupełnie nic - powiedział.

- Jak w szpitalu czy czymś takim - dodał Nolan. - Czysto, ale nigdzie nic osobistego.

- Było coś w jego portfelu?

- Piątka - powiedział Nolan. - Dwa świstki z biblioteki. Bilet miesięczny. To wszystko.

- Mamy go w bazie danych? - Pytanie zaadresowane było do sierżanta Fostera, opierającego się plecami o drzwi. Na jego twarzy malował się smutek.

- Tylko nazwisko i adres plus nazwiska osób, które nad nim pracowały, jak na razie - odparł Foster.

- Cóż, sprawdź jego kartotekę.

Foster przeniósł uwagę na dwóch konstabli.

- Moglibyście stworzyć portret pamięciowy?

Nolan pokiwał głową, odważnie wytrzymując spojrzenie Fostera.

- Sprawdźcie, czy jacyś ludzie, z którymi już się kontaktowaliśmy, znali Greera - polecił Jameson. - Skoro przygląda się ludziom, może ktoś go widział, jak gdzieś się kręci. Możemy przypuszczać, że teraz obserwuje kogoś innego. A jeśli w dokumentach jest jego zdjęcie...

- Przyślę je natychmiast - zapewnił go Foster. - Już pan skończył z Laurelem i

Hardym, sir? - spytał przesywając ich świdrującym spojrzeniem.

Nolan załamał ramiona. Gdyby Foster mówił o nich w ten sposób przy chłopakach, nigdy by sobie na to nie pozwolili. Tysiąc lat nie starczyłoby mu, żeby za to odpokutować.

Foster wrócił godzinę później z dwoma zdjęciami. Jedno było z policyjnej kartoteki, a drugie z jakiejś uroczystości rodzinnej.

- Pobicie - powiedział. - Starszej kobieciny. Był w grupie, która ukradła jej torebkę. Złamał jej dwa zębra i trafiła do szpitala.

Jameson pokiwał głową i wziął do ręki zdjęcie z rodziną.

- Kiedy je zrobiono? - spytał.

- W czasie ostatniego Bożego Narodzenia. Dostałem je od długoletnich opiekunów Greera. Ich nazwiska były w dokumentach.

Jameson przyglądał się uważnie zdjęciu. W tle stała choinka z lampkami w kształcie gwiazdek, a na pierwszym planie Greer uśmiechający się sztywno, górujący nad drobną, smagłą kobietą, trzymający ręce na jej ramionach. Po obu stronach, na wysokości ramion stały dwie młode kobiety: jedna równie smagła jak ta drobna w środku, a druga o jasnej karnacji i jasnych włosach, obie wyluzowane i uśmiechnięte.

- Sielanka - powiedział posępnie Jameson.

- Pani Steyens, jego opiekunka - wyjaśnił sierżant. - Jej naturalna córka, Isabel i doktor Chris Radcliffe.

Jameson gwałtownie podniósł wzrok.

- Czy nie rozmawiałeś z nią wczoraj?

Foster pokiwał głową. - Tylko chwilę. Spytałem, czy może nam udzielić jakichś informacji na jego temat.

- I?

- Sugerowała, że właściwie nic o nim nie wie.

Jameson podszedł do drzwi i sięgnął po marynarkę. Foster zauważył, że koszula nieco opinała jego brzuch. Jak mógł się tak zaniedbać?, pomyślał. Spojrzał krytycznie na garnitur swego przełożonego. Był w dobrym gatunku - pewnie za jego cenę mógłby kupić trzy takie, jakie on sam miał na sobie, ale tylko Bóg wie, kiedy ostatni raz był prasowany.

Jameson odwrócił się i zauważył jego spojrzenie. Foster spuścił wzrok, ale tylko na chwilę, po czym spojrzeli sobie w oczy. Nagle nawiązała się między nimi nić porozumienia i Jameson zobaczył siebie oczyma Fostera: zauważył w jego oczach zmieniającą się jak w kalejdoskopie mieszaninę obrzydzenia i respektu, niecierpliwości i współczucia. Przerwał połączenie. Musiało trwać nie dłużej niż kilka sekund, ale czuł się obnażony i bezbronny.

- Nie lubię zabawy w kotka i myszkę, sierżancie - powiedział gwałtowniej, niż zamierzał.

- Ja też nie - przytaknął Foster. Podniósł zdjęcie i ponownie na nie spojrzął. - Co ona sobie myśli?

Jameson zabrał mu zdjęcie i razem z drugim, z kartoteki policyjnej, włożył je do kieszeni. - Nie wiem, ale mam zamiar się dowiedzieć...

W czasie krótkiej przejażdżki do jej biura, Foster zrelacjonował mu rozmowę z nią i z panią Stevens.

- Okazuje się, że Radcliffe zamieszkała z nimi w wieku piętnastu lat, a wyprowadziła się dopiero, kiedy zaczęła pracować.

- Dlaczego miała rodzinę zastępczą?

- Pani Stevens nie powiedziała.

- Chyba da się to znaleźć w jej dokumentach.

Foster pokiwał głową. - Myśli pan, że ona jest w to zamieszana, sir?

- Nie wiem, ale wygląda na to, że stara się ochraniać naszego głównego podejrzanego, prawda? Co ją łączy z Greerem?

- Przypuszczam, że jest dla niego jak starsza siostra. Ufa jej. Mam wrażenie, że on działa ludziom na nerwy. Mieszkał z tą rodziną do osiemnastego roku życia, wyprowadził się od razu po maturze do schroniska.

- Po maturze? - To nie pasowało do opisu mężczyzny przedstawionego przez Nolana i Flynna.

- On nie jest tępy - powiedział Foster. - Tylko dziwny. Zatrzymali się przed domem w stylu gregoriańskim na Rodney Street.

Była dziesiąta rano. Jak na razie, ruch był słaby i nie mieli problemu ze znalezieniem miejsca do zaparkowania. Ulica była zadbana i błyszczała w lipcowym słońcu. Jameson wysiadł z samochodu i podziwiał chwilę proporcje i symetrię dwupiętrowego budynku. Okna, dwa na każdej kondygnacji, po obu stronach błyszczących czarnych drzwi, były pomalowane na białe. Wszystkie były otwarte, bo poranek był wyjątkowo upalny i duszny. Pierwsze piętro było ozdobione czarnymi, żelaznymi balkonami. Po lewej stronie drzwi znajdowało się kilka miedzianych tabliczek. Na jednej z nich widniało nazwisko i specjalność doktor Radcliffe: psycholog.

Przedtem Foster spróbował ją znaleźć w szpitalu, ale recepcjonistka poinformowała go, że od środy do piątku pracuje w biurze w Liverpoolu; bardzo podekscytowana poszukała dla niego jej adresu.

Jameson był nieco zdyszany, kiedy dotarł na drugie piętro. Foster taktownie powstrzymał się od komentarza, poczekał, aż Jameson dojdzie do siebie i dopiero wtedy zapukał. Drzwi były obite skórą i wyglądały na masywne, sądząc po skrzypieniu, które towarzyszyło ich otwarciu. Pomalowane były na biało i przybita była do nich skromna tabliczka: Dr C. Radcliffe.

Chris rozmawiała z nową pacjentką, czternastolatka, która reagowała tylko na imię Len. Nie dawało to spokoju jej matce, która nie mogła się pogodzić z tym, żeby zwracać się do swej ukochanej Heleny takim wyświechtanym, chłopczyńskim skrótem. Chris stwierdziła, że Len była raczej rozrywkowa. Zeszłej soboty zniknęła na pięć godzin i wróciła z dredami na głowie, między jej włosami mnóstwo było poszarpanej purpurowej i niebieskiej wełny. Pojawiły się też kolczyki: jeden w nosie i cała kolekcja w lewym uchu.

Jej matka stwierdziła oczywiście, że to załamanie nerwowe, bo Helena, gdyby była przy zdrowych zmysłach, nigdy by czegoś tak szalonego i nieodpowiedzialnego nie zrobiła. Była dobrym i kochanym dzieckiem, aż do afery, która wydarzyła się ostatniej soboty.

Len zapaliła papierosa, pociągnęła parę razy, żeby go rozpalić, odsuwając oczy od dymu i mrużąc je przy każdym ostrożnym machu.

- Smakuje ci? - spytała Chris.

- Co to do cholery panią obchodzi?

Chris uśmiechnęła się. - Twoja metoda jest ciągle niedopracowana - powiedziała, wskazując na papierosa.

- Niech mnie pani pocałuje w dupę - wypaliła.

Chris pochyliła się w jej stronę, marszcząc czoło tak, jakby poważnie potraktowała jej odpowiedź.

- Naprawdę chcesz, żebym to zrobiła?

Len zarumieniła się i po chwili, dochodząc do siebie, spróbowała nonszalancko wziąć macha z papierosa i zachować kamienną twarz.

Właśnie w tym momencie otworzyły się drzwi i telefon wewnętrzny na biurku Chris zaczął bzyceć. Chris spojrzała na dwóch policjantów. Rozpoznała Fostera, ale drugiego, wyższego, nie.

Pochyliła się i wcisnęła przycisk na telefonie.

- W porządku, Nicky - powiedziała zagłuszając wyjaśnienia sekretarki. - Zajmę się tym sama.

- Detektyw inspektor Jameson - przedstawił się wyższy mężczyzna, pokazując legitymację służbową. - Sierżanta Fostera chyba już pani poznała.

Inspektor był jej rówieśnikiem, może był nieco starszy i zaczynał łysieć, zauważyła Chris. Jego brązowe włosy były krótko przystrzyżone i ułożone w sposób, który niezbyt pasował do jego oblicza. Miał twarz doświadczonego człowieka, orzekła Chris. Rzuciła okiem na Len, która przyglądała się dwóm mężczyznom z żywym zainteresowaniem, zupełnie zapominając o papierosie między palcami.

- Czym mogę służyć, panie Jameson?

Jameson był przygotowany na jakąś oznakę gniewu za to, że przerwano jej sesję. Właściwie częścią jego taktyki było to, żeby wyprowadzić ją tym z równowagi, a zobaczył tylko wyraz rozbawienia na jej twarzy, co go rozwścieczyło.

Położył przed nią na biurku dwa zdjęcia. Przyglądał się jej, kiedy na nie patrzyła, ale nie zauważył żadnej reakcji. Spojrzała na niego, z brwiami uniesionymi w pytającym geście.

- Powiedziała pani sierżantowi Fosterowi, że pani nie zna Greera.

Chris rzuciła okiem na wyprostowaną, schludnie ubraną postać sierżanta i ponownie na jego przełożonego. W porównaniu z nim, Jameson wyglądał naprawdę niechlujnie.

- Powiedziałam sierżantowi, że nie miałam z nim do czynienia zawodowo. Spytał mnie, czy Philip był jednym z moich pacjentów. Nie jest i nigdy nie był.

Len patrzyła na lekarzkę szeroko otwartymi oczyma. Mówiła spokojnym głosem, ale dziewczyna zauważyła, że zrobiła się spięta, czego wcześniej nie było widać. Spróbowała zobaczyć, co jest na zdjęciach. Siedziała z boku biurka i przekrzywiając nieco głowę widziała je całkiem wyraźnie. Pierwsze wyglądało jak zdjęcie z policyjnej kartoteki. Len przyszło do głowy, że jest trochę podobny do Damona z Biur - jakiś ciemny i wrażliwy, może trochę nerwowy, jakby mu coś dolegało. Doktor Radcliffe była na drugim zdjęciu. Były tam jeszcze starsza kobieta i dziewczyna, która wyglądała na jej córkę.

- Utrudnianie policji czynności służbowych jest bardzo poważnym przewinieniem, doktor Radcliffe.

- Naprawdę? A co wasza mała czarna książeczka z regulaminem mówi o pomiataniu i terroryzowaniu wrażliwego młodego człowieka do tego stopnia, że jest zmuszony do ucieczki?

Jameson zauważył z satysfakcją, że udało mu się wyprowadzić lekarzkę z równowagi. Spojrzał na niechlujnie wyglądającą dziewczynę siedzącą przy biurku Radcliffe. Boże uchowaj, żeby Zoe zrobiła z siebie coś takiego!

- Może powinniśmy skończyć tę rozmowę na osobności? - zaproponował.

- I popsuć Len zabawę. Byłoby to raczej nieokrzesane posunięcie, zważywszy, że rozbudziliśmy jej ciekawość, prawda, panie Jameson?

Cóż, jeśli sobie tego życzy, pomyślał Jameson.

- Czy wie pani, gdzie on jest?

- Nie.

- A podejrzewa pani, gdzie może być?

Do głowy Chris przyszło jej dawne mieszkanie. Philip mógł tam pójść. Do tej pory nie miała jeszcze czasu, żeby nakłonić go do składania wizyt w jej nowym domu i pewnie z przyzwyczajenia Phil mógł pójść do jej dawnego mieszkania. Co zrobi, kiedy uświadomi sobie, że nie wie, jak ją znaleźć? Będzie się czuł zupełnie samotny. Pójdzie do Marii?

- Sprawdziliście u moich opiekunów? - spytała chcąc przerwać ciszę, która trwała już stanowczo za długo.

Len zrobiła duże oczy. Ona ma opiekunów!

- Z tego co wiedzą, nie pojawił się w pobliżu - powiedział sierżant. - Pani Stevens powiedziała, że jedyną osobą, która może coś o nim wiedzieć, jest Flip. To pani, prawda?

- Tak.

- Tak panią nazywa? - spytał Foster.

- Wszyscy w rodzinie tak do mnie mówią. To moje imię rodzinne.

- Od czego to zdrobnienie? Od Philippy, tak?

Zapadła chwila ciszy, w czasie której Chris Radcliffe uważnie przyjrzała się sierżantowi.

- Czy to w ogóle ma jakiś związek ze sprawą? - spytała.

- Cała nasza nadzieja w znalezieniu Greera spoczywa w pani, pani Radcliffe - powiedział Jameson.

- Chyba macie rację - zgodziła się. - Ale obawiam się, że nie mogę panu pomóc, inspektorze. Zgubiliście go, to go znajdźcie.

- Znajdziemy - odparł. - Zawiadomiliśmy wszystkie miejscowe przytułki i ważniejsze szpitale. To zdjęcie się przyda. - Wziął je z biurka i przy okazji zauważył jej nieznaczne poruszenie i głębszy oddech. - Chciała pani coś powiedzieć, pani Radcliffe?

- Nie opublikujecie tego zdjęcia, prawda?

- Dlaczego pani pyta?

- Bo jeśli Phil zobaczy swoje zdjęcie w gazetach, to spanikuje. Policjanci, prawo i więzienie go przerażają. Jakiś idiota wlepił mu kiedyś wyrok, gdy miał dwadzieścia lat, i od tamtej pory jeszcze niezupełnie doszedł do siebie.

- Wydaje mi się, że został skazany za poważne wykroczenie.

- Nigdy nie powinno się go wysyłać do więzienia - powiedziała Chris. Jameson był

oburzony jej lekceważeniem dla prawa.

- A co by pani zaproponowała. Pouczenie?

- On nie jest przystosowany do odbywania kary w więzieniu; powinien być wysłany na leczenie psychiatryczne.

- Czy to opinia lekarki?

Chris uśmiechnęła się sardonicznie.

- I nie ma pani pojęcia, gdzie mógł pójść?

- Zielonego.

Chris odwróciła wzrok, czego natychmiast pożałowała; jeśli Jameson był dobry w swojej pracy, na pewno wie, że skłamała. Jameson odwrócił się, żeby odejść.

- Panie Jameson - zawołała.

Jameson odwrócił się. Spojrzał na nią z dezaprobatą.

- Jeśli opublikujecie jego zdjęcie w prasie, nigdy go nie znajdziecie. Ja zaś będę pana winiła, jeśli on zrobi sobie krzywdę.

Jameson pokiwał głową.

- Jeśli się z panią skontaktuje, niech pani będzie taka dobra i mnie o tym poinformuje, dobrze?

Kiedy się zorientował, że doktor Radcliffe nie zamierza odpowiedzieć, wymienił spojrzenie z sierżantem i wyszli.

Chris zamyśliła się na chwilę, po czym wstała z ociąganiem, rzuciła Len rozbawione spojrzenie i spytała:

- Palisz tego papierosa, czy to tylko kolejny modny gadżet?

Len spojrzała na długi wałek zakrzywionego popiołu na papierosie i już otworzyła usta, żeby rzucić jakąś siarczystą uwagę, ale ponownie je zamknęła, kiedy nic odpowiedniego nie przyszło jej do głowy.

- Za chwilę wracam - rzuciła Chris.

Dogoniła inspektora na drugim półpiętrze. Zatrzymał się niechętnie.

- Jeśli to pana interesuje - zaczęła. - Phil nie zabiłby nawet psa. Panicznie się ich boi - raczej by uciekał kilometrami, niżby odważył się jakiegoś dotknąć.

Jameson lakonicznie kiwnął głową.

- I jeszcze jedno - dodała Chris, czując, że wkracza w jego kompetencje. - Można by się zastanowić dlaczego ktoś, kto porwał Ann, zostawił psa na widoku. Jakby chciał mieć pewność, że się dowiecie, że ją porwał. To nie są przypadkowe zbrodnie, zresztą pan to wie, inaczej nie przysyłałby pan do mnie wczoraj sierżanta na rozmowę. Już ustaliliście związek

między Dorothy i Ann. Nie chodzi mu o pieniądze, bo w takich celach nie porywa się pracowników socjalnych.

Skończyła. Jameson odwrócił się do niej, żeby na nią spojrzeć.

- Im dłużej ich nie ma, tym mniejsze szanse na znalezienie ich żywych - powiedział. Na ułamek sekundy jego kamienna twarz była pozbawiona maski i Chris zauważyła malującą się na niej głęboką troskę. - Muszę je znaleźć, doktor Radcliffe - dodał. - Jeżeli wie pani coś o miejscu pobytu Greera, niech mi pani powie.

Zarumieniła się.

- Nie słuchał pan, co do pana mówiłam, prawda?

-- Nie obchodzi pani to, co się stanie z tymi kobietami?

- Niech mi pan uwierzy, jeśli wiedziałabym, gdzie one mogą być, powiedziałabym panu.

Jameson spojrział na nią tak, jakby mówił, że wymaga zbyt wiele. Gniew zastąpił wyraz niepokoju na jego twarzy. Zaczął powoli schodzić po schodach.

- Jeśli znajdę cokolwiek wskazującego na to, że pani osłania Greera, dopilnuję, żeby panią ukarać - zadeklarował. - I będę nalegał na najcięższy wymiar kary, może być pani tego pewna.

*

Kiedy Chris Radcliffe odjeżdżała samochodem sprzed swojego biura po ostatniej sesji, w pewnej odległości ruszył za nią nieoznaczony samochód. Chris przez dwadzieścia minut siedziała w aucie naprzeciwko swojego dawnego mieszkania. Była szósta wieczór. Pan i pani Ainsworth prawdopodobnie są w trakcie kolacji, na tyłach domu, na trawie.

Dokładnie przyjrzała się budynkowi. Nie było żadnego śladu życia na piętrze, czyli w mieszkaniu, z którego się wyprowadziła dwa tygodnie temu. Hugh wyjechał do Indii w ten sam weekend, kiedy ona się wyprowadziła. Oboje byli zbyt zajęci swoimi sprawami, żeby odpowiednio się pożegnać, czego teraz Chris żałowała. Szerokie frontowe okna domu były pozamykane, nawet te na wyższych piętrach - państwo Ainsworth ciągle bali się włamania. „Słyszysz się takie straszne historie” - mawiała pani Ainsworth.

Chris zauważyła ruch za niskim, szarym murem odgradzającym budynek, więc wyprostowała się, żeby lepiej widzieć. To tylko kot. Zatrzymał się i przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, nie przestając machać ogonem, po czym z zuchwałą gracją zszedł z muru i dumnie przemaszerował przed jej samochodem. Czarny kot przechodzi ci przez drogę

pomyślała leniwie Chris. Przynosi szczęście czy pecha? Nigdy nie pamiętała. W końcu zdecydowała się i, zamknąwszy samochód, ruszyła ścieżką na tyły domu.

Musieli usłyszeć jej kroki, bo pan Ainsworth już wstawał, kiedy wyszła zza rogu. Gazeta zsunęła mu się z kolan. Machnął jeszcze ręką, próbując ją złapać. Pani Ainsworth trzymała już rękę na gardle, ale szybko się opanowała i uśmiechnęła na przywitanie.

- O, Christine - wymamrotała. - To pani, moja droga. - Pani Ainsworth zawsze nazywała ją Christine - oprócz jej dyrektorki była jedyną osobą, która używała jej pełnego imienia.

Chris zrobiła krok naprzód, uśmiechając się. Właśnie skończyli kolację i teraz sączyli herbatę w cieniu.

- Mam nadzieję, że nie wystraszyłam państwa - powiedziała całując delikatnie panią Ainsworth w policzek, widząc kątem oka, że pan Ainsworth włożył w usta nie zapaloną fajkę - sygnał, że nie chce być całowany. Pomimo że był uczuciowy i nie stronił od kontaktów cielesnych z żoną, pan Ainsworth nie tolerował kontaktów fizycznych z nikim innym.

Uśmiechnął się dobrotliwie do Chris, kiwając swą łysą głową, po czym, wyjmując fajkę z ust tylko po to, żeby zaproponować jej krzesło, schował się za gazetą.

Pani Ainsworth wyglądała świeżo i ładnie w jednym ze swych drogich, letnich strojów - prostej sukience bez rękawów i dobranym kolorystycznie swetrze, okrywającym jej ramiona. Jej włosy wyglądały jak zawsze tak, jakby dopiero co je uczesano, a na szyi miała naszyjnik z pereł.

- Cóż, moja droga - rzekła nie kryjąc ciekawości. - Jestem zaskoczona, że zjawiała się pani tak szybko. Zadomowiła się już tam pani?

Niepokój pojawił się na jej twarzy bez zmarszczek, więc Chris natychmiast ją uspokoiła.

- Och, dom jest prześliczny. - Prawie dodała: A najbardziej mi się podoba ogród, ale w porę ugryzła się w język. Jej gospodarze nie byli oczywiście samolubni, ale cenili sobie prywatność i teraz Chris dobrze rozumiała, dlaczego ogród zarezerwowali tylko dla siebie: pan Ainsworth był najbardziej nieśmiałą osobą, jaką w życiu spotkała. Kiedy Chris się wprowadziła, ten biedny człowiek dostawał palpacji serca na samą myśl o tym, że ona żyje w grzechu pod jego dachem. Przez dwa pierwsze miesiące zniknął w popłochu, zawstydzony jej widokiem. Sfrustrowana, zastawiła na niego pułapkę i zdybała go pewnego ranka w holu, żeby zmusić go do rozmowy. Przez parę minut usiłował się wywinąć, ale skutecznie blokowała mu odwrót i w końcu został zmuszony do odkrycia, z pewną dozą niewinnego zadziwienia, że nie jest tą zuchwałą, niemoralną wydrą, za którą ją uważał. Pani Ainsworth

podeszła do niej później tego wieczora z rozbawionymi oczyma. „Słyszałam, że pogawędziliście sobie chwilkę z Charlesem dzisiaj rano - rzekła. - Zrobiła pani na nim duże wrażenie”. Chris spytała, czy kiedykolwiek próbował zwrócić się gdzieś o pomoc w sprawie swojej nieśmiałości. „Obawiam się, że sam pomysł mówienia komuś o tym to dla niego zbyt wiele. I tak uważa, że wy psychiatrzy i temu podobni jesteście szarlatanami - magikami, którzy swoimi trikami sprawiają, że naiwni ludzie płacą kupę pieniędzy za to, że mówią im swoje plugawe sekrety. Chris roześmiała się wtedy na widok smutno-komicznego wyrazu twarzy pani Ainsworth. „Rozumiem - powiedziała. - Próbowała pani”. Zrozumiała, że musiała zrezygnować z dostępu do ich ogrodu dla ochrony spokoju ducha pana Ainswortha. On i tak miał dużo problemów z poddaniem się presji finansowej, żeby wynająć pół domu zupełnie obcym ludziom, chociaż bez wstępu do ogrodu.

- Podobało mi się tutaj bardzo - rzekła miękko Chris. - Ale zawsze marzyłam, żeby być u siebie, a ja i Hugh... Niezupełnie nam się układało.

Zapadła niezręczna cisza, po czym pani Ainsworth zdziwiła Chris pytając z psotnym uśmiechem:

- I wspaniale mieć ogród, prawda?

Chris usłyszała szelest gazety i wyczuła, że jest to prowokacja wymierzona w pana Ainswortha. Odwzajemniła uśmiech starszej pani, unosząc brwi z rozbawienia.

- Cieszę się, że wygodnie się pani urządziła - dodała po chwili pani Ainsworth, ciągle zaintrygowana powodem tej wizyty. Potem zaczęła ostrożnie: - Wie pani, że Hugh teraz tu nie ma...

- Nie przyszłam spotkać się z Hugh - wyjaśniła Chris. Potem skorzystała z wymówki, którą wymyśliła jadąc tutaj samochodem. - Zastanawiałam się, czy nie przyszła do mnie jakaś korespondencja.

- Myślałam, że pani podała nowy adres na poczcie.

- Tak, ale obawiam się, że jedna czy dwie przesyłki mogły się gdzieś zapodziać.

Mówiła prawdę. Musiała poprosić o kopię wyników jakiejś sesji, dotyczącej dziecka, z którym miała pracować, bo nie przyszła pocztą. Nowy numer Psychologa też dostała z czterodniowym opóźnieniem.

- Cóż, niestety nic tu nie przyszło, Christine. Jaki to kłopot dla pani. Spodziewa się pani czegoś ważnego?

- Niczego konkretnego - przyznała Chris. - Tak naprawdę to była tylko wymówka, żeby tu wpaść po drodze do domu. Skoro już o nim mowa - powiedziała, spoglądając na zegarek - myślę, że już czas się tam udać.

Musiała jeszcze gdzieś zajrzeć przed powrotem do domu.

Podziękowała pani Ainsworth, która uparła się, żeby odprowadzić ją do furki i pokiwać jej na do widzenia. Nawet jeśli Phil tu był, to nie przywitał się z jej byłymi gospodarzami, a teraz już i tak nie było po nim śladu. Chris też jej pomachała, skręcając za róg i przyspieszając, nieświadoma szarej sierry jadącej sto metrów za nią.

*

Duchota w rozpalonym bagażniku była nie do zniesienia. Ann próbowała powoli oddychać, starała się nie myśleć, co on zrobi potem, ale przede wszystkim starała się nie płakać, bo płacz zapychał jej nos, a nie mogła oddychać przez usta, bo były zaklejone taśmą. Dopuszczała do siebie tylko najbardziej podstawowe myśli związane z przetrwaniem: oddychać płytko i powoli, nie płakać, nie spekulować na temat tego, co zrobił z Dorothy i co miał zamiar zrobić z nią.

Wyglądało na to, że mu ulżyło, że nic nie musiał wyjaśniać, że go rozpoznała i że wiedziała, dlaczego przyszedł.

Przez jakiś czas, kiedy rozmawiali, myślała, że może uda jej się go przekonać, ale... Przestała, nie chcąc przypominać sobie jego reakcji, kiedy usiłowała wylawirować tak, żeby ją puścił.

Było ciemno. Bardzo ciemno, chociaż na zewnątrz musiało już prawie świtać. Tak długo rozmawiali o tym, co mu się przydarzyło, odgadywali nawzajem swoje myśli. Ona unikała czegokolwiek, co mogłoby wywołać u niego wybuch, a on tego, co mogłoby wywołać u niej panikę. Panowała milcząca zgoda na temat rzeczy, których nie powinno nazywać się po imieniu; oboje wiedzieli, co mu się przytrafiło, i oboje wiedzieli, jaki w tym mają udział. Wszystkim, czego się po niej spodziewał, było przyjęcie do wiadomości, co zrobiła. Wystarczyło.

Traktował ją z delikatnością, współczuciem, wręcz poważaniem, kiedy skończyli rozmawiać. Potem zabrał ją z powrotem do samochodu. Może nic nie zrobi, skoro już jest prawie dzień, i nie będzie ryzykował, że go ktoś zobaczy, łudziła się.

Samochód podskoczył na wyboistej nierównej drodze, a Ann jęknęła, kiedy uderzyła się w głowę. Potem cisza.

Słuchała każdą komórką swego ciała, czując jego obecność, ale słysząc w uszach tylko monotonną pracę silnika samochodu. Minęło pięć, może dziesięć minut, po czym usłyszała klik i poczuła, że samochód przechylił się delikatnie, kiedy z niego wysiadał. Chwila ciszy,

dźwięk klucza umieszczanego w zamku, po czym bagażnik został zalany światłem, dźwiękami i czystym, świeżym powietrzem pachnącym wodorostami.

Usłyszała, że przecina sznur, i poczuła, że ma wolne nogi. Posłuchała jego polecenia, żeby przerzucić je przez krawędź bagażnika.

Pomógł jej wyjść.

Kiedy szli, uświadomiła sobie, że rozgląda się wokół, łapczywie chłonąc widoki i dźwięki: płaskie bagnisko, migoczące nieśmiało w delikatnym świetle, przechodzące w rozległe moczary z jednej strony, a z drugiej ograniczone zwartą bryłą lasu.

Trupio blady księżyc wisiał nisko, zachodząc już, przezroczysty w coraz intensywniejszym słabym świetle dnia. Niebo na zachodzie zmieniło odcień z indygo na fiolet, błysnęło przez moment różem, po czym na wschodnich rubieżach bagniska pojawił się cienki pasek złota, wypełniając światłem muliste dołki i szczyty drzew. Skowronek świergotał wysoko, wysyłając w blade niebo cienki, wodny strumień nut.

Słabo widoczna ścieżka prowadziła do lasu. Szli nią, aż w końcu zatrzymali się na szczycie stromego zbocza. Platanina janowca ciernistego, brzozy i jeżyn ograniczała ścieżkę z jednej strony, ale gdzieś tam były przerwy w gęstwinie.

Wyciągnął swoje ramię spod jej i Ann zachwiała się lekko, czując się bezbronna bez jego oparcia. Zwróciła się w jego stronę z niemym pytaniem. Uśmiechnął się i pomyślała, że wszystko będzie dobrze.

Potem spojrzał nad jej ramieniem, w dół stoku i coś mignęło na jego twarzy - pojawił się na niej wyraz niewzruszoności i zdeterminowania.

Odwróciła się i zobaczyła to, co on...

*

O świcie na William Brown Street panowała cisza. Centrum miasta jeszcze się nie przebudziło. Zniekształcony cień wydłużył się na schodach muzeum i zatrzymał się przy bibliotece, dużej, ciężkiej i niemej. Budynek biblioteki nie mógł zaoferować żadnych zakamarków, żadnych wysokich ścian, nie dawał żadnego bezpieczeństwa, ale on czuł potrzebę znalezienia się w jakimś znajomym miejscu. Rotunda biblioteki Picton tonęła w różowawym, sztucznym świetle. Zwabił go podłużny kawałek cienia w wąskiej alejce przy końcu galerii sztuki. Schronił się w nim, jakby wchodził z prażącego słońca do chłodnego cienia. Przez parę minut wpatrywał się w zakończony blankami wzór z cegieł, starając się złożyć z nich konfigurację nieregularnych sześciokątów, po czym wystraszył go jakiś hałas i

Philip Greer, zwinny jak kot, momentalnie znalazł się na niskiej, żelaznej bramie prowadzącej do galerii sztuki. Rzucił okiem przez ramię, po czym przeskoczył przez balustradę. Na dole, gęste przykrycie z drzew i krzaków wydawało się go witać z radością.

6

Szkole średniej dla dziewcząt St. Bernadette udało się uniknąć spadku, poziomemu, co tak często się zdarzało innym szkołom w czasie reformy lat siedemdziesiątych. St. Bernadette nadal miała dobrą reputację szkoły dającej porządne wykształcenie i słynęła z żelaznej dyscypliny, opartej na doktrynach kościoła rzymskokatolickiego.

Foster odkrył, że wyrwano kilka stron z dziennika służbowego doktor Radcliffe. Podobne uszkodzenia znaleziono w danych dotyczących i Dorothy, i Ann. Zgadzały się daty, których dotyczyły te strony: znajdowały się tam informacje o pierwszym półroczu 1987 roku. To mogło oznaczać jedną z dwóch możliwości: Radcliffe usunęła dokumenty wskazujące na jej udział w skandalu w domu dziecka Sunnyside albo ktoś usunął fragmenty z trzech kartotek, co znaczyło, że Chris Radcliffe może stać się kolejną ofiarą.

Foster nie skończył na tym i wygrzebał dokumenty dotyczące niejkiej Christine Radcliffe, uczennicy szkoły średniej dla dziewcząt St. Bernadette, którą oddano pod opiekę lokalnych władz w wieku lat piętnastu. Skoro doktor Radcliffe nie była skłonna do współpracy, Jameson czuł się usprawiedliwiony zwracając się do kogoś, kto może mu coś powiedzieć o pochodzeniu Christine Radcliffe, kogoś, komu w pełni ufał.

Główne wejście do szkoły wychodziło na bardzo ruchliwą ulicę, do której prowadził jakiś tuzin schodków. Z zewnątrz budynek był pomalowany na biało, ale spaliny utworzyły tłustą, smolistą warstwę na niższych partiach muru. Nie było gdzie zaparkować przed budynkiem, więc Jameson skręcił w Kinglake Road. Niespodziewana przerwa w ponurych, pozbawionych okien ścianach okazała się wjazdem na podłego gatunku drogę. Jameson zdecydował się w nią wjechać. Była wyboista i przez kilka bram prowadziła na dziedziniec, na którym białą farbą zaznaczono miejsca do parkowania. Nazwa dziedziniec była zdecydowanie zbyt dostojna na ten ciemny i brudny plac. Jameson pomyślał, jakie musi robić przygnębiające wrażenie zimą - zimne i wietrzne miejsce, gdzie rzadko pokazywało się słońce, a szron osadzał się wszędzie, czasem tylko niepokojony promieniami słońca. Jameson zaparkował tyłem w jedynym wolnym miejscu i zamykając samochód, rozejrzał się wokół.

Z jednej strony parking był ograniczony wysokimi, kremowymi ścianami głównego budynku. Pierwsze dwa piętra były pozbawione okien, a gdzieś tam było widać ślady świeżej farby, świadczące o wytrwałych próbach zamalowania graffiti, które, sądząc po ilości

świeżych plam, sprawiały sporo problemów. Naprzeciw stał wysoki na ponad pięć metrów mur z czerwonej cegły, zakończony tłuczonym szkłem. Za nim znajdowały się bramy prowadzące na parking, a przed nim kolejny mur z prowadzącymi na niego cementowymi stopniami i pomalowaną na czerwono poręczą po jednej stronie. Na niebieskiej tabliczce napisano białymi literami „Wejście dla dziewcząt”. Jameson zastanawiał się, czy nie skorzystać z wejścia od tyłu: był ciekawy, co znajduje się za ceglany murem, ale oparł się pokusie, nie chcąc stresować dziewcząt niespodziewanym pojawieniem się na szkolnym boisku.

Przerzucił marynarkę przez ramię i założył ją dopiero, kiedy zbliżał się do rogu budynku, bo wydawało mu się, że pomimo upału, nie godzi się pokazywać siostrze w samej koszuli. Wspiął się po schodach frontowych budynku i zastosował się do napisu pod przyciskiem, który uprzejmie prosił, żeby skorzystać z dzwonka w razie odwiedzin.

Pierwszą niespodzianką tego dnia było to, że drzwi otworzyła nie siostra, tylko po świecku ubrana, drobna kobieta z krzaczastymi brwiami. Pokazał jej swoją legitymację służbową, na co ostro zmierzyła go wzrokiem. Miała ciemnobrązowe oczy, tak ciemne, że trudno było coś z nich odczytać.

- Chciałbym się widzieć z siostrą Aloysius, jeśli ciągle jeszcze tu jest - powiedział.

Sekretarka wciągnęła powietrze nosem.

- Mamy tutaj trzy siostry Aloysius - rzuciła chłodno.

Jameson uniósł brwi. Nie spodziewał się niegrzeczności. Spojrzał w dół na jej sztuczne loki koloru miedzi i rzekł:

- Ta osoba, z którą chcę rozmawiać, była tutaj dyrektorką w latach 1970-1977.

Znowu jej ciemne, nieprzeniknione oczy spoczęły na nim.

- Lepiej niech pan wejdzie - powiedziała, otwierając drzwi. Znalazł się w niskim, nowoczesnym holu. Robił komfortowe wrażenie, ale bez ostentacji. Z jego prawej strony, wokół jasnoszarego stolika stała grupa nowoczesnych, obitych krzeseł. Za nimi znajdował się sekretariat, odgradzony szybą. Drzwi były uchylone, więc je zamknęła, rzucając mu równocześnie oskarżycielskie spojrzenie. Jameson szybko przeniósł wzrok na ściany, które wypełnione były równo zawieszonymi abstrakcyjnymi kompozycjami, będącymi wyraźnie dziełami uczennic. Wszystkie w dobrym stylu. Po lewej stronie dwa niskie schodki prowadziły do szerokiej alkowy, w której stał szary, metalowy stojak, uginający się pod starannie ułożonymi zeszytami, posegregowanymi według klas.

Kobieta zniknęła na schodach znajdujących się naprzeciwko, a Jameson podszedł do jednego z obrazów, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Było to duże płótno, przypominające

pustynię, ale widzianą z góry; czuł zawrotną wysokość. Promieniowały z niego różne odcienie pomarańczy, złota i brązów, przez co obraz wyglądał prawie jakby emitował ciepło. Rzadkie plamki szarości ukazywały kamienie z trójwymiarowym realizmem, ale poza tym wszystko było abstrakcyjne i obce, podniecająco intensywne.

- Dzieło jednej z naszych najbardziej utalentowanych uczennic. - Głos był mocny, spokojny i niski, ale nie męski.

Jameson odwrócił się.

- Tak mi się właśnie wydawało - zauważył, uśmiechając się. - Siostra Aloysius?

- Nikt inny.

Siostra Aloysius była drugą niespodzianką jego wizyty: spodziewał się siwej, spokojnej, dobrodusznej i nieco nieporadnej kobiety; kogoś, kogo dziewczęta mogłyby traktować z uczuciem, ale bez respektu. Nosila swego rodzaju habit - niebieski fartuszek zarzucony na białą bluzkę z krótkimi rękawami. Na jej szyi, na cienkim rzemyku wisiał krzyż. Na głowie miała beret i kaptur, częściowo zakrywający jej włosy, ale siostra Aloysius była dużo młodsza niż stara panna, którą sobie wyobrażał. Nie była wysoka, ale i tak jej sylwetka wyglądała imponująco. Spod beretu wystawały frywolne loczki jej ciemnobrązowych włosów. Nie, żeby było to w najmniejszym choćby stopniu wypracowane: było to naturalne, podobnie jak jej szczerze niebieskie oczy i w jakiś sposób szokująco piękne usta. Wyciągnęła rękę, ale teraz silny uścisk jej ciepłej dłoni już go nie zdziwił.

- Jak mogę panu pomóc, inspektorze?

- Chciałbym dowiedzieć się czegoś o waszej byłej uczennicy.

- Byłej uczennicy?

Zamilkła i coś przemknęło jej po twarzy.

- Może mi siostra poświęcić chwilkę? - spytał, widząc jej wahanie.

- Oczywiście.

Minęły ich dwie dziewczyny, obie ubrane na szaro-niebiesko, ale w bardzo różnym stylu. Uprzejmie powiedziały „dzień dobry” swojej dyrektorce i już miały iść dalej, przyglądając się ukradkiem Jamesonowi, kiedy siostra rzekła:

- Mam nadzieję, dziewczęta, że idziecie do biblioteki, bo przerwa na lunch zaczyna się dopiero za dziesięć minut...

Obie dziewczyny zarumieniły się i uśmiechnęły.

- Właśnie tam idziemy, siostrze - powiedziała wyższa.

Przeszły bezszelestnie przez wyłożony dywanem hol, minęły alkowę, gdzie stały książki, i zniknęły za rogiem. Jameson usłyszał, jak zamykają za sobą drzwi.

- Koniec semestru, już po egzaminach i taka śliczna pogoda. Któż mógłby je winić za takie niewinne kręactwa? - W jej oczach widać było wyrozumiałość i rozbawienie. - Nie zdradził mi pan jeszcze, kogo dotyczyć ma nasza rozmowa. - Siostra Aloysius spojrzała na niego z nieskrywaną ciekawością.

- Doktor Christine Radcliffe.

- Hm. - Rzuciła okiem na szklane drzwi znajdujące się naprzeciw wejścia. - W takim razie, możemy skorzystać z wymówki, że to prywatna sprawa, i pospacerować po zakonnym ogrodzie...

Boisko wyglądało tak, jak je sobie wyobrażał, ale za budynkiem było dużo więcej miejsca, niż można by przypuszczać po fasadzie stojącej przy ulicy. Szkoła była chaotycznym zlepkiem architektury wiktoriańskiej i edwardiańskiej, która ograniczała z obu stron korty tenisowe. Część była zbudowana z czerwonej cegły, a część pomalowana na kremowo. Po przeciwległej stronie kortów wylaniał się zza drzew jakiś współczesny, znaczony wyłącznie kątami prostymi, dodatek architektoniczny. Ogród leżał na tarasach, z których każdy ograniczony był suchym murem z piaskowca; każdy mur porośnięty był bluszczem, starannie przycinanym po kwitnieniu, a pod nimi znajdowały się przebiśniegi, goździki, bazy i skalnice.

Siostra Aloysius prowadziła, stawiając zadziwiająco długie, pewne, ale niespieszne kroki.

- Więc, inspektorze - zaczęła. - Czego chciałby się pan dowiedzieć o Christine Radcliffe.

- Nie chce siostra wiedzieć, dlaczego? - Oczywiście i tak nie podałyby jej prawdziwego powodu.

Siostra Aloysius zwróciła nieznacznie głowę w jego stronę i znowu w jej oczach pojawił się prawie niekontrolowany błysk dobrego humoru.

- Są dwa możliwe powody - powiedziała, woląc próbować odgadnąć sama, niż słuchać jakichś jego wymysłów, które byłyby zarówno nie satysfakcjonujące, jak i uwłaczające jej inteligencji. - Skandal w domu dziecka albo te straszne porwania...

Była przebiegła, ale nie zdołała ukryć błysku rozbawienia w oczach na widok zdziwienia malującego się na jego twarzy, kiedy wspomniała o domu dziecka.

- Domyślam się, że sprawdza pan wszystkich, którzy mogli pracować z zaginionymi kobietami i chociaż musiało minąć przynajmniej z dziesięć lat, od kiedy Christine pracowała dla rady miejskiej Calderbank, to przypominała się wszystkim swoim nowym programem radiowym.

- Doktor Radcliffe przez jakiś czas znajdowała się pod opieką miejscowych władz, prawda? - powiedział Jameson, nieco zbity z tropu, ale pragnący jak najszybciej odzyskać kontrolę nad przebiegiem rozmowy.

Zapadła pulsująca cisza. Jak się okazało, siostra po prostu analizowała wartość jego pytania.

- Mógł to być jakiś klient - dzisiaj tak się mówi o dzieciach, czyż nie? - Jej dezaprobata dla tego określenia była ewidentna. - Zrobił to klient jednej albo obu kobiet, które zniknęły?

Jameson oczekiwał odpowiedzi na swoje wcześniejsze pytanie.

- Wie pan, że Christine była pod opieką władz - powiedziała. - Niech pan nie marnuje mojego czasu, panie Jameson.

- Dlaczego?

Zmrużyła oczy. Czy może ją podpuszczać?

- Muszę przyjąć, że pyta się pan o to, dlaczego Christine była pod opieką władz, a nie o to, dlaczego mój czas jest cenny - rzekła.

Jameson pochylił głowę.

- Przepraszam. Tak, chciałbym wiedzieć, dlaczego pani doktor znalazła się pod opieką.

- Wtedy była tylko Christine Radcliffe - odparła siostra Aloysius z lekko drwiącym uśmiechem. Zamilkła. - Skoro wie pan, że Christine była pod opieką, to musi mieć pan dostęp do dokumentów, które szczegółowo wyjaśniają powody takiej decyzji. Nie potrzebuje pan mojej opinii w tej sprawie. Jameson szedł milcząc. Wróbel zaczął krząkać gdzieś w krzakach przy końcu tarasu. W powietrzu czuć było silny zapach goździków, który w południowym słońcu działał prawie nasennie, chociaż temperatura powietrza jakby się obniżyła o kilka stopni. Nie widział żadnych słabych punktów u Christine Radcliffe. Czy to właśnie dlatego, że ludziom wydawało się, że muszą ją chronić? Najpierw jej opiekunka, pani Steyens, a teraz jej była dyrektorka.

- Utrzymuje siostra kontakty z byłymi uczennicami? - spytał.

- Z kilkoma. Nie ze wszystkimi.

- A na przykład z doktor Radcliffe? Siostra Aloysius spojrzała na niego badawczo.

- Wiedziała siostra, że ona pracowała dla rady miejskiej Calderbank - wyjaśnił.

- Byłam zaproszona na jej uroczystość rozdania dyplomów. Czasami pisujemy do siebie listy.

- Czy jej ojciec też był zaproszony?

Zadał pytanie obojętnym tonem i dostał lakoniczną odpowiedź:

- Nie.

- Mógłbym się spytać, dlaczego?

- Mógłby pan, ale musiałabym odpowiedzieć, że pytanie to należy skierować do Christine, bo to ona zapraszała gości.

- Kto jeszcze był na tej uroczystości?

- Jej opiekunowie.

- I nikt więcej?

- Nikt więcej.

Więc Greera tam nie było. Ciekawe, czy go zaprosiła, pomyślał Jameson.

- Czy spotkała siostra kiedyś jej przyrodniego brata, Philipa Greera?

- Nie - odparła siostra, marszcząc czoło. - Ale Christine o nim wspominała.

- Wspominała? - powtórzył szybko Jameson.

- Kiedy jeszcze się tutaj uczyła - wyjaśniła, lekko urażona jego podejrzliwością wobec niej.

- Co o nim mówiła?

Siostra Aloysius westchnęła, spoglądając niecierpliwie na zegarek.

- Niezbyt wiele. Może przejdziemy jednak do konkretów. Zaraz zacznie się przerwa na lunch, a muszę porozmawiać z kilkoma uczennicami.

- I pani Lee, i pani Hardy zajmowały się Philipem Greerem.

- Rozumiem. - Siostra Aloysius zatrzymała się przy ciężkiej, dębowej ławce, stojącej w przyjaznym cieniu, i usiadła, przyglądając się opadającym grządkom rozświetlonych różowych i białych kwiatów. Była spokojna i nieprzenikniona. Jameson usiadł koło niej, czując, że nie należy jej teraz ponaglać. W końcu siostra Aloysius odezwała się: - Jestem panu winna przeprosiny, panie inspektorze. Uważałam pana pytania za wścibskie i impertynenckie. Myliłam się. - Zastanawiała się przez chwilę. - Philip był jeszcze pełnym dzieckiem, kiedy Christine go poznała - miał trzy, może cztery lata. Zaprzyjaźnili się od razu. Darzy go uczuciami, które zdecydowanie wykraczają poza litość. Rozumiem, że chłopiec ma problemy z uczeniem się i jest z natury obsesyjny.

- A teraz zniknął - powiedział Jameson.

- Porwano go?

- Zbiegł.

- Och. - Siostra Aloysius splotła dłonie i opuściła głowę. Jameson pomyślał, że pewnie się modli. Poczuł się jednak skrępowany tą myślą i poruszył się na ławce.

- Rozumiem, że Christine nie jest zbyt skłonna do współpracy... Odpowiedź nie była

konieczna. Z budynku dobiegły ich trzy przerywane, wysokie, mechaniczne dźwięki dzwonka.

- Czy może go chronić? - spytał Jameson.

- Jeśli pyta mnie pan, czy ukrywałaby porywacza, to odpowiedź brzmi: nie. Ale jeśli wierzy, że Philip jest niewinny...

Wstała i wyglądziła fartuszek. Dziewczęta niespiesznie wysypywały się z budynku. Jameson wcześniej nie zauważył rozlicznych drzwi zarówno na poziomie piwnicy, jak i na wysokim parterze.

Dobrze zastanowił się nad następnym pytaniem: - Myśli siostra, że chroniłaby człowieka, którego chce przesłuchać policja?

- Jeśli byłaby absolutnie pewna, że jest niewinny, to kto mógłby ją za to winić?

- Spodziewałbym się, że siostra tak. W końcu czy nie jest arogancją uważać, że ona wie lepiej niż prawo - że jest bardziej bezstronna?

Siostra Aloysius odparła: - Christine Radcliffe jest kobietą o niezłomnych zasadach. Mogę pana zapewnić, że ma bardzo wyczułone poczucie sprawiedliwości. Jest też cenioną specjalistką w dziedzinie psychologii. Jeśli wierzy, że Philip Greer nie jest winny jakiegś zbrodni, to, jeśli chodzi o mnie, mam do niej pełne zaufanie. - Rzuciła Jamesonowi rozbawione spojrzenie. - Ale czy pan sam przypadkiem nie wyciąga pochopnych wniosków, inspektorze? - Odpowiadając na nieme pytanie Jamesona, wyjaśniła: - Nie ma pan dowodów, że ona wie, gdzie jest Philip, bo w przeciwnym razie by ją pan aresztował, prawda? Więc jej sugerowana arogancja i niefrasobliwość w odniesieniu do prawa może być jedynie tworem pańskiej wyobraźni.

- Nie daję się ponosić swojej wyobraźni.

- Rzeczywiście, nie podejrzewałabym pana o to. - Jameson poczuł się nieco urażony jej natychmiastową i bezwarunkową zgodą. Po chwili dodała, z niepotrzebną emfazą: - Wie pan, to niekoniecznie jest słabością. - Ruszyła po ścieżce, czując się dużo pewniej na nierównych, wytartych schodach z piaskowca, niż Jameson. - Jeśli chce pan się dowiedzieć czegoś więcej o Christine Radcliffe, panie Jameson, radziłabym panu z nią porozmawiać. Zawsze robiła na mnie wrażenie miłej, komunikatywnej dziewczyny. Niech pan jej powie, dlaczego podejrzewa pan Philipa Greera.

- Ta blizna na jej czole... Siostra Aloysius czekała.

- Czy to sprawka jej ojca?

Niektóre dziewczęta były ubrane w szare spódniczki i niebieskie bluzki, a inne w niebieskie sukienki w paski. Młodsze od razu zaczęły bawić się skakankami i grać w dziwną

grę, która polegała na tym, że cztery osoby stały w rogach dużej, kwadratowej płyty i przemieszczały się po skomplikowanych trajektoriach wzdłuż przekątnych, a kierowała nimi dziewczyna stojąca w środku kwadratu. Wyglądało na to, że tylko starsze dziewczęta miały wstęp do ogrodu. Ławki na wszystkich tarasach natychmiast się nimi wypełniały, po czym dziewczęta podwijały rękawy i opuszczały szaliki, żeby złapać trochę słońca.

Spojrzał siostrze prosto w twarz, niecierpliwie czekając na odpowiedź, mając nadzieję, że wyłudzi ją od niej.

- Powtórzę się: ma pan dostęp do jej dokumentów - rzekła.

- Nigdy nie podała nic wiarygodnego na temat tego, co się jej stało.

- Christine nigdy bezpośrednio nie mówiła o jego aktach agresji. Ale jeśli chodzi o jej rany czy stosunek do ojca, to nie mam żadnych podstaw, żeby nie wierzyć wersji oficjalnej. - Siostra Aloysius zastanawiała się przez chwilę, czy powinna powiedzieć Jamesonowi o ranie klutej, z której musiano wyleczyć ojca Christine, tej nocy, kiedy zaatakował. Zdecydowała, że skoro ojciec odmówił podania okoliczności, w jakich został zraniony, wspomnienie o tym zachęcałoby do bezpodstawnych spekulacji. - Odwiedziłam Christine w szpitalu - powiedziała. - Niedługo po tym, jak tam trafiła, i miałam nieodparte wrażenie, że nie była zupełnie szczerą w opisie wydarzeń tamtejszej nocy. Pomyślałam, że chciała chronić swego ojca.

- Więc czytała siostra dokumenty jej dotyczące - rzucił Jameson.

Zauważył, że drgnął jej mięsień szczęki.

- Był to bolesny, ale konieczny obowiązek.

Doszli do tylnego wejścia do budynku i Jameson zdał sobie sprawę, że rozmowa dobiega końca. Siostra Aloysius zaczerpnęła powietrza i spytała:

- Dlaczego pan jej nie wierzy?

- Najpierw utrzymywała, że zaatakowano ją, kiedy wracała ze szkoły.

- Bała się.

- Ludzie zachowują się dziwnie, kiedy się boją, prawda? - zauważył. Siostra Aloysius zawahała się. - Chcę, żeby pan miał dobre zdanie o Christine, panie Jameson - rzekła.

Grupa dziewcząt trzymających się za ręce przemknęła się obok nich, rozmawiając cicho. Siostra Aloysius ujęła go za łokieć i skierowała przez tylne wejście na szczyt schodów, górujących nad prowizorycznym parkingiem.

- Tylko raz spotkałam ojca Christine i to wystarczyło, żeby utwierdzić mnie w tym, że rzeczywiście zrobił Christine krzywdę. Zjawił się w szkole wkrótce po tym, jak skierowano ją pod opiekę władz, chociaż dobrze wiedział, że zabroniono mu się z nią kontaktować. Groził,

że nas wszystkie pozabija, jeśli jej nie przyprowadzimy.

- I co potem z tego wyniknęło?

- Nic. Zadzwoniliśmy po policję. Wyprowadzili go. Więcej już się nie pojawił.

- I to siostrę utwierdziło?

- Może się panu wydawać, że my, ludzie żyjący w zakonie, nie mamy kontaktu z prawdziwym życiem i że jesteśmy osłonięci od przemocy i trudności. Do pewnego stopnia tak jest. Ale pracowałam z różnymi ludźmi. Nawet w tej cywilizowanej wspólnocie, odgrodzonym murami zakonnymi środowisku, zdarzają się rozstrojeni i trudni ludzie, i rodzice, i dzieci. Jej ojciec był przepełniony piekielnym gniewem. Był jak silny prąd morski, ale prąd niekontrolowanych zachcianek, potrzeb i żądz. - Zamilkła, po czym spojrzała Jamesonowi prosto w oczy. - Jestem święcie przekonana, że naprawdę zabiłby Christine, gdyby z nim została.

- Z tego, co ja widzę, sam też był w niebezpieczeństwie. Siostra Aloysius spłotła ręce w pasie.

- Tak napisano w dokumentach, siostrze Aloysius - ciągnął Jameson. - Jej ojca leczono z rany klutej tego samego wieczora, kiedy ona trafiła do szpitala ze śladami wskazującymi na silne pobicie.

- Co nie czyni z Christine przestępczyni, panie Jameson. To nie znaczy, że porwałaby dwie kobiety - ale przecież pan w to nie wierzy, podobnie jak ja.

- Mam wrażenie, że ukrywa coś, co ma związek z domem dziecka. Jestem pewien, że osłania Greera. Chciałbym tylko wiedzieć, czy ona jest niebezpieczna, czy sama jest w niebezpieczeństwie...

*

Psy przedłużyły wieczorny spacer. Normalnie Alan Jameson przechodził przez szeroki łuk Aigburth Drive i w pobliżu parku Sefton spuszczał oba collie ze smyczy, wracając do domu dziesięć minut później, ale dzisiaj pozwolił im się oddalić, więc bawiły się i goniły jak szalone, korzystając z uciechą z rzadkiej swobody. Wchodził za nimi coraz głębiej do parku, przeszedł przez szeroką promenadę i wszedł w spokojniejsze alejki, wysadzone gęsto rododendronami. Psy biegły przed nim, klóćąc się radośnie o jakiś kij, zupełnie ignorując pędzących koło nich nastolatków na wrotkach i rolkach, którzy zmierzali w stronę stawów z kaczkami.

Była ósma wieczór i duchota ciągle jeszcze wisiała w gęstym od upału powietrzu.

Żadnych widoków na zmianę pogody. Jamesonowi nasunęła się ponura analogia ze stagnacją w prowadzonej przez niego sprawie - nic się nie zmieniało, podobnie jak masy gorącego powietrza nad Wielką Brytanią zatrzymały się w swej drodze nad rejonami lepiej przygotowane na palące słońce i nieznosny skwar.

Porwanie czy morderstwo? Może i to, i to... Jeśli Ann i Dorothy porwano dla pieniędzy, to dlaczego nikt się jeszcze nie skontaktował z ich rodzinami? Nie było dotąd żadnych żądań okupu i Jameson wiedział, że to zły znak. Nagle zapragnął natychmiast znaleźć się w sztabie, chociaż nie mógł tam zrobić nic pożytecznego; było to czysto irracjonalne odczucie, że jego obecność tam w jakiś tajemniczy sposób oczyści atmosferę.

A Greer był ciągle na wolności. Przypomnił sobie przedpołudniową rozmowę z doktor Radcliffe. Przypomnił sobie drżący kosmyk włosów jej grzywki nad lewym okiem, kiedy mówiła, że Greer nie powinien być uwięziony. Właśnie wtedy zauważył okazałą, białą bliznę, która zaczynała się na lewej brwi, dzieląc ją na pół, a kończyła się haczykiem przy zewnętrznym kącie lewego oka. Wyglądała, jakby nie zwracała na nią uwagi. Niemniej jednak, pomyślał, grzywkę zaczesuje na lewą stronę. Uświadomił sobie, że chciałby dowiedzieć się czegoś więcej o tej bliznie i o tym, skąd ją ma.

Czy ta Radcliffe wie, gdzie jest Greer? Pojechała do swojego dawnego mieszkania, gdy skończyła pracę, co oczywiście mogło być niewinną wizytą, ale okłamała go mówiąc, że nie ma pojęcia, gdzie Greer może być, tego był pewien. Zagwizdał na psy, które pędem rzuciły się w jego stronę i przybiegły zdyszane. Doszedł już do ogromnego, szarego, granitowego głazu narzutowego i zbliżał się do palmiarni; obok niej znajdował się plac zabaw, gdzie w grupkach siedziały całe rodziny, a Jameson nie chciał, żeby psy zaczęły uganiać się za dziećmi, co często robiły, kiedy nie były na uwięzi.

Dlaczego Radcliffe nie chciała pomóc w odnalezieniu Greera? Czy kierowała nią troska o bezbronny jej zdaniem człowiek? Czy może chronić jego, chroniła siebie samą? Wydawało się nieprawdopodobne, wręcz niewyobrażalne, żeby psycholog brał udział w porwaniu tych dwóch kobiet, ale jeśli Greer działał ze złe pojętej lojalności wobec niej, niezależnie, czego od niego żądała - skoro ona i Greer mieli wspólne tajemnice w przeszłości - nigdy nie wiadomo, czego by nie zrobiła, żeby go ochronić. Może mogłaby na przykład zniszczyć niewygodne dokumenty? Mieszkała z Greerem pod jednym dachem - ale właściwie dlaczego się tam znalazła? Czy jej ojciec naprawdę ją pobił? Skoro nigdy nie mówiła o tej sprawie, poza nocą, kiedy trafiła do szpitala, jaką można mieć pewność? Może jedna z kobiet znalazła w dokumentach coś, czego Radcliffe nie chciała upubliczniać. Jeśli powiedziała drugiej...

Potrząsnął głową. Minęło dziesięć lat od czasu, kiedy Radcliffe pracowała z którąś z tych kobiet - zdecydowanie nikt by tak długo nie zwlekał z szantażem. A może jedna albo obie szantażowały ją cały czas? Czy może być jakiś związek z jej programem w radiu? Jej związek ze złym zarządzaniem domem dziecka na pewno nie ułatwiłby jej kontaktów z mediami - wszyscy tylko by czekali, żeby wplątać w skandal jakąś znaną osobę. Jakie było prawdopodobieństwo, że chroniła Greera, tak jak zawsze do tej pory? Być może była zupełnie niewinna. Ktoś inny mógł zniszczyć dokumenty. Czy kiedy zadzwonił do niej Foster, pytając o Greera, już wiedziała o jego ucieczce? Ochrona przyjaciela - którego traktowała jak brata - była zrozumiała. Mimo to jej milczenie prowadziło do obstrukcji.

A co z Greerem? Mężczyzna pełen sprzeczności - musiał być lepiej wykształcony niż niejeden pracownik Jamesona, skoro bez formalnych kwalifikacji potrafił zarządzać systemem głównej biblioteki w Liverpoolu, a mimo to doktor Radcliffe opisała go jako mającego trudności z uczeniem się. Jameson poświęcił godzinę na przeczytanie dotyczących go dokumentów. Greer został umieszczony w szkole średniej poza swoim rejonem, która miała specjalny program dla dzieci z zaburzeniami językowymi i w porozumiewaniu się. Skończył szkołę w wieku lat osiemnastu z bardzo dobrymi ocenami, szczególnie z matematyki i fizyki. Wyglądało na to, że istotą „problemu z uczeniem się” tego wzorowego ucznia była tendencja do obsesji - dotyczącej rzeczy, rutyny, miejsc i ludzi.

Dorothy i Ann zajmowały się nim przez dziesięć lat, ale kilka miesięcy temu przejęli go inni pracownicy. Od tego czasu widywano go regularnie przed biurami magistratu na Pyke Street, najwyraźniej czekającego na obie kobiety. Naoczni świadkowie mówili, że kilkakrotnie widzieli go, jak rozmawia z Ann Lee, a jeden raz z Dorothy Hardy. Dorothy wydawała się zdenerwowana, kiedy go spotykała, i widziano, jak czasami na niego krzyczy, spiesząc do samochodu.

Był jeszcze jeden tajemniczy mężczyzna. Jasnowłosy albo blondyn, zależy od świadka, kręcił się koło magistratu, czasami zagadując urzędniczki, przedstawiał się jako Dickens, czy jakoś tak. Zadawał mnóstwo pytań, mówił, że pracuje dla dużej gazety, ale nie podał jej nazwy. Obserwacja okolicy od czasu sporządzenia tego raportu nie dała żadnych rezultatów, co było do przewidzenia. Albo był ostrożny, albo osiągnął to, co chciał i może teraz zajmie się czymś innym. Problem w tym, że jeśli zajmie się czymś innym, to zagrożeni mogą być kolejni ludzie, Dorothy i Ann raczej nie wyjdą cało z opresji, a on, Jameson, nie był w stanie im pomóc.

Chyba że to sprawka Greera. Wyglądało na to, że jego obsesje stanowiły u niego podstawę radzenia sobie z rzeczywistością - jeśli zakłócono jego rutynę, on tracił nad sobą

panowanie. Wydawało się, że musi powtarzać określone czynności w danej kolejności, żeby utrzymać kruchą równowagę. Jakikolwiek odstępstwo od normy prowokowało nieobliczalne reakcje. Jameson zastanawiał się, kiedy kończy się neuroza, a zaczyna psychoza?

Być może Greer potrzebował obu kobiet, żeby znowu odbywać z nimi sesje i w ten sposób odbudować zburzoną równowagę? A jeśli odmówiły, co przecież musiały uczynić? Ale czy to trzymało się kupy? Dorothy była od spraw papierkowych, pisała raporty: nie miała regularnych sesji z Greerem, więc po co byłaby mu potrzebna? Dlaczego jakiś szaleniec fiksuje na punkcie niewinnej ofiary? Jameson tłumaczył to sobie tym, że tacy żyli w świecie własnych wyobrażeń, rządzącym się swoimi regułami. Greer był typem obsesyjnym. Całą swoją istotą skoncentrował się na fantazjach dotyczących dwóch kobiet, poświęcał im swoje myśli i uczucia, z powodów, o których Jameson nie miał pojęcia. Miał wrażenie, że czas przecieka przez palce, jak woda, a z każdą kroplą maleją szansę przeżycia Dorothy i Ann.

*

Frustrowało ją to, że nie będzie mogła już dziś wieczorem nic więcej zrobić, ale Chris wyliczyła, że zdąży wziąć prysznic i przebrać się, nim pojedzie na dziewiątą do radia w Liverpoolu. Włożyła rzeczy na zmianę do reklamówki i postawiła ją przy aktówce, po czym otworzyła kluczykiem swój biurowy komputer i spisała godziny spotkań na następny dzień. Ostatnie było o trzeciej po południu, co dawało jej mnóstwo czasu, żeby sprawdzić squaty, które wskazał jej Dave Quinn.

Dave wiedział, że była przyjacielem Phila, więc był skory do pomocy. Zdziwił się na jej widok i nieco zmieszany zaczął wyjaśniać, co się wydarzyło dzień wcześniej, ale przerwała jego nieskładną relację, mówiąc, że wie wszystko o policyjnym najściu i że ma zamiar znaleźć Phila.

- Jutro sprawdzę w bibliotece - powiedziała mu. - I w schronisku, w którym do niedawna mieszkał. Wspominał kiedyś o jakimś facecie, z którym zdarzyło mu się tam rozmawiać.

- Może się zatrzymał u jakichś przyjaciół? - podsunął Dave.

- Nikt taki nie przychodzi mi do głowy. Z tego co wiem, ja jestem jego jedyną prawdziwą przyjaciółką. Ma oczywiście mój nowy adres, ale nigdy tam jeszcze nie był i nie sądzę, żeby zdecydował się samemu na podróż, bo to prawie pół drogi do Chester.

Dave pociągnął swoją dolną wargę. Nie ogolił się, więc jego pofałdowana twarz o

silnie zarysowanej szczęce była pokryta szarym meszkiem, który w wieczornym słońcu miał matowy połysk. Siedzieli na leżakach, a za ich plecami majaczył cień wysokiego wiktoriańskiego budynku. Przymglone słońce znad muru ograniczającego budynek oświetlało wędzące łodygi słoneczników, które rosły gdzieś przy murze, wyglądając jak Brobdingnagowie w złym śnie. Zamykały mały, zdziczały placyk trawy, który Dave nazywał ogrodem.

- Jeśli ma szczęście, to już znalazł jakiś squat - powiedział Dave, pocierając płynnie ręką brodę, a później swe krótkie włosy. - Liverpool nie jest najlepszym miejscem do spania na dziko.

- Możesz mi podać jakieś adresy? Dave przytaknął.

- Zapiszę ci je.

Podniósł się z leżaka z zadziwiającą jak na tak grubego człowieka lekkością i ruszył ścieżką prosto do kuchni. Chris słyszała, jak otwiera i zamyka szuflady, usiłując w bałaganie znaleźć długopis i papier, ani na chwilę nie przestając mamrotać pod nosem przekleństw.

Wyłonił się parę minut później, wyglądając na wzburzonego.

- Normalnie nie jestem taki niezorganizowany - rzekł uśmiechając się przeprasząco. - Zapisałem też jakiś adres w Birkenhead, nigdy nie wiadomo. - Przyglądał jej się przez chwilę. - Tylko... - zaczął nieśmiało.

Słońce było za nim; zdobiło jego głowę aureolą, kiedy się ruszał, więc Chris uniosła rękę, żeby osłonić oczy przed światłem.

- Zaczekaj z tym do rana - dokończył. - Chodzenie w takie miejsca w nocy jest zbyt niebezpieczne. - Uśmiechnął się słabo, co pogłębiło fałdy na jego twarzy. Chris przemknął przez głowę ulotny obraz przyjaznego sharpei, całego w fałdach i zmarszczkach, z luźną skórą i łagodnym temperamentem. - I załóż na siebie coś dłuższego, co?

Chris spojrzała na swój wytworny płócienny kostium, drogie buty i kremową torbę przez ramię ze skóry, spoczywającą u jej nóg.

- Dobra rada - roześmiała się. Dave zauważył też jej eskortę.

- Masz ochronę, tak? - spytał.

- O niczym takim nie wiem.

Dave opisał jej samochód i przeczytał dla niej numer rejestracyjny, nie zmieniając konwersacyjnego tonu i ściskając w międzyczasie jej rękę na pożegnanie. Zapamiętała to i podeszła do swojego renaulta nie patrząc w ich stronę. Jechali za nią, dwa, może trzy samochody dalej przez całą drogę do domu.

*

Hej, kretynie! Słucham tego, nie? - Darren Lewis rzucił chipsem w młodszego brata, który uchylił się i nie przestawał manipulować przy pokrętle.

- To tylko gadanie - odburknął.

Lewis odepchnął krzesło do tyłu i skoczył na brata, który natychmiast zawołał na pomoc mamę.

- Zejdź z niego!

Julie Lewis uderzyła syna otwartą dłonią w ucho, zostawiając pianę ze zmywanych naczyń w brzoskwiowym meszku, który był wszystkim, co pozostało z jego włosów po wczorajszej wizycie u fryzjera.

- Spadajcie, co? - krzyknął Lewis, wypluwając na pół zjedzone chipsy i chleb na kuchenny stół. - Chcę posłuchać radia!

- Zobacz, jaki zrobiłeś chlew - rzekła Julie. - Jesz gorzej jak świnia z koryta. I przestań się tak chamsko odzywać!

Darren zorientował się, że to kolejna sprzeczka, w której nie ma szans wygrać.

- Nie mogę nawet słuchać cholernego radia w swoim domu - warknął, i ruszył gwałtownie w stronę drzwi, ściągając kurtkę z krzesła.

- Już tu nie mieszkasz! - krzyknęła za nim matka, gdy trzasnęła drzwiami tak mocno, że aż zadrżały okna.

Jak tylko znalazł się w samochodzie, nastawił radio na Liverpool FM, po czym przerzucił nogi nad gałką do zmiany biegów i oparł nogi na desce rozdzielczej. Jego głowa spoczywała pod dziwnym kątem: pół wystawało przez otwarte okno, a słońce błyszczało w jego włosach jak jesienne światło na skoszonych kłosach pszenicy.

*

„Naszym następnym rozmówcą jest Jeff z Childwall!”

Chris siedziała naprzeciw Jilly Henderson, otoczona mnóstwem sprzętu, ekranami dźwiękoszczelnymi i stojakami na kompakt. Ciągle nie mogła się przyzwyczaić do ciasnoty tego studia.

„Słuchamy cię, Jeff, możesz już porozmawiać z doktor Chris”.

Chris westchnęła bezgłośnie. Prosiła, żeby opuścić „doktor”, ale Jilly uparła się, że o autorytecie nie można mówić bez tytułu. Jilly była ładną, długowłosą dwudziestopięcioletką o

delikatnym uśmiechu. Tylko jej wygórowana ambicja pozwalała jej przezwyciężyć naturalną nieśmiałość.

„Ja chcę tylko wiedzieć - zaczął Jeff, a Jilly przewróciła oczyma i wykrzywiła twarz w grymasie - jak to możliwe, że rada miejska Calderbank pozwoliła, by uszło im na sucho łamanie praw dziecka przez tak długi czas...”

„Mówisz o skandalu w domu dziecka Sunnyside, prawda, Jeff?” - spytała szybko Jilly.

Chris zrobiła duże oczy i delikatnie przejechała palcem po gardle. „Nie znam szczegółów tej sprawy” - odpowiedziała.

„Pani? Pani dla nich pracowała, prawda? Musiała pani czytać gazety. To się działo przez tyle lat, a pani mówi, że nie wie?”

„Przykro mi...” - zaczęła Chris.

„No właśnie”.

Zaszeleścił papier, kiedy Chris ponownie dała Jilly znak, ale Jilly rozłożyła bezradnie ręce.

„Podam pani szczegóły, dobrze? Dzieciaki zamykane na klucz i faszzerowane prochami. Za karę zamykane w samej bieliźnie w sypialniach bez pościeli. Trzymane w odosobnieniu, głodzone i marznące jak cholera...”

„Jeff! - ucięła Jilly, śmiejąc się nerwowo. - Obawiam się, że nie możemy rozmawiać o tym...”

„Chłopcy bici kijem...”

Jilly włączyła przycisk i rozległa się muzyka.

*

Lewis śmiał się tak bardzo, że prawie się udławił, wałąc w kierownicę, rechotał i trąbił.

- Chryste, prawie się zesrała!

Dwie dziewczyny przechodzące obok odwróciły się nieznacznie, żeby mu się przyjrzeć, z uśmiechem na twarzach, gotowe na ciąg dalszy.

- Na co się gapicie? - spytał.

Ich uśmiechy zgasły. Patrzył na nie, jak pospieszyły dalej, czując zadowolenie, że zobaczył strach na ich twarzach.

7

Cholera! - wykrzyknęła Nicky. - Wyglądasz, jakbyś miała ciężką noc.

- Naprawdę? - Chris spojrzała w podane jej lusterko i wzdrygnęła się.

- Chyba powinnam strzelić sobie jakiś makijaż - powiedziała. - Przez pół nocy przekonywałam Jilly Henderson, że jej kariera nie legła w gruzach.

- Słyszałam - odparła Nicky, rzucając jej wymowne spojrzenie.

- Więc ją ostrzegałaś, żeby nie było żadnych pytań o dom dziecka? - Chris uniosła szybko ręce widząc oburzenie malujące się na twarzy Nicky. - Wiem, że o czymś takim byś nie zapomniała.

- Rozmawiałam z nią o pół do ósmej, czyli pół godziny przed jej wejściem na antenę - powiedziała Nicky, urażona jej wypowiedzią.

Chris przeprosiła, po czym wysunęła język, oglądając go w lusterku.

- Boże, czuję się fatalnie - westchnęła. - Co to znaczy, kiedy masz zielony nalot na języku?

- Zaawansowane gnicie wątroby - odparła zdecydowanym tonem Nicky.

Pracowały ze sobą zbyt długo i za bardzo się lubiły, żeby takie drobne nieporozumienia je poróżniły.

Chris jęknęła. - Myślisz, że kawa coś pomoże?

- Wytrąciło cię to z równowagi, prawda?

- Co? Dorothy i Ann?

- To i w ogóle, ale miałam na myśli sprawę z domem dziecka. Chcesz o tym pogadać?

Chris zamyśliła się na chwilę. Może dobrze byłoby wyrzucić to z siebie? Po chwili wróciła do rzeczywistości: - Nie. To było dziesięć lat temu. Lepiej zostawmy przeszłość w spokoju.

Nicky rzuciła jej zuchwałe spojrzenie, które mówiło: „Ale przeszłość nie zostawia nas w spokoju, prawda?” Wzięła od niej swoje lusterko i zamknęła je z cichym kliknięciem.

- Miejmy nadzieję, że gazety zachowają się przyzwoicie - powiedziała.

- W Heraldzie jest wstępniak na ten temat...

Zostawiła Chris gazetę i poszła zrobić kawę.

Była trzecia po południu, gdy Chris przebrała się w koszulkę i stare dżinsy. Zmieniła

buty na trampki. Kiedy zobaczyła swoje odbicie w lustrze, na jej twarzy pojawił się grymas. Bardzo na miejscu, stwierdziła. Obróciła nieco głowę, żeby przyjrzeć się swemu starannie ułożonemu kokowi, po czym wyjęła z niego spinki, energicznie potrząsnęła głową i włosy spadły na ramiona.

Ponownie spojrzała w lustro. Już lepiej - uznała, po czym zmyła z twarzy cały makijaż.
- Wystarczy? - spytała sekretarkę.

Nicky pracowała dla niej, od kiedy założyła swoją prywatną praktykę. Przyszła na rozmowę kwalifikacyjną po college'u, z dyplomem świeżo ukończonego kursu dla maszynistek. Chris widziała, jak zmienia się z naiwnej i stosunkowo poważnej nastolatki w pewną siebie, kompetentną młodą kobietę. Była na weselu Nicky, pomagała jej w czasie pierwszej ciąży, wzięła nawet udział w chrzcie jej dziecka, pomimo awersji do ceremonii kościelnych. Nicky miała swój własny styl, bliższy nawrotowi mody z lat sześćdziesiątych, niż preferowanemu przez Chris klasycznemu.

Nicky zacisnęła wargi.

- Wyglądasz prawie po ludzku - zawyrokowała. Po chwili zmarszczyła czoło i między jej starannie wyskubanymi brwiami pojawiły się dwie równoległe fałdki. - Jesteś pewna, że nie chcesz, żebym z tobą poszła?

- Jesteś potrzebna tutaj - odparła Chris. - Żeby opędzać się od natrętów.

Spojrzała na ulicę pod oknem. Dzisiaj był inny samochód, ale stali tam, od kiedy przyjechała.

- Zamówiłam ci taksówkę - powiedziała Nicky. - Zjawi się po ciebie na Roscoe Street, przed domem aukcyjnym.

Chris wymknęła się tylnym wejściem na Roscoe Street, przeciskając się między stosami czarnych worków śmieci, gotowych do wywiezienia i przeszła przez niskie, szare sale aukcyjne Turner & Sons. Panowała dziwna cisza; przeważnie, latem czy zimą, po ulicy hulał wiatr, wiejący od wody, ale dzisiaj był zduszony przez upał i w powietrzu czuć było gnijące resztki. Przed domem aukcyjnym stała tablica z napisem „Dzisiaj aukcja”. Aukcje odbywały się rano, ale ciągle kręcili się ludzie - podjeżdżali furgonetkami i po chwili odjeżdżali z zakupionymi towarami.

Taksówkarzowi ulżyło, kiedy zobaczył, że Chris nie ma nic ze sobą.

- Zdziwiłaby się pani, gdyby wiedziała, jakie rzeczy ludzie chcieli wieźć tą taksówką, złociutka - powiedział.

Jeszcze bardziej się ucieszył, słysząc, że Chris chce pojechać w kilka miejsc.

Był schludnie ubranym mężczyzną w nieokreślonym wieku, ale sądząc po jego

eleganckiej aparycji był jednym z taksówkarzy starej daty - pewnie dostał licencję, kiedy w świetle prawa obowiązywał jeszcze odpowiedni strój i kiedy prowadzący liverpoolskie taksówki musieli „znać się na rzeczy”, a napiwki odliczano półkoronówkami.

Po kilku minutach wysadził ją przed biblioteką główną na William Brown Street. Zaparkował kawałek dalej, naprzeciw imponujących, szerokich schodów muzeum i czekając na nią czytał gazetę.

Nikt nie był w stanie jej pomóc. Phil był raczej zamknięty, tak jak się tego spodziewała, i nie zaprzyjaźnił się z nikim w pracy. Ze schroniskiem wiązała większe nadzieje, chociaż jego zarządca na początku był mocno wobec niej podejrzliwy. Policja już tu była i był rozdrażniony. Dopiero zaczął pracować w schronisku i nigdy wcześniej nie widział Christine; Phil wolał się spotykać w jej mieszkaniu - kolejny nawyk, który został gwałtownie przerwany.

- Phil i ja mieszkaliśmy przez jakiś czas u tych samych opiekunów - rzekła, wręczając mu swoją wizytówkę. Miał długie, szczupłe ręce, a paznokcie starannie przycięte i bladioróżowe.

- Słuchałem pani wczoraj wieczorem - powiedział. - Nie jest pani trochę za młoda, żeby być jego lekarką?

W jego pytaniu nie było ani cienia pochlebstwa czy flirtu; po prostu stwierdzał fakt. Jego twarz była wychudzona, a skóra miała zszarzały odcień rekonwalescenta. Patrzenie na niego prawie sprawiało Chris ból.

- Opiekowali się nami ci sami ludzie - wyjaśniła. A tamten przyjrzał jej się dokładniej.
- Phil jest dla mnie jak młodszy brat.

Opiekun schroniska postukał się wizytówką Chris w zęby i oddał ją.

- OK. - rzekł. - Musi pani porozmawiać z Jake'em - Jake'em Dixonem. Ale jego tu nie ma w ciągu dnia. Niech pani przyjdzie o szóstej...

Chris podała taksówkarzowi pierwszy z listy adresów, którą dostała od Dave'a. Podrzucił ją dwie ulice dalej; był już trochę zaintrygowany, chciał się chyba wczuć w klimat. Chris podeszła resztę pieszo. Była niedaleko mieszkania Phila przy Princes Park i pomyślała, że być może poszedł do najbliższego miejsca: Phil bał się nowych miejsc, a uciekając przecież i tak zostawił swój bilet miesięczny i pieniądze.

Była to spokojna, zadrzewiona uliczka. Domy były duże, jednorodzinne albo bliźniaki i większość z nich była schowana za murami z piaskowca i starymi drzewami. Chris spojrzała na stary budynek. Drzwi wejściowe i okna były przysłonięte falistą blachą. Kiedyś musiał to być atrakcyjny dom, ale teraz farba wyblakła i odchodziła płatami, pseudo-Tudorowe

wieżyczki były popękane i zszarzałe. Wokół budynku roztaczał się zapach wilgoci i wegetacji, pomimo popołudniowego upału. Chris spojrzała do góry i zobaczyła, że gdzieś tam rynny, i u góry, i na dole, odpadły albo oderwano je i w miejscach nasączonych wilgocią brązowe cegły znaczył szeroki, zielony łuk.

Nogi ślizgały się na pokrytej asfaltem ścieżce, chociaż w miejscach oświetlonych przez przedostające się między gałęziami promienie słońca mech był brązowy. Nie widać było żadnego wejścia. Z boku domu znalazła niszczącą tabliczkę z napisem „Na sprzedaż”, stojącą obok starego wagonu sypialnego. Gdzieś tam na ścieżce wyrastały kępy chwastów, jakby była zrobiona z jakiejś miękkiej gliny, a nie z asfaltu. Chris odgarnęła bujną roślinność, żeby dostać się na tył domu.

Tutaj dom też był zabezpieczony, ale patrząc na wyższe piętra zauważyła, że okno na strychu jest odsłonięte i miała wrażenie, że w pokoju za nim zobaczyła jakiś ruch. Sprawdziła okna na parterze, ale ani drgnęły. Kiedy pociągnęła za tylne drzwi, nie stawiały żadnego oporu; rygle wyglądające na nienaruszone dla każdej pobieżnej inspekcji zostały wyłamane albo przecięte, wszystkie z wyjątkiem górnego. Chris uchyliła nieco arkusz falistej blachy, która zatrzęszczała, po czym odchyliła się nieco bardziej, co pozwoliło Chris wśliznąć się do ciemnego wnętrza domu.

Po świetle dnia, w środku panowały egipskie ciemności. Chris zamknęła oczy na kilka sekund, otworzyła je, ale i tak była w stanie tylko stwierdzić, że w pokoju nie ma zbyt wielu mebli. Żałując, że nie wzięła ze sobą latarki, wyciągnęła rękę przed siebie i posuwała się bardzo powoli do przodu. Przed sobą widziała tylko kontur drzwi. Prawdopodobnie prowadzą do holu i schodów. Chciała porozmawiać z tym kimś, kogo widziała w oknie.

Hol był częściowo oświetlony przez słabe, szare światło dochodzące zza drzwi frontowych. W przytwierdzonej z zewnątrz metalowej płycie wycięto mały kwadrat i przez półkoliste okno nad drzwiami wpadało trochę drogiego światła. Schody Chris miała po swojej lewej stronie, a dwie pary drzwi po prawej. Usłyszała jakiś cichy ruch i skierowała się w jego kierunku. Dźwięk dochodził z ciemnego wnętrza pierwszego pokoju.

- Halo? - zawołała, zastanawiając się, jak się człowiek powinien przedstawić w squatcie. - Jest tu kto? - Usłyszała jakiś nosowy dźwięk, jakby stłumiony śmiech. Weszła do pokoju, potknęła się o coś i upadła.

- Do diaska, patrz gdzie stawiasz nogi, skarbie!

Chris przeprosiła, chociaż była pewna, że ktoś podstawił jej nogę celowo.

- Dlaczego nie patrzysz pod nogi, jak chodzisz? - spytał mężczyzna.

- Bo tutaj jest ciemno jak w dupie u Murzyna, właśnie dlatego. - Drugi głos był niski,

chropowaty i charczący.

- No tak, ty musisz coś wiedzieć na ten temat, Alf - rzekł pierwszy głos. Odpowiedział mu dudniący, bronchityczny śmiech, dochodzący ze strony drugiego głosu.

Wydawało się, że pierwszy głos wstał. Chrobot poprzedził dźwięk pocieranej zapalki i chwilę później mała kula żółtawego światła rozświetliła pokój.

Pierwszy głos zapalił lampę gazową. Przybliżył ją do twarzy Chris i przyjrzał się jej uważnie.

- Jesteś trochę zagubiona, co, panienko? - powiedział głos, który powoli przekształcał się w młodego mężczyznę. Miał brodę i długie, ciemne włosy - brązowe albo czarne, nie widziała dokładnie w słabym świetle - spięte w kitkę.

- Szukam kogoś - rzekła Chris.

- To uśmiechnęło się do ciebie dzisiaj szczęście, prawda? - rzucił z uśmiechem. - Bo go znalazłaś - mężczyznę swoich marzeń.

- Odwal się, Bollo - zacharczał drugi głos. - Dziewczyna tylko prosi o pomoc.

- Kogo nazywasz Bollo? - spytał młody mężczyzna, odwracając się od Chris w stronę, z której dochodził głos.

Chris zrozumiała wcześniejszą aluzję. Może to tylko słabe światło, ale nie wydawało jej się; Alf miał bardzo ciemną skórę.

- Jestem Chris - przedstawiła się, przechodząc nad posłaniem Bollo wyciągając rękę w stronę starszego mężczyzny.

Najpierw wydawał się zaskoczony, ale po chwili ucisnął jej dłoń, uśmiechając się z powodu nowego doświadczenia.

- A ja Degsy - odparł szybko młody człowiek, bojąc się stracić przewagę. - To zdrobnienie od Derek.

- Zdrobnienie od dupka - wymamrotał Alf, głosem przypominającym dźwięk żwiru w mikserze.

- Odpieprz się, ty czarny bękarcie - rzucił Degsy i zamachnął się, żeby go kopnąć, ale chybił.

Alf zachichotał. - W czym możemy ci pomóc, kochanie?

- Szukam przyjaciela.

- Jak wszyscy - odparł Degsy.

- Nazywa się Phil - Philip. Martwię się o niego.

- Nie ma tu żadnego Phila, kochana - powiedział Alf.

- Mógł wam nie podać swego imienia. Jest bardzo... nieśmiały - wyjaśniła. - Ale jest

charakterystyczny. Bardzo wysoki. Jakieś dwadzieścia lat, ciemnobrązowe włosy.

Zobaczyła w mroku, że Alf potrząsa głową. - Niestety, kochana.

- Daj nam swój numer telefonu, to zadzwonię do ciebie, jeśli go spotkam - zaproponował Degsy.

- Może mogłabym wpaść tu jeszcze raz za parę dni, jeśli nie macie nic przeciwko? - Chris spojrzała w ciemność spowijającą postać Alfa.

- Kiedy zechcesz, kochana - odparł Degsy.

- Przyjdź wcześniej rano, skarbie - rzucił Alf. - Wtedy Bollo będzie jeszcze spał. I będzie sprawiał mniej kłopotów. A ja się rozejrzę za tym twoim kumplem.

- Dzięki. Wielkie dzięki, Alf.

- Och - westchnął Degsy urażony pominięciem jego osoby. - A co ze mną?

Chris uśmiechając się potrząsnęła tylko głową.

Wyszła ostrożnie na korytarz i z łatwością odkryła wyjście, przechodząc przez dużą, staroświecką kuchnię. Na podłodze stały dwa elektryczne piecyki, a przy zlewie mała, drobna sylwetka napelniała wiadro wodą. Obróciła się, wystraszona niespodziewanym pojawieniem się Chris. Była niezdrowo wyglądającą dziewczyną, bladą i apatyczną.

- Cześć - powiedziała Chris. - To ty jesteś dziewczyną, którą widziałam w oknie na strychu? - Dziewczyna spojrzała na nią swymi dużymi, owalnymi oczyma; wzruszyła ramionami, ale nic nie powiedziała. - Szukam przyjaciela - wyjaśniła Chris.

- Nie widziałam go - odparła dziewczyna.

- Pranie pieluch bez ciepłej wody musi sprawiać dużo kłopotów. - Mały stos pieluch leżał koło nóg dziewczyny.

Wzdrygnęła się przestraszona i ponury wyraz twarzy zepsuł delikatną urodę jej drobnych rysów twarzy.

- Przynajmniej macie bieżącą wodę - spróbowała Chris.

- O tak - odparła dziewczyna. - I wszystkie wygody.

Chris starała się wymyślić coś, co by nie uraziło dziewczyny, ale uświadomiła sobie, że właściwie nie może powiedzieć nic takiego, co by nie zabrzmiało z góry. Wzruszyła ramionami.

- Cóż, lepiej już pójdę.

Wyglądało na to, że dziewczyna chciała coś powiedzieć, bo wyraz niezdecydowania przemknął po jej twarzy, ale szybko zniknął i ponownie zagościł na niej wyraz posępnej ostrożności. Nie było nic więcej do powiedzenia. Chris wyszła niechętnie, przeciskając się przez zabarykadowane drzwi, którymi weszła.

Potem pojechała jeszcze do dwóch innych squatów, nim zdecydowała, że lepiej wrócić do biura. Ostatni był dobrze zorganizowany i działał jak komuna. Kiedy przyszła, dwóch mężczyzn i dwie kobiety przygotowywali obiad. Przepięła się pod arkuszem falistej blachy i przywitał ją mężczyzna z siekierą. Rozluźnił się, kiedy zobaczył, kim jest, ale została poddana szczegółowemu przepytaniu, nim ktokolwiek zaczął z nią rozmawiać. Ich grupa była raczej trwała, wyjaśnili, ale mają kontakt z innymi, bardziej niezależnymi członkami wspólnoty i zapewnili, że z chęcią zasięgną języka. Ich organizacja zrobiła na Chris niemałe wrażenie: górne piętra domu były otwarte, żeby wpuścić światło, a dom był czysty i dobrze oświetlony, nawet zabarykadowane pokoje parteru - dzięki temu, że jeden z nich podłączył elektryczność.

Człowiek z siekierą odprowadził ją przed dom.

- Przepraszam, jeśli cię wystraszyłem - powiedział. - Ale kręci się jakiś szaleniec i podpala squaty. Pewnie chodzi o ubezpieczenie, ale dwa tygodnie wcześniej jedna komuna dostała nakaz opuszczenia lokalu. Wnieśli sprawę do sądu - wygląda na to, że wyczerpała się cierpliwość właściciela. Ten dom jest łatwym celem, bo ma zabite okna od góry. Nie możemy ryzykować.

Wracając do biura, Chris wstąpiła do schroniska. Jack Dixon już tu był, spakował manatki i wyprowadził się.

- Z niego to naprawdę upierdliwy typ - stwierdził opiekun schroniska. Wyglądał na jeszcze bardziej zmęczonego, niż przedtem. Jego jasnoniebieskie oczy były podkrążone, a ramiona przygarbione. Był wysokim człowiekiem z gęstymi, delikatnymi, krótko ostrzyżonymi włosami. - Powiedziałem mu, kim pani jest - ciągnął, wpatrując się w jakiś punkt ponad jej ramieniem - ale twierdził, że jest pani zwiastunem brudu i tego... no, policji. I mówił, że nie będzie mieszkał tam, gdzie go będą nękać.

- Powiedział mu pan, że próbuję znaleźć Phila? - spytała Chris, czując wzbierającą w niej desperację. Największe nadzieje na znalezienie Phila wiązała z Dixonem.

- Pewnie, że tak - odparł urażony. - Ale on tylko mamrotał o tym nękaniu przez policję i... - Wzdrygnął się, widocznie zbyt wyczerpany, żeby kontynuować wyjaśnienia. - Nasze schronisko to nie areszt, pani kochana. On nie jest przestępcą. Nie mogłem go zatrzymać siłą. Szkoda, że nie przyszła pani parę minut wcześniej - musiała się z nim pani minąć.

Chris poczuła, że robi jej się słabo.

- Blondyn? Stojące włosy, jeździ motorem? - Widziała, jak odjeżdżał.

- Supermotorem - zaznaczył tamten z zazdrością. - Honda Goldwing, cudo. Trochę zastanawiające, co prawda. Dlaczego taki facet kisi się w schronisku? Skoro stać go na taki

motor marzeń...

- Czy wie pan coś o nim? - spytała Chris. - Ma jakichś przyjaciół albo rodzinę? Skąd pochodzi?

- Większość czasu spędzał na pogawędkach z Philem. Przykleił się do niego, jak tylko się wprowadził. Phil to istna kopalnia wiedzy, jeśli przystosować się do tego, jak funkcjonuje. Jake mieszkał tu tylko tydzień i ze wszystkimi pogadał, bo był raczej towarzyski - niektórzy nazwaliby go wścibskim, ale był w porządku, wie pani, o co mi chodzi. Jak mam być szczery, to wydawało mi się, że już nie może sobie znaleźć miejsca, więc myślałem, że i tak wkrótce się wyprowadzi. Któregoś dnia jedliśmy obiad i Jack powiedział, że jutro idzie na spotkanie z przydzielonym mu socjalnym, a Phil zaczął wtedy wymieniać nazwiska i oddziały, numery identyfikacyjne i Bóg wie co. To było niesamowite. Na Jake'u też zrobiło wrażenie i zażartował, że Phil wie więcej o ekipie Calderbank niż sam dyrektor finansowy - cóż, zna pani Phila, ani w ząb nie rozumie dowcipów, więc odpowiedział: „Peter Brannigan? Pokój numer 503”. Podał nawet jego numer wewnętrzny. „Wiem dużo więcej niż on”. Wtedy Jack rzucił coś w rodzaju: „Wiesz kim ty jesteś, Phil? Cholernie dobrze zakopany skarbem!” Od tego czasu nie rozstawali się ze sobą... dziwne. - Chris oczekiwała dalszego ciągu, ale on wydawał się pochłonięty myślą, która przyszła mu do głowy, starając się znaleźć jakieś logiczne wytłumaczenie. Chrząknęła i tamten ocknął się, jakby go ktoś obudził. - Myślałem o nim, jak pani poszła. Wie pani, ten Goldwing i w ogóle. Mówił czysto, nie z typowym miejscowym parszywym akcentem - wydaje mi się, że w ogóle nie pochodzi z okolicy. Z tego co wiem, nie ma na koncie żadnych przestępstw. Wydawał się mieć mnóstwo kasy, nie żeby nią szastał, ale miał jakiegoś laptopa, a one nie są tanie.

- Nie - przyznała Chris, zaczynając się sama zastanawiać. - Nie są.

- Więc musi mieć coś do ukrycia, nie? No bo tak uciekać. Swoją drogą, myślałem, że i tak nie zabawi tu długo po tym, jak Phil dostał przydział na to mieszkanie z dozorem. Kręcił się wokół nowego gościa przez parę dni, ale Sean nie polubił go. Powiedział, że zadaje więcej pytań niż glina.

Chris знаła odpowiedź na następne pytanie, ale czuła, że i tak musi je zadać.

- Nie zostawił nowego adresu?

Opiekun schroniska uśmiechnął się, znowu wpatrując się w jakiś punkt nad jej ramionami.

- Przykro mi...

Chris westchnęła. - Szkoda, że nie przyszłam pół godziny wcześniej.

- I tak by z panią nie rozmawiał - zapewnił ją. - Był nieźle zdenerwowany tym, że w

ogóle pani tu była. Powiedział, że skoro Phil chciał zniknąć samemu, to jego interes.

- Tak powiedział? - spytała, marszcząc czoło.

- „To jego życie” - takich użył słów.

Chris odwiedzała Phila w więzieniu przez te miesiące, które tam spędził, i obserwowała jak z kontaktowego, może nieco zbyt neurotycznego i obsesyjnego młodzieńca stawał się psychotycznym i paranoicznym wrakiem. W końcu udało jej się przekonać władze więzienne, że nie wytrzyma całego wyroku, ale niewystarczająco szybko, żeby zapobiec załamaniu nerwowemu. Umieszczenie go w schronisku ustabilizowało trochę jego sytuację, ale źle znosił wspólne życie i dopiero co zaczął naprawdę dochodzić do siebie, kiedy przeprowadził się do mieszkania z dozorem. Gdy mieszkał w schronisku, jego stan emocjonalny nie był najlepszy i musiał nieustannie walczyć z nocnymi strachami i codzienną paniką. Takiego napięcia nie zniosłaby większość ludzi. Jak człowiek, który znał czy troszczył się o Phila, mógł utrzymywać, że on sam może decydować o tym, gdzie chce mieszkać?

- Ostatnia sprawa - powiedziała. - Kto był opiekunem socjalnym Jake'a?

To, że zarządca schroniska nie miał pojęcia, w ogóle jej nie zdziwiło.

Jake obserwował ją z bezpiecznej odległości. Motor miał ukryty w bocznym wejściu przy ulicy, dwieście metrów dalej. Doktor Radcliffe. Troskliwa Chris. Jej nazwisko pojawiała się zbyt często w ciągu minionych kilku tygodni, żeby mógł być to tylko zbieg okoliczności. Wiedział, że peany na jej cześć, którymi raczył go Phil, były zbyt piękne, żeby mogły być prawdą; bardziej był skłonny wierzyć trochę bardziej krytycznej opinii Dorothy, a Ann była zupełnie szczerą i krytyczną. A potem ta audycja radiowa - ktoś, kto zadzwonił z Childwall, zupełnie wyprowadził ją z równowagi pytaniem o dom dziecka. Doktor Radcliffe z pewnością była kobietą, która może mu się przydać.

Wróciła do biura o szóstej trzydziści, starając się skupić podczas jazdy, zdawkowo odpowiadając na pytania taksówkarza.

Dlaczego jej wizyta w schronisku wyprowadziła Jake'a z równowagi? Przykleił się do Phila. Dlaczego?

- Dzisiejsi taksjarze w ogóle nie spojrzeliby na taką kasę za kurs - ciągnął taksówkarz.

- Woleliby kręcić się w kółko i jeździć tylko krótkie trasy, wie pani? - Rzucił okiem w tylne lustro, a Chris przytaknęła, myśląc o czymś innym.

Niby znał Phila, ale jak ktoś, kto go naprawdę znał, mógł myśleć, że Phil zniknąłby z własnej woli? Mógłby nie wiedzieć, że Phil uciekłby tylko i wyłącznie z powodu jakichś poważnych problemów i desperacko potrzebując pomocy? Taksówkarz przyglądał się jej.

Zatrzymał się już przed Turner & Sons. Zapłaciła, podeszła do tylnej bramy budynku mieszczącego jej biuro i otworzyła ją swoim kluczem. Na tyłach domu ciągle leżały wysokie stopy worków ze śmieciami, trochę bardziej spuchnięte i było od nich nagromadzone ciepło dnia. Wspięła się schodami przeciwpożarowymi na pierwsze piętro i z rezygnacją otworzyła drzwi do biura, myśląc, że chciałyby się znaleźć w domu.

- Wyglądasz na wykończoną.

- Jestem tylko normalnie wkurzona - rzuciła Chris. - Co ty tu jeszcze robisz? Miałaś zamknąć o piątej i iść do domu.

- I martwić się przez całą noc, czy wróciłaś cała i zdrowa? - odparowała Nicky. - I tak miałam co robić. Opędzałam się od natrętów, tak jak mówiłaś.

Chris jęknęła. - Czyżby nieustraszony inspektor ze swoim giermkim?

- Tylko nieustraszony. Zadzwoił tuż po piątej. Powiedziała mu, że jesteś zajęta do ósmej - pomyślałam, że dam ci trochę czasu na zapas. Zostawił numer, pod który masz zadzwonić.

Chris schowała go do kieszeni dzinsów.

- Czy Rick zajmuje się Tommym?

- Tak. A co? Jestem ci do czegoś potrzebna? Chris roześmiała się.

- To ja tutaj mam być pracoholiczką! Idź do domu, Nicky. Jutro możesz zacząć pracę od jedenastej. Poradzę sobie z moimi porannymi spotkaniami bez ciebie. - Potem dodała nieśmiało: - Ale kiedy już przyjdiesz, mogłabyś spróbować się dowiedzieć czegoś o Jake'u Dixonie? Jest wysokim blondynem. Ma zielone oczy - jest trochę playboyowaty. Sprawdź agencje nieruchomości, agencje najmu, co ci tylko przyjdzie do głowy.

- Kto to jest?

- Nasza największa szansa na znalezienie Phila.

- Jeśli podejrzewasz, że ma kartotekę, mogę porozmawiać o tym z jednym z moich kuzynów - mogliby sprawdzić w policyjnym komputerze...

Chris uśmiechnęła się. Miała nadzieję, że Nicky to zaproponuje, ale nie chciała się narzucać.

8

Wieczór był upalny, więc Chris jechała z otwartymi oknami, pozwalając, żeby wiatr lekko mierzwił jej włosy. Dotarła do domu o siódmej czterdzieści, weszła, otworzyła drzwi łokciem i schyliła się, żeby podnieść listy z wycieraczki.

- Śmieci - wymamrotała.

Oparła aktówkę o osłonę licznika i, zamykając drzwi nogą, zsunęła buty i weszła boso do kuchni na przyjemnie chłodne płytki, niosąc torbę z jej teraz już brudnymi dżinsami i koszulką.

Rzuciła listy na stół, otworzyła lodówkę i nalała sobie duży kubek lemoniady, nim wrzuciła zawartość torby do pralki i włączyła ją.

W domu było duszno; nie aż tak, jak na dworze, ale brakowało tchu w piersiach, więc obeszła dom otwierając wszystkie okna i poszła wziąć prysznic. Z przyjemnością poczuła chłodną wodę na ciele i stanęła twarzą bezpośrednio pod natryskiem. Przez otwarte okno w łazience nie dochodził prawie żaden dźwięk; ogród był dziwnie spokojny, jakby upał nie dawał niczemu wytchnienia.

Stojąc pod prysznicem, Chris wcale nie miała ochoty wychodzić spod orzeźwiającej, rozpryskującej się wody i ociągała się jak mogła, żeby opóźnić chwilę, kiedy będzie musiała zadzwonić do inspektora Jamesona.

*

Jameson czekał na jej telefon do ósmej piętnaście. Podał jej i służbowy, i domowy numer. Wiedział, że narastające zniecierpliwienie, które czuł, tylko po części wynikało z frustracji spowodowanej dochodzeniem; uświadomił sobie, że chciał wyjaśnić doktor Radcliffe powody, dla których zdecydował się na opublikowanie zdjęcia Philipa Greera w prasie, i konieczność wypełnienia tej powinności zwiększała jego podenerwowanie.

Z siostrą Aloysius pożegnał się na szczycie cementowych schodów, prowadzących do parkingu dla personelu. I tam, patrząc mu prosto w oczy, siostra Aloysius powiedziała:

„To dobra kobieta, panie Jameson, i moralna, chociaż, jak mi się wydaje, bez inklinacji religijnych i raczej nieortodoksyjna w stosowaniu swej moralności”.

Wypowiedź wprawiła go w zakłopotanie bo była skierowana osobiście do niego. Siostra Aloysius przedstawiała sytuację Chris Radcliffe jak człowiekowi, a nie policjantowi. Jako mężczyzna czuł, że lekarka go pociąga i wiedział, że staje się przez to nieobiektywny, więc ze złością zdusił w sobie to uczucie.

Chris odłożyła rozmowę telefoniczną na później i zajęła się podlewaniem kwiatów w skrzynkach na patio. Przebrała się w kremowe krótkie spodnie, a na górę narzuciła długą, luźną koszulę. Z mokrych włosów, zaczesanych do tyłu kapła jej przyjemnie na plecy woda. Duchota zapierała dech w piersiach. Słyszała rytmiczną pracę pralki, co w wieczornym powietrzu działało usypiająco. Opóźniła telefon jeszcze bardziej, obcinając przekwitłe róże, po czym włączyła spryskiwacz i wróciła niechętnie do kuchni.

Ciągle nie mogła się zebrać, żeby zadzwonić. Zajrzała do lodówki, nie czując głodu, ale wiedziała, że powinna zjeść, i znalazła coś do podgrzania w mikrofalówce, ale nawet czynność przebicia opakowania wydawała się zbyt ciężka - było tak cholernie gorąco! Odłożyła opakowanie do lodówki, wzięła z niej kawałek sera i trochę zwiędniętej sałaty, dodała paprykę i pomidory. Z sałatką wyszła do ogrodu zjeść.

Zadzwonił telefon.

- Przesłuchałaś już automatyczną sekretarkę? - Dzwoniła Maria. Nigdy się nie przedstawiała, oczekując, że wszyscy poznają ją po głosie. Przeważnie poznawali.

- Jeszcze nie.

- Chris... - Głos jej opiekunki wyrwał ją z odrętwienia i poczuła mrowienie na plecach.

- Chodzi o Phila? - spytała.

- Był w Granada News.

- Phil? - Wydawało się to niemożliwe.

- Jego zdjęcie. To, które wzięła policja. Podali, że chcą go przesłuchać w sprawie porwań. Och, Flip, jak on to przyjmie?

- Co za krety ten Jameson! Dlaczego nie mógł poczekać?

- Flip... - Zapanowała cisza pokrywająca mieszane uczucia i zażenowanie.

- Powiedz to, Maria. Cokolwiek to jest, powiedz.

- Zastanawiałam się... Chodzi o to, że wiem, że ty myślisz, że postępujesz dobrze, ale...

- Maria, ja nawet nie wiem, gdzie on jest.

- Boże, pomóż nam.

Chris wiedziała, że Maria żegna się.

- Ale go znajdę - dodała. - Najpierw muszę porozmawiać z inspektorem Jamesonem i dowiedzieć się, co się dzieje, dobrze?

Maria zgodziła się z nią i odłożyła słuchawkę.

. Nastawiła magnetowid na dziewiątą trzydzieści, kiedy będą lokalne wiadomości BBC i wracając do telefonu, przypomniała sobie, gdzie schowała kartkę z jego numerem.

Przeklinając, odwirowała pranie i wydobyła z niego kawałek papieru, ciągle cały, ale zupełnie wyprany z tuszu.

- Cholera jasna!

Podniosła słuchawkę i zadzwoniła do komendy policji w Liverpoolu. Powiedziano jej, że nie ma tam inspektora Jamesona i niestety, nie mogą jej podać jego numeru, ale jeśli zechciałaby zostawić wiadomość... Rozłączyła się.

Niech to piorun, pomyślała. Jeśli zostawiłaby wiadomość, Jameson musiałby do niej oddzwonić, a za nic nie chciała być zdana na czekanie na jego telefon. Potem przysła jej do głowy inna myśl: skoro dzwonił do jej biura, mógł też zadzwonić pod jej numer domowy.

Przesłuchała wiadomości z sekretarki. Od Marii, rozdygotanej i wyprowadzonej z równowagi tym, że jej nie ma w domu; od kolegi z uniwersytetu w Manchester; cisza, od kogoś, kto zapomniał języka w gębie, kiedy musiał stawić czoła automatycznej sekretarce i ograniczonemu czasowi na pozostawienie wiadomości; siostra Aloysius zostawiła zwięzłą i niezobowiązującą wiadomość, a raczej bezdyskusyjne ostrzeżenie; przyjaciółka zadzwoniła powiedzieć, jak bardzo podobała jej się audycja. „Zadzwoń do mnie, kiedy zdarzy ci się wziąć dzień urlopu - zjemy razem lunch albo kolację, cokolwiek. Nieważne. - Po prostu zadzwoń!” A potem: „Mówi Jameson. Niech pani posłucha, bardzo chciałbym się z panią skontaktować...”

Zostawił numer służbowy i domowy. Zapisała je i natychmiast wykręciła.

Jameson właśnie wrócił ze spaceru z psami, kiedy zadzwonił telefon. Biegł kawałek drogi i był przestraszony swą słabą kondycją. Przeszył go dreszcz niepokoju. Potem przypomniał sobie, że obiecał zadzwonić do Zoe o dziesiątej czasu miejscowego, bo zawsze kończyła wcześniej szkołę w piątki. Miał jeszcze mnóstwo czasu.

- Mam nadzieję, że wie pan, co pan robi. Był to kobiecy głos.

- Kto mówi?

- Chris Radcliffe.

- Rozumiem, że ma pani na myśli zdjęcia, które puściłem w obieg.

- Określenie puściłem w telewizji byłoby bliższe rzeczywistości. Będzie zdesperowany, inspektorze. Mam nadzieję, że poradzi pan sobie z konsekwencjami. - Jameson nie odpowiedział, a Chris, wiedząc, że brzmi pompatycznie, zachnęła się z niesmakiem. - Nie może pan wbić sobie do głowy, że Phil nie jest mężczyzną, którego pan

szuka? - dodała.

- Kto powiedział, że szukamy mężczyzny?

Chris zamilkła i po chwili powiedziała: - Skoro nie, to po co pan pokazuje zdjęcie Phila w wiadomościach telewizyjnych?

- Bo chciałbym wiedzieć, dlaczego uciekł.

- Już panu mówiłam.

Pod wpływem impulsu Jameson powiedział:

- Może powinniśmy to przedyskutować. - Jeśli siostra Aloysius ma rację, powinien porozmawiać z nią osobiście.

- Słucham. - Głos po drugiej stronie był ostrożny, może nawet nieufny.

- Nie przez telefon. Przyjadę do pani.

Chris zastanowiła się. Oznaczałoby to odłożenie pracy nad książką do wieczora.

- No dobrze. Jest pan zaproszony. Samemu.

Mogła dodać, że policjanci, którzy ją śledzą, podadzą mu adres, ale nie było jej na rękę, żeby Jameson już się zorientował, że ona o tym wie.

W mieszkaniu Simona nikt nie podnosił słuchawki. Zjawił się pięć minut później, z kolejnymi artykułami i wycinkami i ich krótkimi streszczeniami.

- Pomyślałem, że mogą się przydać, skoro jesteś taka zajęta - wyjaśnił nieśmiało.

Chris przygotowała mu talerz kanapek i kiedy jadł, wytłumaczyła, że zjawi się Jameson. Słyszając o policji, zbladł, ale go uspokoiła.

- Wydaje mi się, że miły z niego gość - powiedziała, zdziwiona, że naprawdę tak myśli. - Ale wbił sobie do głowy, że to Philip jest głównym podejrzanym o uprowadzenie i...

- Może powinienem iść, nim przyjdzie.

- Skończ jedzenie. Na miłość boską, to tylko człowiek. W gruncie rzeczy dość pokraczny. - Roześmiała się. - Jeśli chcesz przezwyciężyć strach przed prawem, Alan Jameson jest najodpowiedniejszym do tego człowiekiem. Jeden rzut oka na jego poplamiony krawat utwierdzi cię w tym, że to jeszcze jeden facet z problemami.

Simon uśmiechnął się.

- Niechluj, tak?

- Nie, niechluj może nie. Ale nie dba o swój wygląd. Prawie byś sobie dał głowę uciąć, że to naukowiec. - Dziwnie, pomyślała, że Hugh, tak pochłonięty życiem naukowym, był tak odległy od stereotypu naukowca. Jeszcze dziwniejsze było to, że coś ją pociągało w inspektora, który był tak inny od jej byłego kochanka.

.Simon wyszedł prawie od razu po przybyciu Jamesona. Ten patrzył na drzwi jeszcze

chwilę, gdy się za nim zamknęły.

- Zawsze jest taki nerwowy? - spytał.

Chris rzuciła mu gniewne spojrzenie.

- Tylko w towarzystwie policji. Siedział trochę za podpalenie. Jeszcze niezupełnie doszedł do siebie.

- A pani się z nim czuje bezpieczna?

- Absolutnie. Wszyscy czasami mamy skłonności do odrobiny szaleństwa, panie Jameson. - Zebrała naczynia ze stołu kuchennego i włożyła je do zlewu. - I uważam, że mamy do tego prawo. Gdyby sprawy przybrały nieco inny obrót, ja mogłabym być teraz w jego położeniu. Albo gorszym.

- Oo? - rzucił na zachętę Jameson.

Chris odwróciła się do zlewu, napełniła go wodą i wlała płynu do mycia naczyń, traktując te czynności jako odwrócenie uwagi.

- Mnóstwo ludzi popełnia błędy, robi rzeczy, których później się wstydzą. Niektórym uchodzi na to na sucho, a niektórym nie. Simonowi nie uszło. Ale ma to już za sobą i myślę, że będzie z nim dobrze.

Wyglądała rewelacyjnie w krótkich spodniach. Jameson musiał sobie przypomnieć, że utrudnia mu dochodzenie w sprawie uprowadzenia dwóch kobiet. Chyba wyczuła jego spojrzenie, bo odwróciła się plecami do zlewu i obdarowała go szerokim uśmiechem.

- Podoba się tu panu? - spytała, wycierając ręce w ręcznik. - Jest trochę na uboczu.

- Ale trafiłem. Choć nie podała mi pani adresu, kiedy zadzwoniła... Rzuciła mu chytre spojrzenie.

- Nie podałam też panu numeru mojego domowego telefonu, który jak pan wie jest zastrzeżony.

Zaprowadziła go do ogrodu, gdzie obfitość lawendy i róży wypełniała mocnym zapachem nieruchome i duszne wieczorne powietrze. Słaba, wodna mgiełka tryskała ze spryskiwacza, tworząc tęczową zasłonę w zachodzącym słońcu. Jameson zastygł na chwilę, po czym ruszył za nią w kierunku wyłożonej płytkami powierzchni, w rogu której ciągle operowało słońce i stało kilka krzesel, jakby opalających się w złocistym świetle.

- Chciał pan porozmawiać - powiedziała.

- Rozmawiałem dzisiaj z pani dyrektorką ze szkoły średniej - odparł.

- Wiem.

Jameson przyglądał się jej, podziwiając ją za opanowanie albo upór, nie był tylko pewien, którą z tych cech. Nie chciała się dowiedzieć, co o niej mówili?

- Doradziła mi, żebym z panią porozmawiał. Żebym zapytał, dlaczego pani myśli, że Philip Greer jest niewinny.

Spojrzała na niego, unosząc swe rozbawione, może nieco zaciekawione fiołkowoniebieskie oczy, po czym wzdrygnęła się, jakby godząc się na powtórzenie tego, co już raz wyjaśniła.

- Philip nie znosi żadnego pogwałcenia jego nawyków. Codziennie rano ubiera się w takiej samej kolejności. Ma ograniczoną liczbę kolorów i krojów ubrań, po to, żeby nie miał trudności z wyborem. Je śniadanie zawsze w tej samej kolejności. Zawsze myje naczynia przed wyjściem do pracy. Musi wlać płyn do mycia naczyń do zlewu przed odkręceniem wody. Naczynia myje w odpowiedniej kolejności. Musi tak robić, bo w przeciwnym razie opanowuje go strach, którego ani pan, ani ja nie jesteśmy w stanie zrozumieć czy sobie go wyobrazić. Sypie się, kiedy autobus do pracy spóźnia się pięć minut. - Zamilkła. Inspektor robił wrażenie zakłopotanego, ale słuchał - starał się przynajmniej zrozumieć. - Philip nie byłby w stanie zmienić swych nawyków do tego stopnia, żeby włożyć do zlewu najpierw sztucce, a potem naczynia, więc nie wyobrażam sobie, jak mógłby zdobyć się na uprowadzenie dwóch kobiet.

- Chce mi pani powiedzieć, że nie mógłby tego zrobić, bo nie chciałby zmieniać swoich przyzwyczajzeń?

- Tu nie chodzi o chęci, panie Jameson. Musiałby pan znać Phila, żeby zrozumieć, jaka przerażająca dla niego jest zmiana nawyków. Mówiłam już panu, że on nie potrafi zwodzić. On potrzebuje powtarzalności. Nie znosi żadnych zmian w jego uporządkowanych przyzwyczajeniach.

- Ale już od dwóch dni jest z dala od swojego uporządkowanego świata.

Chris poczuła przyływ niepokoju.

- Tak.

Philip nigdy nie był zdany na siebie na tak długo, więc skąd miałyby wiedzieć, jak się zachowa w takich okolicznościach.

- Więc może, jeśli bodźce byłyby wystarczająco silne, mógłby zmienić swe nawyki...

Z trudem wytrzymywała jego spojrzenie.

- Gdziekolwiek jest, Phil będzie starał się wrócić do tak wielu swoich nawyków, jak tylko będzie mógł. Zmiana nie jest dla Phila czymś podniecającym, jak dla większości z nas. Jeśli wiąże się z nią pogwałcenie jego przyzwyczajzeń, to nie jest po prostu czymś irytującym czy przykrym, ale przerażającym. Koszmarem. - Zauważyła sceptyczne spojrzenie Jamesona i ponownie spróbowała mu wyjaśnić. - Phil ma problemy ze zrozumieniem świata. Dla niego

on po prostu nie rządzi się logicznymi prawami. Wie pan jak to jest, kiedy się ma bardzo wysoką gorączkę? Człowiek myśli, że jest daleko od otoczenia i wszystko wydaje mu się zniekształcone. Nie można zrozumieć, co ludzie do nas mówią i nie można odnosić się do ludzi tak, jak normalnie. Niech pan sobie spróbuje wyobrazić taki stan, ale w odniesieniu do emocji, kontaktów z ludźmi, języka, czasu, a nawet przedmiotów codziennego użytku. Tak właśnie wygląda rzeczywistość dla Phila. Więc stara się wziąć świat w karby i nadać mu sens przez kurczowe trzymanie się nic nie znaczących nawyków.

- Tak - zgodził się Jameson. - A kiedy dwie kobiety, które znał i na których polegał latami, przydzielono do innych przypadków, reaguje.

- Nie. Nie Phil. Nie... On nie mógłby nikogo zranić.

Lojalna wypowiedź, pomyślał Jameson. Ale czyżby wyczuł w jej głosie nutkę niepewności?

- Kiedy moi pracownicy przepytawali go, skłamał w sprawie kręcenia się koło magistratu.

- Co powiedział? „Nigdy nic nie zrobiłem. Nie chciałem tego”, coś takiego?

- Zastanawia mnie, że jest pani aż tak blisko prawdy, doktor Radcliffe...

- To żadne czary. Nie rozmawiałam z nim, jeśli to chodzi panu po głowie. Phil zawsze mówi: „Nigdy nic nie zrobiłem. Nie chciałem tego”, kiedy ma kłopoty. On jest zupełnie przezroczysty. I nie rozumie odcieni znaczenia czy różnicy między drobnym wykroczeniem a poważnym przestępstwem. Powiedziałby to samo, kiedy by stłukł talerz i kiedy by go złapano na kradzieży. Wszystko jest albo Dobre, albo Złe. On nie potrafi działać źle w tym znaczeniu, o którym pan myśli. Nigdy celowo nikogo nie zranił.

- Czy te dwa stwierdzenia nie wykluczają się nawzajem? - spytał Jameson. - Skoro nie rozumie pojęcia dobra i zła, to jak może dokonywać moralnych osądów? Skąd miałby wiedzieć, że skrzywdzenie kogoś jest bardzo złe?

- Ma pan rację - odparła Chris, zadziwiając Jamesona swoją bezpośredniością. - Wzajemnie się wykluczają. - Zmarszczyła brwi i zamilkła. - Bardzo trudno - wydusiła w końcu - jako psychologowi oceniać obiektywnie moje własne związki. Jeszcze trudniej w tym przypadku, bo dorastałam z Philem. Ale naprawdę nie pamiętam, żeby Phil kiedykolwiek kogoś celowo zranił. Już będąc młodym chłopcem wydawał się wiedzieć, że jest silniejszy fizycznie niż większość z nas i musiał za to płacić. Nawet, kiedy inne dzieci ruszały jego rzeczy - tylko on miał swój pokój: musiał, bo był niesamowicie zdenerwowany, kiedy ktoś dotknął albo ruszył jego rzeczy - był agresywny tylko w stosunku do siebie.

Przyszedł jej do głowy obraz dziesięcioletniego Phila, siedzącego na podłodze,

kołyszącego się nieznacznie jak porzucony szczeniak i gryzącego swoje ramię do krwi.

Jameson zobaczył niejasny wyraz jej twarzy i spytał:

- Jak objawiała się ta agresja?

- To nie ma nic wspólnego ze sprawą - odpowiedziała Chris ostrzej, niż zamierzała.

- A jeśliby jednak zranił te kobiety, być może nieumyślnie, nie zdawałby sobie sprawy, że zrobił źle i czy nie próbowałby się maskować?

- On nie ma wyobraźni. Phil rozumie tylko i wyłącznie fakty. Wie, kiedy zrobił coś złego, i wtedy jego reakcją jest ucieczka.

- Tak, jak uciekł przed policjantami?

Spojrzała mu uważnie w oczy, chcąc, żeby zrozumiał, żeby uwierzył.

- Uciekł, bo spowodowali, że nie mógł pójść do pracy na czas. Bo chcieli wejść do jego mieszkania, dotykać jego rzeczy. On nie umiałby sobie z tym poradzić. Bał się, bo ich popchnął i przewrócili się, a wie, co to jest pobicie. Panicznie boi się tego, że zamkniecie go znowu w więzieniu.

Jameson odwzajemnił spojrzenie.

- Jeśli jest niewinny, nie ma się czego obawiać.

Nagle całe napięcie minęło i Chris rozluźniła się, prostując się w międzyczasie i nawet lekko się uśmiechając.

- Jest pan pewien, inspektorze? Czy ktokolwiek może to powiedzieć z absolutną pewnością?

Wahał się zbyt długo. Kiedy rozmawiał z doktor Radcliffe, normalne banały nie przychodziły tak łatwo. Zapewnienia i frazesy wydawały się nic nie znaczącymi, a nawet zakłamanymi truizmami.

- Pies załatwia tu sprawę - stwierdziła krótko. Jameson zmuszony był prosić ją o wyjaśnienie.

- Ludzie z... z zaburzeniami takimi, jakie ma Phil... - Beznamiętny psycholog w Chris, jej zawsze czujna część, zarejestrowała niechęć, nawet niemożność nazwania zaburzeń Phila. Niech inni nazywają to zaburzeniami języka i komunikacji czy syndromem Aspergera: dla niej Phil był jej przybranym bratem. Terminy były przydatnym narzędziem dla celów leczenia, wybierania sposobu kształcenia czy wypłaty zasiłków, ale nie mogły zdefiniować Phila, jakiego znała. - Często panicznie boją się psów, właściwie jest to fobia. Phil nadłoży kilometr drogi, żeby tylko nie przejść koło psa. Kiedyś dostał ataku hysterii w przedszkolu, gdy jakiś chłopiec przyniósł psa-zabawkę.

- Jeśli wie pani, gdzie on jest... - powiedział.

Chris uniosła ręce do góry i zaczęła chodzić, nie zwracając uwagi na deptane kępki tymianku, wciskającego się między płyty.

- Czego trzeba, żeby pana przekonać, że nie jestem w to wszystko zamieszana?

- Niech pani nakłoni Philipa Greera do zeznań.

Zastygła w pół kroku i zatrzymała się, niejasno świadoma woni zgniecionego tymianku dobywającej się spod jej stóp.

- Już panu mówiłam, że nie wiem gdzie jest Philip.

- Ale nawet gdyby pani wiedziała, to i tak by mi pani nie powiedziała.

Uśmiechnęła się, nieco uspokojona. Przynajmniej ma dosyć odwagi, żeby się do tego przyznać, pomyślał Jameson. Gniew wydawał się wyparowywać z niej razem z uśmiechem i z wymianą szczerości. Usiadła naprzeciw niego i pochyliła się, szukając z nim kontaktu wzrokowego. Przez chwilę myślał, że wyzna mu coś, i poczuł wzbierającą w nim dziwną falę zadowolenia z tego powodu. Wydawało się jednak, że nic z tego nie będzie, bo chwilę później odchyliła się, oparła ręce na poręczach krzesła i spojrzała na niego przymkniętymi oczyma.

- Może pan przeszukać mój dom - powiedziała. - Nie będę nawet nalegała na formalny nakaz. Zna pan godziny mojego urzędowania, jeśli chciałby pan skorzystać z tej możliwości, ale proszę, niech pan nie przerywa sesji: niektórych to krępuje.

Chris z zaskoczeniem stwierdziła, że jej cięta uwaga wprawiła Jamesona w zakłopotanie. Wzdrygnął się lekko.

- Powiniennem przeprosić za wtargnięcie - rzekł.

- Nie ma potrzeby. Wydaje mi się, że pańska wizyta zdziałała cuda, podniosła moją wiarygodność, bo skoro ja też nie jestem taka niewinna...

- Mimo wszystko, nie było to zbyt subtelne.

Chris podejrzewała, że czuł się winny raczej z powodu gwałtownego wtargnięcia, niż przez wzgląd na jej pacjentkę. Uniosła brwi.

- Z Len wszystko będzie w porządku - powiedziała. - Szuka dla siebie miejsca. - Rozbawienie zagościło w jej oczach. - Myślę, że dredy i kolczyk w nosie pomagają jej w tym.

- Nie pochwała pani chyba tego...?

I kto teraz brzmi pompatycznie?, pomyślała Chris. Głośno powiedziała:

- W przypadku Len, tak, pochwałam.

- To oczywiste, bo nie ma pani dzieci, doktor Radcliffe. Uśmiechnęła się patrząc w jego oczy. Orzechowe. Ładne oczy jak na takiego zarozumialca, pomyślała.

- Co też pan nie powie. Nie mam też siwych włosów.

- Nie ma pani szacunku dla zasad - odparł. - Rodzice są od wskazywania drogi.

- O? A ja myślałam, że chodzi o miłość i wychowanie, budowanie pewności i pomaganie dzieciom w osiągnięciu niezależności.

- Na sucho to brzmi ładnie i bezboleśnie, ale w rzeczywistości jest nieco bardziej złożone.

- Ale to chyba właśnie czyni całe doświadczenie interesującym? - spytała Chris.

- A pani oczywiście wszystko na ten temat wie - odpowiedział z niespodziewaną zjadliwością. - Ideały z podręczników i godzinne pogadanki nie wystarczają.

- Na pewno zechce mnie pan oświecić.

- Chodzi o odpowiedzialność. O zapominanie o własnych potrzebach. Nigdy się nie wychodzi razem, bo nie można załatwić niańki, a kiedy się uda, i tak ma się już wszystkiego po dziurki w nosie. Chodzi o straszliwą nudę zabierania ich na zbiórkę zuchów, kiedy nie marzy się o niczym innym tylko o oglądaniu telewizji. Chodzi o myślenie przede wszystkim o ich potrzebach. Zawsze. Utrzymuje pani, że rozumie sytuacje i ludzi, których pani ledwo zna...

Zmęczenie sprawiło, że Chris była skora do zwady. Była wyczerpana. Troska o Phila nie dawała jej spokoju, a Jameson zaczął jej robić wykład o ojcostwie.

- Nie wątpię - przerwała - że jest pan uosobieniem ideału ojca, inspektorze, pracując dwanaście godzin na dobę i będąc dyspozycyjnym przez cały czas. Ile razy spędził pan urodziny czy Boże Narodzenie z rodziną?

Jameson wstał i Chris zauważyła, że jego buty są zdarte i nie wyczyszczone.

- Lepiej już pójdę - powiedział.

- Zamierza pan wycofać jego zdjęcie z obiegu? - spytała.

Zastanawiał się chwilę.

- Musi się znaleźć - zdecydował.

- To wiem. Pomogę panu, ale nie w taki sposób.

Przez chwilę, tylko sekundę albo dwie, wydawało się, że ustąpi, po czym powiedział grobowym tonem:

- Przykro mi.

- Bzdura.

Jameson uśmiechnął się połowicznie.

- Co? - spytał.

- Jest pan zbyt uparty, żeby przyznać, że się pan pomylił. Więc znajdzie pan Phila, zaciągnie go pan wrzeszczącego na posterunek, przetrzyma go pan dzień albo dwa i ogłosi pan publicznie, że został wykluczony z kręgu podejrzanych. Da to panu chwilę wytchnienia,

nim pan znajdzie lepszy trop... - Zaśmiała się gwałtownie. - Co ja plotę? Prawdziwy trop!

Skończyła zdyszana, a Jameson wpatrywał się przez chwilę w jej ogniste, niebieskie oczy, wytrzymując twardo jej spojrzenie.

- Znaleźliśmy trzy zestawy dokumentów, przy których ktoś grzebał. Mogą, ale nie muszą być związane z danymi dotyczącymi „dzieci specjalnej troski” umieszczonymi w domu dziecka Sunnyside w 1986 i 1987 roku. Pracujemy nad tym.

- Czyje dokumenty? - spytała Chris, czując szybsze bicie serca.

- Dorothy Hardy, Ann Lee i pani. Pani też może być w niebezpieczeństwie...

Nacisk na słowie może wywołał agresywną reakcję Chris.

- Więc może jestem temu wszystkiemu winna - to pan chce powiedzieć, inspektorze?

Jameson, który chciał ją sprowokować do szczerzej odpowiedzi, czekał na ciąg dalszy.

- Niech pan posłucha - powiedziała. - Szczerze żałuję za to, co się stało w Sunnyside. - Potrząsnęła niecierpliwie głową, jakby jej słowa nie były w stanie opisać jej uczuć. - Zostałam psychologiem, żeby móc pomagać dzieciom. Wstyd mi, że miałam cokolwiek wspólnego ze zinstytucjonalizowanym znęcaniem się nad dziećmi. Byliśmy tam po to, żeby pomagać skrzywdzonym dzieciom, a nie przedłużać ich koszmar i...

Zadzwonił telefon i Chris wstała, żeby go odebrać. Był do Jamesona. Ruszył do przedpokoju wściekły, że przerwano jej wypowiedź, która na pewno wniosłaby coś godnego uwagi.

Telefon był krótki. Kiedy Chris odwróciła się, żeby pójść do pokoju, powstrzymał ją gestem. Odpowiadał monosylabami. Kończąc rozmowę był blady, a jego ręce trzęsły się, kiedy odkładał staroświecką słuchawkę na widelki. Zadzwiała radośnie, parodiując poważny wyraz twarzy Jamesona.

- W Sawrey Woods znaleziono dwa ciała, metr od siebie - wydusił. - Oba kobiece.

Chris wciągnęła powietrze i nie wypuszczała go.

- Dotarło w końcu do pani, że to nie jest gra?

9

Foster przybył pierwszy. Żłociste światło spowijało płaskie błotne połacie; przyplływ się cofnął i zachodziło słońce. Ciepły wietrzyk przywiewał do lasu słone powietrze z ujścia rzeki, wprawiając drzewa w konspiracyjne szepty. W żlebie robiło się już ciemno, więc montowano oświetlenie i generatory, ale bladożółta sukienka Dorothy i pomarańczowa bluzka Ann wydawały się promieniować własnym światłem, tworząc pulsujący ślad na siatkówkach Foster'a.

Ciała były ubrane i leżały tak blisko siebie, że jedna z rąk Ann spoczywała na ciele Dorothy, jakby ją chroniła albo pocieszała. Musiał do nich zejść, chwytając się giętkich krzaków i kępek trawy, żeby nie spaść. Młody konstabl, którego wysłano, żeby pilnował ciał, stał trochę z boku, patrząc w górę zbocza z wyrazem ledwie utrzymywanego stoicyzmu na twarzy.

Odór i nieustające bzyczenie owadów dotarły do Foster'a w połowie zbocza - lekarze sądowi będą mieli zapewnioną całodniową pracę z tymi dwoma. Schodząc na dół, zebrał się w sobie, przygotowując się na widok i ciesząc się jednocześnie, że spiekota zabiła w nim apetyt i zadowolił się tylko lekką sałatką na kolację.

- W porządku, kolego?

- Tak, sir - odparł konstabl.

Foster zrozumiał. Czasami samo mówienie wystarczało, żeby stracić nad sobą panowanie. Chłopak usilnie starał się zatrzymać kolację w brzuchu. Przepcisnął się koło policjanta i podszedł do miejsca, gdzie leżały kobiety.

- O Jezu. - Myślał, że był przygotowany na ten widok, ale zawsze okazywało się, że jak przychodzi co do czego, nigdy się nie jest przygotowanym na grubiańskie obchodzenie się z ludzkim życiem.

Słyszając jego westchnienie, policjant obrócił się nieco i znowu zobaczył to, czego unikał przez ostatnie pół godziny. Widoczne były ślady działalności zwierząt - nadgryzienia na skórze i Foster przypomniał sobie, że ciała znalazł człowiek na spacerze z psem. Poczul mdłości. Odwrócił twarz i zobaczył kawałek dalej zgiętego wpół policjanta. Wymiotował. Zmusił się, żeby spojrzeć jeszcze raz: Jameson będzie oczekiwał raportu, kiedy przyjedzie. Tak na oko rany klute - u obydwu. Pod skórą zauważył złowieszcze drgania.

- Chryste - wymamrotał i odwrócił się gwałtownie.

Zobaczył wracającego policjanta, wycierającego usta chusteczką. Wyglądał na nie więcej niż dwadzieścia lat, może był świeżo po przeszkoleniu. Wycedził jakieś przeprosiny, po czym, nie będąc w stanie się opanować, dodał:

- Porzucił je jak jakieś pieprzone worki śmieci - zostawił je tam, gdzie wszystko może się do nich dostać. Nawet ich nie przykrył. - Zaciśnął pięść, ale nie wiedząc co z nią zrobić, wcisnął ją głęboko w kieszeń spodni.

- To twoje pierwsze, chłopcze? Policjant skinął ponuro.

- Niektórzy mówią, że potem jest już łatwiej, że się twardnieje. Cóż, jeśli uda ci się nie rzygać, to dobrze - biegli sądowi nie mają wyrozumiałości dla policjantów skłonnych do wymiotowań na miejscu zbrodni. Ale nie łam się. Czasem wydaje mi się, że to jedyna rzecz, która czyni nas ludźmi.

Była to główna wiadomość porannych informacji. Chris spała źle. Zadzwoiła do Marii natychmiast po wyjściu Jamesona poprzedniego wieczoru, myśląc, że najlepiej będzie, jak się wszystkiego dowie od niej samej.

Spodziewała się, że Maria będzie spanikowana - jej opiekunka miała ogromne wyczucie dramatyzmu i Chris była na to przygotowana - nie była jednak przygotowana na wątpliwości.

- Zniknął w środę - rzekła. - A teraz jeszcze te biedne kobiety...

- Wiem. Szukam go, Mario. Znajdę go przed policją. Wiem, gdzie szukać.

- W takim razie... - Chris usłyszała długo wydychane powietrze po drugiej stronie kabla. - Może powinnaś im powiedzieć, gdzie szukać - padło w końcu.

- Mario, jeśli policja go znajdzie pierwsza, Phil może się wystraszyć. Może zranić kogoś albo samego siebie. Nie byłoby całej sprawy, gdyby nie spanikował, kiedy przyszli do jego mieszkania.

Zapadła cisza i Chris wymówiła imię opiekunki.

- Ciągle tu jestem - powiedziała zdenerwowanym głosem. - Chris...

- Słucham - odparła Chris, czując się niedobrze, na wpół obawiając się tego, co powie Maria.

- A co jeśli on...

Chris przycisnęła słuchawkę do ucha, jakby bała się, że ktoś inny mógłby usłyszeć.

- Maria, nie myślisz chyba, że Phil zabił Ann i Dorothy?

- Nie... Tylko...

- Tylko co, na miłość boską?

- No, przez ostatnie kilka lat sprawiał dużo problemów - i to pobicie...

- Wszystko już sobie na ten temat powiedziałyśmy. Phil nie brał w tym udziału. Po prostu był tam i go złapali.

- Był z tymi chłopakami, Chris. Nie możesz powiedzieć, że nie brał w tym udziału.

- Nawet go nie rozpoznała na posterunku, kiedy go ustawili w szeregu z innymi ludźmi! Gdyby sam się nie przyznał, że z nimi był, w ogóle nie byłoby sprawy.

Zapadła cisza. Chris wiedziała, że brzmi wojowniczo i że, biorąc pod uwagę ciężar dowodów wskazujących na jego winę, utrzymywanie, że Philip jest niewinny, było jawnym odrzucaniem faktów, i wiedziała, że Maria też musiała dojść do takiego samego wniosku.

- Zawsze się za nim ujmowałaś i to dobrze. Ale jeśli za...

- Nie zrobił tego - przerwała Chris, bardziej zła na siebie niż na Marię. - Nie mógł i nigdy by nie skrzywdził tych kobiet. Nie Phil.

- Musisz pamiętać - ciągnęła łagodnie Maria - że musieliśmy poprosić go, żeby się wyprowadził po zdaniu matury. - Chris uparcie milczała. - No dobrze, kochanie - rzekła Maria. - Pomyśl o tym. Ale inspektor wygląda na porządnego człowieka. Jestem pewna, że zna się na swoim fachu. Jeśli byś z nim porozmawiała...

- Chciałabym się z tobą zgadzać, Marisita... - Użyła jej rodzinnego imienia jako formy niemych przeprosin.

Siedziała kołysząc słuchawką jeszcze długo po tym, jak Maria się rozłączyła. Jeśli wątpiła w Phila Maria, jego matka - przynajmniej Phil nigdy nie miał nikogo innego, kogo mógłby określić tym mianem - jak ona sama mogła mieć nadzieję, że uda jej się przekonać Jamesona czy innych, że był niewinny? Teraz nie była już nawet pewna, czy potrafi do tego przekonać siebie samą. Rozmowa z Marią zasiała w niej niepewność. Phil zrobił się nieprzewidywalny. „Nie zna własnej siły” - mówiła Maria, ale to banalne stwierdzenie tylko częściowo maskowało jej strach związany z Philem. „Potrzebuje miejsca, w którym będzie mógł się odgradzić od nieproszonych wizyt. Gdzie będzie się czuł bezpieczny”. Mogła równie dobrze powiedzieć: „Gdzie my się będziemy czuć bezpieczni”.

Cisza otoczyła ją, tłumiąc wszystkie inne dźwięki, aż żaloszny, elektroniczny głos operatora wyrwał ją z zamyślenia: Proszę odłożyć słuchawkę i spróbować ponownie, przymilny, natarczywy, samotny głos, zwracający się do niej, niewidocznej rozmówczyni. Chris podskoczyła, niezwłocznie odłożyła słuchawkę, po czym ruszyła żwawo na tył domu i wyszła do ogrodu. Tutaj dźwięki wieczoru zlewały się w jednolity szum. Było po jedenastej, ale na horyzoncie ciągle widoczna była słaba poświata, powoli blednąca w świetle wschodzącego księżyca. Słuchała, jak nieustający trzepot, dobywający się z korony dębu

stojącego na polu za płotem ograniczającym jej ogród, stopniowo stawał się coraz rzadszy, aż w końcu zamilkł zupełnie. Ciągłe było nieznośnie gorąco. Chris usiadła na starej, drewnianej ławce, nie zwracając uwagi na mech i ptasie odchody. Patrzyła w księżyc i wystraszyło ją nagłe pojawienie się przemykającej sylwetki nietoperza; pojawił się na ułamek sekundy i już nie było po nim śladu, był nie na miejscu, wyglądał jak nałożony tutaj z filmu animowanego. Wracał parokrotnie i Chris przyglądała się jego gwałtownemu, obrotowemu lotowi, odkrywając w jego ruchach w dół i w górę regularność, z jaką przeczesywał obrzeża drzew w poszukiwaniu złotoooków i ciem.

Podeszła na skraj trawnika i weszła w krzaki, żeby lepiej widzieć. Nagły rozgardiasz na końcu ogrodu sprawił, że podskoczyła. Przeszkodziła czemuś.

Od kiedy przyjechała, w ciągu tygodnia dwa razy widziała, jak lis skrada się między krzakami w stronę kupy nawozu. Widocznie poprzedni właściciele mieli zwyczaj wyklądać tam resztki jedzenia dla lisów. Chris roześmiała się z własnej nerwowości i bezgłośnie wróciła na trawnik, siadając na starej ławce, żeby poczekać, ale lis się nie pojawił.

Poranne wiadomości przygnębiły ją, więc sięgnęła po pilota, ale potem zobaczyła inspektora Jamesona i jej palec zawahał się nad wyłącznikiem. Stał na polu, a za nim widać było ciemną bryłę lasów Sawrey. Jego garnitur był jeszcze bardziej wygnieciony niż poprzedniego wieczora i domyśliła się, że w ogóle nie spał. Mówił spójnie, profesjonalnie, ale z jego twarzy Chris odczytała głęboki, osobisty smutek. Wiedziała, że pewnie wynika to ze zmęczenia, ale przez chwilę pomyślała, że Jameson wini siebie samego za ich śmierć. Prawie było jej go żal.

Kiedy skończył odpowiadać na pytanie, dobiegł głos reportera:

„Ralph Milton, panie inspektorze, z Herolda. Czy ciągle poszukujecie Philipa Greera? Czy jest jakiś postęp w poszukiwaniach?”

Pytanie chyba wprawilo go na moment w zakłopotanie, po czym odwrócił się powoli w stronę pytającego.

„Podążamy kilkoma tropami - odparł. - Musimy przesłuchać pana Greera, żeby wykluczyć go z kręgu podejrzanych”.

Dobrze sformułowane - dla dobra Philipa, a może dla jej, zastanawiała się Chris.

„A co z doniesieniami sugerującymi, że śledził Dorothy i Ann przed ich zniknięciem?”
- Ten sam reporter, wyraźnie chciał maksymalnie wykorzystać sytuację.

Jameson wpatrywał się w niego przez pełne pięć sekund, po czym odparł: „Nie mogę tego skomentować”.

*

Foster wiedział, co chodzi jego przełożonemu po głowie. Wyraz jego twarzy był jednoznaczny.

- Przeciek nie pochodzi od nas, szefie. - Byli w drodze powrotnej do posterunku policji w Hawksley, osadzie gdzie zainstalowano tymczasowy sztab.

- Jesteś tego pewien, tak?

- Tak.

Jameson był naładowany jak ognie sztuczne, które nie wypaliły - nigdy nie miało się pewności, czy można podejść, bo mogą wybuchnąć prosto w twarz. Cholera jasna, pomyślał. Cały zespół wypruwał z siebie flaki przez minione kilka tygodni, sprawdzając dokumenty i wklepując dane w komputer, chociaż założyłby się o swoją pensję, że ponad połowa nie była więcej warta niż kupa gnoju. Byli nawet ochotnicy, zatrudnieni po to, żeby ponownie sprawdzić dokumenty, kiedy okazało się, że ktoś grzebał przy teczce dotyczącej Chris Radcliffe. Ochotnicy! Po tym, jak już się przekopali przez takie ilości papieru.

- To nie był nikt z zespołu - powtórzył.

- Sprawdź to i złóż raport - odparł Jameson. Siedział zgarbiony na siedzeniu obok kierowcy z rękoma zaciśniętymi na kolanach. Nie spojrzał na Fostera od kiedy wsiedli do samochodu.

- Sam niech pan to zrobi - rzucił Foster.

Głowa Jamesona obróciła się.

- Że co?

Foster zignorował groźbę w jego spokojnym głosie. - Nie ufa pan swojemu zespołowi po tym, jak pracowali dla pana jak głupi?! Sam im pan to może powiedzieć - bo ja będę skończony, jeśli to zrobię.

Jameson zauważył, że pod opalenizną Foster był blady.

- Zrobisz tak, jak ci rozkażę - odparł.

- O mało co nie padli, próbując znaleźć te biedne kobiety. Zasłużyli na trochę szacunku. A co z ich rodzinami? Oni też mają rodziny, o których muszą myśleć. - Był zbyt zdenerwowany, żeby tego nie wypalić. - Rodziny, których nie widzieli od dziewięciu czy dziesięciu dni, może oprócz powiedzenia dobranoc wieczorem przed walnięciem się na łóżko i przy okazji wypicia kubka herbaty rano, nim cały ten zapieprz zacznie się na nowo. A pan...

- Foster wiedział, że posuwa się za daleko, ale już nie mógł się powstrzymać. Jameson nie stał przez godzinę przy cuchnących ciałach. Nie będzie czuł odoru śmierci w nosie, we włosach i

na ubraniach przez kilka dni. Fosterowi robiło się niedobrze od tego, jak się ten człowiek nad sobą rozczulał. - W ogóle o nich pan nie myśli - ciągnął. - Stać pana tylko na powiedzenie dzień dobry. Niech pan sam załatwi tę sprawę.

- No dobrze, sierżancie... - zaczął Jameson.

- Wcale nie dobrze. Chłopaki są naprawdę wkurzeni. - Zacząłem, to już cholera skończę, pomyślał, będąc niemal pewnym, że skończy się to zawieszeniem. - Są i tacy twardzi jak gwoździe, ale wszyscy czują się fatalnie, tak to ujmijmy, a pan zamierza włączyć tam z butami podając w wątpliwość ich profesjonalizm!

Jameson myślał, że Foster już skończył, ale Foster ciągnął dalej po króciutkiej przerwie:

- Podejrzewam, że nawet nie przyszło panu do głowy, że to ktoś z magistratu mógł puścić parę?

Jameson odpowiedział spokojnym, zdecydowanym tonem.

- W gruncie rzeczy, przyszło.

*

Foster skręcił na parking przed posterunkiem w Hawksley, już żałując gwałtownego wybuchu. Zatrzymał się przy samochodzie drogówki i zbyt mocno zaciągnął ręczny hamulec. Jameson skupił wzrok na swoich dłoniach, ale ukradkowe spojrzenie Foster'a potwierdzało, że już nie były zaciśnięte.

Siedzieli w ciszy przez kilka minut. Nie mogąc wytrzymać napięcia, Foster skapitulował.

- OK, co tam - rzekł. - Może już pan to powiedzieć. Jestem zawieszony, tak?

- Należałoby ci się, do cholery.

- Wiem. - Pomyślał, że gniew już mu minął, ale na myśl o niesprawiedliwości znowu się w nim zagotowało i powiedział: - Ale ja i tak mam rację, szefie.

Dopiero gdy to powiedział, zauważył lekki ton w głosie Jamesona, więc spojrzał na niego. Nie uśmiechał się, ale bez wątpienia było widać rozbawienie na jego twarzy.

- Miałem ciężką noc wczoraj - przyznał się Jameson. - Chyba szukałem kozła ofiarnego.

Dopiero po dłuższej chwili Foster zapanował nad oburzeniem i podnieceniem i wtedy spytał:

- W takim razie dlaczego, nie wyżywa się pan na swoich psach?

- Bo by mnie ugryzły - odparł Jameson. Przejechał ręką po brodzie. Haczyła nieprzyjemnie. - Nie wiem, Bob - westchnął. - W pierwszej kolejności sprawdź magistrat. Jeśli się okaże, że nikt nie ma tego na sumieniu, wtedy ja zajmę się zespołem.

*

Ciężka noc miała równie wiele wspólnego z Roz, co ze znalezieniem ciał. Najpierw nie chciała dać mu porozmawiać z Zoe, bo zaczęło się już jej przyjęcie urodzinowe i nie zamierzała jej odciągać do telefonu, spóźnionego o ponad godzinę. Tylko dlatego, że Roz mówiła podniesionym głosem, a Zoe, domyślając się przyczyny, weszła do pokoju, udało im się jednak porozmawiać.

Zoe była szczęśliwa, że go słyszy. Zawsze była. Rolki były super, ale skąd wiedział? Był najlepszym tatą na świecie, powiedziała. Wyobraził sobie Roz, słuchającą tego wszystkiego, z tym jej zgorzkniałym wyrazem twarzy, ale najgorsze było to, że wiedział, że ona ma rację: był egoistycznym i nieczułym bydlakiem.

*

W biurze było dziwnie cicho, kiedy tuż po dziewiątej zjawiała się Chris. Pod nieobecność Nicky zawsze wyglądało pusto i szaro; bez jej jaskrawych sukienek i kostiumów, jej ekstrawaganckich fryzur i często wymyślnego makijażu, biuro było bezosobowe, urzędowe i smutne.

Chris poczuła pokusę, żeby odwołać spotkania, ale ta natychmiast minęła; jej pacjenci potrzebowali stałości, zaufania; nie może ich zawieść nawet z powodu Phila. Poza tym, Nicky by się zmartwiła, gdyby zastała biuro puste.

Cały czas wracała myślami do tego, co powiedział Foster, kiedy się pierwszy raz spotkali - oczywiście starał się ją sprowokować do jakiejś odpowiedzi - ale niezależnie od tego, czy wierzyła temu, co powiedział, istniała możliwość, że Dorothy i Ann zostały zamordowane przez jakiegoś byłego podopiecznego. Im więcej o tym myślała, tym bardziej prawdopodobne wydawało jej się, że miało to związek z Sunnyside - wszystkie tam pracowały - przynajmniej na początku. Po lunchu pójdzie do archiwum magistratu. Wayne jej pomoże. Może wyrobi się w dwugodzinnej przerwie przed jej ostatnią sesją o trzeciej trzydzieści.

Nicky wparowała o jedenastej, piękna jak malowanie i rozsiewająca zapach perfum z

każdym ruchem. Jej prawie biały makijaż na twarzy kontrastował z błyszczącą, różową szminką. Zaczesane do tyłu włosy były twarzowo natapirowane, robiąc wrażenie nietrwałości, jakby miały się rozpaść pod najlżejszym dotykiem, jak wata cukrowa. Taki styl rezerwowała na specjalne okazje: wymagał trudnych i czasochłonnych zabiegów.

- No, no! - rzuciła Chris.

Nicky uśmiechnęła się.

- Podoba ci się? - Poprawiła nieznacznie fryzurę.

- Jest... fantastyczna.

- Rick zabiera mnie do kina od razu po pracy. Moja mama zajmie się Tommym nieco dłużej, więc będziemy mogli pójść jeszcze na pizzę.

- Jedna rada... - zaczęła Chris.

Nicky rzuciła jej spojrzenie pełne zrozumienia, po czym położyła rękę na biodrze, gotowa.

- Z taką fryzurą nie siadaj w pierwszym rzędzie - dokończyła Chris. Ani drgnęła.

- A myślisz, że dlaczego spędziłam nad tym pół ranka?

- Do czego jesteś zdolna, żeby go zaciągnąć do ostatniego rzędu!

Kiedy Nicky zajęła się przygotowywaniem herbaty, Chris weszła do biura, żeby przejrzeć notatki dotyczące jej następnego pacjenta.

Nicky przyniosła filiżanki i postawiła je na biurku Chris, po czym oparła na nim swe zgrabne pośladki. Chris przez kilka minut nie zwracała na nią uwagi, ale Nicky, nieskrępowana, powoli sączyła herbatę i nie zamierzała się ruszyć.

- Nie rozumiesz aluzji? - spytała Chris, kiedy już nie mogła tego wytrzymać.

- Tak, a ty nie powinnaś na mnie tak patrzeć - odparła Nicky. - Nawet psychologowie muszą czasem się wygadać, wiesz?

- Wiem. Mamy od tego doradców.

- „Duże pchły mają na plecach małe pchły, które je podgryzają”.

- „A małe pchły mają na sobie jeszcze mniejsze pchły i tak w nieskończoność” - powiedziała Chris. - Wiesz, nigdy mnie nie przestajesz zadziwiać.

- To było w naszym podręczniku szkolnym do matematyki. Na początku każdego rozdziału był jakiś cytat. - Nicky wywróciła oczy, odświeżając wspomnienie. - Ten był o... nieskończoności. - Wzdrygnęła się. - O czymś takim. Była to jedyna część lekcji, którą lubiłam. Reszta była nudna. - Zmierzyła wzrokiem swoją pracodawczynię i rzekła: - No to powiesz, czyja mam to zrobić?

- OK, OK, poddam się. Tak, widziałam wiadomości.

Idąc do pracy, kupiła też kilka gazet. Oportunistyczny dziennikarz z jakiegoś szmatławca wiedział, czego się chwycić. Nagłówek obwieszczał: MIASTOWE ZBRODNIE.

Chris spojrzała pod tekst: Ralph Milton, człowiek, który zadawał Jamesonowi pytania w telewizyjnych wiadomościach.

- Jak ci się wydaje, dlaczego porzucił je obie razem?

- Nie wiem.

Chris przez pół nocy właśnie nad tym się zastanawiała.

- Mogą coś wywnioskować na podstawie ciała? Chodzi mi o to, że słyszałam, że ciało Dorothy Hardy jest w stanie rozkładu.

Chris wzdrygnęła się bezwolnie.

- Możemy o tym nie mówić, Nicky?

Nicky zarumieniła się. Jej skóra zaróżowiła się pod podkładem i pudrem.

- Przepraszam, Chris - powiedziała. - Chciałam tylko pomóc.

*

Chris dotarła do archiwum rady miejskiej Calderbank o pierwszej trzydzieści. Jej rozmówca ze schroniska dowiedział się od jakichś klientów dwóch nazwisk, które Phil wytypował jako możliwych opiekunów socjalnych dla Jake'a. Jednym z nich była Ann Lee, a drugim Joe Zwane. Jeśli Joe rzeczywiście znał Jake'a, to może będzie w stanie znaleźć jego teczkę w archiwum i, poprzez Jake'a, namierzyć Phila. Jeśli jednak Jake Dixon nie miał pracownika socjalnego, dowie się o nim przynajmniej tyle.

Okno z matowego szkła było opuszczone, a napis, rozmyty, ale dający się przeczytać przez szybę, ogłaszał: „Nieczynne”. Chris podeszła do drzwi po lewej stronie okna, zapukała lekko i weszła.

Wayne prawie spadł z krzesła. Siedział, trzymając nogi na stole, a jego krzesło było odgięte pod niebezpiecznym kątem.

- Do diaska! Nie umiesz czytać? Na tabliczce podają „Nieczynne”. Chris wyszczerzyła zęby.

- Co z tobą, Wayne? Przerwałam jakieś fantazje erotyczne?

- Zajmuj się swoimi! - Opornie wstał, ale było to podyktowane raczej tym, że chciał znieść jej rzekomą przewagę, niż staroświecką galanterią, pomyślała Chris. Był od niej wyższy o głowę, ale tracił przewagę, bo był notorycznie zgarbiony.

- Mogłem se złamać kark.

Chris obdarzyła go promiennym uśmiechem. Wayne przypominał jej niektórych chłopców, których uczyła w swej pierwszej pracy: był trudny, dający się lubić, ostry, naiwny, tępy, bystry, twardy, wrażliwy i zupełnie nie był w stanie pogodzić się z żadną z tych cech swojej osobowości: był równie ciekawym zlepkiem przeciwieństw, jak te, które spotykała w swoich kontaktach zawodowych. Miał najstaranniej utrzymaną brodę, jaką kiedykolwiek widziała, strzyżoną prawie na pewno codziennie; i bujne włosy utrzymywane w ryzach, przynajmniej w pracy, elastyczną gumką. Był ubrany w zupełnie nie pasujący do nich garnitur - koszula, krawat i eleganckie spodnie (nie džinsy) były obowiązkowym strojem - jakby ubierając się w ten sposób chciał zademonstrować pogardę dla drobiazgowych przepisów obowiązujących w pracy.

- Jak tam muzykowanie? - Wayne całymi latami grał w zespole wieczorami i w weekendy, od kiedy go poznała. Była na kilku jego koncertach i podobał jej się jego styl, coś pomiędzy bluesem i rockiem. Po całej dekadzie grania w pubach, dyskotekach, klubach młodzieżowych i czasami w studenckich, po dwukrotnej zmianie perkusisty i trzykrotnej gitarzysty, ciągle żywił nadzieję, że kiedyś osiągnie sukces.

- Nie dostaniesz teczek.

Zmarszczyła czoło.

- Czy coś mi umknęło? Nie widzę związku - muzykowanie, teczki - nie rozumiem, Wayne, musisz mi wytłumaczyć.

Nie dał się zwieść, uparcie wracając do rzeczy.

- Zakazano mi wypożyczać dokumenty poza budynek bez telefonicznego zezwolenia na przekazanie ich potrzebującym urzędnikom albo policji.

- No, to w takim razie wszystko gra.

Spojrzał na nią spod oka.

- Więc sobie pójdiesz?

Uśmiechnęła się powoli.

- Tego nie powiedziałam. Ale nie chcę wynosić żadnych teczek z archiwum, nie mówiąc już o budynku, i obiecuję odłożyć je na miejsce.

- Nie wiem, czy...

- Daj spokój, Wayne! Nie zasuważ mi tekstów o tym, że twoja posada jest więcej warta. Co w tym złego?

Wayne poczuł się urażony jej nagłym wybuchem.

- No wiesz, ktoś w nich grzebał - powiedział defensywnie. - Skąd niby mam wiedzieć, że kiedy już tam będziesz, nie powyrywasz z nich, co ci się będzie podobało?

Zbyt długo zwlekała z odpowiedzią i w dodatku była zbyt niepewna, żeby go przekonać:

- Powiedz mi, czy dziewczyna po szkole zakonnej mogłaby coś takiego zrobić?

- Już ci mówiłem. Nie wolno mi...

- To przypilnuj mnie. Teraz masz przerwę na lunch, prawda? Zamknij drzwi na klucz i wpuść mnie do piwnicy.

Wrócił do swego biura dziesięć minut później, zniechęcony stratą czasu i nudą. W ciągu godziny zszedł na dół jeszcze dwa razy, za drugim razem gestem kazał jej się schować. Zdołała skryć się za rzędem teczek, kiedy pojawiła się druga sylwetka. Umundurowany policjant.

- Dzięki - powiedziała później, wychodząc.

- Ocaliłem swoją skórę - odparł. - Ciebie nakryją, a mnie wywalą z pracy.

- Rycerski fiut - rzuciła Chris.

- Rycerski, myślisz? - Nie mógł powstrzymać się od uśmiechu i dodał: - Kiedyś mnie przez ciebie ustrzelą. - Gdy odwróciła się już do drzwi, zapytał: - Znalazłaś coś pożytecznego?

- Daty i godziny, Wayne. Tylko daty i godziny.

*

"W piątkowy wieczór na zatłoczonych ulicach nie widziała swojego ogona. Patrzyła w tylne lusterko, żeby ich znaleźć, kiedy ruszała z Mount Street. Byli niewidoczni, gdy skręciła w prawo w Rodney Street, przejechała koło swojego biura i dalej, jadąc po obrzeżach centrum miasta. Przy światłach na London Road zrobił się mały zator, więc miała możliwość przyjrzenia się długiemu sznurowi samochodów, ale żaden nie wyglądał prawdopodobnie. Dziwne; przez te dwa dni zaczęła darzyć sympatią tych, którzy ją śledzili: nie była pewna, czy wynikało to z ich wypracowanego braku zainteresowania, czy z tego, że kierowca nie rozmawiał z pasażerem, ale było coś, co odróżniało ich od innych, szarych ludzi wracających z pracy do domu. Z uczuciem ulgi zauważyła, że niebieska fiesta wciska się za nią przy wjeździe do tunelu. Kobieta albo drobnej budowy mężczyzna - trudno było zobaczyć przez przyciemnioną przednią szybę. Mały samochód jak na policję, pomyślała, ale może korzystają z prywatnych do takich celów. W śledzącym ją samochodzie była tylko jedna osoba, ale i tak była pewna, że to policja. Po wydarzeniach poprzedniej nocy potrzebowali więcej ludzi.

Analizowała swój niepokój z beznamiętnym zainteresowaniem. Dlaczego była taka

nerwowa? Tak jak powiedziała Wayne'owi, jak na razie dysponowała tylko datami i godzinami. Tymi, których brakowało w teczkach. Ale wszystkie pochodziły z czasu, kiedy pracowała dla magistratu jako psycholog, co oznacza, że jej związek z dwoma zamordowanymi kobietami jest dużo bliższy, niż myślała. Oczywiście Jameson musiał dojść do takich samych wniosków, ale może patrzył na to pod nieco innym kątem. Do diabła z nim - on nie był jej zmartwieniem. Wayne powiedział, że zniszczony fragment jej teczki odpowiadał czasowo dokumentom usuniętym z teczek Dorothy i Ann. Wolałaby mieć więcej czasu, żeby przejrzeć dokumenty innych osób, z którymi pracowała w owym czasie, żeby zobaczyć, czy w nich też ktoś grzebał. Może uda jej się przekonać Wayne'a, żeby pozwolił jej rzucić na nie okiem w poniedziałek.

Brakowało dokumentów z półrocznego okresu, ale nie wszystkie zginęły, co sugerowało, że zabójca usunął tylko fragmenty dotyczące siebie samego, a może siebie samej? Istniała taka możliwość, ale jeśli to rzeczywiście była kobieta, musiałaby być naprawdę silna; żeby porwać i zamordować Dorothy i Ann, a potem zaciągnąć ich ciała do lasu ze sto metrów od drogi. Chyba że doszły tam same i zabiła je na miejscu. Klucz do znalezienia mordercy musi znajdować się w dokumentach, ale one są niekompletne.

Sprawdzi w swoich dawnych dziennikach - może coś w nich znajdzie albo przynajmniej przypomną jej coś. Zacznie przyporządkowywać nazwiska do dat i twarze do nazwisk. Nie pracowała już w magistracie od tak dawna, że wszystkie twarze zlały się w jedną, amorficzną masę; pamiętała, jak jeden z wysłużonych dla miasta psychologów powiedział, że może przeprowadzać z dziećmi testy na pół śpiąc po całonocnym pokerze i będąc na straszliwym kacu. Badano dzieci, oceniano i przesyłano gdzieś dalej; nie było dosyć czasu ani na zgłębienie pojedynczych przypadków, ani na zajmowanie się nimi później. W związku z tym niektórzy byli tak przepracowani, że traktowali pacjentów jak jakiś towar, co zakrawało na nieczułość. W końcu zdecydowała się zmienić pracę, bo zaczęła zauważać u siebie podobne objawy.

Kiedy Chris wróciła, Nicky chciała się dowiedzieć wszystkiego o jej wyprawie do archiwum, ale powstrzymała swoją ciekawość do momentu, kiedy pacjent umówiony na trzecią trzydzieści już wyszedł.

- No, opowiadaj - powiedziała. - Nie trzymaj nas w napięciu. Była zafascynowana tym, że ktoś grzebał przy teczkach.

- Po co? - spytała.

- No, żeby usunąć wszelkie odniesienia do samego siebie - podsunęła Chris. - Ale dlaczego nie zniszczył całej teczki?

- Jeśli te teczki są podobne do naszych, to nie sposób byłoby je wynieść pod marynarką.

Chris stuknęła się w czoło.

- Dlatego jesteś taką dobrą osobistą sekretarką!

- Chodzi ci o to, że robię dobrą kawę? Bo jeśli o to, że jestem wykwalifikowaną asystentką, to żądam wyższej pensji.

- W takim razie nadal będę cię nazywała sekretarką - odparła Chris, ale nie była w nastroju do żartów. - Rzeczywiście są zbyt duże, by je wynieść, a jeśli byłyby wypożyczone, każdy by wiedział, kto jest odpowiedzialny za ich zniszczenie. A tak, dopóki leży skórzana teczka z wypisanym na niej nazwiskiem Ann Lee czy Dorothy Hardy, to wydaje się, że ich dokumenty są nienaruszone. Zniknięcie całej teczki na pewno od razu zostałoby zauważone.

- Czy to nie znaczy, że musiał to zrobić ktoś z magistratu?

- Albo ktoś podający się za takiego.

- Albo ktoś podający się za policję. Albo ktoś taki, jak ty, kto zna kogoś z personelu archiwum...

- Krótko mówiąc, ktokolwiek - powiedziała z rezygnacją Chris.

- To czego brakuje? - spytała Nicky

Chris potrząsnęła głową. - Też chciałabym to wiedzieć.

- Co? Ktoś wykradł tak sobie dane dotyczące półrocza? Nie udawaj, Chris! Coś się musiało wydarzyć. To sześć miesięcy twojego życia - nie mogłaś tak po prostu wszystkiego zapomnieć!

Chris unikała spojrzenia Nicky, wiedząc, że zauważy w nich rozgoryczenie i niedowierzanie.

Nicky spróbowała z innej strony: - No dobra. Zmieniłaś pracę pod koniec tego roku - dlaczego?

Chris zamknęła oczy. Nicky nie dawała za wygraną, kiedy chodziło o dojście prawdy w takich sytuacjach.

- Nie mogłam już dłużej znieść nieustającego cierpienia, przekazywanego z pokolenia na pokolenie, jakby to była jakaś choroba genetyczna. Nie do uniknięcia...

- Wyświadczyć mi przysługę! - usłyszała Chris. Zacerwieniła się z gniewu, że Nicky jej przerywa. - Nie jestem jednym z twoich radiosłuchaczy, wiesz. Powiedz mi, do cholery, prawdę.

- Próbuję...

- Przejdź do sedna, a te banialuki zachowaj sobie na śródowe wieczory.

Chris przygryzła wargę.

- Było mnóstwo powodów - zaczęła niechętnie. Po pierwsze, Ann Lee, śmiejąca się do niej tym uśmiechem pełnym zrozumienia i wprowadzającym ją w prawdziwy świat. - Konieczność ciągłych kompromisów i ograniczenia finansowe; nadmiar pracy przy braku kadry i brak czasu na zgłębienie poszczególnych przypadków i zajmowanie się nimi później.

- Do rzeczy, Chris. Co przepeliło kielich?

Chris odpowiedziała, nim zdążyła się zastanowić: - Sunnyside, rozumiesz?

Więc teraz już Nicky wiedziała. To przez Sunnyside w końcu stamtąd uciekła.

Nicky pokiwała głową, usatysfakcjonowana. Nie chciała już więcej wyjaśnień.

- A co z Jake'em Dixonem?

Chris mrugnęła oczyma, zdziwiona, że tak łatwo udało się z niej to wyciągnąć.

- Wygląda to tak, jakby nigdy nie istniał - odpowiedziała. - Nie ma żadnej teczki. Rozmawiałam z Joe Zwane, on też o nim nie słyszał. - To było kolejne źródło niepokoju. Dixonowi udało się załatwić sobie miejsce w schronisku podlegającym miejscowym władzom, chociaż nie było go w żadnych dokumentach. A teraz zniknął, a jego zniknięcie pokrywało się w czasie z innymi zniknięciami. - Nie wiem, co o tym myśleć...

Nicky potrząsnęła głową.

- Jeszcze nic. A nie powinnaś powiedzieć o tym Jamesonowi? Wyraz niezadowolenia przemknął po twarzy Chris i odparła szybko:

- Jameson sam sobie z tym poradzi.

- Wstałaś lewą nogą, prawda? - Nicky uniosła idealnie kształtną brew. Chris wzruszyła ramionami.

- Ten człowiek kurczowo trzyma się swoich pomysłów. Jest zbyt uparty, żeby przyznać się do pomyłki.

Nicky powstrzymała się od komentarza.

- A ty nie powinnaś się tak na mnie patrzeć - rzuciła Chris - to nie ja to zaczęłam. Staralam się wlać mu trochę rozumu do głowy wczoraj wieczorem, ale z tym facetem po prostu nie można się dogadać.

Nicky uparcie milczała w tej sprawie, dopiero wychodząc powiedziała:

- Jeśli chcesz znać moje zdanie, to oboje jesteście siebie warci. Moja mama by powiedziała, że chwyciliście się za rogi i żadne nie chce puścić.

Mądrość, do której Chris nie przywiązywała żadnej wagi: filozofia życiowa mamy Nicky opierała się na różnych przysłowiach i na wyświechtanych frazesach. Pod wieloma względami była bardzo podobna do Marii, tylko że Maria dodatkowo przejęła chorobliwą

wiarę w zabobony od swojej matki, imigrantki z Hiszpanii, którą z łatwością łączyła z ostentacyjnym katolicyzmem.

Rozwiązanie znajdowało się w dokumentach. Musiało. W przeciwnym razie po co by ryzykować rozpoznanie, a może nawet pojmanie? Może pomogłaby coś jej własna teczka, ale dowiedziała się od Wayne'a, że ciągle ma ją Jameson. Nie ufał jej, w ogóle tego nie ukrywał, co nie mogło dziwić, zważywszy na jej odmowę pomocy w znalezieniu Philipa, ale jednak bardzo komplikowało sytuację. Jedynym pozytywnym elementem był jej ogon. Jeśli nieufność Jamesona oznaczała, że policja nadal będzie ją śledziła, to wołała, żeby tak zostało. Spojrzała w lusterko. Niebieska fiesta schowała się za ciężarówkę i była ledwo widoczna przez tylne okno jej samochodu. Dzisiaj wieczorem nie będzie się starała ich zgubić; niech mają ją na oku przez całą drogę do domu: czuła, że obecność policji ją uspokaja.

*

Darren Lewis, jednakże, nie miał podobnych obaw. Minął budynek i przeszedł na drugą stronę ulicy. Stąd jest lepszy widok. Zwolnił i zaczął dumnie kroczyć, wiedząc, że jego czysty, biały podkoszulek i umięśnione ciało będą zwracać uwagę. Podobało mu się takie zainteresowanie, ale nie na tyle, żeby miał z tego powodu ryzykować pracę, więc zadał sobie trud, by nie przyglądać się zbyt nachalnie. Rzucił kilka szybkich spojrzeń, które wystarczyły, żeby zapamiętał szczegóły squatu.

Żadnych śladów na parterze. Arkusze falistej blachy i zasuw, ale górne piętra - Chryste! Otwarte na całą szerokość! Zdjęli metalowe płachty i niektóre okna były nawet otwarte. Uwielbiał zamieszkałe budynki. Ludzie stanowili jakieś wyzwanie. Była możliwość, że go złapią - a jeśli go złapią, to mu sklepią michę. Jakimś dziwnym sposobem ta możliwość dawała mu dużo więcej satysfakcji.

Poszedł do końca ulicy. Na tyłach domów nie było innej drogi - ich ogrody stykały się z ogrodami domów stojących przy równoległej ulicy. Każdy ogród z trzech stron był ograniczony wysokim, ceglany murem. Żeby dostać się na tył domu, trzeba przejść obok niego. Lewis uśmiechnął się do siebie. Ryzyko tylko dodawało pikanterii. Poczł podniecenie w kroczu. Jeśli obwiesie go złapią, powie, że szuka jakiegoś miejsca, żeby się zahaczyć. Nigdy nie brał ze sobą sprzętu, idąc na zwiady.

Zawrócił i podszedł bezszelestnie w swoich reebokach do bocznego wejścia do budynku. Znowu falista blacha, ale on znał się na rzeczy. Uchylił podłużny kawał metalu i zajrzał do środka. Kuchnia. Ciemna. I pusta.

10

Jameson i Foster siedzieli w sali rekreacyjnej na posterunku w Hawksley, którą opróżniono, żeby zrobić w niej tymczasowy sztab. Wniesiono kilka biurek, krzeseł, komputerów i modemów. Stół bilardowy, który był zbyt duży, żeby się go dało wynieść, przesunięto pod ścianę i przykryto go starym prześcieradłem, ale reszta pokoju wyglądała funkcjonalnie. Łatwiej było prowadzić dochodzenie stąd niż z Liverpoolu; Jamesonowi udało się nawet przespać dwie godziny między ogłoszeniem komunikatu w porannych wiadomościach a rozmową z przełożonym o jedenastej.

Przez jakiś czas sęczyli w ciszy herbatę, odwołując moment wyjścia na popołudniową spiekotę. Grube mury z piaskowca chroniły wnętrze budynku przed najgorszym upałem, a małe, umieszczone wysoko okna wpuszczały miły wietrzyk i gwałtowne wybuchy ptasiego śpiewu.

Jameson wyobraził sobie siebie przez chwilę w tym idyllicznym miejscu, dwadzieścia minut drogi samochodem wzdłuż wybrzeża od Liverpoolu, ale tysiąc mil od dusznej i hałaśliwej atmosfery miasta.

- Co byś powiedział na ciepłą posadkę tutaj, Bob? - spytał.

Foster rzucił mu zmęczone spojrzenie. Czy Jameson czynił aluzję do jego wybuchu z poprzedniego dnia? Stwierdził jednak, że pytanie jest neutralne, więc odpowiedział:

- Nic się nigdy nie dzieje w takim miejscu, prawda? Z rzadka jakiś akt bezmyślnego wandalizmu, dyskusje na temat praworządności publicznej, może jakaś awantura w miejscowym pubie w sobotni wieczór...

- I podwójny mord w tym przemiłym zakątku lasów państwowych.

- Nie miałbym cierpliwości, żeby przez czterdzieści lat czekać na podwójne morderstwo - odparł Foster. - Tu jestem trochę do pana podobny, szefie.

Jameson spojrzał na niego podejrzliwie.

- Jestem zbyt ambitny.

Więc Foster uważał go za ambitnego. Ucieszyło to Jamesona - Foster bywał czasem denerwujący, nawet ostry, ale zawsze był szczery, a ambicja była częścią jego natury. Na swój sposób powiedział Jamesonowi komplement.

- Chcę być czymś więcej, niż tylko sierżantem - ciągnął Foster. - Nie mógłbym tkwić

w takiej norze, pełnej nieudaczników, bez żadnych... jakby to określić? - Strzelił palcami. - Żadnych... aspiracji.

Jameson uśmiechnął się.

- Są też zalety - pomijając nieudaczników.

Foster wyglądał, jakby miał co do tego poważne wątpliwości.

- Niby co, ma pan na myśli? Wspaniałe zachody słońca i herbatę parzoną w odpowiednim czajniku, podawaną w odpowiednim kubku przez rumiane policjantki...

Jameson zarumienił się lekko.

- Wspaniałe zachody słońca nie brzmią tak źle i lubię coś, co się pije z przyjemnością - nie ma w tym nic perwersyjnego, sierżancie.

Mimo to, musiał przyznać, że Foster ma rację. To nie jest miejsce dla człowieka, który szybko się nudzi.

Popił mocnej, gorącej herbaty z wyszczerbionego, zielonego kubka i wrócił myślami do dochodzenia. Miał dwoje głównych podejrzanych: Radcliffe i Phillipa Greera. Oboje mieli związek z Ann i Dorothy. Radcliffe zawsze chronił Greera. Greer zniknął. A Radcliffe nie chce mówić.

- Mamy już coś na temat Greera?

- Kompletnie nic - odparł Foster. - Kazałem Nolanowi i Flynnowi sprawdzić squaty. - Zauważył rozbawione, pytające spojrzenie Jamesona i powiedział: - Nic im się nie stanie od tej roboty, a widzieli przecież gagatka. Wiedzą, jak wygląda. To dużo więcej warte niż zdjęcie.

- Jak najbardziej - przyznał Jameson. Patrzyli na siebie przez kilka sekund i każdy zastanawiał się, co myśli ten drugi. Jameson westchnął. - Musi być jakiś lepszy sposób! Przez niego miotamy się jak zwierzęta w klatce...

- Niego?

- Niego albo ją. Nieważne. - Powrócił do pytania, które od jakiegoś czasu nie dawało mu spokoju: - Dlaczego zaczyna teraz? Dlaczego nagle robi to wszystko? Urowadzenia - a teraz morderstwo!

- Załatwianie starych porachunków? Jakiś niezadowolony rodzic? - rzucił Foster. - Nie dzieciak, przynajmniej nie z obecnych pacjentów, są zbyt młodzi. A i tak, skoro ich rodzice nie mają powodów do narzekania, dlaczego niby oni by mieli?

Jameson czuł, że coś w rozumowaniu sierżanta jest nie tak, ale mu nie przerywał.

- Może Dorothy i Ann wiedziały o czymś kompromitującym...

- Szantaż? - Jameson już o tym myślał.

- To może być czysty zbieg okoliczności, że afera z domem dziecka wybuchła właśnie wtedy - ciągnął Foster. - Ale jeśli Radcliffe była w to wszystko zamieszana, to na pewno nie pomoże jej w radiowej karierze.

Jameson potwierdził tylko bardzo nieznacznym uniesieniem głowy.

- Albo - zasugerował - może ktoś, kto stanął kiedyś przed komisją? Ktoś, kto został skierowany do domu zastępczego albo do domu dziecka. Co ponownie doprowadza nas do związku z Sunnyside. - Znowu pomyślał, że wszystko byłoby dużo jaśniejsze i prostsze, gdyby wiedział, że może ufać doktor Radcliffe. - Maxim Regis zajmuje się większością spraw byłych jego mieszkańców i każe im siedzieć cicho.

- Czyli utrudnia - warknął Foster.

- Ale mało prawdopodobne, żeby był to ktoś, kto pozwał radę miejską do sądu. Naszego zabójcę interesuje chyba raczej biblijna wersja rekompensaty... Oko za oko - wyjaśnił, widząc zakłopotanie na twarzy Fostera.

- No, teraz rozumiem.

Jameson zastanawiał się, czy Foster powiedział to z ironią, ale sierżant ciągnął już dalej swoje wywody:

- Każdego, kto dochodzi swego w sądzie, możemy wykreślić z listy. Pozostają byli mieszkańcy, którzy siedzą cicho.

- Dobrze - powiedział Jameson. - Zajmijmy się nimi. - Pozwolił Fosterowi poczuć satysfakcję, po czym spytał: - A co wiemy o klientach z powikłaną przeszłością?

- Jest kilku, których nie udało nam się namierzyć. Ci, których znaleźliśmy, są różni. Niektórzy jakoś sobie ułożyli życie, ale jest też trochę mocno popieprzonych sukinsynów.

Jameson potarł twarz ręką.

- Tak, ale - wiem, że się powtarzam - dlaczego zacząć załatwiać ludzi dopiero teraz?

Foster pochylił się na krześle i zamyślił się.

- Zacząć? Nie myśli pan chyba, że będzie ich więcej, co?

- W tej chwili to ja właściwie nawet nie myślę, tylko reaguję. Zapadła cisza. Jameson skupił się na okrągłej plamie kawy na stoliku przed nim. Po dłuższej chwili, tak mu się przynajmniej wydawało, spojrzał Fosterowi w oczy.

- Jeśli ten typ ma coś do rady miejskiej i form edukacyjnych przez nią świadczonych, to nie widzę powodu, dlaczego miałby poprzestać na dwóch.

Foster z trudem to przełknął.

- Więc dlaczego, jak pan to mówił, czekał do teraz? Chyba że był zbyt młody albo zbyt mały, albo jeszcze zbyt normalny. Albo...

- Albo zbyt dobrze strzeżony, żeby móc cokolwiek z tym zrobić. To znaczy, że czeka nas ponowne sprawdzenie kartotek policyjnych i zwolnień z więzień w ostatnim czasie.

Parę dni temu widziałem Daza.

- Jakiego Daza? - Maddox nie był w nastroju do pogawędki.

- Daza Lewisa. Pamiętasz go.

*

Maddox chrząknął, wymieniając nad wytartym stołem - z ulgą, graniczącą z wesołością - pieniądze na proszek.

- Myślałem, że nie bierze narkotyków.

- Każdy bierze - rzekł Gary, podnosząc wzrok znad pieniędzy i zwracając duże, przekrwione białka swych oczu na George'a. - Legalne, nielegalne, pali, je, wstrzykuje - tabletki, proszek, zioła - nie oszukuj się.

- Nie co? - George posłał mu spojrzenie mówiące: nie zadzieraj ze mną.

Gary spojrzał na niego łagodnie. Nie bał się Maddoxa, nie kiedy jego owczarek niemiecki leżał pod stołem z głową na łapie, skomląc cicho tylko po to, żeby pokazać panu, że go słucha. Gary darzył George'a szacunkiem przez wzgląd na czas, który razem spędzili, i dlatego nie kazał mu stać w kolejce z innymi gośćmi, ale niewiele brakowało, żeby zmienił zdanie. Nic Maddoxowi nie był winien, a będąc dealerem miał na niego haka i wcale nie miał zbyt dużo cierpliwości, żeby go znosić.

- Czasami kupuje ode mnie trochę towaru - powiedział Gary, wracając do Lewisa.

- Wszyscy to robimy. - Maddox rozluźnił się, nawet się słabo uśmiechnął. Nie potrzebuje kłopotów, a pomyślał, że Gary nie miał nic złego na myśli, tylko taki po prostu jest.

- Chciał się gdzieś zahaczyć. Ciągle nadawał o tej sprawie z domem dziecka.

W Maddoxie zaszła jakaś wyraźna zmiana. Trudno było ją zdefiniować: może nieznaczna zmiana pozycji ciała, spuszczenie głowy, zgarbienie się.

- Byłeś tam, prawda?

- No i?

- Po prostu się zastanawiałem, czy te historie były prawdziwe. - Gary spojrzał za Maddoxa, ponad jego ramieniem, unikając jego wzroku. Wyczuł, że Maddox znowu robi się niebezpieczny. Nigdy przedtem nie spotkał faceta, który był taki defensywny, jak mu się zadawało bezpośrednie pytanie. Zastanowił się nad tym. i stwierdził, że już dosyć długo

owijał w bawełnę i spojrzał swymi piwnymi oczyma w nieugięte oczy George'a. George poddał się pierwszy, co go zdziwiło.

- Czytałeś o tych morderstwach? - spytał George.

Gary podniósł się powoli, żeby nie wystraszyć psa. Nie odpowiedział od razu, bojąc się, że zamknie Maddoxowi usta. Nim odpowiedział, zdjął dwa kubki z matowej suszarki na naczynia i z jednej z brudnych szafek kuchennych wyciągnął butelkę whisky.

- Znałeś je, tak?

George uśmiechnął się powoli, biorąc whisky. Myślał o Ann i jej filozofii nazywania rzeczy po imieniu - w jego przypadku znaczyło to, że jest złotkiem.

- Był już najwyższy czas, żeby ktoś zamknął gębę tej suce o rybiej twarzy - powiedział bawiąc się woreczkiem białego proszku.

- Chcesz to zrobić teraz? - spytał Gary. Dowie się więcej od George'a, jeśli będzie się dobrze czuł, jeśli jego głód zostanie zaspokojony i jeśli zdecydowałby się zostać na noc.

- Mogę poczekać - odparł George tak groźnie, że Gary poczuł się urażony.

Spojrzeli na siebie, walcząc na spojrzenia przez pełne trzydzieści sekund. Tym razem wygrał George.

- Pewnie, że możesz, stary - powiedział Gary. - Staram się być tylko dobrym gospodarzem.

George nie odrywał od niego wzroku jeszcze przez parę sekund.

- Nie pali się - powiedział. Jego głęboki głos złał się ze skowytom psa.

*

Ledwo widoczna poświata czerwonego światła ciągle migotała na niebie i Lewis uśmiechnął się. Niedługo zrobi sobie swój prywatny zachód słońca. Na ulicy nikogo nie było. Zaparkował samochód kawałek dalej, przygotowując się na krótki i łatwy stumetrowy sprint. W prawej kieszeni spodni czuł ulubiony ciężar swej złotej zapalniczki. Na jednej stronie był napis: Rozpal mnie! Prezent dla samego siebie po pierwszej udanej transakcji. Wsunął rękę do kieszeni i poczuł nierówną powierzchnię wygrawerowanych liter pod kciukiem. Obszedł dom i znalazł się na jego tyle, kiwając głową człowiekowi, który go mijał. Przez minutę, może dwie stał na zewnątrz i nasłuchiwał, wdychając zapach kwitnącego ligustra i gnijącego drzewa, co przypominało mu jakieś minione lato, jeszcze przedtem, nim zaczął wznieszać pożary. Czuł w powietrzu zapach nadpleśniałego dywanu i jakieś dziwne, przemożne poczucie bezpieczeństwa. Potrząsnął głową, żeby pozbyć się tego wrażenia i znowu zaczął

nasłuchiwać. Z kuchni nie dochodził żaden dźwięk. Zdarł ze szklanego pojemnika papier i wyciągnął korek, wyjął z kieszeni szmatkę, zwilżył ją benzyną; pojemniki na środki chemiczne rozpryskiwały się łatwiej niż butelki po winie i przez to były bardziej efektywne. Potem wepchnął szmatkę w szyjkę pojemnika i zapalił ją, trzymając zapalniczkę nieco dłużej niż trzeba, dla zabawy, po czym podniósł metalową płachtę i płynnym ruchem przedramienia cisnął pojemnik do środka.

Ktoś krzyknął na alarm, więc zaczął biec. Teraz dochodziły już wrzaski i w umyśle widział, jak ogień się rozprzestrzenia. Czarny, gęsty i tłusty dym bijący kłęбами z kałuż gorącej cieczy. Ostro zakończone płomienie dobywające się z utraconej szyjki pojemnika, gdzie zbierały się krople paliwa; leniwe obręcze niebieskawego płomienia. A on cały czas biegł. Ktoś za nim krzyknął, kiedy zniknął za rogiem budynku. Z tych pokoi na piętrze. Nie obejrzał się, ale biegł jak oszalały z ogniem szalejącym w jego mózgu.

*

W dużym pokoju panował bałagan. Chris zniosła kartony z teczkami i starymi dziennikami, które Simon wniósł na poddasze, kiedy się wprowadzała. Na szczęście poprzedni właściciele założyli drabinę, a podłoga poddasza była z dość grubego drewna, więc operacja była relatywnie prosta, chociaż mocno się kurzyło. Miała wyrzuty sumienia, że nie będzie pracowała kolejny wieczór, ale nie mogła przecież prosić Simona, żeby przejrzał dokumenty dotyczące jej sprawy, więc nie miała wyboru.

Jej dzienniki z lat 1986-87 leżały otwarte na podłodze, a obok nich mnóstwo skoroszytów. Niektóre z nich były otwarte i powyciągano z nich papiery.

Chris siedziała po turecku na dywanie; lśniący bukowy parkiet był chłodniejszy, choć twardszy dla pośladek. Słońce zaszło już dwie godziny wcześniej, ale drzwi do ogrodu były ciągle otwarte. W pokoju zrobiło się parę stopni chłodniej; jakiś zabłąkany owad wpadający czasem do środka i rozbijający się o lampy nie stanowił zbyt wygórowanej ceny.

Była zdziwiona, że widziała tyle dzieci w ciągu niespełna osiemnastu miesięcy i przerażona tym, że większość z nich była dla niej tylko nazwiskami. W jednej ręce trzymała listę z datami, których nie było w teczkach, a które zdobyła wcześniej tego dnia - albo poprzedniego, bo musiało już być dobrze po pierwszej w nocy. Porównywała je ze swoimi dziennikami, szukając nazwisk i stwierdzając z frustracją, że często jedynymi, jakie zapisywała, były nazwiska współpracowników, których musiała się poradzić albo spotkać jakiegoś konkretnego dnia.

Z coraz większym przestachem patrzyła na wielki stos różnokolorowych skoroszytów; sprawdzając daty, będzie musiała przekopać się przez nie wszystkie. Były to jej osobiste notatki; miała zamiar przekazać je magistratowi, kiedy stamtąd odchodziła - w gruncie rzeczy były one własnością poradni - ale takie dokumenty musiały spełniać normy dotyczące koloru i formatu kartek. Administracja magistratu nie dysponowała ani czasem, ani cierpliwością do przetwarzania tych informacji czy naukowych dywagacji; wymagali streszczeń na pół strony - lata cierpień i zaniedbań albo krzywdy sprowadzone do kilku suchych słów. Chris nie mogła zdobyć się na przekazanie notatek, wiedząc, że zostaną zniszczone, więc już od dziesięciu lat gromadził się na nich kurz i zaliczały wszystkie przeprowadzki, bo przyszło jej do głowy, że kiedyś może z nich skorzystać przy pisaniu książki.

Każda kartka zawierała krótkie streszczenie dotyczące dziecka: datę urodzenia, datę pierwszego wywiadu, nazwiska ich głównych terapeutów, streszczenie ich problemów, historię rodziny i historię choroby dziecka, i na końcu jej własne uwagi i zalecenia. Ale, co najważniejsze, były na nich daty. Rozmów, sesji, spotkań całej komisji, które można było przyporządkować brakującym w dokumentach magistratu datom.

Słabe brzęczenie odwróciło jej uwagę od papierów, które zaczęła przeglądać. Chris spojrzała na zwyczajną lampę, gdzie duża ćma z jaskrawymi pomarańczowo-czerwonymi plamami na wewnętrznej stronie skrzydeł próbowała się zabić, uporczywie uderzając w żarówkę. Złapała ją z łatwością i wyniosła do ogrodu. Płytki chodnikowe już trochę ostygły. Zamknęła na chwilę oczy, wdychając pełne woni powietrze i rozkoszując się spadkiem temperatury. Ćma szaleńczo trzepotała skrzydłami w jej złożonych dłoniach, ale wypuściła ją dopiero, kiedy przeszła pół ogrodu. Księżyc był tylko cienkim sierpem i uzmysłowiła sobie, że jasne światło bijące z jej pokoju musi wyglądać jak świetlik w środku ciemnej, wiejskiej nocy. Uniosła ręce i powoli je otworzyła. Ćma wystrzeliła ze swego więzienia i natychmiast zniknęła. Jej niezakomodowane oczy nie mogły śledzić trajektorii lotu ćmy w ciemności.

Było nienaturalnie cicho i nagle Chris poczuła się zagrożona, stojąc tak sama pośrodku nocy.

Szybko pobiegła do domu, zamknęła za sobą drzwi i wróciła do stosu dokumentów leżących na podłodze, ale czuła jakby fizyczną obecność ciemności, więc zawróciła i zaciągnęła zasłony.

- Idiotka - powiedziała do siebie, a brzmienie jej głosu zmąciło nastrój.

Pracowała jeszcze godzinę, znacznie zmniejszając stos nim zaczęło świtać, ale problem cały czas ją nurtował, nie dając jej wytchnienia nawet w krótkim śnie. Śniło jej się,

że Ann i Dorothy pomagają jej w porządkowaniu dokumentów.

„Może wezmę pastelowe?” - Głos Dorothy, zapamiętany sprzed dziesięciu lat, był strachliwy, jakby w obawie, że mógłby kogoś urazić; „Przepraszam” - uśmiechnęła się potulnie, nie chcąc się rządzić.

Chris pomyślała, że zawsze wybierała pastele: bluzki i spódniczki w dwóch dobranych do siebie kolorach i skromne, kwieciste różowe i blado-żółte sukienki.

Ann była niecierpliwa, jak zawsze, i mówiła jej, żeby zamiast przeproszać za swą godną pożałowania egzystencję lepiej wzięła się do roboty: ale kiedy chwyciła kilka teczek, wysliznęły się jej i wszystkie trzy z przerażeniem ujrzały mocno zakrwawione kikuty jej rąk.

Chris przewróciła się we śnie na drugi bok z cichym szlochem. Ann krzyczała, starając się chronić swoją głowę przed wymierzonym w nią ciosem siekiery. Obudziła się w momencie, w którym bladoniebieskie jak księżyc ostrze dotknęło Ann i bardzo wyraźnie usłyszała dźwięk metalu rozcinającego ludzkie ciało. Uiiyi. Chris leżała przez chwilę nieruchomo z szeroko otwartymi oczyma i dudniącym sercem, po czym rozluźniła się. Sen. To tylko sen. Zamknęła na chwilę oczy i wsłuchiwała się w delikatny, wysoki śpiew skowronka, który dobiegał przez otwarte okno do pokoju z pól ciągnących się za jej ogrodem.

Już po chwili była na nogach i energicznie zarzucała na siebie szlafrok, skacząc po dwa schody naraz. Drzwi wejściowe były zablokowane. Odciągnęła rygle. Wyszła na świeże, poranne powietrze. Ruszyła ścieżką, a jej nogi plaskały na chłodnym kamieniu. Przez furtkę na zewnątrz. Zamknęła się za nią z cichym uiiyi.

Z tym samym uiiyi.

Droga była pusta. Ani śladu eskorty. W oddali słyszała dźwięk oddalającego się samochodu. Wróciła do furtki. Otworzyła ją. Pozwoliła jej się zamknąć. Uiiyi. Zbyt wcześnie na pocztę. Rzucając okiem na zegar w holu uświadomiła sobie, że za wcześnie na wszystko, cholera. Piąta rano i żadnych szans na sen.

Pięć godzin później jadła śniadanie w kuchni. Odświeżona po prysznicu i z listą czternastu nazwisk na kartce A4 leżącej przed nią. Przeczytała wszystkie dokumenty dotyczące tych czternastu nazwisk. Cztery dziewczynki, reszta chłopcy. Obok każdego nazwiska napisała datę urodzenia, wiek i krótkie streszczenie. Tych, którzy teraz nie przekroczyli jeszcze osiemnastu lat, zaznaczyła krzyżykiem. Być może arbitralna decyzja, ale nie mogła sobie wyobrazić, żeby młodsze dziecko mogło zamordować Dorothy i Ann. Tych poniżej osiemnastu lat było pięcioro - dwie dziewczyny i trzech chłopców. Ponownie przejrzała pozostałych.

David Trask - OWR, umieszczony w szkole dla dzieci z umiarkowanymi problemami

w nauce. Nie przypominała go sobie. OWR. Widząc skrót zmarszczyła lekko brwi: termin Opóźniony w Rozwoju dzisiaj byłby nie do zaakceptowania. Najprawdopodobniej użyto by pojemnego sformułowania: „problemy z uczeniem się”. Przejrzała ponownie jego teczkę. Umieszczono go w szkole specjalnej w ciągu ośmiu albo dziewięciu miesięcy po pierwszym wywiadzie. Dobre rezultaty. Mało prawdopodobne, żeby on sam czy jego rodzice mieli powody do niezadowolenia z leczenia.

Spojrzała na następnego z listy. John Emerson - zaburzenia w zachowaniu. Odesłany do specjalnego oddziału dla dzieci z podobnymi zaburzeniami. Niejasne wspomnienie drobnego chłopca ze złośliwą twarzą. Hiperaktywny, tak. I destrukcyjny. Pierwszy wywiad w wieku ośmiu lat, po zaatakowaniu swojego nauczyciela i rzuceniu krzesłem w dyrektora, który interweniował. Chris postawiła znak zapytania na marginesie koło nazwiska Johna.

Laura Smith - osierocona. Umieszczona w domu zastępczym. Pamiętała Laurę. Słabowity chudzielec z czarnymi, błyszczącymi włosami obciętymi na pazia. W wieku dziewięciu lat opiekowała się matką w końcowym stadium raka. Nikt o tym nie wiedział, dopóki przez kilka dni była nieobecna w szkole i szkoła, bezskutecznie usiłując się do niej dodzwonić, wysłała kogoś, żeby sprawdził, co się dzieje.

Znalazł Laurę, siedzącą przy matce, trzymającą jej rękę, kiedy tamta bredziła z bólu w agonii. Laura robiła swojej matce zastrzyki, tak jak kazał lekarz, ale nie pomagały. Matka Laury umarła później tego samego dnia, ale Laury przy niej nie było - umieszczono ją na oddziale dziecięcym tego samego szpitala, odwodnioną i niedożywioną. Musiano podać jej środki uspokajające, bo uporczywie chciała wstać z łóżka i iść do domu.

Kiedy Chris rozmawiała z nią dwa tygodnie później, dziecko było odrętwiałe i skryte. Dziewczynka nie była skłonna do współpracy, mówiąc tylko, że jej mama nie żyje i że ona może niedługo też umrze.

Pielęgniarka ostrzegła ją. „Mała tygrysyca - powiedziała. - Niech pani uważa na oczy, jeśli straci nad sobą panowanie”.

„Zostawcie mnie w spokoju! - zaczęło krzyczeć dziecko po kilku minutach łagodnych, ale stanowczych pytań zadawanych przez Chris. - Ja tylko chcę umrzeć!”

„Twoja matka na pewno by tego nie chciała” - rzekła Chris.

Dziewczynka przewracała oczyma. „Skąd pani wie? - zapytała. - Pani nigdy nie ssała mojej mamy. - Ssała z boku swój palec wskazujący, skubiąc go chciwie, jak mysz. Potem spuściła rękę i wybuchnęła: - Gdyby jej nie kłuwali tymi igłami, to by była strowa! - Łzy napłynęły jej do oczu. - Dawali jej je tylko, żeby przestała kszyczeć. - Jej palce zacisnęły się na krześle i chwyciła je mocno. - Nie miałam nic przeciwko! - powiedziała, jakby zaprzeczając

oskarżeniom. - Ja nigdy! Byłaby strowa, gdyby zostawili nas same".

Chris przestała myśleć o tym drobnym, ciemnookim dziecku, starającym się ulżyć swojej matce, której nic nie mogło ulżyć w jej cierpieniu, nic nie mogło pomóc. Jej własna emocjonalna reakcja nie pomogłaby Laurze. „Nie - powiedziała cicho stanowczym głosem. - Wcale nie. Nie wyzdrowiałaby. Twoja mama umarła, bo miała raka. Nikt nie mógł jej uratować. Wiem, że chciałaś tam być, Lauro. Wiem, że chciałaś być ze swoją mamą, kiedy umierała, ale lekarze martwili się o ciebie. Małe dziewczynki muszą spać..."

Atak był niespodziewany i szokujący. Laura rzuciła się na nią, wymachując pięściami. Krzyczała i krzyczała. „Nie jestem małą dziewczynką. Nie jestem. Nie jestem. Nie jestem! Nienafidzę was. To wy ją sabiliście! Wy wszyscy ją sabiliście, mordercy!"

Laura spędziła w szpitalu jeszcze tydzień, po czym oddano ją pod opiekę doświadczonej pary, ale uparcie odrzucała wszelkie sugestie dotyczące adopcji i nie chciała współpracować w czasie żadnej ze zorganizowanych sesji doradczych. Nawet Ted był zupełnie bezradny.

Chris miała poczucie strasznej klęski. Jeśli podeszłaby do niej umiejętniej - jeśli miałyby więcej doświadczenia... „Gdzie teraz jesteś, Lauro?" - rzuciła pytanie w pustkę.

Wykluczyła następnych dwoje dzieci - jedno było dyslektykiem - późna diagnoza. Wysłano je do szkoły na specjalny kurs czytania i literowania, żeby usunąć objawy. Drugie dziecko miało uszkodzony kręgosłup i skierowano je do szkoły z dostępem dla dzieci na wózkach inwalidzkich.

Simon Webster. Przypadek Simona był dla niej jak wyprawa krzyżowa, ale i następny chłopiec na liście sprawiał jej dużo problemów - Darren Lewis. Było to kilka miesięcy po tym, jak zaczęła pracować w magistracie. Obaj mieli pierwszy wywiad w tym samym czasie, po wzniesieniu pożaru w szkole, w której uczyła, nim zdobyła kwalifikacje psychologa klinicznego.

Simon był spokojny, refleksyjny i, pod maską brawury, wrażliwy. Zawsze miał kłopoty, chociaż sam nigdy ich nie sprawiał; zawsze w tarapatach. Przypominał jej Phila - skłonny podążać za tłumem i brać winę na siebie.

Darren był wtedy prowodyrem. Wykradł klucze dozorczy z portierni. Kupił zapalki i gaz do zapalniczek, zdecydował nawet, że w piwnicy są największe szanse na to, że im nikt nie przeszkodzi. To Darren poinstruował, żeby rzucić szmaty i stare gazety w kącie, i to on je podpalił.

Simon patrzył na to, a potem, bojąc się o inne dzieci, wszczął alarm - był skłonny wziąć winę na siebie za starszego chłopca. Chris pamiętała, jak zareagował, widząc ją wśród

innych członków komisji. Kiedy ją zobaczył, oczy mu rozbłysły, ale szybko stłumił bijące z nich światło i ponownie przybrały butny wyraz, którym nie był w stanie przekonać nawet siebie samego. Pamiętała też aurę zagubienia roztaczającą się wokół chłopca, pamiętała desperacką potrzebę niesienia mu pomocy, ale miała absolutną pewność, że nic nie jest w stanie zrobić.

Komisja zdecydowała, że skoro szkoła nie zamierza, wnieść oskarżenia przeciw chłopcu, powinien wrócić do rodziny. Nie potrafiła sobie wytłumaczyć, dlaczego rozczarowała ją ich decyzja - Simon nigdy nie jej nie mówił - ale było w nim coś, co przypominało jej siebie samą: rodzaj desperacji, żeby uciec z domu. Od rodziców.

Zaleciła umieszczenie go z dala od rodziny, żeby dokonać bardziej szczegółowej oceny sytuacji, ale odmówiono, chociaż Darrena umieszczono w domu dziecka. Upierając się, żeby wysłać go do rodziny zastępczej, ryzykowała zawieszenie w czynnościach służbowych, ale podjęto decyzję nie po jej myśli i Simon wrócił do domu. Chris wzdrygnęła się. Teraz była już starsza, mniej przekonana o swej nieomyślności. Simon wzniecał kolejne pożary, więc w końcu go złapano i dostał trzyletni wyrok w poprawczaku. „Długie lata zajęło mi zebranie odwagi, aby wzniecić taki pożar, żeby mnie zamknęli - wyznał jej potem. - Ale musiałem to zrobić, żeby się wyrwać z domu”. Kto by pomyślał, że trzyletni wyrok może aż tak zmienić życie. Zamknęła jego teczkę i odłożyła ją na bok. Nie widziała powodów, żeby być stronniczą. Czytanie notatek dotyczących pacjentów było dla Chris jak przeglądanie encyklopedii albo buszowanie po internecie: czasami człowiek znajdował się w zupełnie innym miejscu od tego, w którym przypuszczał, że się znajdzie.

Darren różnił się od Simona tak bardzo, jak to tylko możliwe. Tego nastolatka o wydrowatej twarzy trudno było lubić czy w ogóle darzyć jakąś sympatią. Był czternastoletnim łobuzem ze sterczącymi blond włosami i krzywymi zębami, co nadawało jego uśmiechowi groźny, wilczy wyraz. Jego przyznanie się do winy było ogromną niespodzianką - prawdopodobnie był to rezultat nieustannych namów jego matki. Matka Darrena w wieku trzydziestu pięciu lat wyglądała jakby miała pięćdziesiąt; w jej oczach widoczny był milczący triumf, kiedy w końcu powiedział im, co się stało. Będzie miała mniej zmartwień i jednego mniej do kontroli. Wzięty pod kontrolę miejskiego kuratora. Warto go sprawdzić.

Ostatni na liście był George Maddox. Jego chińska matka umarła, kiedy miał zaledwie pięć lat. Jego ojciec, stary i nie umiejący dać sobie rady z absorbującym i płaczkliwym dzieckiem, zostawił go własnemu losowi. Rano wykopywany z domu jak kot i, podobnie jak kot, odwiedzający dom tylko po to, żeby coś zjeść i przespać się, George szybko odkrył, że na ulicy przemoc oznacza władzę. Więc do osiągnięcia swoich celów używał przemocy. Nie był

nią zafascynowany, używał przemocy z wyrachowania, tylko jako środka, żeby coś osiągnąć; nie był sadystą, zadawanie bólu nie sprawiało mu przyjemności, ale potrafił się posunąć do skrajności, żeby darzono go szacunkiem, który, jego zdaniem, mu się należał. Był mile zaskoczony, kiedy zorientował się, że swą siłę może wykorzystać do bogacenia się i bardzo szybko nauczył się, jak wykorzystywać swój nowo odkryty talent.

Wraz ze wzrostem pewności siebie i reputacji, którą zaczął się cieszyć na osiedlu, gdzie mieszkał, stary człowiek zaczął się bać swego syna. Wieczorami wychodził z domu, żeby go nie spotkać, więc George był panem domu. Wkrótce potem zaczęły się aresztowania. Pierwsze za wymuszanie pieniędzy od młodszych dzieci z osiedla, drugie za brutalne obrabowanie biznesmena wychodzącego z banku na Castle Street w centrum Liverpoolu. Krótkie pobyty w domach dziecka nie pomagały. Więc w ciągu roku wagary zastąpiło zastraszanie, zastraszanie wymuszanie, z kolei wymuszanie rabunek. A potem narkotyki. W wieku piętnastu lat George miał na koncie więcej aresztowań niż jakikolwiek inny chłopak na osiedlu i traktował je jako powód do chwały. Nie mógł stracić swojej reputacji.

Kiedy któregoś wieczora jego ojciec wrócił z pubu do domu wcześniej niż zwykle, George z kolegami zabawiali się z dwoma dziewczynami. Dziewczyny były nagie, a chłopcy naćpani i w różnym stopniu roznegliżowani.

„Uderzył mnie - powiedział jej George. - Sukinsyn walnął mnie butelką po piwie. Wrzeszczał na dziewczyny, nazywając je dziwkami, kurwami - coś w tym stylu. Moja głowa krwawiła. A on mnie wyzywał - pieprzony żółtku, to co zawsze. Mówił, że moja mama była łatwa, wie pani, jakby była jakąś cizią. Powiedział nawet, że nie jestem jego synem. Nazwał mnie bękartem. Dziewczyny zaczęły płakać. Wtedy chwycił mnie za włosy. - Na wspomnienie tego upokorzenia w oczach Georga pojawił się błysk wzburzenia. - Ośmieszał mnie na oczach moich kumpli!" - Zamilkł, potrząsając głową z niedowierzaniem.

„Co stało się potem, George?" - spytała wtedy Chris.

George był wobec niej bardzo nieufny. Jego koledzy wyszli, zabierając ze sobą dziewczyny. Wiedział, że następnego dnia wszyscy na osiedlu będą gadać, że jego ojciec wyrzucił z domu jego kumpli. Będą się z niego śmiali! Zaczęli się bić. Jego ojciec zawsze robił się odważniejszy po kilku browarach, a tego wieczora był mocno wlany. Kiedy uświadomił sobie, że jego syn jest szybszy, silniejszy i że nie ma szans wygrać, zaczął go wyzywać i obrażać - dziecinne, ale działało.

„Musiałem coś zrobić, żeby przestał o niej mówić. Mówił, że sprzedawała się. Mówił plugawe, odpychające rzeczy o mojej mamie... - George spojrzął na swoje ręce. - Chciałem tylko, żeby przestał wygadywać te plugastwa. Więc ścisnąłem tę jego wychudzoną, ośliżłą

szyję... - Podniósł wzrok na Chris. W jego oczach najpierw malował się gniew, który powoli ustępował wyrazowi zmieszania, a nawet zdziwienia. - Aż przestał..."

Przez kilka minut w pokoju słychać było tylko dwa dźwięki: powolne tykanie ściennego zegara i cichy szloch chłopca. „W ogóle nie powinno się mnie z nim zostawić - powiedział George, po raz pierwszy czując gorycz niesprawiedliwości. - Powinni mnie zabrać od niego". Biedny George. Wtedy już wiedział, jakie czeka go życie. I wiedział, że mogłoby być inne.

Skazano go na poprawczak. Pod specjalnym nadzorem. Na marginesie, obok jego nazwiska, Chris napisała: Czy już wyszedł?

Nie licząc Simona na liście znajdowali się John Emerson, Laura Smith, Darren Lewis i George Maddox. Gdzie powinna zacząć ich szukać? Teraz nie będzie ich już w kartotekach dziecięcych. Niektórzy z nich mogą już nawet być żonaci i mieć swoje własne dzieci. A co z George'em. Teraz musi być już w więzieniu, jeśli ciągle by miał wyrok skazujący na poprawczak. Czy była jakaś baza danych? Może mogłaby zadzwonić do centrali służb więziennictwa i spytać o to, gdzie znajduje się konkretny więzień? Skąd ma wziąć numer? Raczej go nie będzie w Panoramic Firm.

Poszła do przedpokoju i wykręciła na informację.

- O jakie więzienie pani chodzi? - Głos operatora był pełen zawodowego dystansu.

- Nie chodzi mi o żadne konkretne więzienie - odparła Chris. - Chodzi o pytanie ogólne.

- To raczej trzeba zadzwonić do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Chyba oni są odpowiedzialni za cały system?

- Brzmi sensownie.

- Odszukam pani numer.

W słuchawce na chwilę zapanowała cisza, po czym podał jej odpowiedni numer. Chris stwierdziła, że nie ma sensu dzwonić w czasie weekendu. Poprosi Nicky, żeby zadzwoniła tam w poniedziałek, a przy odrobinie szczęścia, w wyniku jej poszukiwań w agencjach wynajmu mieszkań może dowie się też czegoś o Jake'u Dixonie. W międzyczasie złoży Alfowi obiecaną wizytę.

11

Chris zostawiła swój samochód w Birkenhead i pojechała taksówką do Liverpoolu; nie mogła ryzykować. Kiedy dotarli do końca Smithon Road, ruch był już spory, a od spalin i upału zaczynała ją boleć głowa. Zatrzymała się na chwilę przy Tesco, żeby kupić kilka drobiazgów, po czym skręcili w hałaśliwą Ullett Road, z której zjechali potem na spokojniejsze uliczki oplatające Sefton Park.

Szybko zorientowała się, że policja nie próżnuje. W każdym z czterech squatów, które odwiedziła, proszono ją o przepustkę. W dobrze zorganizowanej komunie pokoje ciągle były rozświetlone i czuła zapach pieczonego kurczaka, ale wystawiono straż przy jednym z frontowych okien, a dwóch mężczyzn - jednym z nich był ten z siekierą, którego spotkała podczas swojej poprzedniej wizyty - pilnowało żelaznych drzwi wejściowych na tyłach domu.

- Po co chciałaś ich nam tutaj nasłać? - odezwała się kobieta, stojąca z boku, z zaciętą i wrogą twarzą.

- Kogo? - spytała Chris.

- Smerfy, a co myślałaś?

- Jeśli ktoś dał cynk policji, to na pewno nie ja - odparła Chris. - Chcę znaleźć Phila przed nimi - po co miałabym im pomagać?

- Mam tylko nadzieję, że znajdziesz swojego przyjaciela, nim nas stąd wywalą. - Włączył się drobny i ładny Azjata.

- Przykro mi, jeśli was nękali...

Kobieta przerwała jej wybuchając ostrym śmiechem.

- Nękali! To dla nas codzienność. Nękanie nas nie przeraża.

Odwróciła się gwałtownie, a Chris przenosiła wzrok z jednej rozgniewanej twarzy na kolejną, zdziwiona, uświadamiając sobie napiętą atmosferę strachu i zgrzyoty.

- Coś się stało...? - rzekła.

Azjata delikatnie położył rękę na ramieniu kobiety i Chris zobaczyła, że ona płacze bezgłośnie, trzęsąc się.

- Nasi przyjaciele. Wczoraj wieczorem - wyjaśnił mężczyzna. - Bomba eksplodowała w ich squatcie.

Chris spojrzała na niego. Pokiwał głową.

- Zgasili ogień, ale Kristi zdążyła się już mocno poparzyć. Przyszła do kuchni zrobić herbatę. Ochlapała ją benzyna...

Na Alfie wydarzenie nie wydawało się robić wrażenia. Wiedział o bombie, nawet zastanawiał się nad motywem, ale był zdystansowany wobec całej sprawy, jakby nie miała nic wspólnego z jego położeniem. zaproponował spacer po ogrodzie, ale zrezygnowali, kiedy potknął się o jakiś drut kolczasty, który znalazł się tam wyraźnie po usunięciu go z bramy albo drzwi. Był zupełnie niewidoczny pod trawą i chwastami.

Chris złapała go, nim zdążył upaść, ale sprowokowało to atak kaszlu. Stała bezradna i patrzyła, jak mu powoli mija i zaczyna oddychać z normalnym dla niego charczeniem. Usiadł na dużym bloku piaskowca, żeby złapać oddech.

- Poczekaj tutaj - powiedziała Chris. Wróciła kilka minut później z reklamówką w rękę.

- Przyniosłaś sobie lunch, hę? - zacharczał Alf.

- Coś w tym stylu.

Włożyła rękę do reklamówki i wyjęła buteleczkę z lekarstwem. Alf spojrzał na nią rozbawiony.

- Syrop? - spytał. - Potrzeba mi czegoś mocniejszego, dziewczyno. Chris uśmiechnęła się.

- O tym też pomyślałam - powiedziała, wyjmując butelkę whisky. - Ale wyświadczysz mi przysługę, Alf...?

Roześmiał się, aż cała jego klatka piersiowa zadudniła.

- Najpierw wezmę lekarstwo, co?

Wzruszyła ramionami, nie przestając się uśmiechać. Dudnienie stawało się coraz głośniejsze - przypominało pracę silnika samochodowego, który nie chce zapalić.

- Cóż to, dziewczyno - rumienisz się. - Wziął od niej butelkę i pociągnął łyk. - Masz tam jeszcze jakieś smakołyki? - spytał, szeleszcząc papierową reklamówką.

- W gruncie rzeczy...

- Powinienem przynieść kosz i łopatkę - powiedział. - Moglibyśmy pojechać na plażę w New Brighton i zrobić sobie piknik. - Znowu rozległ się charczący śmiech i Alf poklepał ją po ręce, po czym wstał niepewnie i lekko kołysząc się podszedł do drzwi na tyłach domu.

- Gdzie idziesz? - spytała Chris.

- Zaraz wracam.

Przyniósł dwa nie pasujące do siebie kubki, oba umyte i wytarte. Chris trzymała je, a on nalał do nich whisky.

- Nie mogę pozwolić, żebyś piła z tej samej butelki - powiedział. - Nie chciałabyś załapać tego, co ja mam - a ja nie pijam samemu.

Chris usiadła koło niego na nagrzanym od słońca kamieniu, otoczonym chwastami i odpadkami porzuconymi przez pokolenia squaterów. Chris wzięła łyk whisky, myśląc, że wolałaby napić się zimnej wody.

- Wilgoć jest jedyną wadą tego squatu. Ale poza tym jest OK.

Jego ciemne oczy spojrzały na nią. Chris popatrzyła na jego sympatyczną twarz i poczuła się zawstydzona. Znowu poklepał ją po ręce.

- No dobra, ten twój przyjaciel...

- Phil? - rzekła Chris, usiłując zapanować nad podnieceniem. - Widziałeś go, Alf?

- Nie osobiście, ale znam kogoś, kto twierdzi, że chyba wie, gdzie on jest. Mógłbym cię do niego zabrać. - Zamilkł, wyglądając nagle na zmieszanego. - Ale nie za darmo.

- Nie ma sprawy. - Sięgnęła do kieszeni po pieniądze.

- Nie! Nie... Nie tu, dziewczyno. I musisz to dobrze rozegrać. Nie możesz pokazać, że aż tak ci na tym zależy. Włóż dwie piątki do kieszeni i staraj się wyglądać tak, jakbyś miała problemy z kasą, dobra?

Chris pokiwała głową, a Alf uśmiechnął się, usatysfakcjonowany, poświęcając już całą uwagę jedzeniu, które przyniosła.

- Niezła wyzerka, dziewczyno. Pójdziemy, jak skończy się nasz piknik, dobrze?

Alf zaprowadził ją do niszczących sklepów niedaleko Myrtle Street; przeszli pod zszarzałym nadprożem, które rozdzielało przylegające do niego budynki, jakby starając się nie dopuścić do awantury między nimi, i weszli na wąski, wyłożony brukiem plac. Prostokątny, brudny, zaniedbany i robiący przynębiające wrażenie. Chris, stosując się do instrukcji, usiadła na brzegu zdewastowanej ławki, a Alf na drugim. Ludzie robiący zakupy, głównie kobiety, przemykali się po placu. Mieli zmęczone i wychudzone twarze i unikali patrzenia swymi przekrwionymi oczyma na ławkę, gdzie siedział duży, czarny obwieś.

Chris zdziwiła się, kiedy usiadł obok niej niski, pulchny mężczyzna. Był ubrany w jasnoszary garnitur i pasujące do niego buty, a z kieszeni wyjął nieskazitelnie białą chusteczkę, żeby wytrzeć swe opalone i lśniące czoło.

- Nie mogę przysiąc, że to on, rozumiesz - zaczął bez wstępów. - Ale jest bardzo podobny do tych zdjęć w telewizji. Mocno nerwowy. - Mówił miękko i można było wyczuć pozostałości miejscowego akcentu, którego długo już chyba próbował się pozbyć.

- Gdzie? - spytał Alf. Uzgodnili, że to on będzie rozmawiał.

Niski mężczyzna wzdrygnął się.

- Chyba najpierw... - Zamilkł, zawstydzony.

Alf skinął głową do Chris, a ona włożyła rękę do jednej kieszeni, potem do drugiej i wydobyła z nich dwa zmięte banknoty. Mężczyzna wziął pieniądze i rozprostował je przed schowaniem do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Gary Tighe jest moim, yyy, dostawcą. - Kaszlnął. - Widziałem tego twojego młodzieńca u niego dwa dni temu. Mogę ci podać adres...

- Można mu ufać? - spytała Chris, kiedy wracali do squatu. Za adres musiała dopłacić.

- To biznesmen - odparł Alf, z nieukrywaną pogardą dla tej profesji. - Do takich nigdy nie można mieć zaufania. Oczywiście, on na pewno myśli, że nadarza się okazja, żeby zarobić jeszcze nie raz jakieś pieniądze, a to czyni go bardziej wiarygodnym.

- Jak on to sobie niby wyobraża? Alf wyszczerzył zęby.

- Powiedziałem mu, że pracujesz dla jednej z tych agencji, co szukają zaginionych ludzi, rozumiesz? Ten wazeliniarz nie spier... yyy... nie spaprze sprawy, skoro wie, że może wydoić z ciebie jeszcze trochę kasy.

Szarmancka próba doboru łagodniejszego słownictwa ujęła Chris.

- Myślisz, że nie ma sensu iść pod ten adres teraz? - spytała.

- Poczekaj do jutra, dziewczyno. Pójdź wtedy, kiedy ci kazał. Twojego kumpla tam teraz nie będzie. A jeśli wparujesz tam teraz, to będzie dla niego ostrzeżenie i nigdy więcej go nie zobaczysz.

Chris westchnęła niecierpliwie.

- Wiem, że masz rację, Alf, ale ta beczynność doprowadza mnie do szału, kiedy wiem, że szuka go policja.

Prażące słońce stało wysoko na niebie, a dalekie odgłosy ulicy to przybierały na sile, to słabły, bucząc jak leniwy rój pszczół. Weszli w cień, tworząc nie pasującą do siebie parę; wysoka, elegancka blondynka starająca się dostosować krok do powolnego człapania Murzyna.

- Alf... - powiedziała nagle. - Nie sądzę, żeby... Och, najwyżej powiedz mi, żebym się odwaliła, ale widzisz...

Zmarszczył swe rozbawione brązowe oczy.

- O co chodzi? - spytał.

Chris przygryzła kącik ust, zastanawiając się czy się nie zamknąć i o tym zapomnieć.

- No, dziewczyno. Możesz wyrzucić to z siebie. Co tam... Wzięła głęboki oddech i zaczęła:

- Poczulbyś się urażony, gdybym znalazła ci jakieś lokum? Mieszkanie, garsonierę,

schronisko - co byś wolał...

- Tak.

Chris zarumieniła się i wymamrotała przeprosiny.

- Nie ma sprawy - rzekł, uśmiechając się niespodziewanie. - Już od dawna żadna taka ładna dziewczyna się o mnie nie troszczyła. - Chris roześmiała się, a on wzruszył ramionami. - Lubię wolność. I tak ulatniam się na południe, jak tylko zaczną spadać liście. Bath, Londyn, Bristol. Lepsze squaty na zimę! Wszędzie mam tam kumpli. - Czuć było dumę w jego głosie. Wzruszył ramionami. - Nie potrafię tego lepiej wytłumaczyć...

- Rozumiem, że proponowanie ci pieniędzy też się na nic nie zda?

Alf rzucił na nią okiem i zaśmiał się krótko, krztusząc się. Położył jej rękę na ramieniu, pokazując gestem, żeby przestała. Ciecz zabułgotała boleśnie w jego płucach. Chris czekając, aż mu przejdzie, popchnęła go delikatnie na niski murek, na którym siedział charcząc i jęcząc przez kilka minut.

- Pozwól mi przynajmniej załatwić lekarza, który cię wyleczy! - wypaliła.

- Nie planuję zostać tu tak długo, dziewczyno. To miejsce mnie wykończy, jak się stąd wkrótce nie ruszę. No dobra, a teraz wracajmy. Whisky mnie wzywa.

Błada dziewczyna, którą Chris spotkała przy poprzedniej wizycie, krzątała się po ogrodzie, kiedy wrócili. Siedziała na kawałku piaskowca, karmiąc dziecko z butelki i udając, że ich nie widzi.

Alf pozdrowił ją suchym:

- W porządku, dziewczyno?

Zrobiła kwaśną minę, zgarbiła się i spojrzała na dziecko, a Alf wzruszył ramionami.

- Rób, co chcesz - wymamrotał, wchodząc do środka. Dziewczyna poczekała, aż falista blacha wróciła na miejsce i rzekła:

- Jakiś gość cię szukał.

Chris patrzyła na Alfa, obawiając się, że może się przewrócić na nierównych schodach.

- Co? - spytała.

Dziewczyna miała kamienną twarz. Wyglądała, jakby nic nie mówiła.

- Kto mnie szukał? Jak wyglądał?

Dziewczyna rzuciła jej spod rzęs chytre spojrzenie, po czym powoli przeniosła wzrok na dziecko.

Chris westchnęła i włożyła rękę do kieszeni dżinsów.

- Kto? - powtórzyła pytanie, trzymając w ręku banknot pięćfuntowy.

Dziewczyna wyrwała jej pieniądze.

- Nie powiedział, jak się nazywa. Spytał tylko, czy kręciłaś się tutaj, zadając pytania.

- Jak wyglądał?

Dziewczyna patrzyła na Chris, jednocześnie lewą ręką przechylając odpowiednio butelkę, a prawą chowając pieniądze do kieszeni. Chris wyjęła następny banknot, tym razem trzymając go w pewnej odległości.

- Opisz go - powiedziała.

- Wysoki. Blondyn. Całkiem przystojny. Ładne oczy. Wyciągnęła rękę po pieniądze, ale Chris cofnęła swoją.

- Ładne oczy - powiedziała. - Jakiego koloru?

- Chyba zielonawe.

- Z policji?

- On nie mógł być z policji. - Dziewczyna prawie zaczęła się uśmiechać, ale zmieniła zdanie i zamiast tego wyciągnęła rękę po pieniądze.

*

Kiedy Chris przyjechała do domu, natychmiast poszła do jadalni, gdzie zostawiła swoje notatki ze środowego spotkania z Simonem. Musi trochę popracować przed jego przyjściem o czwartej. Musiała zająć się czymś, żeby przestać myśleć o jutrzejszym spotkaniu z Philem, czymś, co pomoże zabić jej czas, ale nie mogła się skupić i niecierpliwie wstała od stołu po tym, jak cztero- albo pięciokrotnie przeczytała ten sam akapit i nic z niego nie zrozumiała. Zadzwoiła do Nicky. W tle słyszała telewizyjne wiadomości sportowe.

- Pamiętasz tego faceta Dixona, który zniknął ze schroniska, po tym jak Phil zwiął?

- Nic jeszcze o nim nie mam. A o co chodzi?

- Jakiego koloru miał oczy? Nicky zawahała się.

- Opieram się tylko na tym, co powiedziałaś...

- A ja na tym, co mi mówił kierownik schroniska.

- Chyba zielone, co?

Chris poczuła słabość w brzuchu.

- Tak myślałam - wyznała cicho.

- To powiesz mi, co się dzieje, czy jak?

- Chyba mnie śledzi - rzekła Chris, tłumiąc nerwowy chichot.

- To zadzwoń na policję.

- Chodzi o to, że oni też mnie śledzą. Pomyślą, że jestem paranoiczką.
- Czyżby? To, że jesteś paranoiczką, nie znaczy, że ktoś nie chce się do ciebie dobrać.
- Dzięki - rzuciła Chris. - Uspokoiliś mnie.
- Wcale nie chcę cię uspokajać. Powiedz o tym Jamesonowi - bo jeśli ty nie powiesz, to ja to zrobię.

Chris rozłączyła się.

Czego do cholery chciał Dixon? Kim on był? Uświadomiła sobie, że szarpie grzywkę, przykrywając kosmykiem włosów srebrzystą tkanę blizny nad lewą brwią i puściła włosy, wycieńczona i zła na siebie. Następne będzie obgryzanie paznokci. Może powinna spróbować porozmawiać z dziewczyną ze squatu i zaaranżować spotkanie, jeśli się pojawił ponownie. Ale coś jej mówiło, że Dixon nie zawita tam po raz drugi. Wstała energicznie, żeby pozbyć się nie milego uczucia paniki wzbierającego w jej klatce piersiowej, i wyszła do ogrodu.

Po chwili bezcelowego błąkania się po krawędzi trawnika weszła do małej szopy stojącej przy szklarni i wyjęła z niej motykę. Przez następną godzinę niepotrzebnie pielila chwasty. W upalnym słońcu prawie nigdzie ich nie było, ale poruszała się łukiem w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara od szklarni do krzaków, starając się zapanować nad przemożną chęcią natychmiastowego udania się pod adres, który dał jej człowiek namierzony przez Alfa. „Nie będzie go tam” - wmawiała sobie, cały czas pracując, wbijając ostrze nowej motyki w suchy pył piaszczystej gleby.

Już była prawie skłonna porozmawiać z Jamesonem, powiedzieć mu, co wie, a może i czego się boi, i o Dixonie, ale zwolniła tempo pracy, oparła się na motyce i schyliła, żeby podnieść spod wierzby jaskrawe opakowanie. Opakowanie po Smarties. Odsłoniła niższe, giętkie gałęzie i schylając się weszła głębiej w cień rzucany przez liściastą gęstwinę korony drzewa. Miejsce było zarośnięte licznymi kwiatami i rododendronami, ale pod rododendronami było puste miejsce, zaśmiecone papierkami od cukierków. Chris odwróciła się i spojrzała na dom. Przez drzwi balkonowe było widać jej duży pokój jak na dłoni.

Wstała zbyt gwałtownie, zahaczając okiem o gałązkę. Krzyknęła i zaklęła, po czym przedarła się przez krzaki na trawnik, pobiegła ścieżką do furtki i wyszła na zewnątrz. Pięćdziesiąt metrów dalej stała zaparkowana fiesta. Widziała tylko sylwetkę kierowcy. Nieznośny łomot muzyki pop roznosił się w ciężkim, popołudniowym powietrzu.

Usłyszała, jak z cichym uiiyi zamyka się za nią furтка, a naruszenie jej prywatności wydawało się jej o wiele poważniejsze i dużo bardziej potworne niż przedtem.

Ruszyła w stronę samochodu, cały czas trzymając w ręku motykę. Swoim załawionym okiem ledwo widziała zarys kierowcy (mężczyzna czy kobieta?), ale zauważyła

gwałtowny ruch i usłyszała silnik. Skrzynia biegów zawyła, kiedy samochód gwałtownie się cofnął. Oddalał się od niej z szaloną prędkością.

- Hej! - krzyknęła Chris. - Chcę z tobą porozmawiać! Samochód wjechał tyłem na podjazd sąsiadów, obłamując kawałek ich muru. Chris zaczęła biec, krzycząc, ale samochód skręcił i szybko odjechał z dużą prędkością.

- Sukinsyn! - krzyknęła.

Rzuciła motyką jak oszczepem w stronę samochodu, ale spadła daleko od celu i stoczyła się z drogi na skraj trawnika. Stała z zaciśniętymi pięściami, patrząc za nim, nie będąc w stanie zobaczyć numerów rejestracyjnych ciągle łzawiącym okiem.

Powoli uświadomiła sobie, że jest obserwowana. Jej sąsiad, pan Aslop, stał koło swojego samochodu z gąbką w ręku i przestachem malującym się na twarzy. Chris wytarła wilgoć z oka.

- Wszystko w porządku? - zapytał ostrożnie.

Chris uśmiechnęła się do niego skruszona i poprawiła ręką włosy, odkrywając w nich kawałki liści i gałązek, które starała się bezskutecznie wyłuskać.

- Pirat drogowy - powiedziała cicho, po czym, stukając w mur z piaskowca, dodała: - Ale na szczęście bez żadnych poważnych strat. - Pan Aslop pokiwał głową. Patrzyli na siebie w niezręcznej ciszy, aż w końcu Chris odkaslnęła i spytała: - Pewnie nie zauważył pan rejestracji?

Patrzył na nią tępo, więc zdecydowała, że najrozsądniej będzie, jak już sobie pójdzie.

- Nie będę panu przeszkadzać - wymamrotała. Podniosła motykę z taką godnością, na jaką było ją stać, i poszła do domu mamrocząc pod nosem: - Drań, drań, drań.

Automatyczna sekretarka detektywa inspektora Jamesona była włączona. W biurze też go nie było. Ciągle jeszcze wpatrywała się w telefon, jakby miała do niego pretensje, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi.

Otworzyła je i zobaczyła stojącego za progiem Jamesona. Obok niego stał Foster, wyglądający schludnie i nieco po gangstersku w okularach przeciwsłonecznych.

- Doktor Radcliffe - zaczął Jameson. - Niestety, mam złą wiadomość.

Natychmiast zapomniała o strachu o jej własne bezpieczeństwo i poczuła coś znacznie silniejszego. Czuła, jak się robi blada, i nieświadomie ścisnęła framugę.

- Phil? - spytała.

Dwaj mężczyźni czuli się nieswojo. Przeniosła wzrok z Jamesona na Fostera, chcąc, żeby w końcu się odezwali.

- Pani ojciec - powiedział Jameson. Zauważył silne i sprzeczne emocje malujące się na

jej twarzy.

Kiedy się odezwała, mówiła jednak spokojnym głosem.

- O co chodzi z moim ojcem?

- Możemy wejść?

- O co chodzi z moim ojcem? - powtórzyła.

- Nie żyje.

Spojrzała ostro na Fostera, podejrzewając, że przekazanie tej wiadomości sprawiło mu satysfakcję.

Jameson znowu zauważył mieszane uczucia na jej twarzy.

- Uważałem, że powinna pani wiedzieć - powiedział, przeprasząc za bezpośredniość Fostera.

- Dziękuję - odparła, zdając sobie sprawę, że odpowiedź jest nieodpowiednia. - I co teraz...?

- Leży w miejskiej kostnicy. Jest trochę formalności: identyfikacja, drobiazgi, które miał przy sobie... - Zawahał się. - I zorganizowanie... - Prawie powiedział „pozbycia się ciała”, ale w ostatniej chwili zmienił na: - Pogrzebu. - Po czym, widząc jej wahanie, dodał: - Jeśli nie sprawi to pani zbyt wielu kłopotów.

- Tak - rzuciła. - Oczywiście. Ja... - Odwróciła się do telefonu i trzęsącymi rękoma wykręciła numer Marii Steyens.

Jameson bez zaproszenia wszedł do środka, dając Fosterowi, który wrócił do samochodu, jakiś znak.

- Bel? - Usłyszał, jak rozmawia. - Tak. Policja tu jest. Nie. Na razie ani śladu. Słuchaj... - Mówiła sceptycznym tonem, starannie dobierając słowa, jakby było ważne, żeby nie pomyliła się w tym, co ma do powiedzenia, jakby próbowała przekonać samą siebie. - Mówią, że odkryli ciało mojego ojca. Chcą, żebym z nimi pojechała do kostnicy. - Zamilkła na chwilę, po czym ciągnęła dalej: - Wiem. Mogłabyś? - Jamesonowi wydawało się, że słyszy w jej głosie nutkę bezradności. Odwróciła się do niego i spytała o drogę. Przekazała wskazówki i rozłączyła się.

To Jameson nalegał, żeby ją zawieźć. I przyglądał się jej potem w tylnym lusterku. Wyglądała raczej na zamyśloną niż zmartwioną.

- Kiedy? - spytała, gdy wjeżdżali na A450.

- Parę dni temu. Znalaziono go w poniedziałek po południu.

- Znalaziono?

Jameson ciągle uważnie ją obserwował.

- Spadł ze schodów kościoła św. Łukasza przy Bold Street.

Jameson znowu zerkał badawczo w lusterko. Na twarzy Chris nie było widać ani śladu zdziwienia, szoku czy smutku, tylko chłodną kalkulację. Wymamrotała coś w rodzaju: „Zwykły pijak”. Jameson nie był pewien. Powiedziała to cicho i bez goryczy.

- Poziom alkoholu we krwi był wysoki - rzekł Jameson.

Zamilkła, a Jameson skoncentrował się na prowadzeniu, bo zbliżali się do świateł przy Neston. Chwilę później spojrzął przelotnie w lusterko i zobaczył, że zmarszczyła czoło.

- Dlaczego nie zawiadomiono mnie w poniedziałek? - spytała.

- Jedynym dowodem tożsamości, jaki miał przy sobie, było świadectwo ślubu. Miejscowa policja starała się znaleźć jego krewnych w rejestrze narodzin i zgonów, ale to czasochłonna procedura. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności ktoś słuchał pani audycji w środę i skojarzył, że może istnieć jakiś związek.

- Świadectwo ślubu to dziwna rzecz, żeby ją ze sobą nosić - zauważyła Chris.

Jameson już o tym myślał - jemu też wydawało się to dziwne.

- Udali się pod pani poprzedni adres, ale bez rezultatu - powiedział. - Dzisiaj znowu tam poszli i od byłych gospodarzy dostali aktualny. - Nie dodał, że jakiś bystrzak z jej miejscowego posterunku przekazał mu wiadomość, a on odwiódł ich od wizyty u niej dzisiejszego ranka. Chciał załatwić tę sprawę samemu, przekazać wiadomość osobiście i obserwować jej reakcję.

- Nie była pani w pracy w poniedziałek, doktor Radcliffe - odezwał się Foster.

- Nie.

Jameson przez chwilę nie przerywał ciszy, po czym spytał:

- Gdzie dokładnie pani była? Spojrzała na niego zdziwiona.

- A, rozumiem. Chce pan wiedzieć, gdzie byłam, kiedy umarł.

I kiedy uprowadzono Ann, pomyślał, ale zadowolił się powiedzeniem:

- Jeśli chce pani o tym myśleć w ten sposób, to tak.

Oderwał wzrok od drogi. Ich oczy spotkały się na chwilę w lusterku.

- Byłam w domu. Ledwo się wprowadziłam. Musiałam uporządkować swoje rzeczy.

- Sama?

- Tak, sama. Cały dzień i całą noc. Przykro mi, panie Jameson, ale nie mogę panu podać alibi nie do podważenia.

Jej bezdusność była szokująca.

- Nie wątpię, że będzie mnie pan uważał za nieczułą sukę - dodała, a on spojrzął gwałtownie w lusterko. Przyglądała mu się chłodno. - Ale skoro pan roi sobie, że wie

wszystko na ten temat, niech pan się powstrzyma od oceniania mnie.

Kobieta o imieniu Bel czekała przed kostnicą, kiedy przyjechali. Jameson rozpoznał w niej dziewczynę ze zdjęcia rodzinnego; stała po jednej stronie Greera, a Radcliffe po drugiej. Miała bardzo ciemne, jedwabiste włosy, jej oczy, raczej orzechowe niż brązowe były duże i lekko wznoszące się ku górze w zewnętrznych kąciach oczu. Nie miała żadnego makijażu, ale pomimo widocznego zaniepokojenia, była okazem zdrowia.

- Isabel Stevens. - Foster pokiwał głową z uznaniem.

Skinęła głową w stronę dwóch mężczyzn i ruszyła w ich kierunku z lekkością i gracją baletnicy. Chwyciła Chris za obie ręce. Wymieniły spojrzenie, po czym Bel objęła ją w tali. Był to naturalny, siostrzany gest i Jameson, stojący za nimi, zobaczył, że musnęły się głowami. Poczul się nagle nieswojo, czuł, że narusza ich prywatność, więc odwrócił się szybko, aby przywołać pracownika kostnicy. Pokazał legitymację służbową i zostali natychmiast wpuszczeni.

- Gdzie on jest? - spytał Jameson.

- Położyliśmy go w kaplicy. - Powiedział niski, dość pulchny człowiek w zielonym fartuchu z plastiku. Przedstawił się Chris jako doktor Connolly, patolog, zajmujący się ciałami po zgonie. Jameson wskazał dwóm kobietom drzwi po lewej stronie małej i ponurej poczekalni. Przyjrzał się strojowi mężczyzny i spytał: - Zapracowany?

- Nie ma chwili spoczynku dla przeklętych.

- Jakbym nie wiedział.

Miał nadzieję, że uda mu się czegoś dowiedzieć o doktor Radcliffe, odszukując jej ojca. Ale on był już martwy. Tak jak jej dwie były współpracownicy.

Stojąc wokół wózka z ciałem, tworzyli ciekawą kompozycję: dwóch policjantów, patolog i dwie śliczne, młode kobiety. Jameson pomyślał, że ta Stevens wygląda na bardziej przygnębioną niż Radcliffe. Nieustannie spoglądała nerwowo na przyrodną siostrę i ani na chwilę nie puszczała jej ręki. Zauważył, że Radcliffe wyglądała na spiętą, ale nie przygnębioną.

Patolog uniósł prześcieradło, a Chris wydała dźwięk obrzydzenia albo zdenerwowania. Odwróciła się szybko i wyszła z pomieszczenia. Powietrze na dworze było ciężkie i wydawało jej się, że zapach środka dezynfekcyjnego towarzyszył jej, kiedy znalazła się na piekącym, popołudniowym słońcu. Szła szybko, chcąc zwiększyć odległość od budynku i zatrzymała się dopiero, kiedy usłyszała, że woła ją Isabel.

Bel chwyciła ją pod ramię i spacerowały jeszcze kilka minut, już wolniej.

- Dobrze się czujesz? - spytała Bel.

- Nie wiem.

- Co się dzieje, Chris?

Chris potrząsnęła głową.

- Tego też nie wiem.

- Doktor Radcliffe... - Jameson stał kilka metrów od nich, dziwnie nieśmiały. Chris zwróciła się twarzą w jego stronę. - Przepraszam - powiedział - ale muszę zadać to pytanie. Czy to jest...

- Nie, panie Jameson. To nie jest mój ojciec. Mój ojciec zmarł rok temu, tak, jak to pan opisał. - Też upadek - w jego domu, nie przy św. Łukaszu - nie upadł aż tak nisko. Ale był pijany i zmarł w wyniku upadku. Pęknięcie czaszki.

*

Jameson został zaatakowany mnóstwem pytań i prośb, kiedy tylko przekroczył próg centrali. Kilku byłych pacjentów Dorothy i Ann wyszło ostatnio z więzienia. Wszyscy mieli na koncie dawne albo świeże wyroki za ciężkie uszkodzenia ciała. Teczki czekały w jego biurze. Było dużo telefonów z miejscowych i ogólnokrajowych gazet z prośbą o komentarz w sprawie śledztwa i dwie prośby od jego przełożonego, żeby się z nim szybko skontaktował.

Jameson na dziesięć minut schronił się w swoim relatywnie spokojnym biurze. Chodził po małym pokoju, po raz setny żałując, że nie może wpuścić do niego trochę powietrza - prawdziwego powietrza, nie tego gazu o wyregulowanej temperaturze i wilgotności, który krążył nieustannie w zamkniętych cyklach w tym budynku, ale dobrego, stuprocentowego powietrza. Nawet skażone i hałaśliwe spaliny z sobotniej Dock Road byłyby lepsze niż ta sztuczna izolacja.

Kiedy się trochę uspokoił, zadzwonił do Fostera.

- Dowiedz się, gdzie jest szef, ale jeśli ktokolwiek będzie się pytał, to jeszcze mnie tu nie ma.

Foster przyszedł do jego biura kilka minut później. Ubrany był w świeżo wykrochmaloną koszulę z krótkimi rękawami, na widok której Jameson zrezygnował ze zdejmowania marynarki. Szczera wymiana zdań w samochodzie, kiedy wracali do komendy, była przyczyną krępującej ciszy.

Foster nie mógł zrozumieć, dlaczego jego szef nie aresztował Chris Radcliffe za marnowanie czasu policji, a Jameson w duchu podziwiał ją za odwagę, konieczną, żeby zgodzić się pojechać do kostnicy. Z drugiej strony, Jameson nie mógł pojąć wrogości, z jaką

Foster odnosił się do lekarki. Może być kolejna na liście: w końcu przy jej teczce też ktoś grzebał, jak przy Ann i Dorothy. Ten sam okres czasu, takie same uszkodzenie. Stwierdził, że gdyby był Christine Radcliffe, sam też chciałby zobaczyć ciało.

Foster był nieprzekonany. Z jego punktu widzenia, Radcliffe była kłamliwą, wykrętną i bystrą suką, która chroniła podejrzanego o morderstwo.

Obaj się zgodzili, ale z różnych powodów, że nadzór nad lekarką musi być utrzymany.

- Szef jest w domu - powiedział na koniec Foster.

- To dobrze. Może poczekać. - Jameson chciał zapoznać się z ludźmi z teczek, nim stawi czoło przełożonemu. Rozluźnił krawat i odpiął górny guzik koszuli, po czym wziął teczkę ze stosu leżącego na jego biurku i podał ją Fosterowi. Czytali dokumenty i robili notatki.

Darren Lewis, podpalacz. Pierwszym przypadkiem był atak na szkołę w wieku lat jedenastu. Skierowany do poradni psychologicznej. Dwa aresztowania, oba za kradzież z włamaniem. Jeden wyrok skazujący. Zatrzymany za wymuszanie pieniędzy i groźby. Oskarżenie wycofano, ale skierowano go do domu dziecka. Umieszczony w Sunnyside. Kilkakrotnie aresztowany za napaść, kiedy działał jako nieoficjalny komornik na zlecenie właścicieli nieruchomości o niskim standardzie. Nie skazany, bo ofiary odmówiły wniesienia sprawy do sądu. Uwięziony w 1990 za podpalenie restauracji. Najpierw myśleli, że na tle rasistowskim, ale okazało się, że właściciel wynajmujący lokal chciał go sprzedać, a pan Singh, prowadzący restaurację, nie chciał się wynieść. Stracił nie tylko restaurację: okazało się, że Lewisa nie interesowało, czy ktoś był w budynku, kiedy podkładał ogień i pan Singh trafił do szpitala z poparzoną twarzą i trzydziestoma procentami ciała od pasa w górę.

Następna byłateczka Wilsona. Jameson nie znalazł tam nic godnego uwagi. Wilson zaczynał od niegroźnych wykroczeń - kradzieży w sklepach i paserstwa - a później był zamieszany w defraudację zasiłków, co go kosztowało osiemnaście miesięcy. Tylko raz był skazany za ciężkie pobicie - zaatakował ucznia w szkole średniej. Jameson odłożył teczkę.

- Jak ci idzie? - spytał.

- Waga ciężka - odparł Foster nie podnosząc oczu. Był zajęty dokumentami. - Razem...
- Przerzucił kilka kartek i szybko zsumował: - Aresztowany dziesięć razy przed ukończeniem piętnastego roku życia. Okresy spędzone w domu dziecka - między innymi w Sunnyside. Potem dorwał ojca - uduszenie rękoma. - Podniósł wzrok i ucieszył się widząc, że Jameson poświęca mu całą swoją uwagę. Ostra sprzeczka w samochodzie zaczynała odchodzić w niepamięć, kiedy pograżyli się w pracy. - Osadzony w poprawczaku z nadzorem. Oskarżony o ciężkie pobicie, kiedy w bójce z nim pękła chłopakowi śledziona. Wypuszczony w wieku lat

dwudziestu jeden - po sześciu miesiącach ponownie w więzieniu. Rozbój. Uzależniony od narkotyków. Nazywa się George Maddox. Normalnie przebywa w Avonlea, ale wypuszczają go w niektóre dni i na weekendy.

Jameson chrząknął, notując coś w notatniku leżącym na jego biurku.

- Sprawdzisz daty, co? A ten mój, Lewis to też niebezpieczny typ - powiedział. - Im szybciej wydział „A” zajmie się nim w sprawie tej fali podpaleń, tym lepiej. Swoją drogą, to kolejny były mieszkaniec Sunnyside.

Foster uśmiechnął się ponuro.

- Stare więzi szkolne - wymamrotał.

Przejrzeli inne teczki: Michael Doyle - powiązany z grupami faszystowskimi. Osadzony w więzieniu po ataku gangu na chłopca pochodzącego z Azji po meczu piłkarskim. Azjata stracił oko i (o czym nie było mowy w raporcie) zaufanie, żeby samemu chodzić po ulicach.

Shane Reid - aresztowany za napaść na nauczyciela. Oskarżenie wycofane. Potem kradzież samochodu. I nadzór kuratorski. Kolejne aresztowanie za kradzież samochodu. Krótki wyrok w poprawczaku. Następne aresztowanie za zabójstwo - potrafił kogoś i zbiegł z miejsca wypadku.

Kyle Banister. Ćpun. Kilka wyroków za kradzieże i włamania. Pobił kobietę, która wcisnęła się przed jego samochód na zatłoczonej ulicy. Uderzył ją tak mocno, że odcisk jego butów pasował do siniaków na jej brzuchu i plecach. Żeby go obezwładnić przy aresztowaniu, potrzebnych było sześciu policjantów.

Jameson zadzwonił do detektyw Ryman, która miała przejrzeć trzydzieści albo i więcej teczek i wybrać z nich te, którymi zajmował się Jameson i Foster. Kiedy na nią czekali, zapytał Fostera o zdanie. Foster wygładził wąsy.

- Maddox zdecydowanie tak, razem z Lewisem. Może Banister.

- Zgoda... - Jameson przerwał, żeby wpuścić Mary Ryman. Wśliznęła się do pokoju, jakby denerwując się, że coś straci. Wysokiemu wzrostowi, szczupłości i nieustającej nerwowości zawdzięczała swoją ksywę „struna”. Była ubrana w bluzkę bez rękawów z wzorkiem psich zębów, która podkreślała jej płaskie piersi i brak talii, przez co wyglądała jak gamoniowata uczennica. Podobieństwo było tylko zewnętrzne, bo Mary Ryman jako policjantka cieszyła się dużym szacunkiem.

- Co możesz nam powiedzieć o Darrenie Lewisie? - spytał Jameson.

- Wiem, że wydział „A” skojarzył go już z serią podpaleń. - Głos Ryman był dość niski i zachrypnięty. Głos palacza. - Właściciele chcą pozbyć się dzikich lokatorów, więc czyszczą

nieruchomości ze squaterów. Zapewne jakieś machlojki z ubezpieczeniem. To śliski typ. Wygląda na to, że zawsze ma jakieś alibi. Wczoraj wieczorem ktoś został ranny w jednym ze squatów niedaleko Princes Park. - Jej twarz była spokojna, ale było widać, że jest wzburzona. Bała się ognia po tym, jak miała wypadek ze sztucznymi ogniami, kiedy była jeszcze dziewczynką. - Lewis mówi, że był całą noc z niejakim Garym Tighem.

- Mamy jego adres? - spytał Jameson, sięgając po jego teczkę.

- Tighe'a, tak. To dealer. Ale Darren zmienia miejsce pobytu. Ma mieszkanie w Albert Dock i dom na Penny Lane. Taak... - westchnęła. - Zbrodnia popłaca.

- Odwiedź wydział „A”, tak z grzeczności. Powiedz im, że będziemy nękać pana Lewisa. Ale nim pójdziesz, mamy coś jeszcze o Maddoxie?

- Plotka niesie, że kiedy wraca z przepustek do Avonlea, to przynosi ze sobą torby słodczy.

- Żelatynowe misie dla dzieci? - spytał Foster.

- Raczej duże ilości oranżady w proszku. Zarabia na swoje ćpanie, dilerując w środku.

Ryman wyszła, a Jameson odchylił się na krzesło i zamyślił się.

- Sprawdź powiązania tych dwóch z Sunnyside, dobra, Bob? - polecił. - I dowiedz się, jak się nazywa dziennikarz, który zajmuje się tą sprawą w Heroldzie. Może wiedzieć coś przydatnego.

Del nalegała, żeby Chris wróciła z nią do domu jej matki. Była rozdrażniona i nie mogła sobie znaleźć miejsca, a po jakiejś godzinie przypomniała sobie, że umówiła się, że będzie pracować dzisiaj po południu z Simonem. Zadzwoiła do niego, ale nikt nie odpowiadał.

- Już na pewno wyjechał. Muszę iść.

- Simon to duży chłopiec. Poradzi sobie.

- Tyle, to ja wiem, Mario, ale naprawdę mam mnóstwo pracy i tylko wszystkich denerwuję kręcąc się po domu, więc...

Na twarzy Marii pojawił się wyraz niezadowolenia, ale wiedziała, że nie ma sensu się spierać: Chris podjęła decyzję i nie ma szans, aby ją od niej odwieść.

*

Jego mini był zaparkowany przed domem, ale po Simonie nie było śladu. Chris zawołała go i usłyszała gwałtowne kroki na ścieżce przy domu.

- Chris! Dzięki Bogu! - To był Simon.

Martwił się o nią, ale najwyraźniej nie zwracał uwagi na to, że zmarnowała dwie godziny jego czasu. Kiedy powiedziała mu o znalezieniu ciała jakiegoś pijaka, zamilkł na kilka minut, a ona zrobiła kanapki i naląła im piwa.

- Po co ktoś miałby to robić? - spytał.

- Może to groźba? - odparła Chris. - Ostrzeżenie? Pokazuje mi, że wie, że są szkielety, których nie chciałabym ruszać? - Ułożyła kanapki na talerzach, czując wzbierający w niej gniew i jednoczesną niemożność działania. - Po prostu nie chce mnie zostawić w spokoju - powiedziała, wrzucając z hałasem nóż do zlewu.

- Nie wiem, co mam ci powiedzieć - odparł Simon, kiedy już stwierdził, że nic nie powie.

- Nie musisz nic mówić. Wiesz, co do niego czułam. - Po roku prawie codziennych spotkań z dorosłymi ludźmi, którzy opowiadali jej, jak byli dręczeni jako dzieci, nie mogła ukrywać własnej przeszłości.

- No właśnie - rzekł, patrząc na nią w ten swój nieśmiały, prawie ukradkowy sposób, z którego jeszcze nie do końca wyrósł. - Wiem, że nie jestem psychologiem i w ogóle, a już na pewno nie Einsteinem, ale wiem na pewno, z tego co napisałaś w imię miłości, że musiałaś mieć mnóstwo rzeczy na głowie, kiedy on... - Simon potrząsnął głową. - Ktokolwiek położył to świadectwo ślubu na zwłokach, musi chcieć cię wyprowadzić z równowagi. Dziwi mnie, że podchodzisz do tego z takim spokojem; gdyby mnie coś takiego się przytrafiło...

Chris czuła intuicyjnie, że Simon był skłonny opowiedzieć o swoim nieszczęśliwym dzieciństwie, ale pomimo, że nieświadomie chciała doprowadzić do tego momentu przez dwa lata, od kiedy zaczęli razem zbierać materiały do książki, teraz czuła, że nie podołałaby zadaniu. Myślami cały czas wracała do zwłok, które roztaczały wokół siebie jakąś własną, chorobliwą aurę i, starając się pozbyć odoru kostnicy, wciągnęła dużo powietrza nosem.

- Nie wiedziałam, że kupiłeś moją książkę - powiedziała. - Musisz mi ją dać, żebym ci wpisała dedykację. - Kątem oka zauważyła, że się wzdrygnął i natychmiast pożałowała tej uwagi. - Przepraszam, Simon. Nie powinnam tego mówić. Po prostu nie mogę jeszcze o tym rozmawiać.

12

W niedzielę po południu ruch na ulicach był mały, więc Chris musiała dojechać do Liverpoolu, żeby spróbować pozbyć się ogona. Jeśli Phil by się zgłosił na policję, Jameson bez wątpienia natychmiast odwoła swoje psy gończe, ale jak na razie będzie musiała oglądać się za siebie. Obraz papierków od cukierków na ziemi pod krzakami przyszedł jej do głowy i poczuła niepokój, a po chwili wzbierający w niej gniew. Jeśli to jeden z ludzi Jamesona - sprawdzający, kogo przyjmuje u siebie w domu - zostawił papierki, to może się czuć bezpieczna i rozkoszować się swoim gniewem.

Ale inna możliwość uporczywie przychodziła jej do głowy: że obserwuje ją ten, kto zabił Dorothy i Ann. A może to Dixon przesyłał jej wiadomość: Wiem, gdzie mieszkasz, więc się ode mnie odczep. Może Dixon jest mordercą. Była tak pochłonięta tą myślą, że prawie wjechała w samochód przed nią, kiedy zatrzymał się na światłach. Do diabła z tym, pomyślała. Muszę jasno myśleć, skoro mam znaleźć Phila, a nie uda mi się to, jak będę rozpatrywała wszystkie możliwe czarne scenariusze. Na razie trzeba się skupić na tym, czy Phil pojawi się pod adresem, który jej podano. O problemach z policją pomyśli, gdy Phil będzie bezpieczny.

A jej ojciec? Chris nagle poczuła mdłości i musiała zatrzymać się przy krawężniku. Była spięta. Było to tak dawno temu, że prawie zapomniała swojego ojca. Ale pewnymi sprawami nigdy się nie zajmowała; były aspekty zachowania ojca, z którymi nigdy się nie uporała. Ciało w kostnicy rozjątrzyło wszystko na nowo. Przez moment siedziała z głową opartą na kierownicy, z zamkniętymi oczyma, starając się nie myśleć. Ale obraz twarzy jej ojca uparcie nakładał się na twarz trupa z kostnicy i utrwał się pod jej powiekami, jak wywoływane zdjęcie. Tym, co drażniło ją najbardziej, był spokój - absolutny błogostan - malujący się na twarzy ojca. W końcu znalazł to idealne, zupełne zapomnienie, którego szukał tyle lat w alkoholowych majakach, zostawiając ją z mnóstwem nie rozwiązanych problemów i nie poukładanych emocji. Nie zasługiwał na ten spokój i nie pozwoliłaby mu na niego, gdyby tylko mogła.

Kropelka potu spłynęła jej spomiędzy łopatek po plecach; temperatura powietrza przekraczała trzydzieści stopni, ale ona i tak czuła chłód. Ted powtarzał wielokrotnie, a ona nie mogła zaprzeczyć: Wcześniej raczej niż później będzie musiała wziąć się za bary ze

śmiercią ojca.

Ale jeszcze nie teraz. Nie mogę - nie mogę jeszcze stawić temu czoła! Silnik zgasł, bo zbyt mocno nacisnęła pedał gazu, źle puściła sprzęgło i niedokładnie wrzuciła bieg. „Cholera” - zaklęła pod nosem, ruszając po chwili. Rzuciła okiem w lusterko i zauważyła, że policyjna fiesta jedzie dwa samochody za nią.

Skierowała się w stronę Scodand Road, jadąc powoli wzdłuż całej Country Road, minęła niszczejące sklepy, zwolniła tam, gdzie droga się zwężała, jakby jej się nie spieszyło, mając nadzieję, że śledzący ją pomyślą, iż kieruje się do wjazdu na Rice Lane. Trzymali się z dala, kiedy zwolniła na światłach przy Kwik Save. Było zielone, a po obu stronach stało trochę pieszych, czekających na zmianę światła. Rzuciła okiem w lusterko i zauważyła, że zapaliło się żółte. Skręciła ostro w Arnot Street i rozpędzając się minęła wysoki, czerwony budynek szkoły. Przejechała przez Goodison Road i wjechała na City Road. Jechała w stronę Walton Hall Avenue, ale skręciła z niej po chwili na wypadek, gdyby rozesłali opis jej samochodu i zamiast tego wjechała w płataninę domów komunalnych z lat czterdziestych i pięćdziesiątych, klucząc po krętych uliczkach i zaułkach. W końcu zrobiła pętlę, przecięła Queens Drive po raz drugi i zaryzykowała kilka kilometrów po Green Lane, aby dostać się na Wavertree i znaleźć adres, który dał jej John J., człowiek namierzony przez Alfa.

Chris spojrzała na zegar na tablicy rozdzielczej - trzecia piętnaście. Przyjechała przed czasem. Zaparkowała przy końcu ulicy, mając nadzieję, że zauważy Phila, jak będzie przechodził, ale na ulicy nie było nikogo. Leżał tu tylko czarny pies z łapą podwiniętą pod siebie, dyszący w słabym cieniu, rzucanym przez niski murek.

Podskoczył, kiedy się zbliżała, i spojrzał na nią wściekle, blokując chodnik, ale w ostatniej chwili odskoczył, wachając powietrze, gdy go mijała. Chris przeszła z pięćdziesiąt metrów, zastanawiając się, dlaczego dzieci nie bawią się na ulicy. Było nienaturalnie cicho, tylko czasem z okien dobiegały dudniące głosy: popołudniowe telenowełe zniekształcone przez zbyt wysoko podkręconą głośność. Raz usłyszała odległy i dziwnie uspokajający stukot pociągu, ukrytego za nasypem i murem na końcu ulicy, więc słyszała tylko odgłos, pośrednio informujący o jego istnieniu.

Gdzieś poruszyły się zasłony i wydało jej się dziwne, że na takiej normalnej - nawet zaniedbanej - ulicy ludzie tak bardzo interesują się gośćmi swoich sąsiadów. Wiedziała, że mrówki, które czuła na plecach, nie biorą się tylko z upału i z ulgą w końcu skręciła w stronę podupadłego domu z wyblakłą, zieloną furtką. Zawiasy były przerdzewiałe, więc musiała nieco unieść furtkę, żeby ją otworzyć. Ruszyła z oporem i skrzekiem, jakby była rzadko używana, co wzbudziło w Chris niemiłe skojarzenie z jej własnym domem - domem jej

rodziców - który był otoczony niskim murem i miał zniszczoną furtkę; jako dziecko przeważnie przeskakiwała przez murek, żeby uniknąć oskarżeń ojca, że niszczy i tak już zbutwiałe deski tworzące furtkę, prowadzącą do domu.

Przed nią znajdowały się brudne okna, a Chris czuła, że ktoś stoi za pożółkłymi firankami. Zdławiła w sobie chęć odwrócenia się i odejścia: panowała tutaj groźna atmosfera. Ale jeśli Phil tu jest, to tym bardziej trzeba go stąd zabrać. Nie widać było ani kołatki, ani dzwonka, więc Chris zastukała w skrzynkę na listy. W domu rozległo się tak wściekłe szczekanie, że Chris zrobiła krok do tyłu. Phil nie może tutaj mieszkać, na pewno nie z tym diabelskim stworzeniem.

Drzwi uchyliła kobieta o lisiej twarzy. Były na łańcuchu. Nic nie powiedziała, tylko ruchem głowy zadała milczące pytanie.

- Przysłał mnie John J. - Poinstruowano ją, żeby tak powiedziała. Kobieta cofnęła się i zatrzasnęła drzwi, ale Chris usłyszała spuszczone łańcuch i drzwi otworzyły się szeroko.

Chris spojrzała w mroczny przedpokój.

- No, wchodź, bo zamykam - rzuciła kobieta, po czym, widząc, że Chris spogląda w górę schodów, w stronę źródła szczekania, zachnęła się kpiąco. - Jest zamknięty w sypialni - powiedziała, ponownie zatrzasnąwszy drzwi, kiedy Chris weszła. Odrzuciła głowę, wskazując ciemny korytarz za sobą. - Z tyłu.

- Kto wchodzi frontowymi drzwiami? - Był to głos mężczyzny. Kobieta spoważniała słysząc wściekłość w jego głosie.

- Nie wiem kto to. Mówi, że przysłał ją John J.

Słyszając głos swojego pana, pies przestał szczekać i zaczął tylko słabo wyć. Chris usłyszała odgłosy jego łap na parkiecie nad sobą, po czym głucho uderzenie, kiedy położył się w swoim kącie, nie przestając cicho jęczeć i wyć.

Sylwetka właściciela głosu pojawiła się na końcu wąskiego korytarza. Był wysoki i smukły i nawet w słabym świetle Chris zauważyła, że ma duże, wyłupiaste oczy.

- John cię przysłał, tak?

Chris kiwnęła głową, wytrzymując jego ostre spojrzenie.

- Zniszczę go za przysyłanie mi gości od frontu! Nasi pieprzeni sąsiedzi są wścibscy jak cholera. - Wyciągnął rękę, włączył światło i natychmiast zamilkł, zdziwiony jej wyglądem. - Czego chcesz? Tutaj nie jest Adelphi, wiesz? Nie ma pięciogwiazdkowej obsługi.

- John powiedział, że zastanę tu mojego przyjaciela... Wyszczrzył do niej swe szerokie, białe zęby.

- Ja będę twoim przyjacielem.

- Ej! Nie jesteśmy też pieprzonym biurem matrymonialnym! - Kobieta o lisiej twarzy otrząsnęła się, powodowana nagłą zazdrością. - No dobra, czego chcesz? Tam czekają na nas klienci - warknęła. Ostatnia uwaga była skierowana do jej partnera.

Chris doszła do drzwi kuchennych, kiedy chwycił ją mężczyzna, wbijając swe kościste palce w jej ramię.

- Gdzie się wybierasz? - spytał.

Chris odwróciła się i spojrzała w jego wychudłą twarz, tłumiąc w sobie strach, starając się za wszelką cenę robić wrażenie pewnej siebie, a przynajmniej nie okazywać strachu.

- John powiedział mi, że mój przyjaciel będzie tu teraz. Chcę tylko go znaleźć i iść stąd.

- A jeśli on nie chce być znaleziony?

Chris spojrzała na palce ściskające jej ramię; będzie jutro miała na ramieniu wianek siniaków. Miała nadzieję, że nie dostrzeże szybkiego pulsu na jej szyi. Spojrzała na kobietę o lisiej twarzy, która przyglądała się jej zazdrośnie.

- Znasz te dwie kobiety, które zamordowali?

Poczuła, że uścisk na jej ramieniu się zacieśnia, ale po chwili osłabł.

- Policja szuka go w związku z tą sprawą. Myślisz, że to rozsądnie afiszować się z takim klientem?

W mętnych oczach dealera zauważyła cień wątpliwości, ale nie puścił jej ramienia.

- Puść ją, do cholery, Gaz! - wtrąciła się kobieta. - Nie chcemy, żeby nam się tutaj zwaliły psy.

Za drzwiami kuchennymi było małe podwórko, skąd dochodziło słabe światło, oświetlając nędzny pokój. W przejściu stał rozkładany stół, a za nim czekało kilku ludzi w krzywej kolejce, a krępy człowiek z bardzo umięśnionym karkiem brał od nich pieniądze w zamian za małe kwadraciki złożonego papieru. Z lewej strony mężczyzny leżało kartonowe pudełko pełne plastikowych torebek, butelek i kawałków papieru wyglądających na niewinne paczuszki do zdjęć.

- Przystaniesz się w końcu opierdalać i pomożesz mi, Gaz? - krzyknął krępy mężczyzna, nawet się nie odwracając.

Chris zwróciła uwagę na drugiego człowieka w kolejce. Schudł w ciągu tych paru dni i był nie ogolony. Chris wyczuwała jego udręczenie - codzienny rytuał golenia się był równie ważny dla jego zdrowia psychicznego, jak jedzenie i picie. - Cześć, Phil - rzuciła nad głową krępego mężczyzny.

Mężczyzna siedzący przy rozkładanym stole odwrócił się i gwizdnął z uznaniem.

- Czegokolwiek sobie życzysz, kotku, będzie na koszt firmy. - Miał niski głos i mówił z mocnym, gardłowym akcentem.

- Odsuń stolik, dobra? - powiedziała Chris. Nie odrywała oczu od Phila, który stał jak wmurowany, przerażony i szczęśliwy jednocześnie. Krótka kolejka zaczynała się burzyć - klienci chcieli być obsłużeni.

Krępy mężczyzna odwrócił się do niej i uśmiechnął się podejrzliwie - usłyszał nutkę niepewności w jej głosie i Gary Tighe zrobił krok w jej stronę, ciągle zastanawiając się, czy puścić ją bez jednoznacznego przypomnienia, że niemądrze byłoby mówić policji o tym, co widziała. Chris wyczuła ruch za swoimi plecami i zastygła. Phil zawahał się. Jeśli nie podejdziesz do niego szybko, to ucieknie. Serce waliło jej w piersiach. Tighe blokował jej drogę, a grubas myślał o czymś więcej, niż tylko o pieniądzech w jej kieszeni. Do przodu czy do tyłu? Z tyłu musiałaby minąć i Tighe'a, i kobietę - i straciłaby Phila. Więc do przodu. Obok grubasa. Do Phila. Chris przywołała na twarz coś, co miała nadzieję było zimnym, butnym spojrzeniem.

- Odpieprzcie się, co?

Gruby mężczyzna zrobił duże oczy, gotowy, żeby wybuchnąć śmiechem, a wtedy Chris jednym płynnym ruchem podniosła część stołu, jednocześnie odwieszając go z zawiasów. Błat spadł na dół i białe paczuski znalazły się na podłodze.

Chris przeskoczyła zwinnie nad bałaganem i znalazła się na brudnej cementowej ścieżce, prowadzącej do furtki na tyłach domu. Wzburzone głosy klientów, którzy rzucili się na paczuski, zostały zagłuszone jednoczesnym rykiem dealera i wściekłym ujadaniem psa. Słyszać je było w całym domu i niesło się po uliczce, znajdującej się po drugiej stronie ostro zakończonego, ceglanego muru zamykającego podwórko. Chris złapała Phila za rękę i chociaż ją cofnął, to jednak jej nie wyrwał.

- Chodźmy - rzekła tylko.

Wysoki mężczyzna ruszył za nią, stąpając po kruchej dykcie stołu. Chris słyszała głośny trzask drewna, pękającego pod jego ciężarem. Zepchnął z drogi dwóch klientów i Chris jęknęła, kiedy złapał ją za ramię i obrócił, ale Phil położył swoją wolną rękę na jego piersiach i pchnął go. Kiedy mężczyzna upadł na plecy koło stołu, uderzając głową o podłogę, oni już uciekali.

W uliczce szczekały psy, a w oddali Chris słyszała odgłos kolejnego pociągu. Teraz byli bliżej torów, więc hałas był głośniejszy, bardziej natarczywy. Chris starała się zaciągnąć Phila do końca uliczki, gdzie zaparkowała samochód, ale on stanął, zaparł się nogami po obu

stronach spływu, znajdującego się na środku wyłożonego brukiem tylnego wejścia i za nic nie chciał się ruszyć.

- Phil, przestań! - powiedziała Chris błagalnym tonem. Słyszała wzburzone głosy dochodzące z podwórka za ich plecami; najbardziej się bała tego, że Gary pośle za nimi psa.

- Nie tędy! - Phil uwolnił się z jej uścisku. Chris spojrzała na jego zakłopotaną twarz i od razu zrozumiała, o co chodzi. Phil zawsze przemieszczał się okreśną drogą. Nienawidził jechać do pracy i wracać z niej tą samą drogą, posuwał się nawet do tego, że wyjeżdżał z Liverpoolu i łapał inny autobus do domu.

- W takim razie, którą? - spytała Chris.

- Zawsze wracam tą drogą. - Phil wskazał na uliczkę.

Chris westchnęła, znowu złapała go za rękę, ale tym razem się wyrwał. Zastanawiała się, czy w końcu kiedyś się do tego przyzwyczai - najtrudniejszym aspektem nieprzystosowania Phila było to, że odrzucał wszelki kontakt fizyczny. Radziła sobie z jego niepokojami, kłopotami i obsesjami, ale raniła ją jego głęboka niechęć do czułych, uczuciowych gestów. Chociaż wiedziała, jakie są tego źródła, i wiedziała, że Phil nic nie może poradzić na chorobliwy wstręt do kontaktów fizycznych, tak jak nie mógł zmieniać swych codziennych nawyków, to i tak ją to bolało. Robiło wrażenie odrzucenia. Przypominało, że jego przywiązanie do niej i potrzeba, żeby z nią przebywać, mogły być niczym więcej, niż tylko przejawem jego obsesyjnej natury i że była tylko jakimś stałym punktem odniesienia w chaotycznym wszechświecie. W takich momentach Chris rozumiała, dlaczego Maria i Pete Stevens, którzy byli troskliwymi, kochającymi ludźmi, nie potrafili okazać Philowi takiej samej cierpliwości i zrozumienia, jakim darzyli dziesiątki innych trudnych i skrzywdzonych zaadoptowanych dzieci. „To na nic” - orzekł raz Pete z nietypową dla niego rzeczowością. Ani on, ani Maria nie chcieli ani nie spodziewali się wdzięczności czy wynagrodzenia poza niezbędnymi kosztami, ale mieli potrzebę odczuwania, że robią coś dobrego i że dzieci, którymi się opiekowali, odwzajemniają przynajmniej częściowo ich zaangażowanie uczuciowe i bezwarunkową miłość.

- Pójdziemy, którą chcesz - powiedziała, starając się, żeby w jej głosie nie było słychać urazy.

Szli koło siebie. Odstęp między nimi był dla Chris wielką próżnią, a dla Phila odległością dającą poczucie bezpieczeństwa. Minęli otwartą furtkę domu, z którego właśnie wyszli, gdzie dwóch dealerów klóciło się z pozostałymi klientami. Gaz podniósł oczy znad kotłowniny i krzyknął: „Pieprzona suka!” Ale nie ruszył się z bezpiecznego podwórka.

Do Phila nie dotarła uwaga dealera. Wydawało się, że całą uwagę poświęca na

rozwiązanie jakiegoś problemu. Zajmował się energicznie swoim lewym ramieniem, szczypiąc je i uderzając. Szli dalej.

- Gdzie byłeś? - spytała Chris, żeby odciągnąć go od ściskania i szarpania jego już i tak posiniaczonego ramienia. - Martwiliśmy się o ciebie.

- Muszę wziąć tabletki! - Podniesiony głos zaniepokoił Chris. Jeśli Philip teraz spanikuje i weźmie nogi za pas, może go stracić na dobre.

- Możemy je wziąć z twojego mieszkania.

Przez krótką, przerażającą chwilę myślała, że zacznie biec: stał szurając nogami, patrząc to w jedną, to w drugą stronę uliczki, zastanawiając się, w którą stronę uciekać.

- Flip, ja nie mogę tam iść! Przyszła policja! Nie mogę wrócić!

- Wiem. - Chris odczekała chwilę i powtórzyła: - Phil, wiem, że nie możesz tam iść. - Koniecznie chciała zatrzymać ruchy jego palców, ale obawiała się, że mogłoby to wywołać u niego panikę. - Pojedziemy moim samochodem i kiedy ja pójdę wziąć twoje pastylki, zaczekasz za rogiem, dobrze?

Musieli wziąć taksówkę, zostawiając samochód Chris po drugiej stronie Liverpoolu, bo ktoś, kto powiedział Philipowi, że można kupić tabletki u Gary'ego, ostrzegł go też, żeby nie szedł główną ulicą, tylko boczną uliczką. Polecenie to stało się jedną z jego obsesji. Phila zawsze fascynowały czarne taksówki, więc z radością rozmawiał z taksówkarzem o różnych modelach taksówek z lat 1990-1997, kiedy Chris poszła po lekarstwa do jego mieszkania. Dave wpuścił ją zapasowym kluczem. Pobieźnie oglądała skromne pokoje, a dozorca szedł za nią, zdziwiony, że pojawiła się ponownie. Nieliczne książki Phila na półce w dużym pokoju były nie poukładane i jedna z szuflad w kuchni była niedomknięta. Naczynia, które zostawił w zlewie, ciągle tam stały, pokryte tłustym nalotem po brudnej wodzie, a po bąbelkach nie było już śladu. Będzie musiała się tym zająć przed powrotem Phila.

- Szuka pani czegoś konkretnego? - spytał Dave.

Chris przyglądała się miękkim fałdom jego pomarszczonej twarzy. Wiedziała, że można mu zaufać, ale uznała, że nie byłoby w porządku mieszać go w to.

- Zastanawiałam się, czy nie znajdę czegoś, co pomoże mi ustalić jego miejsce pobytu - odparła.

Przez chwilę patrzył na nią w milczeniu.

- Wizyty w squatach na nic się zdały? - spytał po dłuższym czasie.

- Naprzykrzała im się policja - odparła, nie chcąc kłamać wprost. - A w jednym ze squatów podłożono bombę.

- Słyszałem o tym w radiu - rzekł Dave. - Lepiej niech złapią gościa, nim kogoś zabije.

Chris westchnęła.

- Co? - spytał Dave. - Nie chce pani chyba powiedzieć, że już kogoś zabił?

- Jedna kobieta jest ciężko ranna.

Zapadła cisza, więc Chris, żeby ją przerwać, powiedziała:

- Może sprawdziliby pan w kufrze Phila?

Dave spojrział na niebieską metalową skrzynkę, stojącą w kącie. Uniósł brwi, a jego usta wykrzywił grymas ironii.

- A czego mam szukać?

Chris wzruszyła ramionami. - Igły w stogu siana.

Dave umieścił skrzynkę na stoliku i usiadł plecami do drzwi sypialni. Po krótkiej chwili Chris wróciła.

- Nic - powiedziała.

- Ja też nic nie znalazłem. Myślę, że policja przeszukała to miejsce dość dokładnie.

Chris spojrzała na niską, przypominającą gruszkę sylwetkę dozorca. W jego smutnych oczach malowała się troska - w równym stopniu o nią i o niego. Dwukrotnie chciał coś powiedzieć, ale dwukrotnie się rozmyślił.

Uśmiechnęła się.

- Dziękuję, Dave.

Wystarczyło, żeby wyrwać go z letargu.

- Wsadzają ludzi do więzień za mniejsze przewinienia - powiedział. - Mam nadzieję, że on docenia to, że pani dla niego ryzykuje.

Chris zmarszczyła czoło.

- Jeśli go znajdę, mam zamiar skłonić go do oddania się w ręce policji. Dave spojrział na nią.

- Niech mu pani powie, że w razie czego może na mnie liczyć.

Chris pokiwała głową.

Otworzył usta, żeby coś jeszcze dodać, ale zamknął je i na twarzy pojawił się wyraz zakłopotania.

- O co chodzi? - spytała Chris.

Dave potrząsnął głową.

- Pewnie ma pani rację. Lepiej, żeby nie wiedział - powiedział otwierając drzwi wejściowe. Nie zadał sobie trudu, żeby sprawdzić, co wzięła z sypialni; czekał, żeby Phil przyszedł po swoje lekarstwo.

Taksówkarz był już maksymalnie znudzony i zaczął czuć się nieswojo w

towarzystwie pasażera dogłębnie znającego się na rzeczy. Kiedy Chris wróciła, powitał ją wylewnie i spytał:

- Dokąd teraz, złociutka?

Chris zamyśliła się. Dokąd? Dokąd mogą pojechać? Nie do jej domu - policja może go obserwować. Nie może mieszać Nicky w utrudnianie śledztwa policji. Przyszło jej do głowy, że jako chwilową kryjówkę można wykorzystać jej byłe mieszkanie, ale szybko zrezygnowała z tego pomysłu - pan Ainsworth nie zniósłby tego.

- Gdzie możemy jechać? - spytał Philip, werbalizując jej wahanie.

Nadwyrężona cierpliwość taksówkarza wyczerpywała się zupełnie.

- No, dalej, dziewczyno - ile można czekać?

- Do domu - rzekła cicho zdecydowanym głosem.

13

Philip Greer siedział skulony w kącie salonu państwa Stevensów. Zawodzenie przerodziło się w krzyki, kiedy Jameson zrobił ostrożny krok w jego stronę, mówiąc coś uspokajającego. Greer odrzucił głowę do tyłu, opierając ją o ścianę, a Jameson zawahał się, po czym cofnął się gwałtownie. Greer wgryzł się w ramię.

- Niech pan się wycofa - powiedziała Chris Radcliffe cicho, nienaturalnie spokojnym głosem.

A Jameson, z całym swoim doświadczeniem z lat, kiedy był posterunkowym - dotyczącym pijaków, różnych dziwnych typów i przemocy na ulicach - stał się świadkiem naprawdę zaskakującej sceny.

Chris podeszła do magnetowidu i włożyła kasetę. Jameson patrzył oniemiały na jej opanowanie i spokojną akceptację tego, co się działo. Usiadła po turecku i zaczęła wpatrywać się w ekran telewizyjny, nucąc melodię daną pod napisy początkowe Księgi dżungli. Po chwili Greer się uspokoił. Rozprostował się, wyszedł na czworakach z kąta i usiadł koło niej. Prawie nie zwrócił uwagi na Marię, która chwilę później zjawiła się z małą metalową puszką po herbacie, pełniącą teraz funkcję apteczki. Wyszła bez słowa. Jameson nie mógł nie zauważyć napięcia na jej twarzy i beznadziejnej frustracji wynikającej z regularności, z którą taka sytuacja się powtarzała, i jej zmęczenia tym wszystkim.

Chris spojrzała na niego. Było to wyzwanie, ale równocześnie pytanie. Zdezynfekowała rany na ramieniu Greera, który patrzył w ekran. Z uwagą przykryła je gazą - niektóre krwawiły - i owinęła bandażem. Czasami ręka jej zadrżała, ale Greer wydawał się nie czuć bólu, jakby jedynym bodźcem, który do niego docierał, był film.

Po chwili zaczęła do niego mówić cichym, kojącym głosem, zapewniając Greera, że będzie z nim i że on, Jameson, nie chce go zranić ani zamknąć.

- Nikomu nic nie zrobiłem, Flip - powiedział Philip. Jego oczy, ciągle pełne łez, wlepione były w telewizor, ale teraz już był spokojny i można było z nim rozmawiać. - Czułem się taki zagubiony, kiedy zmienili rozkład wizyt i nie mogłem się z nimi spotykać. Zawsze spotykałem się z Ann raz w miesiącu, w czwartki o trzeciej w pokoju 211. Tak się zdenerwowałem - Ann powiedziała, że postara się znowu ze mną spotykać. Nie miała nic

przeciwko. Pani Hardy nic nie rozumiała. Zaczęła na mnie krzyczeć. Chciałem tylko porozmawiać, ale chyba była przestraszona. Nie chciałem nikogo skrzywdzić... Jameson zmienił zdanie na temat Greera. Słuchając go, zrozumiał, że możliwe jest połączenie inteligencji z impulsywnym zachowaniem. Obie te rzeczy nie były tak od siebie zależne, jak przedtem myślał. Po jakimś czasie Greer zamilkł i znowu zupełnie pochłonęło go śledzenie ekranu telewizora.

- Jak sobie z tym pani radzi? - spytał.

Chris uśmiechnęła się smutno. Na ekranie, Bagheera siedziała rozwalona leniwie na gałęzi drzewa, ruszając lekko ogonem i dawała rady młodemu Mowgliemu.

- Radzę sobie, bo muszę. Bo on czasem sobie sam nie radzi. - Przyglądała się Jamesonowi przez chwilę, po czym, upewniwszy się, że Greer jest pochłonięty filmem, rzekła: - Chodźmy do ogrodu. Tam jest miły cień. - Jameson jakby się wahał, ale Chris uśmiechnęła się. - Philip nie ruszy się z tego pokoju, dopóki nie obejrzy napisów końcowych.

Poszedł za nią przez przedpokój do kuchni, gdzie zatrzymała się na chwilę i przytuliła opiekunkę, krojącą warzywa na sałatkę przy stole. Ciągłe była spięta, co było widać po łopatkach. Maria Stevens wyciągnęła rękę i poklepała ją po ramieniu.

- Gdzie jest Bel? - spytała Chris. - Na próbie?

- Jutro zaczynają grać - odparła Maria, natychmiast się ożywiając. - Dopinają wszystko. Izabel śpiewa w chórze w Nędznikach w Manchester - wyjaśniła, odwracając się do Jamesona, uśmiechając się i nie kryjąc dumy.

Jameson pokiwał głową, nie wiedząc, co powiedzieć.

Chris zauważyła, że jest skrępowany. - Jeśli będzie miała jakieś wejściówki, przypilnuję, żeby dostał pan dwa bilety, inspektorze. Chyba że zostałyby to uznane za łapówkę.

- Flip! - ofuknęła ją Maria. - Nie drocz się z panem inspektorem. On nie wie, że żartujesz.

- Skąd wiesz, że żartuję?

Jameson uśmiechał się.

- Jak pani powiedziała... - zaczął.

- Chodzi o przewisko? - spytała Maria, rzucając figlarne spojrzenie Chris. Ta spojrzała na nią ostrzegawczo, ale Maria ciągnęła dalej: - Christine Radcliffe - wychowywana na dobrą, katolicką dziewczynę - miała taką niewyparzoną gębę, kiedy się do nas wprowadziła, że obawialiśmy się, jak to będzie przy odwiedzinach księdza.

- Bardzo nudnych, zresztą - wtrąciła się Chris.

- Musieliśmy wynaleźć jej jakieś słowo, żeby go używała zamiast przekleństw i bluźnierstw...

- I tak często go używałam, że w końcu zaczęli mnie tak przezywać - dokończyła Chris. - Jesteś usatysfakcjonowana, Mario? Cieszysz się? Od dwóch tygodni staram się owiać moją ponurą przeszłość mgiełką tajemnicy, a ty wszystko zepsułaś.

Jameson zorientował się, że często się w ten sposób przekomarzają, ale zdziwił się, że lekarka nie miała nic przeciwko rozmowie o swojej przeszłości. Może ulżyło jej, kiedy znalazła swojego przyrodniego brata.

Chris zauważyła, że rzucił okiem w stronę przedpokoju, i dodała:

- Mogłabyś posiedzieć z Philem, Mario? Pan Jameson myśli, że on znowu ucieknie.

- Ależ skąd - powiedziała Maria poważnie. - Nie w czasie Księgi dżungli!- Wzruszyła wyraziście ramionami. - Ale jeśli to pana uspokoi.

Chris otworzyła lodówkę i wyciągnęła z niej dwie butelki piwa. Rzuciła jedną Jamesonowi.

- Nie powie pan czegoś beznadziejnego w stylu „Nie mogę, bo jestem na służbie”, prawda, inspektorze?

Złapał butelkę szybkim, dokładnym ruchem.

- Zawsze pani była taka wywrotowa? - spytał.

Usiedli na ławce w ogrodzie, w cieniu jesiona. Chris rozluźniła się, jedną rękę przerzuciła przez oparcie, a drugą trzymała butelkę. Wzięła łyk piwa, odchyliła głowę i zamknęła oczy. Pot błyszczał na jej szyi, a opalona skóra była lekko zaczerwieniona od upału. Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła, że Jameson się jej przygląda, i zrobiła to samo, patrząc na niego rozbawionymi oczyma.

- Mnóstwo ludzi, którym się powiodło, ma jakieś swoje obsesje - powiedziała, wprawiając go w zakłopotanie, bo właśnie się zastanawiał, jak ktokolwiek może funkcjonować z obsesyjnością dorównującą Greerowi. - Bo niby jaką motywację mają muzycy, żeby ćwiczyć osiem godzin na dobę albo naukowcy, żeby każdą chwilę życia poświęcać na rozmyślanie o jakichś abstrakcyjnych teoriach? - Rzuciła mu chytre spojrzenie, po czym dodała ciszej: - Mówi się, że nawet policjanci mają obsesje na punkcie pewnych spraw, do tego stopnia, że obywają się bez domu, dzieci, żony czy w ogóle życia...

Jameson został sprowokowany do odwetu.

- Jestem pewien, że psychologowie pod tym względem nie są wyjątkiem - odparował.

- Bo nie są - zgodziła się, cały czas mając rozbawione oczy. Nie zamierzała się spieszyć, ale wzięła kolejny łyk z butelki, kiwając głową, kiedy wróciła do przerwanych

myśli. - Gdy Philip się tu wprowadził, prognozy były słabe. De facto był niekomunikatywny, zawsze wszystko robił na ściśle określonych przez siebie warunkach. Udało mu się skończyć szkołę; pomimo licznych problemów Maria i Pete nalegali, żeby chodził do normalnej szkoły. Zrobił maturę, może rozmawiać, nawet z nieznanymi; ma pracę w bibliotece miejskiej i mieszka w swoim własnym mieszkaniu, płacąc terminowo czynsz i sam robiąc zakupy.

Słysząc było siostrzaną dumę, kiedy to mówiła, co sprowokowało Jamesona do pytania.

- Na pewno nie jesteście krewnymi?

Chris wybuchnęła naturalnym, radosnym śmiechem.

- Moje obsesje nie mogą się równać z tymi Phila.

- Chodziło mi o pani widoczne przywiązanie do pana Greera - powiedział Jameson.

Rozbawiona Chris ciągle się uśmiechała.

- Teoria samolubnego genu nigdy do mnie specjalnie nie trafiała - odparła. - Ta rodzina jest mi bliższa, niż moja prawdziwa była kiedykolwiek.

Jameson spojrział w jej promieniejące niebieskie oczy, pełne humoru, smutku i bezgranicznego i bezwarunkowego współczucia i poczuł rzadkie, prawie zapomniane uczucie: nadzieję. Skoro ona, którą już w dzieciństwie skrzywdzili ci, co mieli się nią opiekować, mogła się ponownie nauczyć zaufania i potrafiła obdarowywać miłością, to może, po małżeństwie pełnym goryczy i bezsilnej wściekłości separacji i rozwodu, on też będzie mógł zacząć od nowa.

Uśmiech zniknął z jej twarzy i przez chwilę robiła wrażenie niezdecydowanej.

- Dobrze, że pan się na to zgodził - powiedziała.

- Nie jestem potworem, doktor Radcliffe. Nie chcę terroryzować kogoś, kto sam nie bardzo daje sobie radę.

Zamilkli, słuchając jednostajnego szumu ruchliwej ulicy, oddalonej od domu o pięćdziesiąt metrów, smażąc się w wieczornym upale, jak na grillu. Jameson, czując, że trochę zbyt ostro odpowiedział na przyjacielską uwagę, rzekł w końcu:

- Więc zna pani Philipa od dziecka?

- Miał jakieś trzy lata, kiedy się tu wprowadził. Ja parę tygodni wcześniej.

- A pani ile miała? Piętnaście? Musi go pani traktować jak młodszego brata...

- Tak - odparła, uśmiechając się lekko zamyślona. - Zdecydowanie. On jest moim młodszym bratem.

- Nie miała pani problemów ze znalezieniem się w nowej sytuacji, w nowej rodzinie, tak niedługo po śmierci matki?

Chris spojrzała na niego przelotnie, nie potrafiąc ukryć rozbawienia w oczach.

- Czy to przesłuchanie, inspektorze?

Nadał wargi.

- Czysta ciekawość - odparł.

Czuł, że ponownie poddaje się czarowi lekarki i był autentycznie zainteresowany jej przeszłością.

Chris wzruszyła ramionami. Co tam. Jeśli zdobędzie zaufanie Jamesona, tym większe będą szanse, że zostawi Phila w spokoju.

- Obwiniałam ją przez jakiś czas - powiedziała, sama dziwiąc się swojej szczerości. - Nim odkryłam, że to strach, z którym na co dzień żyła mama, miesiącami, całe swoje małżeństwo... - Odwróciła spojrzenie i zaczęła obserwować chrząszcza, pokonującego suchy, wypalony plac, który kiedyś był trawnikiem. - To wyniszcza i to nie tylko psychicznie. Więc wcale się nie dziwiłam, kiedy mi powiedziała, że ma raka. Wtedy pomyślałam tylko: Zostawiasz mnie z nim samą! Wyglądało prawie na to, że ona po prostu wybrała łatwe rozwiązanie. - Uśmiechnęła się do Jamesona. - Dzieci potrafią być egoistycznymi okrutnikami. Biedna mama. Nigdy nie miała w nikim podpory, nawet na końcu. Zabawne, przez kilka ostatnich miesięcy życia w ogóle jej nie dotykał...

- Nawet w najgorszych ludziach jest trochę człowieczeństwa.

Potrząsnęła głową.

- Chodziło raczej o zabobon. To tak, jak niektórzy boją się wymówić słowo rak. Takie poważne słowo. Obawiał się jakiejś formy zarażenia. Nie wiem, może myślał, że spowodował jej chorobę.

- A potem ojciec przeniósł swoją agresję na panią, gdy matka umarła?

Chris zmarszczyła czoło.

- Przeniósł to nie jest właściwe słowo. Powiedziałabym, że nasilił.

Wzdrygnęła się, a na jej twarzy zagościł ponury grymas i Jameson pożałował, że przez niego myśli o takich rzeczach. Ciągnęła dalej z trudnością, ale zdeterminowana, żeby skończyć.

Pochylił się do przodu, zachęcając ją, żeby mówiła dalej, ale nie chciał się odzywać, żeby nie psuć atmosfery. Przyglądał się jej twarzy. Cienka, biała blizna nad jej lewym okiem, którą w ogóle nie wydawała się przejmować, nagle stała się dla niego bardziej wyrazista i zrozumiał, czym jest: rezultatem podkopanego zaufania do ojca; obelgą wobec jej dziecięcej niewinności.

- Czułam się krucha fizycznie, po tych obrażeniach, kiedy... - Zamilkła. - Ale

emocjonalnie też. Nie można było tutaj znaleźć cichego kąta. Maria była i jest... - uśmiechnęła się - ...głośna, ekspansywna, pełna życia i jej dzieci były równie wygadane. Wyglądało na to, że sprzeczki sprawiały im ogromną przyjemność... A we mnie od wczesnego dzieciństwa wpajano pasywność i nieruchliwość, uczono mnie bezwzględnej posłuszeństwa. Więc kiedy znalazłam się w środku tego hałasu i zgiełku, myślałam ich żywiołowość z agresją, bałam się jej. Ale Maria jest wrażliwa, pomimo całej żywiołowości - zaczęła mnie zabierać na spacer wzdłuż wybrzeża - po Formby, Ainsdale, po bagnach Hawksley i lasach Sawrey i pokazywała mi spokojne miejsca. - Uśmiechnęła się znowu, przypominając to sobie. - Jak na tak impulsywną kobietę, była bardzo powściągliwa; czekała, aż sama będę chciała mówić, dając mi taką możliwość, ale nigdy mnie nie przymuszając.

- I skorzystała pani? Mam na myśli, czy otworzyła się pani? Zerknęła na niego, taksując, po czym jakby psychicznie się wzdrygnęła i ciągnęła dalej:

- Myślę, że raczej przerażałam biedną Marię. Mówiłam jej wszystko. O tym, co z nami dwiema robił. Nie tylko z naszymi ciałami, ale też z tym. - Postukała się w skroń. - Wyrzuciłam z siebie cały długo gromadzony żal do mojej matki, gniew za to, że byłam zastraszona, taka stłamszona przez tyle czasu. - Nagły śpiew ptaka zwrócił jej uwagę, więc zamilkła i zaczęła słuchać.

- Pomogło? No, mówienie o tym? - Jameson podchodził z dużą podejrzliwością do analizowania, wierzył, że problemy wielu ludzi stają się poważniejsze przez ciągłe myślenie o nich i staranie się odkrycia ich źródła.

Zmarszczyła czoło, skupiając się na pytaniu, jakby pierwszy raz się nad tym zastanawiała.

- Po jakimś czasie poczułam, że mogłabym wybaczyć mamie to, że pozwoliła, żeby tak nas traktował. Zaczęłam też jej współczuć, jej cierpieniu. - Spuściła głowę, unosząc ramię. - Czy taka odpowiedź wystarczy panu?

- Jak najbardziej. - Ale Jameson zauważył, że ani razu nie wymieniła imienia swego ojca.

Chris nie wspomniała też - chociaż w tym przypadku było to celowe ukrywanie informacji, nie tak jak z imieniem ojca - o jej obawach związanych z Jake'em Dixonem: skoro Phil jest już w domu, nie będzie więcej zwracać Dixonowi głowy, i żywiła głęboką nadzieję, że odwdzięczy się jej tym samym.

Było już po piątej, kiedy przyjechała do domu. Simon siedział na murku przed domem. Szyby w jego poobijanym mini były spuszczone, a on słuchał radia. Uśmiechnął się i pomachał jej, kiedy podjeżdżała. Gdy wysiadła z samochodu, rzuciła mu skruszone

spojrzenie.

- Wiem - powiedziała. - Spóźniłam się, znowu.

- Nie ma sprawy. - Zszedł z murka i ruszył powoli w jej stronę; ręce zahaczył kciukami o kieszenie dzinsów. - Wąchałem kwiaty, opalałem się i słuchałem listy przebojów. Czysta rozkosz.

- Mogę się wytłumaczyć.

- Nie trzeba.

- Ale chcę.

Wzruszył ramionami. Chris zastanawiała się, czy nie pyta o wyjaśnienia obawiając się, że zostanie zganiony, więc powiedziała mu wszystko, kiedy usiedli przy stole kuchennym i zaczęli jeść sałatkę. Przedtem włączyła nawadniacze. Ogród był spowity wodną mgiełką, która spadała nawet na utwardzony plac przy domu, a część wpadała nawet przez otwarte okno do środka. Powiedziała mu, że znalazła Philipa, że policja podejrzewa, że morderstwa są swego rodzaju zemstą wobec pracowników rady miejskiej Calderbank i że policja sądziła, iż ona jest w to zamieszana.

Kiedy powiedziała mu o podpaleniu squatu, Simon zbladł.

- Chyba nie myślą, że masz z tym coś wspólnego?

Chris wzruszyła ramionami.

- Gdybym był Jamesonem - dodał - szukałbym wśród niedawnych pacjentów.

- On szuka, ale dokumenty są niekompletne.

- Zagubione czy...

- Czy - odparła. - Zdecydowanie czy. I oczywiście ja miałam dostęp do teczek, kiedy pracowałam dla magistratu.

Simon zmartwił się. Chris zastanawiała się, czy opowiedzieć mu o papierkach od cukierków, które znalazła w ogrodzie, ale pomyśl, żeby mówić o tym na głos, wydał jej się absurdalny i powiedziała sobie, że ma chyba paranoję. Papierki pewnie przywiał skądś wiatr.

Simon przyglądał się jej z rosnącą troską.

Roześmiała się niepewnie.

- Miałam pewne podejrzenia, że policja mnie śledzi, ale teraz, jak już znaleźli Philipa, chyba dadzą sobie spokój.

- Śledzili cię? - Przez chwilę bawił się jedzeniem na swoim talerzu, po czym, widocznie zbierając się na odwagę i rumieniąc się, powiedział: - Zawsze możesz na mnie liczyć.

Chris wychyliła się nad stołem i ścisnęła go za rękę.

- Dzięki - rzekła. - Ale jeśli będę potrzebowała ochrony, to kupię sobie dużego psa.

Simon nie odwzajemnił jej uśmiechu.

- Mówię poważnie - powiedział. - To może być niebezpieczne.

- Przechodzenie przez ulicę też jest niebezpieczne - odparła Chris. - Jazda windą również. Element niebezpieczeństwa kryje się w większości rzeczy, które robimy. - Zabrzmiało to płasko i nieprzekonywająco, więc Chris, czując, że powinna go uspokoić, dodała: - I tak nie widzę powodu, żeby być na czyjejs liście.

- Założę się, że Ann i Dorothy też nie widziały.

14

Lewis siedział nad kuflem piwa w mrocznym wnętrzu pubu The Rose. Pomieszczenie było w połowie puste, bo większość klientów wyszła z piwem na zewnątrz. Musiał ich minąć na parkingu i na płaskich schodach wejściowych. Chłopców w dzinsach obciętych na wysokości kolana i dziewczyny w krótkich sukienkach. Wszyscy byli zadbani, czysti, mieli gładką skórę i starannie uczesane włosy. Ich pewność siebie traktował jak obelgę, a ich donośne, rozbawione głosy niosące się w wieczornym powietrzu doprowadzały go do pasji, której ani nie rozumiał, ani nie próbował stłumić.

Spojrzał na zegarek. Czeka już od pół godziny. Dwie dziewczyny siedzące przy stoliku obok przyglądały mu się, gdy odstawiał kufel i nerwowo stukał palcami. Sięgnął po fajki i kiedy zapalał papierosa, patrzył na nie. Oparł łokcie na stole tak, żeby zauważyły wytatuowanego smoka na jego przedramieniu. Blondynka uśmiechnęła się nieśmiało i zarumieniła, po czym spuściła wzrok.

Normalne dziewczyny. Nie jak te przemądrzałe Charlotty i Heleny, siedzące na zewnątrz i popijające piwo, zachowujące się jakby do nich należał ten pieprzony przybytek.

Zaciągnął się i położył ręce na stoliku, dłońmi w dół. Poczeka jeszcze pięć minut, a potem pójdzie. Gdyby nie strach, nie czekałby tak długo. Nieświadomie napinał mięśnie przedramienia, przez co ogień ziejący z paszczy smoka zdawał się migotać.

- Czy ktoś tu siedzi?

Lewis spojrzał na chłopca, zadającego to pytanie blondynce, która uśmiechnęła się do niego nieśmiało, po czym przeniósł wzrok na pusty taboret stojący koło jego stolika.

- Na żarty ci się zebrało? - spytał. Chłopiec mrugnął oczyma i uśmiechnął się, zaskoczony pytaniem. - Ślepy jesteś czy co?

- Posłuchaj, ja tylko...

- Studiujesz coś, koleś? Na uniwerku? - Starł się naśladować studencki żargon.

- O co ci chodzi? - Chłopiec uśmiechnął się nerwowo.

- Angielski? Historię? A może coś lepszego?

- Nauki społeczne. Słuchaj, mógłbym...?

- Nauki społeczne! - Lewis w swoim czasie spotkał zbyt wielu absolwentów nauk społecznych. - Można by się spodziewać, że skoro jesteś inteligentnym studentem, to sam

zauważysz, że krzesło jest puste, nie?

Chłopak roześmiał się, starając się rozładować napięcie.

- No dobra, dzięki - rzekł, schylając się po taboret.

Lewis wysunął gwałtownie jedną rękę i złapał go za ramię. Miękkie. Zbyt wiele czasu spędzonego w bibliotece i salach wykładowych. Pochylił się w stronę chłopaka tak, żeby mógł zobaczyć białą plamę na jego łuku brwiowym, gdzie kiedyś miał włosy, ale spaliły się i nigdy nie odrosły.

- Czy powiedziałem, że możesz go wziąć? - wysapał. Chłopak gwałtownie obejrzał się przez ramię i Lewis zobaczył, że barman patrzy na nich ze zmrużonymi oczyma i zaciśniętą szczęką. - Powiedziałem? - Chłopiec zaczął dukać odpowiedź, ale Lewis uciął: - Nie nauczyli cię manier w szkole?

Zauważył, że coś się rusza po jego prawej stronie i spojrzął na zbliżającego się człowieka. Od razu go rozpoznał, ale oparł się pokusie rozluźnienia uścisku i dalej wpatrywał w chłopaka, który teraz już się pocił i skręcał z bólu.

- Wezmę taboret z innego stolika - powiedział chłopak, bez powodzenia starając się zapanować nad spanikowanym głosem.

- Zrób tak. - Głos był ciepły, głęboki, z lekkim miejscowym akcentem, rozmytym przez długotrwały wpływ lepszego środowiska.

Lewis spojrzął na człowieka, który to powiedział. Jego szef. Usłyszał niemą groźbę w jego uprzejmym poleceniu. Zawahał się.

Lewis nie był bojaźliwy, ale jeśli się igrało z ogniem tak jak on, to rozumiało się władzę i darzyło się ją szacunkiem, bo w przeciwnym razie można się było sparzyć.

Puszczając chłopca pchnął go tak, że aż się zatoczył.

- Gdzie byłeś? - spytał, ale nie ośmielił się spojrzeć w oczy przybysza.

- To nie było zbyt uprzejme. - Mężczyzna usiadł naprzeciw niego, jedną ręką odstawiając stołek na miejsce.

Lewisowi, który czuł na sobie jego nieugięty wzrok, zaczęło robić się gorąco. Zaryzykował spojrzenie i zrozumiał, że posunął się za daleko.

- Nienawidzę cholernych studentów - wymamrotał przeprasząco, ośmielając się spojrzeć na zieloną bluzę szefa.

- O co chodzi? - W uprzejmym głosie swojego szefa wyczuł wściekłość.

- Muszę gdzieś wsiąknąć na jakiś czas.

Mężczyzna nagle wstał, a wystraszony Lewis patrzył za nim. Podszedł do baru i oparł jedną nogę na mosiężnej poręczy. Skrojone na miarę, kremowe spodnie marszczyły się na

beżowych butach. Był niewiele starszy od Lewisa, ale wyglądał na godnego szacunku biznesmena. Lewis zerknął na jego plecy. Nie był wysoki, ale przyciągał uwagę i został natychmiast obsłużony. Wrócił do stolika, uśmiechając się, ale Lewis nie widział tego uśmiechu, bo spuścił już oczy i uparcie wpatrywał się w swój kufel.

- Dlaczego? - spytał tamten.

Lewis poprawił się na krześle. Był spięty.

- Psy mnie nękają. Zatrzymały mnie dzisiaj.

- Dlaczego?

Ciche powtórzenie przywiodło Lewisowi na myśl niebieskie płomyki wznoszące się z czarki alkoholu metylowego. Zwodniczy, uwodzicielski i niebezpiecznie wybuchowy.

- Nic im nie powiedziałem. Chcieli wiedzieć, co robiłem piątego i jedenastego.

- Podalesz im swoje alibi, tak? - Mężczyzna spokojnie napił się ginu z tonikiem, uśmiechając się w stronę jasnowłosej głowy Lewisa.

- Tak. - Lewis zmarszczył czoło, nie mogąc się zdecydować. - Ale to nie są debile, nie? Jak tylko będą mieli dosyć czasu, to mnie udupią.

- Wyjdiesz bez szwanku. Jeśli... - Tamten poczekał, aż Lewis podniesie wzrok na wysokość jego brody. - Jeśli nie spanikujesz i nie dasz im więcej powodów do zatrzymania.

Wziął kolejny łyk, a jego złoty sygnet zadzwieczał uderzając w szklankę. Lewis zaryzykował spojrzenie na jego twarz. Opalona, młodzieńcza i władcza: jej właściciel bez wątpienia wiedział, co mu się należy. Szybko odwrócił wzrok, ale tamten zauważył jego spojrzenie i roześmiał się pobłaźliwie.

- Skorzystaj z mojej rady - powiedział rozkazującym tonem. - Wracaj do swojego mieszkania i odpocznij. Słyszałem, że widok na Mersey działa kojąco. Rano będziesz już o tym wszystkim myślał. - Wstał, żeby odejść, ale stał jeszcze przez chwilę, spoglądając władczo na Lewisa, który zaczął kręcić się niespokojnie. Dokładnie w momencie, kiedy Lewis poczuł, że już dłużej nie wytrzyma, rzekł: - Idź do domu. Nie mów nic bez twojego адвоката. Masz pomoc - trzymaj się go.

Upokorzony Lewis pokiwał słabo głową.

- I gdybym był na twoim miejscu, to znalazłbym tylne wyjście - dodał mężczyzna. Wyjął dwa banknoty dziesięciofuntowe i położył je na stole. - Pojedź taksówką - samochód weźmiesz jutro rano. To jest pub studencki. Mało prawdopodobne, żeby twój przyjaciel był tutaj sam, a jego kumplom mogło się nie spodobać twoje zachowanie.

15

Jim Bradbury stąpał po wyschniętych trawach Sawrey Moss, słuchając szelestu chabrów ocierających się o jego spodnie i martwiąc się stanem stawów. Wykopano je w twardej glinie, której przez wieki używano do produkcji cegieł, do czasu, aż pojawiły się niemile widziane solne wycieki na ścianach chałup rybackich i wprowadzono nowoczesne metody, które wyparły okoliczne małe piece, a z dołów przestano wydobywać glinę. Stąpając po ścieżce zauważył, że glina z górnych warstw bagien zaczęła pękać, a z każdym tygodniem suszy poziom wody w jego małym sanktuarium obniżał się nieznacznie. Przeszedł brzegiem lasu i dalej przez kilometr albo dłużej długimi susami, mijając stawy, aż dotarł na skraj twardego bagna i spojrzał na rozległe trzęsawisko pokryte trzciniowymi trawami i morskimi astrami, zauważając z przyjemnością, że zaczynał się przyptyw. W głębokich żlebach na słonych błotniskach kłębiły się brodźce, korzystające z ostatniej szansy na posiłek, nim wysoki przyptyw przykryje błota i bagna mroczną cieczą. Widać było biegusy uciekające w pośpiechu przed zbliżającą się wodą, przykucnięte ostrigojady z głowami schyłonymi w dół, wyglądające butnie w swym biało-czarnym upierzeniu, rozglądające się za każdym smacznym kąskiem, brodźce kwokacze i brodźce, których nigdy nie potrafił odróżnić bez lornetki - zapamiętał, żeby przynieść ją ze sobą jutro. Całe stado czajek uniosło się równocześnie w powietrze, ich błyszczące upierzenie lśniło zielono i fiołkowo w słonecznym świetle; zatoczyły okrąg i odleciały w stronę bardziej suchego gruntu. Jim patrzył na błota i, widząc słaby niebieski odbłask na powierzchni płytkich stawów, odwrócił się w stronę bladoniebieskiego nieba i poczuł ciepło słońca na twarzy. Nawet tutaj, na granicy między bagnami a suchą ziemią, gdzie zawsze hulał wiatr, z trudem łapał oddech, ale na szczęście największy upał zaczął się dawać we znaki dopiero za kilka godzin; był wczesny ranek i zarazem najpiękniejsza pora dnia. Przyptyw przynosił lekki powiew znad morza, a daleki krzyk kulika na bagnach wydawał się tajemniczy i poetycki.

Jim zdziwił się, wracając powoli do ukrytego sanktuarium wydrążonych stawów, że ktoś już tam był i zjadał kanapkę. Znajomy. Już go gdzieś przedtem widział. Może nawet przy stawach. Dziwne, pomyślał Jim, nie wygląda na takiego, co przychodzi w takie miejsca. Nie żeby można było poznać, w dzisiejszych czasach. Z równym prawdopodobieństwem można było zobaczyć dredy, kozie bródki i kolczyki w nosie, co starych weteranów, jak on

sam, wyekwipowanych w kapelusz i zielony mundur. Mimo wszystko lepiej, że tutaj, niż gdyby mieli sprawiać kłopoty na ulicach, pomyślał, kiwając głową na powitanie, bardziej skłonny do wylewności dlatego, że jego ulubiony pieniek nie był zajęty i dlatego, że chłopak chyba nie miał jednego z tych ryczących walkmanów. Może w ogóle nie będą sobie przeszkadzać...

*

Dwie rzeczy wydarzyły się równocześnie: kiedy mówiono Jamesonowi o tym, że prawdopodobnie znaleziono trzecią ofiarę mordercy, sierżant Tully miał potwierdzić przez telefon tożsamość policjanta proszącego o dostęp do dokumentów w archiwum magistratu. Tully był suchy i żyłasty i to w dosłownym znaczeniu tych słów. Był wysoki - ponad metr dziewięćdziesiąt bez butów - i chudy jak wycior do fajki. Był też niesłychanie owłosiony - miał gęstą, nieregularną czuprynę, która nie chciała leżeć płasko na jego głowie, była wiecznie nastroszona i w nieładzie, i która, co dziwiło go i irytowało, stała się siwa prawie dokładnie w dniu, kiedy skończył czterdzieści lat.

- Kto?! - spytał, zastanawiając się, czy ktoś go nie podpuszcza. Jedna czy dwie głowy zwróciły się w jego stronę. Tully słynął ze skłonności do gniewu i niektórzy młodszy pracownicy traktowali drażnienie Tully'ego jako rodzaj sportu: bezkrwawego, ale żywego, czasami nawet niebezpiecznego. - Co pan plecie, przyjacielu!? - warknął. Znad monitorów ukazały się uśmiechnięte twarze. Wymieniono porozumiewawcze spojrzenia. - To ma być dowcip? - Rozejrzył się groźnie po sali i głowy schyliły się pod linię ostrzału. - Pana nazwisko zapamiętałem. A on mówi, że tak się nazywa... - Spojrzył groźnie na tych kilku, którzy ośmielili się pozostać na widoku. - Jeśli sobie obaj stroicie żarty... - Przywołał palcem konstabla Pottera, który uniósł ręce, dłońmi do góry. - Kto jest w archiwum w magistracie? - spytał.

- Nie wiem, sierzancie. Z tego co wiem, to nikt.

Tully zakrył mikrofon i uderzał słuchawką w rytm wyrzucanych z siebie słów: - Jeśli się dowiem, że robicie sobie ze mnie jaja...

Potter zbladł na samą myśl. Tully przyłożył słuchawkę do ucha i rzekł:

- Wie pan co, panie Orrell, niech pan go zagada, a my wyślemy kogoś, żeby go sprawdzić. - Sierżant Tully ściągnął marynarkę z krzesła i gestem rozkazał Potterowi, żeby z nim poszedł.

- Co się dzieje, sierzancie? - spytał Potter, kiedy czekali na windę.

- Wygląda na to - odparł Tully takim tonem, że Potter nawet nie ośmielił się myśleć o śmiechu - że w tej chwili jestem w archiwum w Calderbank!

- Słucham?

Tully pokiwał głową, wduszając niecierpliwie przycisk. - Dzwonił urzędnik z archiwum. Okazuje się, że chcę obejrzyć jakieś dokumenty...

Sierżant Jim Bradbury? - rzekł z niedowierzaniem Jameson.

- Zna go pan, szefie? - spytał Foster.

- Znałem go - bez zastanowienia sprostował Jameson. - Każdy posterunkowy z centrum Liverpoolu znał Jima Bradbury'ego.

Foster uniósł brodę, żeby kiwnąć głową, ale zastygł w pół ruchu i zaczął patrzeć przed siebie niewidzącym wzrokiem, a na jego czole pojawiła się bruzda. Jameson posterunkowym? Myślał, że jego obecny szef osiągnął swoją renomowaną pozycję w krótkim czasie: dyplom, wydział dochodzeniowy, promocja. Nieźle, nieźle.

Jameson stał przez kilka minut przy oknie, starając się dojść do siebie. Mersey, widoczna pomiędzy magazynami doków a biurami portowymi, lśniła spokojnie w porannym słońcu i zamiast normalnego brązowego koloru była wyjątkowo intensywnie niebieska. Zawsze uważał, że lśniący kormoran z zaszarganymi czarnymi piórami jest odpowiednim symbolem miasta. Miasto oglądane z tej wysokości było ciche i panował w nim spokój rodem z Morza Śródziemnego. Połowa mieszkańców wydawała się przelewać wzdłuż bulwaru, nieświadomych albo nieczułych na to, że coś złowieszczonego szło razem z nimi, niewidoczne, nieodróżnialne od radosnego tłumu spędzającego kilka bez troskich godzin w nienaturalnej spiekocie.

Podczas krótkiej jazdy do Sawrey Moss nikt nic nie mówił. Foster koncentrował się na drodze, która już była pełna samochodów, a Alan Jameson był pogrążony w myślach.

Jim Bradbury. Wujek Jim, jak go sympatycznie nazywano. Duży, potężnie zbudowany człowiek-niedźwiedź. Silny. Drań musiał go wziąć z zaskoczenia.

Chryste! pomyślał, co pocnie Lily? Lily, która czekała przez te wszystkie lata, ofiarowując swój czas i cierpliwie czekając, odliczając lata i miesiące i w końcu dni pozostałe do czasu jego emerytury, kiedy nie będzie już musiała się więcej martwić, że wychodzi zbyt wcześnie albo wraca trochę później ze służby.

Kilka tygodni temu Jameson był na przyjęciu Jima z okazji przejścia na emeryturę, nim całe to szaleństwo się zaczęło. Lily szturchnęła Jima w jego szeroki, niemały brzuch i powiedziała, uśmiechając się: „Mówi, że będzie miał więcej czasu na wędkowanie, ale ja mam inne plany”.

„Wykupiliśmy tę ofertę wakacyjną «Nowa Anglia jesienią» - powiedział mu Jim, mrużąc oczy. - Na jeziorach w Maine można przyjemnie powędkować, tak przynajmniej słyszałem". W prezencie dostał wędkę zrobioną z jakiegoś włókna węglowego, taką o jakiej marzył całymi latami, ale jakoś nigdy nie zdecydował się jej sobie kupić.

„Nic z tego nie będzie, staruszkule!" - odparła wtedy Lily.

„Możesz łowić ze mną, przecież nieżył z ciebie wędkarz..." - Jim zamilkł, czekając na pytanie Lily: „O co ci chodzi?", nim dodał: „Złowiłaś mnie za pierwszym razem i wyciągnęłaś z wody, zanim zdążyłem się wyplątać z haczyka!"

Kiedy Lily klepnęła go w brzuch, zarechotał wtedy jak szalony..

Jameson zacisnął szczękę, starając się nie myśleć o wakacjach Jima i Lily. Starał się wyobrazić sobie Jima jako ofiarę morderstwa - nie kogoś, kogo znał i kochał na swój sposób, ale jako denata, którego brutalnie pozbawiono godności, na ile to możliwe, jako dowód w śledztwie, oglądany z bezpiecznego dystansu i beznamiętnie. Trochę mu się to udawało, a trochę nie. Emocje nie przywrócą mu życia, ale jego działanie może przynajmniej sprawić, aby sprawiedliwości stało się zadość.

- Szefie... - Głos Fostera sprawił, że Jameson ocknął się.

Dotarli na wąską polną drogę, która biegła wzdłuż bagniska, kończąc się bramą zrobioną z pięciu poziomych drewnianych bel, związanych liną i poskręcanym, zardzewiałym drutem kolczastym. Umundurowany policjant na służbie sprowadził go w dół do stawów, które leżały w depresji; otoczone były drzewami i krzakami, gdzie grupa policjantów z wydziału zabójstw właśnie pakowała manatki, przygotowując się do odjazdu. Zebrał się w sobie i przeszedł na drugą stronę stawu, gdzie ciało Jima, które w jakiś tajemniczy sposób wyglądało teraz na mniejsze, niż za życia, leżało z twarzą w ziemi.

Jedna ręka postawnego mężczyzny leżała w wodzie. Jamesonowi wydało się, że drgnęła, ale było to tylko złudzenie wywołane zmarszczkami na wodzie: pewnie jakiś ciekawy karp albo lin krążył po błotnistej wodzie. Owady pływały po powierzchni wody, przesuując się krótkimi, gwałtownymi ruchami. Podleciała wspinała niebieska ważka i wylądowała delikatnie na swoich cienkich kończynach, po czym oddaliła się, lecąc zygzakiem.

- Jak? - spytał Jameson, patrząc na ciało. Ciało. Prawie mu się udało. Teraz patrzył na ciało, a nie na swego starego kolegę, Jima Bradbury'ego. Po prostu ciało. A w swojej karierze widział ich dosyć, żeby kiedy tego wymagały okoliczności, spojrzeć na nie zimnym okiem profesjonalisty.

Człowiek, któremu zadał to pytanie, potężnie zbudowany mężczyzna o sylwetce

gracza rugby, który dosłownie nie mieścił się w swym białym kombinezonie, wyciągnął rękę, dochowując formalności:

- Witaj, Alan. - Mocny, śpiewny głos tenora. - Widziałem twoje wspaniałe wystąpienie w telewizji wczoraj wieczorem. Wygląda na to, że masz następnego.

Wiedział - Dillon Etherington badał pośmiertnie i Dorothy, i Ann. Bardzo lubił swoją pracę i szczylił się tym, że badał siedemdziesiąt pięć procent wszystkich znajdujących w okolicy ciał. Ludzie bardzo żywo reagowali na Etheringtona, który wywoływał skrajnie różne odczucia.

Jameson wiedział, że policyjni chirurdzy, patologowie i medycyna sądowa były nader pomocne przy ujmowaniu przestępców, ale nigdy do końca nie mógł pojąć ani nie był w stanie w pełni zaufać osobie, której obcowanie ze śmiercią dawało satysfakcję intelektualną. Jemu takie zainteresowania nieodmiennie kojarzyły się z niezdrową lubieżnością, co napawało go niesmakiem. Gdyby się głębiej nad tym zastanowił, mógłby znaleźć coś wspólnego w jego niechęci wobec psychologicznych ocen i porad a obrzydzeniem do analizowania szczegółów związanych z nagłą śmiercią. A w ogóle co to za imię: Dillon, pomyślał z nieuzasadnionym rozdrażnieniem.

- Możemy go odwrócić?

Przez twarz lekarza przemknął jakiś błysk: triumfu, ciekawości albo makabrycznego humoru, Jameson nie był pewien czego i właściwie było mu to obojętne. Etherington szybko doszedł do siebie i pokiwał głową.

- Tylko ostrożnie.

Jim Bradbury jeszcze raz spojrział niewidzącymi oczyma na błękit bezchmurnego nieba. Jameson zachwiał się, kiedy zobaczył ogromną ranę w klatce piersiowej.

- Nóż? - spytał mrużąc oczy, ledwo nad sobą panując.

- Nie znaleziono żadnej broni. Wydaje mi się, że pchnięto go w plecy - w ten sposób. - Zademonstrował, stając za Jamesonem i łapiąc go za ramię, po czym uderzając go pięścią w piersi. - Podejrzewam, że jest praworęczny, ale może tylko zaatakował prawą ręką, i raczej jest niższy od Jima. To rozcięcie - wskazał na ranę w klatce Jima - skręca w prawo i rozszerza się ku górze, jakby sięgnął nieco za daleko i nóż się lekko wysunął.

- Czy Jim nie siedział, kiedy został zaatakowany? - spytał Jameson. - W końcu łowił ryby.

- Tak, można to i nazwać łowieniem... - odparł Etherington z ledwo wyczuwalną pogardą. - Ale miał szeroką klatkę piersiową, coś jak ja. - Zaśmiał się melodycznie. - Kiedy nóż wbił mu się w ciało, pewnie zaczął wstawać. Jim mógł unieść zadającego cios i nóż mógł

się wysliznąć z rany. Jednak zahaczył o lewą komorę i biedny facet musiał się przewrócić na twarz, kiedy próbował wstać. Rozumiesz, zero ciśnienia krwi. Mnóstwo niepotrzebnej krwi - dodał po chwili milczenia z miną eksperta, gardzącego amatorszczyzną.

Jameson odwrócił się gwałtownie, chcąc odejść, przy okazji prawie spychając Fostera do stawu. Przeprosił, wyminął go i znalazł się na kamiennej ścieżce łączącej ten staw z większym, oddalonym o kilka metrów. Foster odczekał trochę, po czym ruszył za nim. Jego szef był ubrany w koszulę z krótkimi rękawami, ale i tak się pocił. Jedną ręką zakrywał usta. Wyglądał, jakby starał się nad sobą zapanować. Po dłuższej chwili Jameson uniósł rękę, położył ją na czole i przeczesał palcami włosy. Czynność ta podniosła i zmierzwiła jego starannie uczesane włosy, przez co wyglądał na strutego i bezbronnego.

- Dokąd ona prowadzi? - spytał Jameson zachrypniętym głosem. Wskazał na ścieżkę, która biegła wzdłuż stawu, po czym pięła się krzywymi stopniami w górę porośniętego trawą i gęstwiną krzewów brzegu.

- Ta wiedzie prostą drogą na bagna - odparł Foster. - Są jeszcze dwa inne wejścia, które biegną równolegle do ścieżki dla jeźdźców i prowadzą do Sawrey Woods w jedną stronę, a w drugą na porośniętą dzikimi kwiatami łąkę.

Jameson spojrział ze zdziwieniem na kolegę, którego twarz wykrzywił grymas.

- Przychodziłem tu na ryby, kiedy byłem dzieckiem.

Jameson uniósł brwi; zawsze myślał, że Foster jest typowym mieszczuchem, urodzonym i wychowanym w mieście.

Foster zauważył wyraz zdziwienia na jego twarzy i odparł zniesmaczony.

- Nie mieszkaliśmy tutaj. Mój tata przywoził nas tu w weekendy, na wakacje i tak dalej.

Wyszli z gęstwiny jeżyn na szeroki przestwór bagien, gdzie kilka godzin wcześniej Jim Bradbury wdychał słone powietrze i oczekiwał przyjemnego porannego wędkowania. Słońce stało już wysoko, a bagno lśniło w niezliczonych miejscach. Ze trzy kilometry dalej, przy Calderbank, łodzie kołysały się radośnie. O tej porze port był już pełen amatorów surfingów i żeglarstwa, którzy uwielbiali tamtejsze spokojne i ciepłe wody. Na wschód od pomostu, przy pagórkach linii brzegowej Lancashire, między piaszczystą plażą a polami widać było chaotycznie porzucane domy. Gdyby nie brunatna piana przynoszona przez fale i nieczystości wypływające czasami z ujścia rury ściekowej przy pomoście, można by pomyśleć, że to wybrzeże Normandii.

16

Lewis się ulotnił. - Słyszac̄ nieco zachrypnięty ḡlos, dwóch męzc̄yzn podniosło ḡłowy. W drzwiach pojawiła się ḡłowa Ryman, przerywając rozmowę Jamesona z nadinspektorem Comptonem.

- Przepraszam, sir - powiedziała, odpychając się szybko łokciem, żeby się wycofać.

Compton zaprosił ją gestem do środka.

- To poufna rozmowa - rzekł, co jeszcze bardziej zaniepokoiło Ryman. - Ale skoro Lewis zniknął, jestem równie ciekawy jak mój kolega, dlaczego.

- I gdzie jest - wymamrotał Jameson.

Ryman opanowała się i reszta jej wysokiej i chudej osoby znalazła się w pokoju. - Właśnie wróciłam z wydziału „A”. Ich ludzie go teraz szukają, szefie.

Patrzyła na Jamesona, żeby uniknąć widoku niesamowitych brwi Comptona. Były gęste i krzaczaste, a on nawet nie próbował nad nimi zapanować. Kiedy mówił, wyglądały jak żarłoczne gąsienice pełzające po jego czole, a Ryman przeważnie nie mogła się powstrzymać, żeby się im nie przyglądać, z jednoczesną fascynacją i odrazą.

- Podejrzewają, co go do tego skłoniło? - spytał Compton.

- Był przesłuchiwany wczoraj wieczorem, sir - wtrącił się Jameson. - To ja go przesłuchiwałem. Wyglądał na zdenerwowanego, ale chyba nie na rękę mu było to, że go zatrzymujemy. Jakby miał jakieś ważne spotkanie, na które musi zdążyć. - Jameson poczuł się nieswojo, kiedy pomyślał, że Jima zamordowano kilka godzin po tym, jak Lewis był taki niecierpliwy, żeby opuścić posterunek.

- Skąd on się w ogóle wziął? Może wiedzieć coś na temat morderstw?

Jameson zacisnął zęby.

- To szczwany sukinsyn, sir. Nie powiedział nic przydatnego. - Przypomni ł sobie uśmieszek samozadowolenia na twarzy Lewisa, kiedy pytali go, co robił w dniu porwań; radosny grymas, kiedy podał alibi na oba dni. - Moim zdaniem był zbyt dokładny. Nie zastanawiał się zbyt nio. Jak teraz o tym myślę, to wydaje mi się, że mu ulżyło, chyba spodziewał się, że zatrzymaliśmy go za coś innego.

- A jego alibi?

- Potwierdziło się.

Compton chrząknął i odwrócił się do okna.

- Oczywiście przydałoby się zapytać go, co robił między opuszczeniem posterunku a dzisiejszym rankiem - powiedział, idąc tym samym tropem co Jameson.

- Oczywiście - rzucił Jameson ze zbyt silnym akcentem i napotkał ostre spojrzenie szefa. - Może warto sprawdzić, czy wydział „A” chciał rozmawiać z nim o czymś konkretnym od naszego ostatniego z nimi kontaktu. - Jameson skierował tę sugestię do Ryman.

- Poproście wydział „A”, żeby informowali nas o rozwoju sprawy - rzucił Compton, po czym dodał z oporem: - Dobra robota, konstablu.

Ryman wyszła, ciesząc się, że nie będą już na nią patrzyły te niezwykle oczy.

Jameson spojrział za nią, przypominając sobie, co mówiła mu żona Jima. Potrząsnął głową.

- Nie mogę przestać myśleć o Lily - powiedział.

Brwi Comptona zmarszczyły się.

- Czekala wszystkie te lata, zamartwiając się, że ktoś będzie go za coś chciał załatwić, a kiedy w końcu to się stało, to był już na emeryturze i łowił cholerne karpie. Przykre, Alan. To cholernie...

Jameson przerwał mu:

- Jim próbował się wczoraj do mnie dodzwonić. Lily nie wie po co. - Może myślał, że coś widział, a może tylko stary wujek Jim jak zwykle starał się pomóc? - Przyszło mi do głowy, że las, w którym znaleziono ciała, jest blisko stawów. Nurtuje mnie myśl, że Jim mógł coś widzieć.

- Trzeba będzie ponownie porozmawiać z Lily. Jameson chrząknął z niesmakiem. - Wiem - odparł.

To była jego codzienność, naruszanie prywatności ludzi i oglądanie ich cierpienia.

Compton przyglądał mu się uważnie, po czym z drżącymi z emocji brwiami rzekł: - Dociera dopiero wtedy, kiedy to jeden ze swoich...

- Czy coś jeszcze, sir?

Compton usłyszał irytację w głosie Jamesona, więc przyjrzał się jego twarzy, malującemu się na niej strapieniu i podkrążonym oczom.

- Znajdź go, Alan - powiedział. - Znajdź szaleńca, który to robi, to może będziesz mógł się wtedy przespać. - Zamilkł, jego brwi też zastygły w bezruchu, ale po chwili zagościł na jego twarzy ironiczny uśmiech. - Poprawka - rzucił, mówiąc chyba więcej, niżby chciał. - Może wtedy obaj się trochę prześpimy.

*

Kiedy Chris przyjechała po pracy do archiwum, Wayne okazał się zupełnie nieskory do współpracy. Miała świadomość, że trochę przesadza, ale myślała, że w oficjalnych dokumentach może znaleźć więcej szczegółów, niż w swoich prywatnych notatkach. Może pominęła kogoś - albo coś - ważnego. Swoje notatki dotyczące domu dziecka zniszczyła, kiedy odeszła z magistratu. Może tam znajdzie coś, co pomoże wykryć jej związek. Dorothy zniknęła, jak tylko wybuchł skandal. I ona, i Ann zajmowały się niektórymi dziećmi tam skierowanymi. Swoje własne zaangażowanie oceni dokładniej, jak zobaczy dokumenty; Dorothy i Ann mogły zostać zamordowane za swój w tym udział, a ona uważała, że sama jest równie winna. Nicky zaczęła już namierzać chłopców - teraz już mężczyzn, o czym musiała sobie cały czas przypominać - puszczając w ruch maszynę i kontakty, które pomogą im w końcu znaleźć. Chris zasugerowała, żeby spróbować w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, ale Nicky zachnęła się kpiąco.

- Na kiedy to potrzebujesz? Na Boże Narodzenie?

Potem zadzwoniła do wujka, który pracował jako urzędnik w Komendzie Głównej, a dwie godziny później skontaktowała się z Chris w przychodni szpitalnej i podała jej pierwsze namiary.

Laury jednak nie było w wykazie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Chris bardzo się cieszyła z tego powodu: była pewna nadzieja, że Laura jakoś sobie ułożyła życie.

- Archiwum jest zamknięte, kochana - powiedział Wayne.

Chris pomyślała, że jest niespotykane uprzejmy, ale wypaliła niewiele myśląc: - Jeszcze piętnaście minut do zamknięcia, Wayne, a ja muszę zajrzeć do jednej teczki...

Normalnie taka uwaga spotkałaby się z jakąś bezceremonialną propozycją, ale tym razem Wayne przewrócił oczyma i odparł sztywno:

- Jutro. Dziś już za późno na przeglądanie teczek.

Powinna się zorientować, że coś jest nie tak, ale miała dzisiaj długi dzień, po trudnym weekendzie i nie była tak spostrzegawcza jak zwykle.

- Teczki, Wayne - powiedziała. - Jednej. Potrzebuję dwóch minut. Chodzi o Laurę Smith.

- A zezwolenie? - spytał z gwałtownością graniczącą z agresją.

- Zezwolenie!

- Każdy może tak przyjść. Skąd mam wiedzieć, co komu wolno pokazać?

W końcu Chris zauważyła lśniący pot na czole Wayne'a i uświadomiła sobie, że był

wyraźnie wystraszony.

Zrobiła duże oczy, kiedy zaczęła rozumieć całą sytuację. Bezgłośnie rzuciła: „Cholera!” i natychmiast zaczęła próbować odkręcić całą sprawę, chociaż wiedziała, że nie ma żadnych szans.

- No cóż - powiedziała - w takim razie będę musiała przyjść jutro. Zostawiłam dokumenty w biurze. Przyniesienie ich zajęłoby mi z dziesięć minut, więc sądzę, żeby ktoś tu chciał tak długo czekać...

Wysoki mężczyzna o niemiłym wyrazie twarzy, który mógł być tylko policjantem, wyłonił się zza pleców Wayne'a. Przysłuchiwał się całej rozmowie, stojąc za drzwiami prowadzącymi do archiwum.

- Na szczęście ja mam dokumenty, droga pani - powiedział, pokazując swoją legitymację.

Kontuar blokował mu drogę i Chris rozważała nawet możliwość ucieczki, ale bez konieczności tłumaczenia jej obecności Wayne i tak miał już dosyć problemów, więc poczekała, aż policjant podniósł drewniany blat i chwycił ją za ramię.

*

Jameson wyglądał na wycieńczonego. Siedział naprzeciw niej ze splecionymi rękoma spoczywającymi na czarnej, akrylowej powierzchni stołu i wyrazem znużenia na twarzy.

- Jakich innych informacji pani udzielił? - spytał.

- Co pan ma na myśli mówiąc „inne informacje”? Facet nie chciał mi podać teczek. Niech pan się spyta sierżanta Tully'ego. On tam był.

- Już to zrobiłem.

Przez chwilę przyglądał się uważnie Chris w milczeniu, ale Chris, która stosowała tę samą metodę w pracy, wytrzymała jego spojrzenie, zastanawiając się, czy widoczne na jego twarzy znużenie wynikało z prowadzonej sprawy, czy była jakaś inna przyczyna.

- Jednak była tam już pani wcześniej, prawda, doktor Radcliffe?

Potrząsnęła głową.

- Nie.

- Czy dobrze zna pani pana Orrella?

- Tak się nazywa? - Spojrzała na Jamesona, czekał. - Nie, wcale go nie znam.

- Zwróciła się pani do niego po imieniu - wtrącił się Tully.

Chris spojrzała na twarz policjanta, który ją aresztował. Przypominała jej rzygacza.

- Jego imię było napisane na plakietce, którą nosi - wyjaśniła.

- Musi mieć pani dobry wzrok. Wzruszyła ramionami.

- Dobry Boże! - wybuchnął niespodziewanie Jameson. - To nie jest zabawa, doktor Radcliffe! Popelniła pani poważne wykroczenie.

Chris zmarszczyła czoło. Może używał takich pompatycznych stwierdzeń, bo był przemęczony.

- Skoro nie dostałam do ręki żadnej teczki, to czy ja w ogóle popełniłam wykroczenie? Nie podszywałam się pod policjanta.

Zapadła pełna napięcia cisza. Potem Jameson zapytał:

- Co pani chce przez to powiedzieć?

Chris zastanawiała się, czy może zaryzykować pytanie zamiast odpowiedzi, ale zdecydowała się na bardziej bezpośrednią drogę:

- To dlatego tam pan był? Bo ktoś szperał w dokumentach magistratu? To stąd ktoś wiedział, gdzie mieszkają?

Oczywiście znała już odpowiedź na wszystkie te pytania, bo Wayne jej to powiedział w czasie poprzedniej wizyty, ale to była jej pierwsza, a może i jedyna okazja, żeby porozmawiać z Jamesonem o prawdopodobieństwie tego, że mordercą był ktoś, kogo znała ona sama, Dorothy i Ann.

- Czy pan Orrell od dawna pani pomagał? - spytał bez mrugnięcia okiem Jameson.

Zawahala się, jakby nie była pewna, do kogo pytanie było skierowane, a Tully, nie mogąc się opanować, wtrącił podniesionym głosem:

- Niech pani nie udaje niewiniątka! Skoro pani przeczytała jego plakietkę, to wie pani, że się nazywa Wayne Orrell.

- Kiedy chce się mieć dostęp do informacji i nie jest się do tego upoważnionym, trzeba używać imienia - odparła Chris. - To najlepszy sposób. - Spojrzała Tully'emu w oczy i dodała: - To najbardziej podstawowy mechanizm społeczny.

- Czyżby? - Robiąc się coraz bardziej ożywiony, zaczął dziwnie dobierać słowa. - Tak, to w takim razie, co z tym, że zna go pani osobiście, he? Niech nam pani nie wmawia, że go pani nie rozpoznała. Pracuje w archiwum przynajmniej od dziesięciu lat, a to znaczy, że musiał tam już być wtedy, kiedy pani była tam zatrudniona.

- Naprawdę? - Wzruszyła ramionami. - To było dawno temu.

- No dobrze, Chris - powiedział. - Niech nam pani wyjaśni, po co chciała pani rzucić okiem na teczkę Laury Smith.

Chris roześmiała się, szczerze rozbawiona. - Cała sztuka polega na tym, sierzancie

Tully, żeby wiedzieć, kiedy zwracać się do kogoś po imieniu - powiedziała. - Kiedy się użyje go w niewłaściwym momencie albo w niewłaściwej sytuacji, staje się to po prostu obraźliwe.

- Nie chcielibyśmy pani obrazić, doktor Radcliffe. - Intonacja Jamesona była jednoznacznie ironiczna. - Ale prowadzimy śledztwo w sprawie morderstw ludzi, którzy byli bezpośrednio związani z magistratem, więc kiedy zjawia się pani, starając się o dostęp do tajnych dokumentów, to oczywiście nas to... ciekawi.

Chris zawahała się. Nic się nie stanie, jeśli powie Jamesonowi, co robiła, prawda? W końcu pewnie i tak sam już to rozpracował.

*

Następnego ranka pracowała w swoim gabinecie w szpitalu, kiedy zadzwonił telefon. Okna były otwarte i słaby wiatr przynoszący zapach skoszonej trawy i topiącego się asfaltu poruszał firanki. Podniosła słuchawkę po pierwszym sygnale.

- Doktor Radcliffe?

- Przy telefonie. - Przytrzymując słuchawkę ramieniem, Chris skończyła pisać ostatnie słowa wstępnego raportu.

- Alan Jameson.

Przez chwilę Chris zastanawiała się, kim jest Alan Jameson, po czym, doceniając pominięcie przez niego swojego stopnia, spytała:

- W czym mogę panu pomóc, Alan?

- Mam nadzieję, że w niczym pani nie przeszkadzam. Próbowałem złapać panią w domu...

- Właśnie skończyłam. Sesję zaczynam dopiero za piętnaście minut.

- Hmm... Chciałem powiedzieć pani, że sprawdzamy nazwiska, które nam pani wczoraj podała. Okazują się bardzo przydatne w naszym dochodzeniu.

Chris czuła, że powinna coś powiedzieć, ale, wyjątkowo, zabrakło jej słów.

- Hmm... Chciałbym porozmawiać z panią o Sunnyside. Nie teraz - dodał. - Wiem, że jest pani zajęta, ale może moglibyśmy się umówić na spotkanie później. Bardzo chciałbym usłyszeć pani...

- Oczywiście - rzuciła Chris. - Porozmawiam z sekretarką i oddzwonię do pana. - Uświadomiła sobie, że brzmi sztywno i formalnie. Ten człowiek szedł jej bardzo na rękę, proponując niezobowiązującą rozmowę zamiast jak najbardziej uprawnionego przesłuchania, rejestrowanego na taśmie. Przypomniała jej się wiadomość dnia z dzisiejszych porannych

wiadomości i, bojąc się, że Jameson się rozłączy, wykrzyknęła: - Alan... - Kiedy upewniła się, że ją słyszy, powiedziała: - Przepraszam, że sprawiłam panu wczoraj tyle kłopotów. Nie wiedziałam o Jimie.

O tym morderstwie pisały ogólnokrajowe gazety. Zapanowała cisza i Chris już miała się rozłączyć, ale kiedy słuchawka była tuż nad widelkami, usłyszała głos Jamesona.

- Znała go pani?

- Opiekował się niektórymi dziećmi, które były pod kontrolą rady miejskiej. Bardzo go lubiłam. Był naprawdę porządnym człowiekiem.

Jameson zignorował jej komentarz.

- Zdaje sobie pani sprawę, że on jest trzeci?

- Powiązany ze mną? Tak. Ale mnóstwo innych ludzi, też znało tych troje. - Efekty ich pracy zależały od różnorodnych i częstych kontaktów z wieloma osobami. Jak go... - zaczęła. Nie dało się tego powiedzieć delikatnie. - Jak został zabity?

- Pojedyncza rana kłuta w serce.

- Widział pan gazety? - spytała Chris.

Zaległa krępująca cisza.

- Jeśli pyta pani o to, czy widziałem Herolda, to tak.

Jameson nabrał zwyczaju czytania porannych gazet od czasu pierwszego uprowadzenia. Połączenie bezlitosnego upału i niepokoju dotyczącego śledztwa doprowadziły go do bezsenności, więc codziennie rano wybierał się biegiem przez park do Aigburth Yale, strącając nogami krople rosy z trawy, która o piątej trzydzieści była ciągle jeszcze spowita mgielką sięgającą do kostek. Ćwiczenie spełniało dwojaką funkcję: wyprowadzenie psów na spacer i orzeźwienie po kilku godzinach snu, co było konieczne, żeby mógł odprawić rytuał karmienia siebie i psów przed wzięciem prysznic i wybieraniem spośród świeżo wypranych koszul jakiejś nadającej się do założenia. Nieraz zastanawiał się, czy nie poprosić pani Delaney, żeby poświęciła jeszcze dwie godziny na wypranie i wyprasowanie koszul, ale nie zdobył się na zostawienie jej kartki, więc tego ranka wyciągnął kolejną nieco wygniecioną koszulę, mając nadzieję, że zmarszczki znikną w miarę noszenia.

Ralph Milton był autorem artykułu Miastowe zbrodnie. Foster potwierdził, że on też znalazł związek z historią z domem dziecka - i uznał całą sprawę za niezwykle kontrowersyjną. Wyraźnie chciał zrobić karierę na znalezieniu powiązań między aferą z domem dziecka a morderstwami. Jego gazeta wydrukowała nazwiska i wiek dwojga dzieci Dorothy, a w dzisiejszym wydaniu opublikowano ich zdjęcia: prowadzone za rękę do szkoły podstawowej, wyglądały na oszołomione i rozdrażnione. Cytował „źródła”, które określiły

Dorothy Hardy jako „mysz kościelną” i skądś wygrzebał jej byłego męża, który wyrażał się raczej krytycznie o jej charakterze.

*

Milton nie próżnował. Dzięki swej znajomości z cudownym panem Dixonem został złotym piórem wydawcy i zamierzał maksymalnie to wykorzystać. Najpierw Dixon skontaktował się z redakcją i dowiadywał się, czy ktoś jest zainteresowany kupnem informacji na temat zinstytucjonalizowanego znęcania się nad dziećmi. Jego informacje wyglądały wiarygodnie, więc szukano dziennikarza, który zajmie się tą sprawą. Zgłębi mroki Merseyside. A w jego artykułach okolica ta prezentowała się zwykle ponuro. Ralph Milton urodził się w Londynie i był mocno podejrzliwy wobec wszystkiego, co leżało na północ od Watford. Oczami wyobraźni widział satanistyczne rytuały odprawiane w zrujnowanych, pokrytych grubą warstwą sadzy domach z widokiem na mroczne kanały i zniszczone doki. Nie żeby mu zaproponowano wyjazd, żeby go wyróżnić - po prostu nikt inny nie był zainteresowany - to nie to, co Manchester, ale może (z dużym znakiem zapytania) warto sprawdzić. Mimo że perspektywa spędzenia tygodnia w Liverpoolu i okolicznej krainie Nędznych Psów nie była zbyt uroczą. Spakował więc manatki i zamieszkał w małym, ale wygodnym hoteliku na Mount Pleasant i w ciągu tygodnia napisał artykuł. Kilka dni później trafiła się historia jego życia, kiedy zniknęła pierwsza kobieta. I niezależnie jakich i kiedy potrzebował informacji, Dixon był nader pomocny.

Odchylił się w swoim fotelu i rozejrzał się wokół. Przeprowadził się z hotelu do Moat House, żeby być bliżej policji, miejscowego radia i telewizji - lubił trzymać rękę na pulsie. Pokój był większy i miał klimatyzację, co było błogosławieństwem przy takiej pogodzie. Był co prawda trzy razy droższy i Milton bardzo dobrze zdawał sobie sprawę, jak to wpłynie na jego sytuację finansową. Trzymał słuchawkę przy uchu i mówił ze szczerą dobroduszością.

- Jake, stary... Tak - zdjęcia dobre. A jak ci się podobał artykuł? - Roześmiał się. - Opinia publiczna ma prawo wiedzieć, nie? Słuchaj, co możesz mi powiedzieć o byłym sierżancie policji o nazwisku Jim Bradbury? Emerytowany.

Dixon wystukał jego nazwisko na klawiaturze i zaczął poszukiwania.

- Co chcesz o nim wiedzieć? - spytał.

- Niewiele, tylko motyw, dla którego ktoś chciałby go zamordować.

Dixon poczuł, jak nagły niepokój ścisną jego wnętrzności. Zdusił go w sobie. - Brzmisz, jakbyś chciał mieć to na własnym koncie. Milton roześmiał się. Wydawał się lubić

wisielczy humor.

- Nie, to ktoś inny podpisał wyrok śmierci na sierżanta. - Zamilkł, z uznaniem myśląc o tym zdaniu i zapisał je, żeby wykorzystać przy jakiejś okazji. - Ale chciałbym być pierwszym, który będzie miał na jego temat coś interesującego.

Dixon spojrział na dane otrzymane w wyniku poszukiwań. Było tego dwieście pięćdziesiąt dwie informacje. Sprawdzenie wszystkich zajmie ze dwie godziny.

- Zadzwoń do ciebie później - powiedział. - Może mieć jakiś związek z domem dziecka, jeśli to cię interesuje.

- To albo jakakolwiek inna mroczna sprawa z jego przeszłości. Szkielety w szafie. Postępowania dyscyplinarne. Cokolwiek. Znasz mnie, nie jestem wybredny.

- Pod warunkiem, że masz coś na artykuł, nie?

- Coś zawsze się znajdzie, stary...

Dixon rozłączył się i wyłączył telefon, kładąc słuchawkę na lśniącej powierzchni swojego stolika. Jak się pokisi w swoim własnym sosie przez parę godzin, to zmięknie, pomyślał Dixon. Zamierzał podbić nieco stawkę.

*

Dobrze się czujesz?

- Staram się trochę ochłodzić - Chris siedziała w ich biurze w jednym z foteli stojących przy lustrze. Zasłony były zaciągnięte. Okna i drzwi były otwarte, a jej bosa nogi spoczywały na stoliku.

- Słyszałem co innego.

Otworzyła oko. - Ironia nie jest twoją mocną stroną, Ted.

- Fran siedzi w pokoju dla personelu. I popłakuje - powiedział.

Chris westchnęła, zdjęła nogi ze stolika, postawiła je na podłodze i przez krótką chwilę rozkoszowała się dotykiem chłodnych płytek.

- Fran wyjechała z czymś, że Philipowi „się upiekło”. A potem tłumaczyła coś, że „załatwił” kolejnego. Myślałam, że mówi o Philipie... I tyle.

Ted wiedział bardzo dużo o przeszłości Chris i czuł odpowiedzialność wynikającą z przywileju bycia z nią w zażyłych stosunkach.

- Jak on się miewa?

- Fatalnie, jeśli mam być szczerą. Prawie cały poniedziałek sprzątał i porządkował swoje mieszkanie. Nie pozwolił sobie nikomu pomóc. Mówi, że czuje się skrzywdzony. -

Przejechała ręką przed oczyma, czując zmęczenie i bezradność. - Nie wiem jak... - Była tak zmęczona, że prawie nie miała siły mówić. - ...mogłabym mu pomóc - dokończyła, patrząc Tedowi w oczy i widząc w nich coś więcej, niż współczucie, więc natychmiast odwróciła wzrok dodając szorstkie i nic nie znaczące: - Podejrzewam, że sam jakoś da sobie radę.

Zamrugnęła oczyma, kiedy to mówiła, i zauważyła, że Ted jest co najmniej zmieszany.

- No mów, co ci chodzi po łbie - rzekła.

- Cóż - zaczął Ted - może w tym coś być. W końcu jakoś sobie poradził przez ten czas, kiedy go szukała policja.

Chris spoważniała. - Nie chce mi powiedzieć, gdzie spał. Jakby się czuł zdradzony. Jakby nie mógł już nigdy nikomu zaufać. Martwię się, wiesz? Na przykład, skąd wziął pieniądze na swoje lekarstwo? Na jedzenie? Co, jeśli on kogoś zranił, Ted?

- Daj mu trochę czasu.

Chris ugryzła się w język i nie powiedziała mu, że prawi takie same banały jak Maria Stevens. Zamiast tego rzekła:

- Lepiej sprawdzę, jak się czuje Fran.

- Zostaw ją w spokoju. Może w przyszłości będzie zwracała większą uwagę na to, co mówi. - Ted nie aprobował jej nienasyconego apetytu na plotki i głosił, że tacy ludzie powinni być wieszani za swoje mielące jęzory.

- Obawiam się, że przesadziłam - odparła Chris. - Nie musiałam być taka okrutna.

- Ona też nie jest specjalnie miła, jak się rozkręci.

- Jestem pewna, że naprawdę tak nie myśli - powiedziała Chris, sama zdziwiona potrzebą obrony recepcjonistki. - To takie dla niej typowe. Plecie co jej ślina na język przyniesie, w ogóle nie myśląc o konsekwencjach. - Wyobraziła sobie Fran, roztrzęsioną, rozgorączkowaną, bez powodzenia starającą się wyłuskać kostki lodu do szklanki wody z kranu.

Ted wzruszył niecierpliwie ramionami.

- Nie jesteś przypadkiem trochę zbyt dobroduszna? - spytał.

Chris uśmiechnęła się.

- Może masz rację. Chyba bardzo mi ulżyło, że Phil jest bezpieczny. Pytanie Teda sprowokowało kolejne: czy była zbyt wrażliwa, zbyt skłonna brać na siebie winę i zbyt skoncentrowana na swoich własnych, nierozwiązanych problemach wewnętrznych?

- Myślisz, że dręczą mnie wyrzuty sumienia, tak? Że biorę na siebie problemy świata, bo miałam nieszczęśliwe dzieciństwo?

- Impertynencja nie jest szczególnie skuteczną zasłoną dymną - rzekł Ted. - Wiesz, że

kiedyś będziesz musiała stawić czoło swoim uczuciom.

- Mogę tego nie robić.

- Wtedy będzie jeszcze gorzej.

Ich oczy spotkały się. Chris wiedziała, że on ma rację; myślała, że uporała już się z wyobcowaniem wobec ojca dawno temu, ale jego śmierć rok temu przyniosła falę nowych uczuć, z którymi nie bardzo umiała sobie poradzić. W pewnym sensie zbieranie materiałów do jej książki było próbą oczyszczenia się z gniewu, który ciągle odczuwała do obojga rodziców, ale w głębi serca czuła, że niemożliwe jest przewyciężenie krzywd wyrządzonych jej w dzieciństwie bez zaangażowania tych emocji, które tak długo w sobie tłumiła. Próba beznamiętnego, naukowego podejścia do sprawy niczego nie rozwiąże. Ted czytał w jej myślach, widział wszystko w jej pełnych wyrazu oczach, w których się zakochał, kiedy spotkali się po raz pierwszy dziesięć lat temu, w myślach, do których nie miał dostępu. Odwróciła wzrok, ignorując go.

- Staram ci się pomóc, Chris - powiedział bez urazy.

Chris po raz pierwszy zrozumiała, w tym krótkim momencie objawienia, głębokość uczuć, które do niej żywił, i świadomość tego była dla niej niespodziewanie silnym szokiem.

Inspektor Jameson wpatrywał się w szmatławiec leżący na jego biurku. Kolejny artykuł Milтона. Za każdym razem, kiedy widział nowy nagłówek, wzbierała w nim fala gniewu.

ŚMIERĆ CIĄGLE NA WOLNOŚCI

KOLEJNA OFIARA MIASTOWEGO MORDERCY

SIERŻANT ZABITY NOŻEM

Odwrócił gazetę. Sam tytuł był obrzydliwy, ale najgorsze były szczegóły osobiste: fakt, że dopiero co przeszedł na emeryturę; używanie jego przezwiska; ujawnienie tego, że został zamordowany w lesie, gdzie znaleziono ciała kobiet; niejasne insynuacje sugerujące jakieś nadużycia władzy w przeszłości. Nie było żadnego bezpośredniego oskarżenia, ale była sugestia, że morderstwo „może być” odwetem. Jima określano na przemian jako „służbowego do granic”, „bystrego”, „gorliwego” człowieka. Opinia publiczna dowiedziała się, że wypełniał swoje obowiązki z „oddaniem”, przez co miał mało czasu na dom i rodzinę i inną „nieustającą obsesję”, wędkowanie. Świadome umieszczenie artykułu o dwóch policjantach, których zawieszono w wypełnianiu czynności służbowych, w związku z podejrzeniami o brutalność, w sąsiadującej kolumnie, w połączeniu z niejasnymi insynuacjami dotyczącymi bohatera artykułu jasno wskazywały czytelnikowi, jakie wnioski należy z tego wyciągnąć.

Foster zapukał i wszedł od razu, nie czekając na pozwolenie. Trzymał tę samą gazetę w ręku.

- Więc już to pan widział - powiedział.

Jameson pokiwał głową.

- Żywię tylko głęboką nadzieję, że Lily nie. Ktoś donosi, Bob. Chcę wiedzieć, kto.

- Chce pan, żebyśmy znalazł Ralpha Milтона i trzymał tego skunksa za ogon, aż będzie piszczał?

- I w ten sposób skłonisz go do napisania dalszego ciągu: „Nieugięty Reporter Odmawia Ujawnienia Źródeł!” To by tylko uwiarygodniło to cholerne kłamstwo. - Jameson podniósł gazetę i uderzył nią w stół.

- A miał coś na sumieniu?

Jameson zawsze mógł liczyć na to, że jego sierżant będzie zadawał trudne pytania.

- Nie mam pojęcia, Bob. Wiesz, jak to jest. Jakiś mały drań wnosi skargę i wtedy musi być dochodzenie. - Westchnął. - Ale chyba lepiej będzie, jak się upewnię. Zajmę się tym, a ty sprawdź, kto dostarcza Miltonowi te śmieci! - Tym razem, kiedy podniósł gazetę, wrzucił ją do śmietnika.

*

Chris jechała w ulewie pod bezchmurnym niebem. Południowy wiatr znad pól ziemniaczanych przywiewał na drogę gęstą mgłę kropelek wody; biała piana rozbryzgiwała się z potężnych węzów, wypełniając krajobraz fontannami wody opadającymi łukiem na ziemię. Ograniczenia na czas suszy nie zostały jeszcze wprowadzone, ale była to tylko kwestia czasu, więc rolnicy robili co mogli, póki było wolno.

Więzienie było nisko położone, w naturalnej niecce i otoczone wyschniętymi polami. Było raczej bez wyrazu niż brzydkie. Okrągłe ogrodzenie i wysoki mur otaczały grupę ceglanych budynków pokrytych czerwonymi dachami. Oddalone niecałą godzinę jazdy od Liverpoolu, Avonlea ulokowano w krajobrazie Lancashire tak płaskim i monotonnym jak szerokie równiny Norfolku.

Miała zamiar wykreślić George'a Maddoxa z listy, kiedy Nicky powiedziała jej, że Avonlea jest więzieniem otwartym. Maddox kończył odsiadywanie wyroku za ciężkie pobicie i wypuszczano go na dzienne i weekendowe przepustki. Uzyskanie od Ministerstwa Spraw Wewnętrznych pozwolenia na odwiedzenie go w więzieniu mogłoby zająć kilka miesięcy, a poza tym mogliby odmówić - on też. Jeśli Maddox byłby mordercą, to na Chris spoczywałaby część odpowiedzialności w przypadku kolejnych zbrodni.

Podawała Jamesonowi jego nazwisko po tym, jak została aresztowana w archiwum, i bacznie obserwowała jego reakcję. Nic nie zauważyła, nie było nic konkretnego, ale instynktownie czuła, że bardzo go to interesowało.

- Co pani o nim wie? - spytał.

- A co wy wiecie? - zrewanżowała się pytaniem.

Oczy Jamesona zwróciły się w stronę bezładnego stosu skoroszytów leżących w rogu biurka.

- Jest na naszej liście - odparł.

Oczywiście sprawdzili powiązania z Ann i Dorothy, tak jak ona. Nie doceniała policji, czyniła aroganckie założenia. Chris poczuła ciepło na twarzy i odwróciła wzrok. Kiedy podniosła wzrok, ciągle się w nią wpatrywał i z jego słabo skrywanego rozbawienia

wywnioskowała, że dokładnie wiedział, o czym ona myśli. Zaczęła od historii Geoga Maddoxa w skrócie, a skończyła na krótkim rysie psychologicznym. Chciała się spotkać z Maddoxem twarzą w twarz. Jeśli to on był mordercą, chciała wiedzieć, czy jest następnym celem, i miała nadzieję, że może uda jej się coś zauważyć, że może się jakoś zdradzi. Wydawało jej się też ważne, żeby przy pierwszym kontakcie mieć nad nim przewagę.

- Każę się tym komuś zająć - rzekł Jameson.

Chris prawie zareagowała, ale po chwili zauważyła coś na twarzy Jamesona: był skłonny do negocjacji.

- Powinien pan wysłać kobietę - powiedziała, zapatrzona na doki Liverpoolu. - Będzie zgrywał twarziela, jeśli wyśle pan policjanta; prawo do milczenia, te rzeczy. Ale George lubi się popisywać przed kobietami. - Trudno było ocenić reakcję Jamesona. - Może chce porozmawiać o zabójstwach. Nie powinna okazywać ani strachu, ani tego, że jest zszokowana. On lubi szokować, a strach jest jedną z jego broni, więc będzie musiała być albo naprawdę twarda, albo być bardzo dobrą aktorką. - Teraz jej słuchał; zabawa w wymienianie informacji już minęła. - I niech pan jej powie, żeby nie zadawała bezpośrednich pytań - ciągnęła Chris. - Czuje się wtedy zagrożony - oczywiście już sam fakt, że zadaje jej policjantka, może uznać za zagrożenie...

- Chce mi pani powiedzieć, że powinniśmy do niego wysłać kogoś, kto wie jak podchodzi do więźniów. Najlepiej psychologa. O to chodzi?

Chris uśmiechnęła się.

- Myślałam, że nigdy pan nie zapyta.

W ciągu dnia Jameson doszedł do tego, co mogłoby zabrać jej kilka tygodni. Poprosił, żeby pozwolono jej porozmawiać z Maddoxem w imieniu policji z Merseyside.

Wymienili z Maddoxem formalny uścisk dłoni. Począł, aż usiadł i dopiero potem sam ulokował się na kanapie naprzeciw niej. Ironia była oczywista, ale Chris to doceniła. Musiał mieć już z dwadzieścia pięć może sześć lat, ale nie byłaby w stanie tego odgadnąć z jego kamiennej twarzy. Rozejrzała się po pokoju, wychwytyjąc cechy charakterystyczne: dwie kanapy stały naprzeciw siebie, a między nimi stał stolik. Leżał na nim stos miesięczników, w większości o samochodach i komputerach, ale wśród nich były też magazyny kobiece rozłożone wachlarzem z jednej strony stolika, a na środku stała czysta popielniczka.

- Jak dzieło sztuki? - spytał Maddox, wskazując duży kolaż zajmujący jedną ścianę, przygniatający pokój swoją wielkością i bijącą od niego prawie pulsującą energią.

Chris spojrzała na dzieło krytycznie. Była to kompozycja cienkich plastrów mosiądzu i

miedzi, pociętych i zespolonych w kształty przypominające ryby. Tło błyszczało, zmieniając kolor wraz ze zmianą pozycji obserwatora.

- W innym otoczeniu, tak. Jest przemyślane i dobrze wykonane. Jego twarz wykrzywił grymas. - Trochę przygniatające tutaj, prawda?

No, ale w więzieniu nie ma zbyt wiele miejsca - nawet na dworcu.

- Nie - przytaknęła Chris. - Ale przynajmniej w pana przypadku to już raczej niedługo nie będzie problemem.

- Ma pani na myśli moje zwolnienie? Panią to martwi, pani doktor?

Chris nic nie mogła wyczytać z jego czarnych oczu.

- A powinno?

Maddox roześmiał się. - Czy wy się nigdy nie wyłączaście?

Uśmiechnęła się połowicznie.

- Przepraszam - powiedziała. - Siła przyzwyczajenia.

- No więc?

Dopiero po chwili milczenia odpowiedziała:

- Nie wiem, czy mam powody do zmartwienia. Nie wiem, jakie są pańskie uczucia wobec mnie.

- Ledwo się znamy, pani doktor - odparł; w jego głosie można było wyczuć subtelny, ale zauważalną groźbę. - Ale to ma być - chyba dobrze myślę? - racjonalizacja dla agresywnych mężczyzn, tak? Nie zauważaj w ofierze cech osobowych i nie czuj się przez to winny.

- Wygląda na to, że dowiedział się pan czegoś o agresywnych zachowaniach, panie Maddox. Czy to rezultat lektury czy terapii?

- Po trosze obu, ale przede wszystkim terapii. Książki mnie niezbyt interesują.

- A wierzy pan w to?

Zastanowił się.

- Wydaje mi się to zbyt proste. A co z tymi, którzy biją swoje kobiety? Żony? - Nie odrywał od niej wzroku. - Swoje dzieci? Nie powie mi pani, że nie wiedzą, że oni też są ludźmi. Znają swoje ofiary aż za dobrze. Znają je i gardzą nimi tak bardzo, że nie ma dla nich znaczenia to, co im robią.

- Negując ich człowieczeństwo, tak? - spytała Chris. - Więc przemoc znowu jest usprawiedliwiona.

Chris wyczuła wzbierające w mężczyźnie emocje.

- Błędne koło - powiedział, patrząc na nią z intensywnością zdradzającą wewnętrzną

pasję.

- Jeśli ofiara stawia opór oprawcy...

Przerwał jej wybuchem głośnego, agresywnego śmiechu.

- Myśli pani, że byłaby w stanie?! Że potrafiłaby oprzeć się stu kilogramom czystej nienawiści? - W jego oczach pojawił się błysk, a jego ręce zacisnęły się w pięści.

Chris zmusiła się, żeby wytrzymać jego wściekle spojrzenie.

- Fizycznie? Nie - odpowiedziała. - Ale innymi sposobami.

Maddox zachnął się pogardliwie.

- Nie ma innego sposobu - powiedział, ale spuścił z niej wzrok i ze złością zgasił papierosa, natychmiast zapalając kolejnego. - Co pani w ogóle ode mnie chce? - spytał. - Niedługo stąd wychodzę. Mam załatwioną pracę. Niepotrzebne mi żadne pieprzone bójki.

- Wiem o tym, panie Maddox, i właśnie dlatego jestem tu ja, a nie policja.

Spojrzał na nią ostro, po czym szybko odwrócił wzrok. Dopiero po chwili zrozumiał swoje położenie i zaczął.

- Niech pani posłucha, jeśli chodzi o... transakcje, których dokonywałem na przepustce, to były tylko na użytek własny - gówno, które tutaj można dostać, może nieźle człowieka rozpieprzyć.

Chris starała się wyczytać coś z jego twarzy. Maddox się bał, to było oczywiste, i pomimo czynionych wysiłków, ledwo nad sobą panował. Nie chciał zmarnować szans na wyjście, ale czy jego niepokój wynikał naprawdę z tego, że na zewnątrz kupił narkotyki, czy była to tylko przykrywka mająca ukryć inne, dużo bardziej ponure przewinienie?

Maddox zauważył jej wahanie i zakłopotanie, co zinterpretował jako słabość, której wcześniej nie zauważał.

Rozluźnił się. Strach, który go na krótko opanował, zniknął i znowu jego twarz przybrała kamienny wyraz.

- Słyszałem panią w radiu - powiedział tonem najzwyczajniejszej pogawędki, odchylając się na kanapie i wyciągając wzdłuż niej jedną rękę.

- Tak? - rzuciła Chris, zbierając się w sobie.

- Trudno mi sobie panią wyobrazić jako typ nieustannie zamartwiającej się kobiety - rzekł.

Chris odpowiedziała mu uśmiechem, nie dając się zbić z tropu.

- Zapomniałem, że pani też tam była, z innymi.

- Z jakimi innymi?

Maddox spojrzał na nią, a jego oczy promieniowały snopkami światła. Uśmiech, który

nie był uśmiechem, zagościł na jego twarzy, jak płomień świecy woskowej, po czym, jakby tracąc wigor, zgasł.

- Wie pani, jaka jest jedyna różnica między takimi ludźmi jak pani a takimi jak ja? - Uznał jej milczenie za nieme potwierdzenie; zrozumieli się.

- Pani się upiekło, a mi nie.

- Niby co mi się upiekło? - spytała Chris, ignorując narzucającą się jej wizję szarego światła odbijającego się od twardej stali.

Maddox spuścił powieki, osłaniając się na chwilę przed jej badawczym spojrzeniem.

- Jednego skazują, a drugiego nie - powiedział, ponownie przesywając ją wzrokiem. - Ale w każdym przypadku trzeba zapłacić, prawda, pani doktor?

*

To tyle? - spytał Jameson. - To wszystko?

- A czego pan się spodziewał? - odparła Chris. - Że zapytam go prosto z mostu, czy mści się jakoś na wszystkich pracownikach rady miejskiej Calderbank, którzy kiedykolwiek weszli mu w drogę? Dla człowieka takiego jak George Maddox to byłoby jednoznaczne zaproszenie do siania terroru. - Zastanawiała się irracjonalnie, czy Jameson zauważył oskarżenie skierowane do niej osobiście. Nie chcąc dawać mu czasu do namysłu na temat jej roli w tym wszystkim, dodała: - Wspomniał, że ostatnio lubi czytywać wiadomości ze swoich okolic. Powiedział, że to podniecające oglądać w telewizji ludzi, których się zna.

Jameson zaklął cicho, a Chris pochyliła się do przodu, kładąc swój notatnik na biurku. Była ubrana w krótką, cytrynową, płócienną sukienkę w kształcie litery A, która podkreślała jej złocistą opaleniznę. Jameson przyglądał się jej ruchom pełnym gracji, zauważając grę promyków słońca na delikatnych, jasnych włoskach jej przedramienia.

- Czy pani zdaniem jest zdolny do popełnienia morderstwa?

- Co do tego nie ma żadnej wątpliwości. W końcu zabił własnego ojca. Ale większość z nas postąpiłaby tak samo w sprzyjających okolicznościach, gdyby nas odpowiednio sprowokować.

- Może ujmę to inaczej - powiedział Jameson. - Czy jest w stanie popełnić wielokrotne morderstwo?

Potrząsnęła głową.

- Naprawdę nie wiem. Trudno go rozgryźć: jest zgorzkniały, zdemoralizowany, uzależniony od narkotyków. Ale był taki już dużo wcześniej, nim władze zaczęły się nim

interesować.

- Czy myśli, że oni - my - powinniśmy zająć się nim wcześniej? Pomóc mu bardziej?

- O, tak - rzekła miękko Chris, przypominając sobie ich rozmowę wkrótce po tym, jak zabił ojca. - Ale czy jest wystarczająco wściekły, wystarczająco szalony czy wystarczająco zły, żeby coś z tym zrobić? Naprawdę nie mogę odpowiedzieć na pańskie wcześniejsze pytanie. Bardzo mu zależy na tym, żeby się wydostać z więzienia, mimo to ryzykuje, kupując narkotyki na zewnątrz i przemycając je do środka - ale podejrzewam, że nałóg jest tak silny, że logika i strach po prostu nie mają żadnego znaczenia. Pytanie brzmi: czy z chęci zemsty zdobyłby się na to, albo czy czułby się zmuszony do tego, żeby podejmować podobne ryzyko? Nie wiem...

Myślała na głos i Jameson nagle się zniecierpliwiał, myśląc, że wypróbować na nim swoją radiową osobowość.

- Czy Maddox jest prawdopodobnym podejrzanym, czy nie? - spytał.

Chris spojrzała na niego, nieco zdziwiona jego irytacją.

- Staram się zrozumieć to, co pani mi mówi - dodał.

Oboje usłyszeli defensywność w jego głosie i oboje inaczej to zinterpretowali.

Chris zaczęła ostrożnie:

- Chyba chcę powiedzieć, że w ogóle by się nie zastanawiał, czy kogoś zabić, jeśli byłby to środek do osiągnięcia celu.

- A jakiemu celowi przysłużyły się te morderstwa? - spytał Jameson, sfrustrowany jej profesjonalnym dystansem.

- Nie będziemy mieli pewności, dopóki nie ujmie pan zabójcy, panie Jameson, a może nawet wtedy też nie.

Zawahała się i Jameson, starający się za wszelką cenę nad sobą zapanować, przycisnął ją: - Ale jeśli miałaby pani zgadywać?

- Jeśli odważyłabym się zgadywać, powiedziałabym, że motywem jest zemsta. To jest męczyzna...

- Albo kobieta...

Pokiwała głową bez przekonania.

- Albo kobieta, która jest przepełniona wściekłością, że na pewno wszystko jej jedno, czy ją złapią - pod warunkiem, że skończy swoją robotę.

- Wyklucza pani George'a Maddoxa?

- Nie pasuje do opisu człowieka, który próbował dostać się do archiwum. - Miała wrażenie, że zna tego tajemniczego blondyna, ale jak na razie było to tylko niejasne

przecucie. - Ale mężczyzna z archiwum może nie mieć nic wspólnego z morderstwami.

- Nic albo wszystko - powiedział Jameson.

- Ale... - Chris zamilkła, nie chcąc przyznać się do takiego braku obiektywizmu.

- Ale?

Wzdrygnęła się.

- Ale strasznie boję się George'a Maddoxa.

Przyjrzał jej się w milczeniu, po czym pokiwał głową.

- OK. Jest ktoś jeszcze?

Chris ponownie pokiwała głową. Poświęciła pół dnia pracy w swoim prywatnym gabinecie, żeby pojechać odwiedzić George'a Maddoxa. Wracając, wstąpiła do Laury Smith - teraz Laury Stanford. Służby socjalne znalazły ją na prośbę Jamesona.

Laura prowadziła hałaśliwy dom pełen dzieci - Chris zauważyła sześcioro, chociaż przyjęła, że niektóre były dziećmi kobiet, które Laura koniecznie chciała jej przedstawić. Siedziały w kuchni, opróżniając powoli paczkę herbatników i pijąc kawę. Chris zadzwoniła wcześniej i Laura zgodziła się na spotkanie z nią, zastrzegając sobie jednak, że nie będzie przygotowana na wizytę. Rzeczywiście wszystko wydawało się być w nieładzie.

Jedno dziecko siedziało na progu, obierając pomarańczę i przyglądając się Chris poważnymi oczyma, kiedy naciskała dzwonek. Drzwi wejściowe stały otworem i Chris słyszała kobiece głosy i śmiech zagłuszający krzyki dzieci oraz bezduszny łomot muzyki pop, dochodzący z jakiegoś radioodbiornika w korytarzu. Starsze dziecko przybiegło do drzwi, bardzo podobne do matki - dziewczynka miała może pięć lat i była tak smągła i ładna, jak jej mama w wieku lat dziewięciu. Wyraźnie spodziewała się kogoś innego, bo zastygła w pół ruchu, przyglądając się podejrzliwie Chris, i krzyknęła:

- Mama! Ktoś przyszedł!

- Spytaj, czego chce!

Na chwilę głosy z kuchni uciszyły się i słychać było tylko radio: głos di-dżeja paplającego z bezmyślnym ożywieniem odbijał się od ścian przedpokoju. Chris przedstawiła się, a dziecko przekazało mamie wiadomość tak głośno, że aż bolały uszy.

Laura wyszła z kuchni, uśmiechając się słabo, a zza jej pleców dochodził śmiech jej przyjaciółek.

Przeszła wąskim przedpokojem, ocierając biodrami o ściany po obu stronach. Jej ruchy robiły wrażenie wypracowanych: kołysała się na boki przy każdym kroku. Chris rozpoznała ją natychmiast, chociaż jej twarz nieco się wydłużyła, a włosy były dłuższe i pofalowane dzięki trwałej. Miała nie więcej niż metr sześćdziesiąt wzrostu, ale musiała ważyć grubo ponad sto

kilo. Ciągłe można było dostrzec, że jest ładna, ale Chris zauważyła też coś, czego nie było w dziewięcioletniej dziewczynce, której starała się pomóc: rodzaj zadowolenia, nie całkowitego, może ledwo widocznego, ale bez wątpienia zauważalnego. Chris wyciągnęła rękę i Laura uścisnęła ją po chwili wahania, nie patrząc jej w oczy. Jej skóra była biała jak mleko, pomimo tego, że od kilku tygodni nieustannie świeciło słońce. Puściła dłoń Chris i, uśmiechając się nieśmiało, zaprosiła ją do środka.

Mała dziewczynka stała obok matki, trzymając w ręku lalkę Barbie i przyglądając się Chris, jakby się spodziewała, że nieznajoma rzuci się na jej matkę.

- W porządku, Natalie - uspokoiła ją Laura. - Dopiero zaczyna mówić. Jej tata powiedział jej, że ludzie ubrani na biało przyjdą po mnie - wyjaśniła Chris. - Myśli, że to zabawne. - Potrząsnęła głową, śmiejąc się radośnie. - Twój tata tylko żartował - powiedziała dziewczynce. - W tym wieku wszystko biorą bardzo dosłownie.

Słaby uśmiech, który Chris uważała za oznakę niepewności, ponownie zagościł na jej twarzy. Chłopiec przecisnął się obok Laury i jej córki, a za nim biegł następny, krzycząc, żeby tamten się zatrzymał. Laura wprowadziła ją do dużego pokoju.

Były mały i wszędzie wałowały się dziecięce zabawki. W pokoju nikogo nie było, ale telewizor był włączony i właśnie leciała jakaś szalona kreskówka. Laura wydawała się nie zauważać ani bałaganu, ani hałasu, bo zdjęła wszystkie rzeczy z jednego fotela i uśmiechnęła się, zachęcając Chris, żeby usiadła, po czym sama spoczęła na pufiastej kanapie, stojącej niedaleko fotela. Kiedy rozmawiały, Laura często spoglądała na ekran i Chris musiała powstrzymać chęć wstania i wyłączenia telewizora.

- Chodzi o te biedne kobiety? - spytała Laura z bezpośredniością, która była ujmująca w zestawieniu z rozmową z George'em Maddoxem.

- Wie pani coś na ten temat? - zapytała Chris, przyglądając się jej uważnie, chcąc wyczuć, czy przypadkiem nie za bardzo interesuje się tą sprawą.

- Tylko to, co widziałam w telewizji. - Jej oczy przeniosły się na ekran. - Przykra sprawa. Pierwsza miała dzieci, prawda?

Chris pokiwała głową.

- Niech Bóg im pomaga, jeśli trafią do domu dziecka - powiedziała poważnie.

Więc co pani myśli o tej Stanford? - spytał Jameson.

- Jeśli mam być szczerą, to ona nie potrafiłaby skrzywdzić nikogo oprócz siebie i to tylko przy pomocy mocno niezdrowego jedzenia. Jej dzieci są dość niesforne, ale są zadbane i kochane. Laura chyba dlatego otacza się hałasem i zgiełkiem, bo boi się ciszy, boi się samotności. Może starać się zabić wewnętrzną pustkę jedząc, ale czy to aż tak bardzo się

różni od innych, którzy trzymają swoje strachy na dystans w inny sposób?

- Czyli co z tego wynika? Chris spojrzała na zegarek.

- Nie wiem, co dla pana z tego wynika, Alan, ale ja już jestem mocno spóźniona. Obiecałam jednej z moich popołudniowych pacjentek, że spotkam się z nią wieczorem. Nie udało wam się jeszcze namierzyć Darrena Lewisa?

Jameson potrząsnął głową.

- Sprawdziliśmy oba jego adresy i u matki, ale nie ma po nim śladu. Sprawdzamy teraz znajomych. Wydaje się, że Lewis ma ich całkiem sporo, tylko boją się mówić.

- Zawsze tak działał na ludzi.

Alan Jameson wyczuł niechęć w jej głosie, kiedy właśnie zadzwonił telefon, i pogрузzył się w swoich uczuciach głębokiej urazy, kiedy chwilę później rozmawiał z Roz.

- Czy to nie może poczekać? - spytał chłodno. - Jestem zajęty.

- Myślałam, że chciałbyś porozmawiać o przyjeździe twojej córki do Anglii w czasie kanikuły.

- Wakacji! - Miał ochotę na nią wrzeszczeć. Dlaczego nie powiesz wakacje? - To nie jest odpowiedni moment, Roz. Prowadzę śledztwo w sprawie morderstw.

- Zawsze czymś jesteś zajęty, prawda, Alan? Zawsze byłeś. No cóż, jeśli jesteś zbyt zajęty, to powinnam ci chyba powiedzieć, że Jack zaproponował nam obu wycieczkę do Europy - długą.

Jameson spojrzał na lekarzkę. - Masz coś jeszcze? - spytał.

Chris była trochę zdziwiona, ale nie ubodła jej jego szorstkość: dowiedziała się już co nieco o jego sytuacji rodzinnej od gadatliwych współpracowników.

- Zadzwoń do mnie, jak będę mogła coś dla ciebie zrobić - odpowiedziała mu Roz.

Jakby mi wyświadczała przysługę!, pomyślał Jameson. Był niemiły rozmawiając z Roz; uzewnętrzniał swój gniew, bo Zoe była sześć tysięcy kilometrów stąd, a Roz była z nią i mogła ją przekonać, że nie ma po co jechać do Anglii, że wycieczka do Europy to wspaniała okazja, która może się trafić tylko raz w życiu, a Roz, co zauważył, była zdolna do wszystkiego, żeby postawić na swoim.

Chris wstała, ale on był zbyt rozwścieczony i zbyt nieszczęśliwy, żeby zwrócić uwagę na jej pełne gracji ruchy, dyskretne wygładzenie sukienki i sposób, w jaki wsunęła swe szczupłe ręce w marynarkę.

Dopiero kiedy zamknęła za sobą cicho drzwi, zostawiając delikatny powiew perfum, Jameson opanował się na tyle, że mógł wykonać telefon.

18

Len paliła gorączkowo papierosa. - Na co się pani tak patrzy? - spytała.

De Niro to ty nie jesteś, pomyślała Chris, ale nie powiedziała tego na głos, bo oceniła, że Len jest o jakieś dwadzieścia lat za młoda, żeby mogła widzieć Taksówkarza. Siedziała przy biurku naprzeciw swojej pacjentki. Zdjęła buty z nóg, schowanych pod biurkiem. Generalnie nie nienawidziła upału, przeważnie nawet go nie zauważała, ale była zmęczona i przestraszona, a kiedy była wystraszona, robiła się zła - na siebie i na bezimienne, bezosobowe zagrożenie, które sprawiało, że czuła się w ten sposób.

- W czasach, kiedy każdy palił - powiedziała - to jeszcze nie były moje czasy, możesz w to nie wierzyć, ale można powiedzieć, że kobiety paliły uwodzicielsko, trzymając papierosy ze swobodą. Mężczyzna mógł trzymać papierosa, jak mu się żywnie podobało. - Len westchnęła tak, jak Chris sobie wyobrażała, że musi robić, kiedy rodzice zaczynają kolejne kazanie. Ciągnęła dalej: - Świadomość zagrożenia rakiem i rozedmą płuc zmieniła to wszystko. - Zamilkła, przyglądając się rozeźlonej i zranionej twarzy dziewczyny siedzącej naprzeciw i zastanawiała się, jak Len poradziłaby sobie z problemami, którymi Laura Smith musiała się zajmować od dziewiątego roku życia; ale może to nie było w porządku. - W dzisiejszych, racjonalnych czasach, nieważne - mężczyzna czy kobieta, chłopak czy dziewczyna, w akcie palenia jest coś buntowniczego.

- Chce pani powiedzieć, że to z przekory, tak? Że palę, bo moja mama i tata nie chcą, żebym paliła?

- Jedynie pośród nastolatków rośnie dziś spożycie papierosów - powiedziała Chris, pozwalając, żeby Len sama wyciągnęła wnioski.

- Mogę palić, jeśli mi się podoba - Len nadeła usta. - Ich nie obchodzi, czy będę miała raka. Martwią się tylko o to, co powiedzą ich znajomi.

- Mnie się wydaje, że oni się jednak martwią, Len, a tobie nie?

- Nienawidzę ich! - Na twarzy Len pojawił się udręczony wyraz mieszaniny niechęci i winy.

- Dużo ludzi w twoim wieku przez jakiś czas nienawidzi swoich rodziców. To normalne, ale to mija.

- A ja to bym jednak wolą trafić do rodziny zastępczej - powiedziała Len z bardzo

wyraźnym akcentem na „ja”. Wyglądało na to, że zapamiętała wszystko ze środowowej wizyty tydzień temu, chociaż wtedy Chris nie wspominała ani słowem o tym, że inspektor przerwał sesję, tylko prowadziła dalej rozmowę, jakby nic się nie stało. - Oni biorą ciebie, bo chcą - powiedziała Len. - I na pewno bardzo się lubi swoich opiekunów... To zdjęcie - wygląda tu pani na taką szczęśliwą.

Chris przypomniała sobie zdjęcie i to, ile wysiłku kosztowało nakłonienie Phila, żeby zechciał do niego pozować, i jak nieswojo się czuł stojąc tak blisko nich, dotykając ich; przypomniała sobie nieustające napięcie w Boże Narodzenie, że coś nie będzie odpowiadało jego wyobrażeniu tego dnia i nie będzie sobie w stanie poradzić.

- Ja nie tylko ich lubię, ja ich kocham - rzekła Chris, uśmiechając się w duchu widząc zmieszanie dziewczyny po tym, jak użyła tego prostego słowa. - Ale nie ze wszystkimi jest tak różowo, Len. Opiekunom się płaci za to, co robią. Nie muszą wkładać w dziecko serca, pieniędzy i miłości. Mogą dziecko odesłać, jeśli im się nie układa albo jeśli ktoś jest dla nich zbyt uciążliwy. - Len zarumieniła się lekko. - Gdybym miała rodzinę, to bym z nią została.

- Ale ona ciągle się mnie czepia! - wybuchnęła Len. - Chce, żebym ubierała się tak jak ona, robiła te same rzeczy co ona i mówiła tak jak ona. Ona chce, żebym była nią!

Chris zorganizowała sesję z matką i ojcem Len i podejrzewała, że jej ocena matki musiała być prawdziwa.

- Ale uczysz się być sobą - powiedziała cicho.

- Ona nienawidzi, jak jestem sobą! - zaszlochała Len. - Czasami mi się wydaje, że staję się taka jak ona, ale... - Szukała właściwych słów. - Tak jakby ona była w mojej głowie i sprawiała, że myślę to, co myślę. Jest w środku, za moimi oczyma. Czasami boję się otworzyć usta, bo obawiam się, że przemówię jej głosem! - Straciła nad sobą panowanie i zaczęła płakać, zakrywając twarz palcami pełnymi pierścionków.

Czarny lakier na paznokciach był pozdrapywany, a paznokcie obgryzione do krwi. Chris przyglądała jej się przez chwilę, zszokowana tym, co dziewczyna powiedziała. Nic dziwnego, że Len reagowała tak gwałtownie, że jej metamorfoza była tak nagła i tak pełna.

Kiedy upewniła się, że Len jej słucha, Chris spytała:

- Więc zmieniłaś się - swój wygląd zewnętrzny - żeby jej pokazać, jak jesteś od niej inna?

Zamiast odpowiedzieć na pytanie, Len rzekła:

- Ja się jej boję. To brzmi głupio, bo ona nigdy mnie nie uderzyła ani nigdy nie zamknęła mnie w pokoju czy coś takiego, ale jak robię rzeczy po swojemu, to sprawia, że czuję się źle. - Zamilkła, marszcząc się z wściekłości. - Nie źle - poprawiła się. - Źle to brzmi,

jakbym zrobiła coś brzydkiego czy coś równie dziecinnego. - Na jej twarzy malowała się frustracja z powodu trudności w wyrażeniu tego, co chciała przekazać. - Więcej niż źle. Ona sprawia, że czuję się, jakbym była szalona albo niezrównoważona, albo niewdzięczna, albo zła, jeśli sprzeciwiam się jej woli... - Zaszlochala kurczowo i zrezygnowała z prób wytłumaczenia.

- A teraz? - spytała, kiedy Len się trochę uspokoiła. - Cały czas się tak czujesz, po tych wszystkich zmianach, których dokonałeś?

Len zdjęła ręce z twarzy i sięgnęła po chusteczki z zaoferowanego jej pudełka. Po jej twarzy spływał cień do powiek i makijaż, przez co wyglądała jak zasmucony pierrot.

- Przynajmniej nie jestem już jej kochanym maleństwem. Nie jestem jej kukłą, wypowiadającą jej słowa.

- I to naprawdę ty, Len? - spytała miękko Chris. Świeże łzy napłynęły do oczu dziewczyny.

- Nie wiem! - wykrzyknęła. - Już sama nie wiem. Nienawidzę jej! - Znowu ukryła głowę w rękach, a jej ramiona unosiły się w ciszy przez dłuższą chwilę. Kiedy nieco się uspokoiła, Len wydusiła: - Tak naprawdę to jej nie nienawidzę - no, czasami tak, ale przeważnie chodzi o to, że... - Wzruszyła ramionami, nie mogąc ani zrozumieć, ani wyrazić swoich uczuć.

- Chodzi o to, że nie chcesz być nią - powiedziała Chris. Len przestała miętosić chusteczki w rękach.

- Tak - przyznała, wycierając twarz grzbietem dłoni. Chris uśmiechnęła się. - OK.

- Aleja się czuję tak fatalnie! - jęknęła Len, jakby za chwilę znowu miała się rozplakać.

- Wiesz, co myślę, Len? Myślę, że lata dojrzewania powinny być równomiernie rozłożone i przeniesione w nasze dorosłe życie, żeby nigdy nie walił się nam cały świat na głowę jednego dnia.

Len podniosła wzrok. Przetarła szeroko otwarte oczy, zdziwiona tym, że dorośli także kiedyś byli nastolatkami i mogli przechodzić te same katusze, którym musi ostatnio stawić czoła. Trudno jej było sobie wyobrazić, że jej matka i ojciec w swoim statecznym średnim wieku też mogli się irytować brakiem wrażliwości swoich rodziców i buntować się przeciwko systemowi wartości klasy średniej, który teraz darzyli najwyższym szacunkiem. Natychmiastowe przyjęcie tego do wiadomości okazało się jednak chwilowo zbyt trudne, więc się załamała.

- Ale co ja mam zrobić? - poddała się.

- Spiszysz na nowo wszystkie rzeczy, które ci się w sobie podobają i wszystkie, które

ci się nie podobają, albo takie, które ci specjalnie nie przeszkadzają.

- Po co? - spytała Len, wycierając nos.

- Po pierwsze, bo pokaże ci to, jakie cechy twojego charakteru naprawdę uważasz za ważne, a po drugie, dostarczy ci to trochę kart przetargowych.

Len wyglądała na zakłopotaną.

- Pierwsze zrozumiałam, ale o co chodzi z kartami przetargowymi?

- Chodzi o rzeczy, które ci się nie podobają. Jeśli je skonkretyzujesz - możesz zacząć od papierosów, i tak ich nienawidzisz... - Len uśmiechnęła się przez łzy. Nie spodziewała się, że znajdzie sprzymierzeńca w Chris. Słaba nadzieja zastąpiła wyraz zakłopotania i zdziwienia na twarzy dziewczyny. - To kompromis, Len - dodała Chris. - Życie jest pełne kompromisów. Nie ma w tym nic złego, dopóki nie idziesz na kompromis w rzeczach, które są dla ciebie bardzo ważne.

*

Chris zamknęła biuro o siódmej trzydzieści. Nicky wyszła już przedtem, nim Chris wróciła z rozmowy z Jamesonem; personel z innych gabinetów widocznie skapitulował przed upałem i poszedł już do domu. Budynek świecił pustkami. Rodzice Len przyjechali po nią pół godziny wcześniej, ale Chris została dłużej, żeby zrobić notatki z sesji. Stary budynek wydawał się ugiąć i trzeszczeć, kiedy się schładzał, i Chris podskoczyła słysząc nad głową jakiś łomot. Schyliła się po kluczyki, które spadły na lśniący parkiet. Może jednak ktoś jeszcze ciągle pracował. Klatka schodowa ginęła w mroku i pełna była amorficznych cieni. Chris złapała trochę mocniej swoją torebkę i zaczęła schodzić po trzeszczących schodach, rozglądając się w lewo i w prawo na każdym półpiętrze. W końcu znalazła się na dworze i odetchnęła z ulgą.

Lewis stał w głębokim cieniu otwartych drzwi po przeciwnej stronie ulicy i czekał, aż wyjdzie. Musiał ją dorwać, póki była sama. Ostrzegł go jakiś ruch z prawej strony i zobaczył, jak wysoki człowiek wysiada z lewej strony montego, zaparkowanego blisko jej biura.

- Doktor Radcliffe...

Chris wzdrygnęła się i obróciła. Serce waliło jej w piersiach.

- Jameson! Na miłość boską! Jak można tak napadać na kobietę? Inspektor przeprosił i odsunął się od niej, zdziwiony własną głupotą i zaskoczony tym, jak bardzo była przestraszona.

- Właśnie przyjechałem - powiedział. - Jechałem do domu i chciałem panią złapać,

żeby przeprosić za moje szorstkie zachowanie.

Na twarzy Chris pojawił się wyraz zakłopotania.

- Szorstkie zachowanie? - Zwolniła, ciągle jednak idąc w stronę samochodu. - A, chodzi panu o rozmowę telefoniczną.

- Roz odgraża się, że zabierze Zoe latem do Europy, a miała ją przywieźć do domu - no, tutaj, w każdym razie.

Jego szczerłość ją rozbroiła.

- Z Europy do Anglii jest bardzo blisko - powiedziała. - Niech pan powie Roz, żeby wsadziła Zoe w samolot. Chyba że czuje pan potrzebę, żeby spotkać się też z Roz.

Jameson zaśmiał się krótko.

- Nawet nie zauważałem, jaki byłem cały czas spięty, dopóki nie wyjechała do Stanów. Wtedy napięcie zaczęło opadać. Myślałem, że to wszystko przez moją pracę... - Potrząsnął głową. - Czasami wydaje mi się, że nasze małżeństwo było jednym długim pasmem ciszy, przerywanym dzikimi kłótniami.

Chris przyglądała mu się przez chwilę. Jeśli jechał do domu, to na pewno nie z pracy. Nie był już ubrany w wygnieciony garnitur, tylko całkiem elegancko, w kremowe, płócienne spodnie i koszulę z krótkim rękawem. Czy to z mojego powodu?, zastanawiała się.

- Pomyślałem, że mógłbym zadośćuczynić zapraszając panią na kolację... - Wszedł z nią w wąską uliczkę, gdzie zaparkowała samochód. - Naprawdę żałuję, że panią wystraszyłem.

- To nie pańska wina. - Uśmiechnęła się. - Zbyt dużo kawy i zbyt mało pożywienia - a poza tym może stresuje mnie George Maddox...

Spojrzała na zegarek. Jeśli pójdą gdzieś blisko i zadowolą się tylko głównym daniem, to będą jeszcze mieli mnóstwo czasu przed programem radiowym.

19

W czwartek o czwartej rano Chris obudził odgłos oddychania tuż przy jej głowie. Włożyła rękę pod poduszkę. Była przemoczona od potu. Jej ręka zaczęła gwałtownie go szukać, aż w końcu znalazła i w panice mocno zacisnęła na nim palce, zahaczając kciukiem o ostrze. Jęknęła, odwracając się od niego, kiedy sięgał po prześcieradło.

- Nie. - Wydawało jej się, że krzyczy, ale była tak przerażona, że w rzeczywistości potrafiła tylko szeptać. Zapach whisky i jakiś inny, ostrzejszy - uryny i seksu - wwiercił się w jej nos i oczy zaczęły jej łzawić. Chciało jej się wymiotować.

Jeśli się teraz nie ruszy, zaraz znajdzie się na niej i będzie zupełnie bezbronna. Wsunęła rękę pod poduszkę, torując sobie drogę nożem. Kiedy wysunęła ją z drugiej strony, zobaczyła, jak odbija się w nim zimne, metaliczne światło latarni stojącej przed domem. Usłyszała dźwięk przypominający odgłos prujących się starych szmat, a po nim miękko poddającego się ciała. Zaczął ryczeć, waląc na oślep prawą ręką, starając się zabrać jej nóż.

Czując słodkawy zapach krwi i słysząc jego krzyki zemdląła. Pokój był bezbarwny, z wyjątkiem ciemnej plamy krwi i rozchylonej jak wargi rany w jego ramieniu. Walczyła z nim, ale była osłabiona gorączką i zabrał jej nóż. Przez krótką chwilę zobaczyła z absolutną jasnością moment swojej śmierci; cięcie po jej gardle i ostatnie przebłyski światła i życia. Prawie tego chciała. Potem odrzucił nóż i pięścią uderzył ją w twarz. Poczula zapach swojej własnej krwi i jej smak w ustach, nosie i gardle.

Wtedy naprawdę się obudziła. Jej usta były wyschnięte, a serce waliło jak młotem. Zwlekła się z łóżka, pozbawiona wszelkiej ochoty na sen. Bardziej niż za cokolwiek innego, nienawidziła go za sny, bo przypominały o jej bezradności. Kiedykolwiek ulegała pokusie, żeby zmięknąć i spróbować mu wybaczyć, kiedykolwiek zaczynała rozważać możliwość umówienia się z nim, nawiedzał ją kolejny z tych koszmarów i wybawiał ją z chwilowego oblędu, który powodował, że wydawało jej się, że jeszcze kiedyś będzie mógł wrócić do jej życia.

Spędziła kilka godzin nad notatkami, które mogłyby stanowić drugi rozdział jej nowej książki. Rozdział zatytułowany „Maleństwo Tatusia” analizował długofalowe efekty psychiczne seksualnego wykorzystywania dziewcząt przez ojców. Praca nad nim była dla niej trudna i bolesna. Rozmawiała z dziesiątkami kobiet i u każdej znajdowała podobieństwa ze

swoją własną sytuacją, ale w każdym przypadku były też jakieś różnice dotyczące albo rodzaju „kary”, albo stopnia wyrafinowania przy jej egzekwowaniu.

Dość często najbardziej skrzywdzonymi i niepewnymi kobietami były te, które przestano darzyć uczuciem i których ojcowie objawiali im swoją niechęć zimną pogardą. Chris przeczytała zapis rozmowy z kobietą, która była co noc gwałcona przez ojca, od kiedy skończyła dziesięć lat do czasu, kiedy zaszła w ciążę w wieku lat piętnastu: „Nigdy się nie bałam, że mnie uderzy. Nie pamiętam, żeby mnie kiedykolwiek bił, nawet kiedy byłam mała. Najbardziej bałam się myśli, że przestanie mnie kochać, bo kiedy mu odmawiałam jego «drobnej przyjemności», jak to nazywał, patrzył na mnie z prawdziwą, żrącą nienawiścią. Wtedy panowała cisza przy stole podczas śniadania, ale starałam się jeść, chociaż jedzenie stawało mi kością w gardle, bo mama nie powinna wiedzieć, nie wolno było wzbudzać jej podejrzeń. Kiedy spoglądał na mnie, przeszywał mnie wzrokiem, a ja myślałam, że widzi, jaka jestem zła i jaka ze mnie niegodziwa i nieposłuszna córka, która pójdzie do piekła. Żyłam w ciągłym strachu, bo powiedział mi, że kiedy umrę, Bóg zbada moje ciało i znajdzie w środku małą, czarną grudkę i wrzuci mnie na wieki do piekielnego ognia, bo jestem niedobłą małą dziewczynką, która nie chce uszczęśliwiać tatusia...”

Chris już na początku przygotowań postanowiła, że będzie cytowała kobiety, które będą opowiadały swoje historie własnymi słowami, i że postara się, żeby jej komentarz był jak najmniej narzucający się. Jej rola sprowadzi się do zebrania i uporządkowania wypowiedzi kobiet w grupy tematyczne, tak żeby książka była spójna, ale pozwoli kobietom odpowiedzieć, przez opisanie ich własnych doświadczeń, na pytania, które zadawano im już tyle razy: „Dlaczego nikomu nie powiedziałaś?”, „Jak mogłaś pozwolić, żeby ci to robił?”, „Nie masz szacunku dla siebie samej?”, „Dlaczego od niego nie uciekłaś?”, „Dlaczego do niego wracałaś?”, „Czy ci to sprawia przyjemność, czy co?”. Te pytania miały być śródtytułami poszczególnych rozdziałów.

Wiedziała, że w końcu będzie musiała beznamiętnie pomyśleć o swoim własnym wkładzie do rozdziału „Maleństwo Tatusia”, ale na razie wystarczało jej to, że jakoś sobie radzi ze swoją co najmniej krępującą sytuacją. Czuła tę samą paradoksalną i nie do końca zrozumiałą potrzebę akceptacji, którą czuły te kobiety. Budzik w jej zegarku uporczywie dzwonił i Chris wyłączyła go, przeklinając pod nosem. Miała rano kilka spotkań, których nie mogła odwołać. Westchnęła i, po zapisaniu paru uwag na marginesie transkryptu rozmowy, odłożyła pióro i poszła do przedpokoju, po torebkę i kluczyki od samochodu.

Kiedy ostatni raz widziałam taką minę, Liverpool przegrał dwa do zera w mistrzostwach.

Dopiero po kilku sekundach zrozumiała, o co chodzi.

- Co? A, przepraszam, Nicky. Nie śpiam zbyt dobrze.

- Ani nie jesz, sądząc po twoim wyglądzie. Wkładaj marynarkę i idziemy do Evermana.

Chris spojrzała na zegarek.

- Chyba nie mam czasu....

- Natychmiast - rozkazała Nicky. - Nie jesz, nie śpisz - lekarzu ulecz się sam!

Everyman, jako piwniczny bar i restauracja, cieszył się powodzeniem wśród studentów i braci artystycznej Liverpoolu. Chris nie była pewna, czy podziemny lokal był szczęśliwym wyborem w czasie bezlitosnego upału i długotrwałej suszy, ale poszła tam przede wszystkim dlatego, że nie miała siły, żeby się sprzeczać.

Sala była pełna ludzi i gwaru, który na chwilę ucichł, kiedy weszły, a właściwie, kiedy weszła Nicky. Dzisiaj miała na sobie purpurową bluzkę, rozpiętą do rowka na piersiach i zawiązaną w węzeł na przeponie. Jej nogi wyglądały bardzo korzystnie w czarnej spódnicy z lycry i w butach na wysokich, obcasach. Ktoś gwizdnął nawet cicho z uznaniem, ale szybko przestał, zmrożony lodowatym spojrzeniem Nicky. Nicky mówiła przede wszystkim o wczorajszej audycji Chris, a potem, kiedy stało się oczywiste, że Chris nie zwracała na to najmniejszej uwagi, o swoich planach na wakacje - które miały się zacząć w ciągu dwóch tygodni. Znalazły miejsce przy jednym z długich stołów i wcisnęły się, siadając naprzeciw siebie, ale Chris nie wydawała się zauważać hałasu, skłębionych wokół nich ciał, zapachu piwa i jedzenia ani mgły dymu papierosowego, ani Nicky, ciągle mówiącej coś ożywionym tonem, ale od czasu do czasu rzucającej jej zaniepokojone spojrzenie. Zjadła nieuważnie posiłek i odsunęła talerz na bok. Po chwili westchnęła i spojrzała na zegarek.

- Lepiej już pójdę - rzekła. - Zobaczę, czy nasz Alan ma coś nowego...

- Alan? - spytała Nicky.

Chris zamrugnęła oczyma i otrząsnęła się, jakby spała.

- Alan? - powtórzyła. - A, przepraszam. Inspektor Jameson.

- O właśnie.

- Co? - spytała Chris.

Nicky, z udawanym brakiem zainteresowania na twarzy, zdecydowała się na okrężną drogę.

- Dzwonił w czasie twojego ostatniego spotkania. Chodziło mu o tego gościa, który

podobno cię śledzi.

Chris skupiła się na chwilę.

- O Dixona?

- Tak. Jedna z agencji wynajmu ma go w swoich dokumentach. Fajne mieszkanie i w ogóle. Niezły kontrakt. Pięćset na wypadek zniszczenia i trzymiesięczne opłaty, płatne z góry.

Chris wiedziała, że miało ją to rozkojarzyć, ale coś, co powiedział Wayne w poniedziałkowy wieczór, zaczęło przebijać się do jej świadomości. Zadzwoiła, żeby go przeprosić, kiedy Jameson ją wypuścił.

- Co? - Tym razem to Nicky to powiedziała.

- Chodzi o to, co mówił Wayne - zaczęła Chris.

- Już ci wybaczył?

- Moje konfabulacje zrobiły na nim duże wrażenie.

- Koń... co?

Chris uśmiechnęła się.

- Pan Jameson także uwierzył w to, że nie znam Wayne'a i że moja poniedziałkowa wizyta w archiwum była pierwszą!

- A myślałam, że ja jestem naiwna. Ale co to ma wspólnego z Jake'em Dixonem?

- Facet, który podawał się za sierżanta Tully'ego, był wysoki i całkiem przystojny. Miał krótko obcięte, jasne włosy. Wyglądał, jakby umiał o sobie zadbać. I był tam więcej niż jeden raz - tylko Wayne'owi się wydaje, że wcześniej pokazał legitymację pracownika rady miejskiej. Przypomnij mi - ciągnęła Chris - jaki opis podawaliśmy w agencjach?

- Wysoki, jasnowłosy, oczy zielone. Pasuje do opisu, ale myślałam, że już nie jest ci do niczego potrzebny, skoro Phil jest już w domu i w ogóle.

Chris zamyśliła się. Jake Dixon. Wprowadził się do schroniska dwa tygodnie po tym, jak Phila wypuszczono z więzienia. Wyprowadził się krótko po tym, jak Phil się przeniósł do swojego nowego mieszkania. Wolał się wyprowadzić w pośpiechu, niż z nią porozmawiać. Zjawia się tydzień później w archiwum magistratu z fałszywą legitymacją i grzebie w teczkach, które ktoś naruszył. Teczkach, które wydają się mieć jakiś związek z morderstwami. Nagle nader wyraziście przypomniały jej się zwłoki leżące na stole w prosektorium i charakterystyczny zapach rozkładającego się ciała.

- Dobrze się czujesz? - spytała Nicky.

- Właśnie myślałam o uzdolnieniach Dixona do fałszowania dokumentów - odparła Chris.

*

Kłótnia właśnie osiągała punkt krytyczny, kiedy podjechała pod dom, stylową wiktoriańską willę, świeżo odnowioną i błyszczącą w popołudniowym słońcu. Odgłosy awantury wydobywały się na ulicę przez otwarte frontowe okno. Kobieta coś wykrzykiwała, a męski głos, prawie szlochający, starał się załagodzić sprawę.

Obok przycisków przy drzwiach wejściowych były starannie wykończone i podświetlone plakietki z wydrukowanymi na nich nazwiskami. Krzyki i wrzaski zagłuszyły dzwonek Dixona, więc Chris weszła po schodach i zapukała do jego drzwi. Nicky nie pomyliła się co do standardu: wyłożony wysokiej jakości płytkami korytarz był czysty i idealnie równy; światło włączyło się automatycznie, kiedy zaczęła wchodzić po schodach: jakieś urządzenie działające na ruch. Nie było skrzynki na listy - każde z trzech mieszkań miało oddzielną skrzynkę na listy na dole przy wejściu - tylko judasz i dwa zamki, jeden zwyczajny i jeden Yale. Do tego drzwi przeciwogniowe.

Zapukała ponownie, bo wyczuła albo wyobraziła sobie, że ktoś słucha zza drzwi. Dokładnie w tym momencie kłótnia przeniosła się na schody i kobieta wbiegła po nich, krzycząc na jej szalejącego partnera. Rzuciła Chris tylko pobieżne spojrzenie, po czym silnie uderzyła w drzwi mieszkania Dixona.

- Chyba nie otwiera - zauważyła Chris.

Kobieta zignorowała ją i zaczęła walić w drzwi otwartymi dłońmi i kopać je butami na obcasach, zostawiając na błyszczącej białej farbie niewielkie wgniecenia.

- Otwórz drzwi! - wrzasnęła.

Chris stała z założonymi rękoma oparta o poręcz schodów i patrzyła z pełnym podziwu zaskoczeniem. Kobieta nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat. Określiłaby ją jako szczupłą i elegancką, gdyby nie stek wyzwisk, którymi obrzucała Dixona przez zamknięte drzwi.

Była dopiero druga trzydzieści po południu, ale ona była już ubrana wieczorowo: jedwabna, brzoskwiniowa suknia bez ramiączek odkrywała jej piersi, kiedy uporczywie waliła w drzwi z wzrastającą wściekłością.

Jej twarzy nie można by nazwać ładną, nawet gdyby nie była wykrzywiona gniewem, ale wysokie kości policzkowe i orli nos czyniły ją bezdyskusyjnie przystojną. Włosy miała zaczesane do tyłu, chociaż kilka orzechowych kosmyków drżało nad jej czołem.

Wyglądało na to, że wyczuła badawcze spojrzenie Chris i przestała tylko na chwilę, żeby spytać:

- Na co się, kurwa, gapisz?

Chris oparła się oczywistej odpowiedzi i nic nie powiedziała. Kobieta wrzuciła ramionami i ponownie zaczęła przelewać swoją wściekłość na drzwi.

- Otwórz te pieprzone drzwi, Dixon! - wrzasnęła, po czym ściszyła głos do głośnego szeptu: - Albo mu powiem, do czego się posuwasz, kiedy ma nocki.

Rozległ się krótki szczepek łańcucha i drzwi otworzyły się. Chris nie widziała jego twarzy, ale z intonacji było oczywiste, że się uśmiecha.

- Masz na myśli, do czego my się posuwamy?

Nie mówił z miejscowym akcentem; Chris nie potrafiła go umiejscowić. Była prawie pewna, że północny, ale podejrzewała, że zadał sobie tyle samo fatygi, żeby ukryć swoje pochodzenie, co żeby sfalszować swoje papiery. Kobieta chrząknęła coś, czego Chris nie złapała, po czym Dixon powiedział z uprzejmą bez troską:

- Rozumiem, że chciałabyś skorzystać z mojego telefonu.

Kobieta precyzyjnie się koło niego i weszła do mieszkania, a on zaśmiał się niskim, gardłowym śmiechem.

Chris wzięła głęboki oddech i podeszła do drzwi, przytrzymując je ręką, kiedy chciał je zamknąć.

- Prawda, że cieszę się powodzeniem? - powiedział, jakby ją widział po raz pierwszy. Wyraz uznania na jego twarzy bardzo ją krępował. Usta Dixona wygięły się w półuśmiechu, po czym szeroko otworzył drzwi.

Przedstawiła się i wyciągnęła do niego rękę. Po chwili zastanowienia uściśnięła ją, przytrzymując o chwilę zbyt długo i pieszcząc skórę między palcem wskazującym a kciukiem.

- Gdybym wiedział, że jest pani tak atrakcyjna, doktor Radcliffe, nie opuściłbym schroniska w takim pośpiechu.

Kobieta, która dawała instrukcję komuś po drugiej stronie kabla, przestała i spytała ostro:

- Doktor? Czyżbyś był chory?

Dixon uśmiechnął się.

- Nie martw się, Vicky. Nie zaraziłem cię rzeżączką. To nie o takiego doktora chodzi.

Vicky łypnęła podejrzliwie na Chris, która odwzajemniła się jej poważnym spojrzeniem. Vicky uniosła ledwo zauważalnie brwi, przeniosła wzrok z Chris na Dixona i z powrotem na Chris, po czym wrzuciła ramionami, przestając się nią interesować.

- Za pięć minut - powiedziała do słuchawki. - Będę czekała na rogu.

Rzuciła przenośny telefon, na kanapę. I wyszła, zostawiając próżnię, ciszę, którą trzeba było przerwać. Chwilę potem usłyszeli stukot jej obcasów przed drzwiami i udręczone krzyki kochanka, człapiącego za nią.

- Pokręciło mu szyję - powiedział wyraźnie rozbawiony Dixon. - Kobieta z libido Vicky nie toleruje abstynencji, a ja nie mogę ulżyć jej cierpieniom, kiedy on jest w domu. Przyprawiam rogi, ale nie jestem sadystą.

Z delikatności czy z tchórzostwa? - zastanawiała się Chris, rozglądając się po pokoju, kiedy on ciągnął dalej, tłumacząc jej, nie pomijając żadnych sprośnych szczegółów, jak to kochankowi Vicky pokręciło szyję.

Było to dobrze rozplanowane mieszkanie: duży pokój był przestronny, z oknem w wykuszu, przez które wpadało popołudniowe słońce, śpiew kosa i odległy szum dobiegający z oddalonej o dwieście metrów ulicy. Po niedawnej przeprowadzce Dixona ciągle stało trochę nie rozpakowanych paczek, ale lokum było czyste, a ściany były pokryte tapetą dużo ciekawszą, niż standardowe imitacje drewna i tanie emulsje, które większość gospodarzy wydawała się kupować w sklepach z używanymi materiałami.

- Ładne, prawda? - powiedział zataczając ręką półokrąg, wskazując na drzwi wychodzące z dużego pokoju. - Takie luksusy jak eleganckie tapety i centralne ogrzewanie należą do rzadkości, kiedy mieszkający gdzie indziej gospodarz jest właścicielem nieruchomości. Oprócz tego dość wspaniałego salonu jest tu jeszcze kuchnia połączona z jadalnią, dwie sypialnie, jedna z garderobą, łazienka i prysznic.

- Mówi pan jak agent nieruchomości - zauważyła Chris.

- Może dlatego, że kiedyś pracowałem w tym zawodzie. - Na jego twarzy zagościł tajemniczy i nieprzenikniony uśmiech. - Szuka pani dla siebie jakiegoś miejsca?

Chris zignorowała tę raczej jednoznaczną aluzję i spytała:

- Więc co skłoniło pana do zamieszkania w schronisku dla bezdomnych mężczyzn?

Nakreślił linię biegnącą od nosa do kącików ust.

- Od każdego może się odwrócić szczęście...

Chris zdawało się, że widzi stłumiony błysk spekulacji w jego oczach, kiedy dodał:

- Winię za to Torysów.

- Naprawdę? - spytała Chris.

- A pani nie?

- Jeśli chciałby pan dotrzeć do pokładów moich najgłębszych uczuć, panie Dixon, mógłby pan być nieco bardziej subtelny.

- Może pani usiąść, jeśli pani chce. - Wskazał na kanapę w kremowe i szkarłatne paski,

która ciągle jeszcze błyszczała - widać było, że jest zupełnie nowa. - Chyba że pani się mnie obawia, to proszę skorzystać z jednego z foteli.

Chris przeniosła wzrok z fotela na Dixona. Usiadła na kanapie. On usiadł koło niej. Jeden zero dla Dixona, pomyślała. Złapał cię na podwójny blef, Flip. Dajesz sobą manipulować temu małemu skunksowi.

Zwrócił się nieznacznie w jej stronę i zobaczyła wyraz triumfu na jego twarzy. W jego oczach, o zniewalającym odcieniu zieleni, ciał się groźny, ironiczny błysk. Schylił się za siebie i wyłowił telefon, cmokając cicho, kiedy wyłączał go i odkładał ostrożnie na czyste szkło stolika.

- Nie może tu pani być z powodu Phila. Oddała go pani w ręce policji w niedzielę, prawda?

Chris uśmiechnęła się.

- Banalna taktyka pytań i ordynarnych obelg. Naprawdę mnie pan rozczarowuje, Dixon. Spodziewałam się po panu większego wyrafinowania.

- Bardzo proszę, niech mi pani mówi Jake! - nalegał. - Może miała pani rację. Nie wątpię, że zrobiła to pani dla jego dobra... - Pozwolił, żeby cisza nadała większego znaczenia jego wypowiedzi.

Chris pomyślała, że pewnie często to robi. Ta zabawa w kotka i myszkę, te gesty, te starannie dobrane słowa, te pauzy, które mają dać ofierze czas na utkanie pajęczyny, która w końcu ją usidli. Jak wykorzystywał te swoje raczej odpychające umiejętności? Jeszcze raz rozejrzała się dokładnie po pokoju i słowo dochodowa przyszło jej do głowy. Pan Dixon miał kosztowne gusta, jeśli chodzi o wieżę i komputer. Otwarty laptop leżał na stoliku, na którym nie było ani śladu odcisków palców czy plam po kawie. Jej spojrzenie ponownie spoczęło na laptopie. Wygaszacz ekranu, będący kombinacją latających okien, które dobywały się z jakiegoś punktu w nieskończoności, ciągle bezmyślnie pracował.

- Nie połknęła pani haczyka, Chris. Chciałem zagaić miłą rozmowę... Jego głos przerwał jej myśli i odpowiedziała bez zastanowienia.

- Nie chcę nic łykać.

- A szkoda, bo ma pani takie kształtne usta. - Przyglądał się bacznie jej twarzy.

Chris zastanawiała się nad przyczyną nagłego przypiływu niepokoju i uświadomiła sobie, że przybliżył się do niej. Zdecydowanie za bardzo. Atak jest najlepszą formą obrony, więc zapytała:

- Dlaczego pan przede mną uciekł, Jake?

Ich oczy spotkały się. Oceaniczny niebieski z leśną zielenią. Było w tym mężczyźnie

coś zbyt intensywnego, co objawiało się ukrytą groźbą; napięcie, dziwna energia, która zdawała się ostrzegać o groźącym niebezpieczeństwie.

Chris uświadomiła sobie, że mogą być jedynymi ludźmi w budynku, oprócz niepełnosprawnego kochanka na parterze, a on raczej nie byłby w stanie ruszyć jej na ratunek.

Przeszywał ją wzrokiem jeszcze przez chwilę, po czym na jego twarzy zagościł łagodniejszy wyraz. Złośliwy uśmiech powoli rozlał się po jego twarzy, będąc nawet chwilę widoczny w oczach.

- Myśli pani, że mam coś do ukrycia, Chris?

- A ma pan, Jake?

- Mam! - Ton był równie dwuznaczny jak odpowiedź. - Czy to nie pani zadaniem jest się tego dowiedzieć?

A może twoim też?, zastanawiała się Chris.

- Lubi pan gry, prawda? - powiedziała.

- A jakie pani lubi gry, Chris?

Wyczuła, że zastraszanie miało maskować jego własne skrępowanie: skoro nie złapała się na jego niezbyt subtelną próbę manipulacji, teraz z kolei próbował znaleźć u niej jakąś inną słabość. Ale ona nie pozwoli sobie na to, żeby dać się łatwo zastraszyć.

- Och, nie wiem... Może zabawmy się w podszywanie się pod policjanta, na przykład.

- Lubi pani mundury, doktor Radcliffe? - spytał, ale w jego oczach pojawiła się czujność. Chyba uświadomił sobie, że pod maską spokoju ujrzała jego skrępowanie, więc wstał, przeciągnął się i podszedł do półki z książkami. - Napije się pani?

Wybrała Glenfiddich i zgodziła się na lód, po który musiał iść do kuchni. Kiedy go nie było w pokoju, skorzystała z okoliczności i rozejrzała się po półkach na książki. Oprócz trzech rodzajów słodowej whisky, ginu, wódki i butelki malibu (pomyślała, że Vicky musi lubić słodcyce), stało tam i trochę książek w twardej oprawie. Żadnej beletrystyki, poza kilkoma pozycjami z fantastyki, ale mnóstwo grubych tomów o MS-DOS i Windowsach, podręczników komputerowych i książek o językach programowych o dziwnych nazwach, jak Java i C++. I wtedy wróciła myślą do laptopa leżącego na stoliku przed nią.

Dixon wrócił ze szklanką do połowy wypełnioną lodem, który już zaczął się skraplać. Chris czekała, żeby chwycił butelkę whisky i, kiedy był zajęty nalewaniem drinków, poruszyła myszą i wygaszacz ekranu został zastąpiony przez tekst. Baza danych. Nazwiska, daty urodzenia, adresy, telefony i stawki ratalne kredytów. Zaniepokojony jej milczeniem, odwrócił się od tacy z drinkami, więc Chris spojrzała na niego, zmuszając się by nie patrzeć na ekran, ale Dixon, stworzenie obdarzone instynktem i intuicją, zauważył, że jego taktyka

polegająca na odwróceniu uwagi Chris okazała się nieskuteczna. Nalał whisky do dwóch szklanek i szybko ruszył w jej stronę.

Troszkę whisky wylało mu się na rękę, więc ją zlizał, stojąc nad Chris i przyglądając się jej z zadumą.

Czego tak się boi?, zastanawiała się Chris. Kiedy podawał jej szklankę, równocześnie biorąc łyk ze swojej, pozwoliła sobie na krótkie spojrzenie na ekran. Wygaszacz jeszcze nie wyłączył tekstu. Potem Dixon usiadł koło niej, wystarczająco blisko, żeby czuła mięśnie jego uda na swoim. Oparła się chęci odsunięcia się od niego i, regulując oddech, zmusiła się, żeby spojrzeć na niego, a nie na komputer.

- No, to niech mi pani powie, co pani widzi, pani doktor. - Położył swoją rękę na jej kolanach, dłonią do góry.

Podniosła ją, czując nieco wilgoci, która nie w pełni pochodziła z rozlanej whisky, i ucieszyła się, że jest trochę spięty. Rozgryzłam twój blef, prawda? - pomyślała.

- Krętacz - powiedziała na głos. - Falszerz. - Uśmiechał się do niej. Spojrzała na podręczniki stojące na półce. Słowo haker przyszło jej do głowy.

- Człowiek interesu - dodała.

Wybuchnął głośnym śmiechem. - Wymówiła to pani tak, jakby to było większe wykroczenie, niż dwa poprzednie...

- Zależy od interesu - odparła, z nerwowym uśmiechem na twarzy. - Myślę, że dowiaduje się pan różnych rzeczy o ludziach.

- Podobnie jak pani.

- Zupełnie inaczej.

- Chce pani powiedzieć, że nie zarabia pani w ten sposób pieniędzy? - Ironicznie uniósł brwi.

- Nie krzywdzę ludzi tym, co wiem.

Dixon spojrział na laptopa, po czym, podejrzliwy, obrócił go tak, żeby widzieć ekran. W jego stronę nieustannie zbliżały się coraz większe okna. Chris zasłoniła bliznę na brwi kosmykiem włosów. Dixon odczytał to jako nerwowy gest. Wyciągnął rękę, żeby odgarnąć jej włosy z czoła, ale Chris odsunęła się gwałtownie i zastygł w pół ruchu, po czym pozwolił ręce opaść.

- Czy pani doświadczenia pomagają, czy przeszkadzają? - spytał.

Dreszcz strachu przebiegł po jej plecach.

- Co pan ma na myśli mówiąc: moje doświadczenia?

- Muszą dawać lepsze zrozumienie, ale czy nie mówi się, że oziębłość jest konieczna

w waszej pracy?

- Co pan ma na myśli mówiąc: moje doświadczenia? - powtórzyła Chris podniesionym głosem.

- No, przecież wszyscy wiedzą - wszystko jest w tej pani książce. Bicie żony, pijaństwo, poniżenia słowne, drobne fizyczne okrucieństwa, które się nasiliły, kiedy coraz bardziej pogrążał się w alkoholizmie, po śmierci pańskiej matki. - Zamilkł, patrząc jej prosto w twarz. - Bójka, po której oboje wylądowaliście w szpitalu...

Chris wstała gwałtownie. Serce biło jej jak oszalałe.

- Przykro mi, że zmarnowałam tyle pańskiego czasu.

- Och nie! - wykrzyknął, chwytając ją za rękę, kiedy wstawała. Pieścił jej rękę po wewnętrznej stronie nadgarstka. - Na pewno chce mnie pani opuścić tak szybko?

- Obawiam się, że tak - rzekła Chris, celowo się rozluźniając, chociaż serce biło jej mocno. Przybliżyła się do niego, chociaż instynkt mówił jej, że powinna się wyrwać. - Mam spotkanie.

- Więc niech je pani przełoży. - Wolną ręką podniósł telefon. Chris wybrała numer i powiedziała spokojnie:

- Mówi doktor Radcliffe. - Starannie modulowała głos. - Może mnie pani połączyć z inspektorem Jamesonem?

Dixon puścił jej rękę, jakby parzyła. Jameson nie był osiągalny, kiedy wychodziła z biura, więc zostawiła mu wiadomość w policyjnej centrali. Może wie, a może nie wie, gdzie jest. Chris stała przy telefonie, przeklinając fakt, że zabrakło jej trzeźwości umysłu, żeby zadzwonić prosto na policję, wyjaśniając, że się spóźnia, bo rozmawia z panem Dixonem, ale że już jest w drodze do komendy. Nicky, po drugiej stronie kabla, była coraz bardziej nerwową i pytała, czy wszystko w porządku i czy powinna przysłać policję.

- Nie, nie ma potrzeby, żeby się pan fatygował - Chris usłyszała swój wesoły głos. - Powinnam się zjawić w ciągu pół godziny.

20

- Doktor Radcliffe właśnie widziała się z niejakim Jake'em Dixonem - powiedział Jameson Fosterowi. - Wygląda na to, że zależało mu na zawarciu znajomości z Philipem Greerem, nim ten przeniósł się do mieszkania z dozorem.

Chris zadzwoniła potem do Jamesona, już z biura. Robiła wrażenie roztrzęsionej i przekonanej, że Dixon oglądał jej dokumenty. Zrelacjonowała całą rozmowę Jamesonowi, nic nie zatajając.

- Wiedział różne rzeczy... - zaczęła z wahaniem. - Powiedział, że przeczytał o nich w mojej książce, ale to niemożliwe. - Jamesonowi wydało się, że usłyszał jej drżący oddech, po czym rzekła: - Kiedy mój ojciec mnie zaatakował, wtedy, kiedy mnie umieszczono w domu dziecka, ja... - Jej głos był pełen emocji. Jameson usłyszał jakiś inny głos, być może jej sekretarki. - Wszystko w porządku - powiedziała Chris, jakby w odpowiedzi, po czym ciągnęła dalej: - W czasie ataku dźgnęłam go. Nie pamiętam zbyt wiele, ale spałam z nożem pod poduszką już od kilku miesięcy, nim to się stało. Zraniłam go w ramię. - Zamilkła i Jameson był pewien, że wstrzymuje oddech.

- Wiem - rzucił cicho.

Wydech, po czym:

- Oczywiście... to było w raporcie. Panie Jameson, nigdy nikomu o tym nie mówiłam. Ani wtedy, ani potem. Nawet nie Marii, chociaż ci z opieki musieli jej powiedzieć. A Dixon wiedział. To znaczy, że musiał widzieć moją teczkę. - Zawahała się przed dodaniem: - Myślę, że to może on umieścił świadectwo ślubu mojego ojca na tamtym ciecie, żeby mnie wystraszyć. Po cóż innego miałby to robić?

No i? - Foster przerwał myśli Jamesona. Jego ton był ostrożny. Jameson nad czymś się poważnie zastanawiał i nie chciał mu mącić myśli.

- Podejrzewa, że Dixon jest człowiekiem, który podszywał się pod sierżanta Tully'ego w archiwum. Myśli też, że mógł mieć dostęp do naszych danych komputerowych. - Na razie zatrzymał jej spekulacje na temat świadectwa ślubu na zwłokach dla siebie.

- Co ją skłania do takich myśli?

Jameson postanowił zacząć od początku:

- Philip Greer ma zdolności do zapamiętywania faktów, procedur, liczb, takich rzeczy.

Posiada encyklopedyczną wiedzę na temat wszelkich dokumentów w radzie miejskiej Calderbank.

- Więc?

- Dixon ma mnóstwo wysokiej klasy sprzętu komputerowego w swoim mieszkaniu. Ona rzuciła okiem na coś, nad czym teraz pracuje - nazwiska, pensje, stawki ratalne kredytów, rodzaj informacji, którymi mogą interesować się instytucje finansowe.

Foster był sceptyczny. - Miałyby być zainteresowane pracownikami socjalni i urzędnikami na państwowych pensjach?

- Poczta wysyłkowa - zauważył Jameson. - Nigdy się nie zastanawiałeś, dlaczego katalogi do zamawiania rzeczy przez pocztę przychodzą całymi seriami?

- Jak już coś człowiek kupi, to tak. Sprzedają nazwisko, tak? - powiedział Foster.

- Niektórzy posuwają się nawet dalej: jeśli znają twoją sytuację rodzinną, mogą przysyłać szczegółowe informacje na temat zabawek, wczasów rodzinnych, ubrań. Jeśli znają też twoją sytuację finansową, mogą proponować pożyczki, programy oszczędnościowe, karty kredytowe i tak dalej.

- Do tego nie potrzebowałby Greera, bo to wszystko jest w komputerze, prawda? Potrzeba mu tylko komputera i podłączenia do Internetu.

- Tylko że magistrat nie ma jeszcze swoich dokumentów w bazach danych - jak się o tym przekonaliśmy na własnej skórze. Kiedy Dixon uświadomił sobie, że nie uzyska dostępu do teczek rady miejskiej przez komputer, rozejrzał się za innymi możliwościami.

- Tak, ale skąd wiedział, żeby spróbować w schronisku? Skąd miałby wiedzieć, że Greer wprowadzi go tylnymi drzwiami do dokumentów magistratu?

Jameson wzruszył ramionami.

- Informacja to jego działka. Sprawdza, gdzie może, zbiera, co może i wykorzystuje to. Czy można wyobrazić sobie lepszą metodę, niż zaprzyjaźnienie się z tymi, którzy znają system, którzy znają wszystko od podszewki i wiedzą, jakich pracowników można sobie zjednać albo zastraszyć, a jakich nie? Podejrzewam, że w ogóle mu do głowy nie przyszło, że trafi na Greera czy kogoś takiego. Zaczął się rozglądać i przypadkiem trafił na żyłę złota w postaci Philipa Greera.

Foster zmierzył go wzrokiem.

- I co, ona myśli, że szperał w archiwum, dowiadując się wszystkich tych rzeczy o pracownikach magistratu i akurat kiedy wprowadzono te kobiety, zaczął zbierać informacje na temat Dorothy i Ann i sprzedał to, co znalazł, gazetom?

- Ralphowi Miltonowi, autorowi nagłówka „Miastowe zbrodnie”, jeśli mamy być

konkretni - powiedział Jameson.

Foster wyjrzał przez okno i przez chwilę wpatrywał się w mewę, która dryfowała do góry na prądzie wznoszącym.

- To skąd się dowiedział tych rzeczy o Jimie Bradburym? Tego raczej nie było w dokumentach magistratu, prawda?

- Przyciśnij Milтона. Zobacz, czy da się coś z niego wyciągnąć. Jak zasugerujesz, że odpowiada opisowi człowieka, którego chcemy przesłuchać w sprawie podszywania się pod funkcjonariusza policji, to może trochę zmięknie.

Na samą myśl o tym, w oczach Fostera pojawił się błysk.

*

Foster wyszedł, zostawiając Jamesona, który starał się przestać myśleć o Chris Radcliffe i zacząć zastanawiać się nad tym, jak namierzyć Darrena Lewisa. Powiedział Chris, że wszystkie niekompletne dokumenty dotyczyły sześciomiesięcznego okresu w 1987 roku i że część odnosząca się do jej młodości była nienaruszona. Zgadzał się z tym, że Jake Dixon musiał je czytać, żeby wiedzieć aż tyle na jej temat i może nawet umieścił świadectwo ślubu na włóczędźce jako ostrzeżenie, ale będzie bezpieczna, jeśli wyciągną z Milтона dosyć, żeby go aresztować. Bardziej niepokoił go Lewis, bo zniknął i nie udawało się go znaleźć. Miał mocne alibi na noc, kiedy zniknęły kobiety, ale to prawie nic nie znaczyło, biorąc pod uwagę wiarygodność tych, którzy mu ich udzielili. Nie miał żadnego alibi na rano w dniu, kiedy zamordowano Jima, i to samo w sobie było już bardzo znaczące. Jameson sięgnął po telefon i poprosił, żeby jeszcze raz ściągnąć przyjaciół Lewisa, którzy udzielili mu alibi. Może uda mu się od któregoś wyciągnąć, że po prostu kryją Lewisa. A nawet jeśli to się nie uda, może będą wiedzieli, gdzie teraz przebywa. Nie było dużych szans, ale lepiej to, niż siedzieć beczynn timer i czekać, aż coś się stanie.

21

Jedynymi odgłosami zakłócającymi ciszę w pokoju był cichy dźwięk pracy magnetofonu i ledwo słyszalny szum klimatyzacji. Dixon siedział trzymając swą lewą stopę na prawym udzie, jedną rękę miał przewieszoną przez oparcie krzesła, a druga leżała luźno na czarnej powierzchni stołu w pokoju do przesłuchań.

Spojrzał pogardliwie na Jamesona, ziewnął, podnosząc ospale rękę do ust. - Przepraszam, panie Jameson, ale to jest naprawdę nudne - przerabialiśmy już to przynajmniej ze trzy razy.

Jameson poczuł na sobie jego badawczy wzrok i nagle uświadomił sobie, że ma niestarannie wyprasowaną koszulę. Dixon został zatrzymany dwie godziny wcześniej; Milton przyznał, że zapłacił mu za informacje, ale zastrzegł się, że nie wiedział, że ich gromadzenie odbywało się z naruszeniem prawa. Dixon odmówił składania zeznań bez adwokata i wybrał sobie konkretną osobę.

David Alingford był człowiekiem o niesłychanie dużym doświadczeniu, zebrany przez lata praktyki w reprezentowaniu ostatnich biznesmenów. Był narcystycznym mężczyzną o wątpliwej moralności i niesłychanie rozdętym ego, był tak z siebie zadowolony, że lekki uśmiezek gościł nieustannie na jego ustach. Lubił Dixona. Po dwudziestu latach pogoni za pieniędzmi, w końcu mógł sam decydować, kogo chce reprezentować, ale cieszył się reputacją, która przyciągała do niego różne podejrzane typy. Gdyby był uczciwym człowiekiem, którym nie był, musiałby przyznać, że pomimo jego renomy (albo złej sławy - zależnie od punktu widzenia), nadal nie miał specjalnego wyboru w doborze swych klientów. Najpierw zainteresował się sprawą z powodu powiązań prasowych, Dixon miał tyle oleju w głowie, żeby go o tym poinformować przez telefon, ale jego dalsze zainteresowanie dotyczyło samego Dixona. Był on bowiem człowiekiem, który umiał sobie radzić, człowiekiem znacznie subtelniejszym niż większość klientów Alingforda. Nie mógł też nie docenić jego opanowania i umiejętności w kontaktach z policją.

- Jeszcze raz, panie Dixon - powiedział Jameson. - Żeby wyjaśnić wszystko dokładnie.

Alingford otworzył usta w ten sposób, że dożyła się z nich cicha eksplozja. - Mój klient już panu wyjaśnił, dlaczego był w archiwum. Gromadzenie informacji to jego praca. Przyznaje, że chciał zebrać jakieś informacje dla prasy, ale skoro nie został wpuszczony do

archiwum...

- Pański klient podszywał się pod funkcjonariusza policji, panie Alingford - przerwał Jameson. - A pracownik archiwum jest raczej pewien, że był tam kilkakrotnie.

- Raczej pewien! - Alingford roześmiał się wesoło. - A mówią, że policjanci nie mają poczucia humoru. Powinien pan to powiedzieć w sądzie, panie Jameson, bo ich praca nie dostarcza częstych powodów do śmiechu. - Jego głos dudnił w ciasnym pomieszczeniu. Był człowiekiem, który dokładał starań, żeby zawsze było go dobrze słycać.

Jameson nie był w odpowiednim nastroju, żeby się z niego śmiać.

- Nasz świadek wyraził chęć złożenia zeznania pod przysięgą w sądzie albo w Sądzie Najwyższym, czy gdziekolwiek będzie trzeba, że pański klient nielegalnie uzyskał dostęp do poufnych i chronionych dokumentów. Posiadamy nie jeden, panie Alingford, ale dwa sfalszowane dokumenty. Według jednego pan Dixon jest pracownikiem lokalnych władz, a według drugiego funkcjonariuszem miejscowej policji.

Alingford spowazniał. Dixon o tym nie wspominał. Oparł się pokusie, żeby spojrzeć na swojego klienta i zamiast tego posłał spojrzenie mężczyźnie siedzącemu naprzeciw. Nic na jego twarzy nie wskazywało na to, żeby blefował. Alingford przeniósł wzrok na ubranie inspektora - naprawdę się zaniedbał, od kiedy opuściła go żona. Alingford żywił głęboką pogardę dla niechlujstwa w ubiorze, dużo większą niż wobec słabości moralnej, a Jameson wyraźnie znalazł się w rymsztoku, sądząc po jego wymiętym garniturze i nie wyczyszczonych butach. Jego krawat był nieco przekrzywiony i na pewno nie był nieskazitelnie czysty; jego włosy wyglądały tak, jakby nie był u fryzjera od miesięcy.

- To jest poważny zarzut, inspektorze - rzekł, dając sobie chwilę czasu na uporanie się z irytacją na swojego klienta.

Dixon nie wydawał się zaniepokojony.

- Pracowałem przez jakiś czas dla lokalnych władz - powiedział. - Zapomniałem oddać im legitymację, kiedy przestałem. A legitymację policyjną podłożono, żeby mnie skompromitować.

Alingford zakrył palcami usta, żeby zasłonić uśmiech. Facet jest nie do wygięcia! Przyjrzał się twarzy Jamesona i zauważył, że stracił trochę z początkowej pewności siebie. Pozwolił sobie rzucić okiem na swojego klienta.

- Jestem pewien, że uda nam się to załatwić po przyjacielsku, panie Jameson - powiedział.

- Ja również. - Jameson wyciągnął dokument z wewnętrznej kieszeni, rozprostował go i położył na stole przed Dixonem. - To jest nakaz rewizji pańskiego mieszkania, panie Dixon.

Będziemy szukać tajnych dokumentów i innych materiałów - elektronicznych i na twardej dyskach. Tak to się nazywa? Twarde dyski? Widzi pan, mamy nadzieję dowiedzieć się twardej faktów, czym się pan naprawdę zajmował. - Alingford rzucił okiem na sufit, ale wolał powstrzymać się od komentarza na temat nieprzyjemnej gry słów.

- Wiemy, że nielegalnie uzyskał pan dostęp do dokumentów rady miejskiej.

- Zastanowił się chwilę i postanowił nie wspominać o zwłokach. - Wiemy, że sprzedawał pan prasie informacje dotyczące domu dziecka Sunnyside, dwóch zamordowanych kobiet i sierżanta Jima Bradbury'ego. Nie jesteśmy tylko pewni, jak udało się panu do nich dotrzeć. Oczywiście - dodał, podnosząc głos, żeby zagłuszyć protesty Alingforda - zaprosimy pana, panie Alingford, żeby był pan obecny przy rewizji i upewnił się, że wszystko przebiega zgodnie z procedurami.

Głos Dixona przyłączył się do podniesionych głosów. Jameson uciszył go gestem, zadowolony, że w końcu udało mu się go wyprowadzić z równowagi.

- Muszę ostrzec, że mamy prawo zatrzymać wszystko, co może mieć związek z dochodzeniem.

- Ale nie mój komputer!

- Chyba że zgodzi się pan współpracować, to znaczy dostarczy nam pan wszystkie interesujące nas informacje w formie wydruku. - Przyglądał się reakcji Dixona. Był błąd, ledwo nad sobą panował i wcale nie miał ochoty, co zrozumiałe, sam siebie pograżać. - Rozumie pan, to Milton - pamięta go pan, ten dobrze poinformowany? Cóż, gryzły go wyrzuty sumienia i zdradził nam swoje źródło informacji...

Milton? Dixon myślał, że swoje aresztowanie zawdzięcza Radcliffe. Zaczął się podnosić, ale Alingford powstrzymał go, kładąc mu rękę na ramieniu. Jego klienci za to mu płacili. Żeby zachował zimną krew, kiedy oni już nie byli w stanie.

- Chciałbym porozmawiać z moim klientem na osobności - rzekł.

Jeśli mam panu pomóc, Dixon, musi być pan ze mną szczery.

Na twarzy Dixona pojawił się wyraz rozbawienia. - Pan radzi, żebym ja był szczery?

- O Boże, panie Dixon, będzie pan musiał bardziej się postarać, jeśli chce mnie pan obrazić - odparł Alingford, nieświadomie powtarzając mniej więcej to samo, co Chris, kilka godzin wcześniej. Wziął krzesło i ustawił je pod odpowiednim kątem do klienta. Zostali w tym samym pomieszczeniu, bo nigdzie indziej nie było miejsca. - Wiem, jaką mam reputację. - Uniósł brwi. - I pan też, bo w przeciwnym razie nie zwróciłby się pan do mnie, żebym pana reprezentował.

Dixon przyglądał się uważnie zadbanemu adwokatowi. Był ubrany w jasnoszary

garnitur, szarą muchę i błyszczące buty. I trzymał nogi równo pod stołem, a ręce spoczywały równie gładko na kolanach. Uosobienie faryzejsstwa.

- No dobrze - powiedział Dixon. - Znam pańską reputację, ale po co chce pan wiedzieć więcej niż to, co panu powiedziałem?

- Bo - zaczął Alingford, a jego zadbane palce dotknęły spodni z wysokogatunkowej wełny - nie lubię niespodzianek. - Nagle odchylił się do tyłu, machając niemrawo rękoma przed swoją twarzą i wybuchając sztucznym śmiechem. Dixonowi przypominało to trzepotanie się ryby na mokrym kamieniu. - Nie chodzi o to, żebym był prokuratorem czy sędzią - rzekł, po czym pochylił się w stronę Dixona i poklepał go po ręce, dotykając jej bardzo delikatnie, upominając go tym fircykowanym gestem. - Jestem pana przedstawicielem. Ale nie mogę reprezentować pana w sprawie, o której czegoś nie wiem. A mogę uniknąć pułapek tylko pod warunkiem, że będę miał informacje niezbędne, żeby je przewidzieć.

Zapadła cisza.

Alingford pochylił się do przodu na swoim krześle, świdrując klienta wzrokiem. W końcu Dixon pokiwał głową.

- Zbieram informacje...

- Taak. - To już mu Dixon powiedział.

- Najłatwiejszym - i najbezpieczniejszym - sposobem jest zdobywać dane komputerowe. Trzeba tylko umieć rozpracować hasło, orientować się w Internecie i mieć mnóstwo cierpliwości. Jak się już raz znajdzie zapadnię, można wchodzić i wychodzić, kiedy się żywnie podoba. Jest się cyberkomandosem. - Uśmiechnął się do siebie.

- Słucham? - Łagodny wyraz twarzy Alingforda był maską przykrywającą niecierpliwość, którą zdradzał jego ton.

Dixon ciągnął dalej, ignorując jego pytanie, nie zwracając uwagi na niecierpliwość swego adwokata.

- Czasami potrzeba bezpośredniego kontaktu - stare systemy przechowywania informacji nie mają połączenia z systemem komputerowym. Albo jeśli zleceniodawca życzy sobie jakichś informacji osobistych. To też da się zrobić.

- Jak dane dotyczące ofiar morderstwa? Jest pan rodzajem współczesnego prywatnego detektywa? - rzucił Alingford lekko kpiącym tonem.

Dixon spojrzał na niego i świdrował go wzrokiem tak długo, aż się upewnił, że Alingford nie ma wątpliwości, co myśli na temat tej uwagi.

- Nie szpieguję mężów na zlecenie zazdrosnych żon - powiedział. - Zbieram informacje dla instytucji finansowych, pracodawców, dla każdego, kto opłaci moje

honorarium.

- Instytucji finansowych... - Alingford zamilkł i zamyślił się. - Dla banków, firm udzielających kredytów. O takich instytucjach finansowych pan mówi?

- Czasami dla banków, ale one przeważnie wolą mieć czyste ręce. W oczach Alingforda pojawił się błysk.

- A kto, tak naprawdę i w jakich to okolicznościach, nie lubi mieć czasem czegoś drobnego na sumieniu?

Na twarzy Dixona powoli pojawił uśmiech.

- Jeśli nie będzie pan ze mną szczery, panie Dixon - nie będę mógł - panu pomóc...

Począł, aż Dixon przygotowuje odpowiedź.

- Teoretycznie - zaczął - numery kart kredytowych to dobry interes. Jeśli się postarać, mając numer konta i numer oddziału, to zadziwiające, co można osiągnąć wchodząc do Internetu.

- Ale pan chyba nie... Niech pan wybaczy - poprawił się Alingford - ale ktoś mógłby kupować towary, korzystając z tych numerów kart kredytowych...

- Ja z nich w ogóle nie korzystam - powiedział rozbawiony Dixon. - Jak na moje gusta, ochrona jest zbyt niedbała. Niektórzy kupowali dużo najróżniejszych towarów - sprzęt, zabawki, wszystko - żeby je potem odsprzedać, po czym ulatniali się po dniu albo dwóch po wydaniu tysięcy funtów. Szczerze mówiąc, to jest dla rzezimieszków, którzy nie potrafią sobie radzić w bardziej elegancki sposób.

Alingford pokiwał głową z uznaniem.

- Nowsze rozwiązania są bardziej interesujące - dodał Dixon.

- Nowsze rozwiązania? - powtórzył Alingford.

- Zmiany kart, te sprawy.

- I wtedy informacje ściąga się z działów księgowości dużych pracodawców?

- Nie bezpośrednio. Jak już się ma nazwiska i numery kont bankowych, wystarczy się wtedy włamać do systemu odpowiedniego banku. Trzeba wybrać kogoś, kto dostanie nową kartę: Visa, Connect, Switch, jakkolwiek. Wtedy trzeba się dowiedzieć szczegółów dotyczących konta delikwenta i zmienić jego adres do korespondencji. Przeważnie używa się do tego celu wynajętego mieszkania, z którego korzysta się kilka tygodni, a potem znika. I można używać karty do wypłacania gotówki, bo poufny numer uprawniający do korzystania z danej karty jest przesyłany na ten sam adres.

- Ale oczywiście dokumenty magistratu Calderbank nie były osiągalne przez ten system... - Upór Alingforda służył wyciągnięciu z niego jak największej ilości szczegółów.

Jeśli źle zrozumie albo źle zinterpretuje to, co mu powiedział Dixon, to kiedy Jameson wznowi przesłuchanie, będzie już za późno, bo wtedy nie będzie czasu na wyjaśnienia.

- W takich właśnie sytuacjach ludzie okazują się pomocni - ciągnął Dixon. - Nie są co prawda tak szybcy jak maszyny i trzeba ich jakoś nakłonić do współpracy, ale przeważnie można osiągnąć, co się chce, jeśli jest się cierpliwym i zna się odpowiednie klucze...

Alingford uniósł pytająco brwi.

- Niektórzy działają na pochlebstwa, innym trzeba nadskakiwać - tak wielu ludzi czuje się niezrozumianych, niedocenionych, niektórym się niespecjalnie powodzi...

Nie usiłował maskować swojej pogardy i natychmiast przypomniał sobie pastelowe oblicze Dorothy, która stała się niezwykle pomocna, jak tylko znalazł jej słaby punkt - była to stłamszona, ale niesłychanie ambitna osoba. Daty, fakty, nazwiska, miejsca - posypało się wszystko: nazwiska pracowników, których wyrzucono z Sunnyside, administratorów, którzy o mało co nie wylecieli, dzieci, które powierzono rodzinom zastępczym. Dorothy - Dot, jak kiedyś zaczął ją w myślach nazywać. Dziwnie rozmyta osoba; teraz właściwie już mógł myśleć o niej tylko czysto abstrakcyjnie. Ta zapracowana matka, z mężem - zapomniał jego imienia - oczekującym, że będzie również prowadzić dom - wbita w pancerz niezrozumiałej dla otoczenia, który nosiła z takim stoicyzmem. A teraz, usłużna jak zawsze, Dot była niczym. Jak zużyte opakowanie. Nie mogła już wyciągnąć w jego stronę oskarżycielskiego palca. Nie to co Milton. Milton mógł mu się naprzykrzać.

- Wiedza jest władzą? - rzekł Alingford, przerywając tok jego myśli.

- Wiedza - sprostował Dixon - jest towarem na sprzedaż. Pieniądze to władza. Ludzie są skłonni zapłacić za to, co chcą wiedzieć. Czasami słono.

- Więc pańskie eskapady do archiwum magistratu służyły tylko zbieraniu informacji? - Alingford uśmiechnął się.

- Raczej eskapada - poprawił go Dixon. - Jedna eskapada. Próbowaliśmy tylko raz i nie udało mi się tam dostać.

- Niech będzie - powiedział Alingford. - Ale jak mamy przekonać o tym inspektora Jamesona, skoro kiedy pana aresztowano, miał pan przy sobie fałszywe dokumenty policyjne?

22

Chris stała pod prysznicem, a letnia woda spływała po jej skórze. Nie chciała spod niego wyjść wiedząc, że nieznośny zaduch zaatakuje ją, jak tylko zacznie schnąć. Kiedy zatrzymali Dixona, poczuła się bezpieczniej. Może Jameson miał rację, mówiąc, że jest tylko oszustem i hakerem sprzedającym informacje, ale bardzo ją przestraszył. Czowała, jak cała głowa jej pulsuje, i przypomniała sobie, że nie jadła nic od śniadania i że dzisiaj wypła tylko dwie szklanki whisky. Westchnęła, zakręciła prysznic i zeszła na dół.

Pod bosymi stopami czuła chłód płytek w kuchni, ale w szlafroku już było jej za ciepło, kiedy wchodziła do sypialni z pobrzękującą szklanką lemoniady z lodem. Dokumenty dotyczące podejrzanych z jej listy tworzyły niestabilny stos na toalecie. Niepokojąca myśl przysła jej do głowy: jeśli Jameson miał rację co do Dixona, to znaczy, że morderca jest ciągle na wolności. Chris zapinała bluzkę jedną ręką, drugą grzebiąc w dokumentach.

John Emerson - Jameson go namierzył; przeprowadził się do Leeds i pracował jako kierowca w małej firmie transportowej. Miał alibi na obie noce, kiedy zniknęły Dorothy i Ann. Laura Smith. Robiła wrażenie naprawdę zmartwionej dziećmi Dorothy, ale ciągle miała niemile wspomnienia z domu dziecka... George Maddox. George miał w sobie wystarczającą dozę wściekłości, żeby zabić, ale co miałby zyskać na tych morderstwach? Czy kobiety mogły wiedzieć coś takiego, co by mu zagroziło? Potrząsnęła głową: nie znała żadnej z nich wystarczająco dobrze, żeby spekulować na ten temat. Darren Lewis - jego matka wyznała, że cieszy się, że się go pozbyła i nie zawahałaby się ani przez chwilę, czy wydać go policji, gdyby ośmielił się kiedykolwiek pojawić w jej domu. Niestety, był na to zbyt sprytny. Czy to zbieg okoliczności, że zniknął tego samego dnia, kiedy znaleziono Jima Bradbury'ego? Gdyby tylko mogła z nim porozmawiać...

Chris przeszła do jadalni. Jej materiały do książki, kartony, skoroszyty, notatki i długopisy leżały rozrzucone na kuchennym stole. Simon, który pracował wczorajszego wieczora do północy, nakleił na niektóre skoroszyty karteczki z numerami telefonów i adresami. Wzięła do ręki plik skoroszytów i zaczęła przeglądać kartki wypełnione notatkami, niektóre zapisane równym, czytelnym pismem Simona, a niektóre jej ledwo czytelnymi bazgrołami. Nagle poczuła się winna, że nie porozmawiała z Simonem o odrzuceniu go przez

matkę. Dwukrotnie został uznany winnym podpalenia i dlatego, tak się przynajmniej wydawało, jego matka wyrzekła się go. Co mogło skłonić matkę, żeby tak postąpić? Są poważniejsze zbrodnie niż podpalenie. Od zwolnienia z więzienia w wieku lat siedemnastu Simon sam dawał sobie radę, mieszkając w garsonierach, które zupełnie nie przypominały luksusowego apartamentu Jake'a Dixona. Jeśli Dixon wykradał, w co wierzyła, poufne informacje o pracownikach i klientach rady miejskiej Calderbank, to czy odkrycie tego faktu przez Ann i Dorothy byłoby wystarczającym motywem do popełnienia morderstwa? Widziała, jak kiedyś Dorothy uśmiechała się, bo pochlebiało jej jego zainteresowanie. Pewnie zaprosił ją na kolację, prawił komplementy na temat jej ubrania, włosów, zadając odpowiednie pytania sprawiając, że czuła się ważna, kompetentna, inteligentna. I rozśmieszał ją. Najskuteczniejsza strategia ze wszystkich, śmiech.

Czy powiedziała mu o Sunnyside więcej, niż zamierzała? A potem przeczytała własne słowa we wstępniaku Milтона? Co by zrobiła w takim przypadku? Zażądałaby spotkania z Dixonem? A potem co?

Do policji należy sprawdzenie tego, powiedziała sobie stanowczo. Miała już dosyć przygód na całe życie - a Nicky nie była zachwycona jej telefonem z mieszkania Dixona. Zostawi dochodzenie policji. Philip jest bezpieczny, a Jameson już jej nie uważa za podejrzaną. Powiedziała Jamesonowi wszystko, co wiedziała - oprócz jej udziału w tej cholernie odpychającej sprawie z Sunnyside.

Ostatnio zauważyła, że zależy jej na dobrej opinii Jamesona i obawiała się, że Sunnyside pomniejszy ją w jego oczach. Jeśli motyw mordercy był związany z Sunnyside, to czy nie mściłby się raczej na ludziach, których wtedy wyrzucono z pracy? Ludziach, którzy wymyślili i wprowadzili w życie reżim bicia i kar? Jednak oni byli bezpieczni, a dwie niejasno związane ze sprawą kobiety zostały zamordowane.

Zajęła się ponownie materiałami do książki, ale jakaś mętna obawa nie pozwalała jej się skupić. Karteczki Simona były wszędzie. Simona, który cierpliwie na nią czekał, kiedy się spóźniała, i który pracował do późna w noc, kiedy jej umysł zajęty był czym innym i nie dawał się wyłączyć, który słuchał jej, kiedy musiała się komuś wygadać o swoim ojcu. Dwa razy poniosła porażkę w ciągu osiemnastu miesięcy pracy dla magistratu Calderbank. Obie porażki wpłynęły na życie dzieci, za ochronę których jej płacono. Gdyby wiedziała o reżimie kar i nadużywaniu leków w celu kontrolowania dzieci w Sunnyside, nim ją zawieszono z powodu sprawy Simona, chyba miałyby dosyć odwagi, żeby sprzeciwić się swoim szefom i pójść do prasy, ale cztery tygodnie osamotnienia i wisząca nad nią groźba zwolnienia za brak profesjonalizmu uczyniły z niej tchórza. Więc zachowała się jak tchórz i zrezygnowała. Co, w

końcu, pomyślała z goryczą, skończyło się dla niej bardzo dobrze, ale nie równie dobrze dla dzieci w Sunnyside. I bardzo źle dla Simona. Został nawet umieszczony w Sunnyside do czasu, kiedy psychologowie ocenili jego stan. Już po jej zwolnieniu się, ale kiedy reżim, który powinna powstrzymać, ciągle był utrzymywany.

Przez ostatni tydzień albo dwa Simon był przygaszony. Wydawało jej się, że ten stan zaczął się, kiedy poprosiła go, żeby jej pomógł, przepisując na maszynie jej notatki do rozdziału zatytułowanego „Dlaczego nikomu nie powiedziałaś?”. Chris poczuła, że poczucie winy ściska jej brzuch. Gdyby wiedziała, który fragment tak poruszył Simona, może mogłaby mu pomóc - może trochę zbyt późno, ale miała nadzieję, że by jej wybaczył.

Znalezienie teczek Simona zajęło jej dziesięć minut. Była schowana wśród innych odnoszących się do jej posady w magistracie Calderbank. Otworzyła ją gwałtownie i podstawiała kartkę pod słabe światło pojedynczej, niczym nie osłoniętej, sześćdziesięciowatowej żarówki, która zwisała z krokwi na dwóch brązowych izolowanych drutach.

*

Zupełnie nowy budynek stał wśród okazałych domów z lat czterdziestych, na zamieszkałej przez klasę średnią ulicy. Był zbudowany w połowie z drewna, w stylu Tudorów, a mieszczący się przy nim ogród był tak skomponowany, aby był kolorowy przez cały rok, ale sporo zwiędłych kwiatów leżało na wyłożonym cegłą podjeździe i były już zupełnie zeschnięte przez prażące słońce, a małe pąki róż były zniekształcone przez atakujące je mszyce. Chris zadzwoniła, po czym odsunęła się trochę, żeby spojrzeć na dom. Wszystkie okna były zamknięte. Widocznie nie było nikogo w domu. Zastanawiała się, czy nie przyjść później, ale nie chciała odchodzić. Gdyby zrobiła dla niego więcej dziesięć lat wcześniej, kiedy komisja przegłosowała jego powrót do domu, gdyby bardziej się postarała, być może nie odesłano by go do domu, nie popełniłby ponownie tego samego przestępstwa i nie poszedłby do więzienia. Być może teraz robiłby karierę na uniwersytecie, co bardzo odpowiadało jego temperamentowi i umiejętnościom.

- Pomóc pani w czymś?

Kobieta stała przy bramie prowadzącej do podjazdu. Druga, młodsza, patrzyła na nią z odległości kilku metrów.

- Pani Webster?

Kiedy Chris ruszyła w stronę kobiety, zobaczyła, że się pomyliła: ta była dużo starsza

niż pani Webster i zdecydowanie zbyt bezpośrednia, zbyt pulchna i zbyt pewna siebie. Matka Simona wyglądała na delikatną, godną szacunku kobietę, ale była dość chuda, a w dodatku zakłopotana i strapiona postępowaniem jej syna; tkwił też w niej lodowaty błysk niesmaku, którego źródła Chris nie znała i nie mogła zrozumieć. Przypomniała sobie, że pani Webster spoglądała na męża, ilekroć zadano jej pytanie, jakby prosiła o pozwolenie na mówienie.

Kobiety wymieniły spojrzenia. W końcu odezwała się druga z nich.

- Wyjechała jakiś czas temu - powiedziała. - Jak myślisz, kiedy to było, Hilda? - Zwróciła swą okrągłą, błyszczącą twarz do sąsiadki, odwołując się do niej, bo była starsza i mogła pamiętać więcej szczegółów.

Ale Hilda wyraźnie nie interesowała się swoimi sąsiadami z Tennyson Street.

- A pani jest? - spytała sztywno.

- Chris Radcliffe. - Chris podała jej wizytówkę. - Chciałam porozmawiać chwilę z panią Webster.

- Doktor Radcliffe. Rodney Street - wymamrotała druga kobieta, stając na palcach, żeby zajrzeć Hildzie przez ramię.

Hilda pozbyła się jej gestem dziwnie przypominającym konia gwałtownie kurczącego zad, żeby pozbyć się naprzykrzających się much. Druga kobieta wydawała się nieco skulić, urażona, ale zachowała spokój. W końcu Hilda odpowiedziała:

- Nie znajdzie jej pani tutaj. Wyjechała krótko po pożarze.

- Pożarze w budynku szkoły? - spytała Chris.

Hilda zaczęła się jej przyglądać podejrzliwie i dopiero po kilku sekundach młoda kobieta, wyraźnie nie mogąc się dłużej powstrzymać, skinęła w stronę nowego domu.

- Spalił się doszczętnie - powiedziała. - Jakies pięć albo sześć lat temu, prawda, Hilda?

- Siedem - sprostowała Hilda, po czym dodała: - Ja się tym zajmę, Jennifer.

Młodsza kobieta splonęła rumieńcem i wyglądała, jakby zaraz miało ją ponieść, ale została, przestępując z nogi na nogę, jakby było jej zbyt trudno stać na chodniku.

Hilda ponownie spojrzała na wizytówkę.

- Dlaczego to panią interesuje, doktor Radcliffe?

- Czy wie pani, dlaczego podłożył ogień?

Hilda nadęła wargi.

- Nie wścibiam nosa w prywatne sprawy moich sąsiadów - odparła z pełnym cnoty oburzeniem.

Chris pomyślała, że kiedy jej ojciec bił ją, gryzł i walił pięściami, to nie nazwałaby interwencji „wścibianiem nosa”. A cóż za „prywatna sprawa” sprawiła, że młody chłopiec

podłożył ogień pod własnym domem zamiast do niego wrócić?, zastanawiała się.

- Oczywiście odbudowali go po pożarze, ale to już nie było dla nich to samo. A po tym, jak umarł jej mąż... - To Jennifer nie wytrzymała. - No cóż, wie pani jak to jest. Pani Webster przeprowadziła się do Southport.

Hilda przerwała jej: - Myślę, że powiedziałyśmy już dosyć, Jennifer.

- A ta śmierć pana Webstera... - zaczęła Chris, mając nadzieję, że Jennifer dokończy.

- Straszna. W garażu - rzekła, kiwając głową w stronę domu. Była wyraźnie podniecona, że w końcu przejęła kontrolę nad rozmową, zaszczycona tym, że ktoś obcy - i to doktor - patrzył prosto na nią, pytając się jej o zdanie. Ani w głowie było jej słuchać protestów Hildy. - Nie żył dopiero od pół godziny, kiedy zauważono jego nieobecność. Ale było już za późno.

- Naprawdę! - Hilda wyglądała tak, jakby chciała chwycić Jennifer za ramię i zaprowadzić ją do jej domu, ale pomimo że się tu rządziła, nie posunęła się do użycia siły.

- Samobójstwo to straszna rzecz - powiedziała Chris, ignorując starszą kobietę. Musiała mieć pewność, kiedy będzie rozmawiać z panią Webster.

- Cóż, z takim synem... Nawet nie przyszedł na pogrzeb. Złamał jej serce. Biedactwo.

- Pewnie nie ma pani jej adresu? - spytała Chris.

Jennifer już zaczęła potrząsać głową, kiedy odezwała się Hilda.

- Jeśli chce pani dowiedzieć się czegoś więcej, proponuję, żeby skontaktowała się pani z policją, doktor Radcliffe. Jestem pewna, że pani pomogą, jeśli będą mogli...

Chris wolała przewertować książkę telefoniczną okolicy. Było sporo Websterów, ale tylko kilku w okolicy Southport. Za piątym razem trafiła.

- Doktor Radcliffe? - Głos wydawał się odległy, osłabiony chorobą albo zmartwieniem. - Chyba nie...

- Opiekowałam się przez jakiś czas Simonem jako psycholog kliniczny - wyjaśniła Chris. - A przedtem byłam jego nauczycielką angielskiego w szkole w Wellesthorpe.

- A. - Pani Webster zdenerwowała się, a jej głos stał się słabszy i cięższy. - Och. Nie mogę... Nie chcę z panią rozmawiać. - Rozłączyła się.

Chris zanotowała adres i wstąpiła do biura informacji turystycznej po mapę okolicy. Dom stał na promenadzie, naprzeciw nadbrzeżnego jeziora. Dzieci konkurowały z mewami w krzyczeniu.

Chris szła z parkingu, oddalonego o prawie kilometr, pod eleganckimi zadaszeniami z kutego żelaza przy sklepach, które wyglądały reprezentacyjnie, co się nieczęsto zdarza w nadmorskich miasteczkach. Gwałtowna zmiana, kilka minut pieszo w bok od głównej ulicy,

okazalej architektury klasy średniej na tanią nadmorską tandetę zdziwiło Chris. Nadmorskie zapachy waty cukrowej i pączków, hot dogów i lodów - mieszały się ze sobą, prowokując mdłości, a ponad nimi świeższy, ostry zapach wodorostów i słonego powietrza przypomniawszy jej dzieciństwo i rzadkie dni spędzane z rodzicami. Przyjeżdżali do Southport, szli na jarmark, a potem na mniej więcej kilometrowy spacer po rozległej plaży. Morze, tak jak zawsze, kiedy tu przyjeżdżali, było kilka kilometrów dalej. Ojciec kupował gazetę i wynajmował dwa leżaki, po czym z matką siedzieli obok siebie na ciemnym piasku w kolorze błota w przyjemnej ciszy, ona czytała książkę, a on rozwiązywał krzyżówkę.

Chris uświadomiła sobie nagle, że były szczęśliwe chwile w jej dzieciństwie. Przez większość dorosłego życia starała się wyprzeć zarówno dobre, jak i złe wspomnienia, starała utwierdzić się w tym, że ich nie było, ale teraz wszystko stanęło jej przed oczyma: ojciec, ciągle jeszcze przystojny, bo na początku pił tylko na bibach w sobotnie wieczory; matka, rozluźniona i ładna w swej brzoskwiniowej letniej sukience, podnosząca od czasu do czasu wzrok i z zachęcającym uśmiechem przyglądająca się próbom zbudowania przez Chris zamku z piasku. Jej oczy napęłniły się łzami i zamruwała nimi gwałtownie, po czym odwróciła się od barierki, która oddzielała promenadę od migoczącej wody nadbrzeżnego jeziora.

Mieszkania mieściły się w niedawno wyremontowanym wiktoriańskim budynku, stojącym kawałek dalej przy zapiaszczonej drodze, z dala od krzątania i rozgardiaszu pełnych atrakcji arkad. Lśniły jego wyczyszczone cegły, a ramy okienne były świeżo pomalowane. Większe okna na wyższych piętrach miały balkony, udekorowane skrzynkami z geranium i pelargoniami, wyglądającymi jak plamy jaskrawych farb. Górne części okien na parterze były otwarte, niektóre z drzwi prowadzących na balkony też były otwarte na całą szerokość, ale w środku nie było widać śladu życia, bo w każdym lśniącym oknie wisiała gruba, biała zasłona. Czasami od morza powiewała bryza, która poruszała zasłony i unosiła je nieco, dając złudną nadzieję na zobaczenie wnętrza budynku. W jednym z pokoi na drugim piętrze zasłona musiała zahaczyć o jakiś mebel, bo była podciągnięta z jednej strony, tworząc ciemny trójkąt.

Chris spojrzała na niego, kiedy się zbliżała, i wtedy zasłona gwałtownie opadła.

Gładkie drzwi wejściowe z odnowionymi, witrażowymi lampami i wypolerowaną, mosiężną kołatką były szczelnie zamknięte. Chris spojrzała na przyciski - w tym ogromnym budynku musi być ze dwadzieścia mieszkań. Na większości były nazwiska, przed jednym czy dwoma dodano stopnie wojskowe, ale na kilku widniał tylko numer mieszkania i Chris zastanawiała się, czy narażać się na wściekłość mieszkańców, dzwoniąc po kolei do wszystkich, kiedy dotarł do niej metaliczny głos.

- Tak, słucham? - spytał.

Chris podniosła wzrok wystraszona i zauważyła po raz pierwszy interkom przyczepiony do ściany nad przyciskami. Nacisnęła guzik na interkome i powiedziała:

- Jestem doktor Radcliffe. Szukam pani Webster. Zapadła cisza i po chwili beznamiętny głos rzekł:

- Proszę zaczekać.

Interkom wydał elektroniczny zgrzyt i zamilkł. Chris cofnęła się kilka kroków i ponownie spojrzała na okna. Zasłona w oknie, na które wcześniej zwróciła uwagę, lekko drgała, ale może z powodu bryzy. Potem otworzyły się drzwi i pojawił się w nich uśmiechnięty mężczyzna. Był wysoki, lekko przygarbiony i miał wyblakłe białe wąsy, równo przystryżone i ułożone w ten sposób, żeby nie spadały na górną wargę.

- Jones - przedstawił się. Jego głos był wysoki i śpiewny, w połączeniu ze zniekształceniem spowodowanym przez interkom, wzięła go za kobiecy. Pan Jones był ubrany formalnie - w lekki garnitur. Wyobraziła go sobie, jak zakłada marynarkę przed otwarciem drzwi i ucieszyła się, że przebrała się i zamiast krótkich spodenek włożyła jasnozielone, płócienne spodnie. Pomimo tego czuła, że w porównaniu z nim nie jest odpowiednio ubrana.

- Chris Radcliffe - powiedziała, wyciągając rękę.

- Doktor Radcliffe?

Chris uznała to za pytanie. Wręczyła mu swoją wizytówkę. Jego brwi, w których uchoowało się kilka czarnych i błyszczących pasemek otoczonych przez siwe kępki, drgały, kiedy czytał psycholog. Zwrócił jej wizytówkę, unosząc lekko ramię.

- Mam nadzieję, że zrozumie pani, jeśli poproszę panią o jakiś dokument - powiedział.

- Mam prawo jazdy i karty kredytowe.

Przystał na prawo jazdy, przepaszając, kiedy mu je pokazała.

- Nigdy dosyć ostrożności w strasznym klimacie moralnym tych zdegenerowanych czasów - powiedział, a Chris wymamrotała coś uspokajającego. Obejrzał dokument z pieczołowitością, wydającą się potwierdzać jego wiarę w to, co przed chwilą powiedział, po czym spytał: - Czy mógłbym je zatrzymać do czasu zakończenia pani wizyty? Rozumie pani, nasi mieszkańcy nie lubią, kiedy obcy kręcą się po budynku...

- Oczywiście - rzekła Chris, uśmiechając się. - Odbiorę je wychodząc.

Pan Jones skinął głową tak sztywno, że wyszedł z tego prawie ukłon, po czym odwrócił się i wprowadził Chris na korytarz. Płytki zostały odnowione i wypolerowane do połysku. Jasnoniebieskie i szaro-białe wyglądały bardzo ładnie, szczególnie w miejscach,

gdzie mieszały się z innymi kolorami, pochodzącymi z witraża nad drzwiami i z wielkich, zakończonych łukami okien klatki schodowej.

- Czy pani Webster się pani spodziewa?

- Dzwoniłam wcześniej - powiedziała Chris, nie chcąc kłamać wprost, a rumieniec na twarzy był zamaskowany kolorowymi plamami światła. - Ale zapomniałam zapytać o numer mieszkania.

- Jedenaście. Na drugim piętrze.

Pan Jones pozwolił Chris samej znaleźć drogę. Hol był wypełniony różnokolorowym światłem, a znajdujące się dokładnie przed nią schody błyszcząły gościnnie. Szerokie, szare stopnie były po bokach zakończone różowym granitem, a poręcz opierała się na mahoniowej balustradzie, której każdy słupek był tak wypolerowany, że zdawał się świecić własnym, czerwonym światłem.

Po jednej stronie schodów znajdowała się winda, ślicznie odrestaurowana. Zamykały ją piękne, staroświeckie drzwi harmonijkowe i Chris usłyszała, jak furkoczą jakieś dwa piętra wyżej. Wybrała schody, ciesząc wzrok różnorodnymi kolorami wpadającymi przez okna i uśmiechając się do siebie, słysząc stukot swoich butów na kamiennych stopniach - przypomniał jej się kościół, w którym jako dziecko była kiedyś z matką, to światło, te kolory i ten dźwięk, nawet lekko miodowy zapach wosku pszczelego, którym polerowano poręcz.

Pani Webster otworzyła drzwi na długość łańcucha.

- Nie chcę z panią rozmawiać - zaczęła wysokim i opryskliwym głosem.

- Pani Webster, nazywam...

- Wiem, kim pani jest! Jak mogłabym nie wiedzieć? Gdyby nie pani, nic z tych rzeczy by się nie wydarzyło. Pani go przeciw nam zbuntowała i Charles nigdy się z tym nie uporał. Żyłby do dzisiaj, gdyby nie pani.

- Chciałabym porozmawiać z panią o Simonie, pani Webster.

- Niech pani odejdzie! Zawołam strażnika. Wystarczy, że włączę alarm.

- Obiecuję, że zaraz sobie pójdę, ale czy nie może mi pani powiedzieć, dlaczego Simon podpalił dom?

Chris zobaczyła jedno blade oko w odstępach między drzwiami i framugą. Prześwidrowało ją, po czym pani Webster zaskrzeczała przeraźliwie.

- Nacisnęłam alarm! - ostrzegła. Potem drzwi się zatrzasnęły.

Chris zapukała zaciśniętą w pięść ręką.

- Dlaczego nie chce pani ze mną rozmawiać, pani Webster? - krzyknęła i jej głos odbił się echem od wysokich, wyłożonych płytkami ścian korytarza.

Jakaś ręka chwyciła ją za ramię i Chris obróciła się, gotowa, by uderzyć.

Pan Jones cofnął się przerażony. Chris opuściła pięść, a on doszedł do siebie na tyle, żeby jej powiedzieć, iż jest zmuszony prosić ją o opuszczenie budynku.

- Wychodzę - warknęła Chris, opanowując silne pragnienie kopnięcia w drzwi, tak jak Vicky kopnęła drzwi Dixona. Pan Jones zwrócił jej prawo jazdy, kiedy znalazła się za progiem. - Mój paszport do tego prawdziwego świata.

- Całkiem cięta uwaga, młoda damo, i zupełnie nieusprawiedliwiona.

- Tak pan myśli?

- Niektórzy z nas preferują bardziej cywilizowane kontakty ze swoimi współplemieńcami - powiedział Jones.

- Stary, zły świat nie przestaje się kręcić od zamykania się za ogromnymi drzwiami i odgradzania się drogimi systemami zabezpieczeń.

- Być może nie. Ale jeśli zwalnia prędkość obrotów, utrzymując zgniliznę moralną z daleka, to wtedy warto ponieść większe koszty.

Chris ruszyła, ale odwróciła się jeszcze i spytała:

- Wie pan, co się stało z panem Websterem?

Jones zeszywniał i przez chwilę jego zgarbienie było mniej widoczne.

- Wiem tylko, że pani Webster jest wdową. Okoliczności śmierci jej męża mnie nie interesują.

Chris wracała do Liverpoolu w fatalnym humorze. Żałowała, że nie kopnęła tych nieskazitelnie czystych, błyszczących, pomalowanych poliuretanem drzwi pani Webster. Że nie kopała tak długo, aż ta głupia cholerna baba musiałaby otworzyć i powiedzieć jej to, co chciała wiedzieć. Powodowana impulsem, skręciła z Southport na drogę prowadzącą do Liverpoolu przez Calderbank i pojechała na Tennyson Street.

Jennifer obcinała przekwitłe róże w ogródku przed swoim domem. Chris ruszyła w jej stronę, uśmiechając się. Jennifer rozejrzała się po ulicy, nim ośmieliła się odwzajemnić jej uśmiech. Chris podziwiała przez chwilę róże i gęstwinę różnych bratków, które tak pięknie przykrywały ich łodygi, i Jennifer zarumieniła się z dumy.

- Poświęciłaby mi pani minutkę? - spytała Chris. - Chciałabym zadać pani kilka pytań...

Jennifer wahała się przez chwilę, po czym wycierając czoło grzbietem ręki, rzekła: - Lepiej niech pani wejdzie. Nie chciałabym, żeby Hilda widziała, że z panią rozmawiam.

Usiadły w cieniu krzaka bzu, w ogrodzie z tyłu domu i Jennifer powiedziała Chris, jak ojciec Simona się zabił.

- Włożył rurkę do rury wydechowej i wetknął ją do samochodu przez okno, zamknął drzwi od garażu i było już po wszystkim. Jak już pani wcześniej mówiłam, zniknął zaledwie pół godziny wcześniej, nim pani Webster zaczęła go szukać. Oczywiście starali się go odratować, ale było za późno.

- Dlaczego to zrobił? - spytała Chris.

Przez chwilę Jennifer patrzyła tępo, po czym zaczęła rozumieć.

- A! - powiedziała. - Chodzi pani o list pożegnalny? - Zamilkła, zastanawiając się. - Był jeden. Zaadresowany do syna. Chyba... No, mówiono że było w nim jedno słowo.

- Jakie? - spytał Chris, pozwalając Jennifer zawiesić dramatycznie głos, podejrzewając, że Hilda nie dopuszczała do podobnych sytuacji.

- Było w nim tylko napisane „Przepraszam”.

23

Chris przesłuchiwała wiadomości z automatycznej sekretarki. Jaką wartość mają przeprosiny, zastanawiała się? Co to „przepraszam” miało znaczyć? Kogo przepraszał? Swojego syna? Może żałował siebie samego? I za co? Wszystkie przeprosiny jej ojca na nic się nie zdały - każde były kolejną krzywdą dla młodej osoby w życiu pełnym krzywd, zarówno psychicznych i fizycznych, bo on naprawdę żałował tylko tego, jak się czuł, kiedy znowu ją uderzył albo zbił. A pomimo to ona cały czas potrzebowała jego akceptacji i uczucia, wręcz były one jej niezbędne. A uczuciem, jakimś skrępowanym, dziwacznym przejawem miłości obdarzał ją niechętnie, co nie dziwiło u człowieka, który nie wahał się okazywać swojego braku akceptacji w czysto fizyczny sposób. Akceptacją ojciec obdarowywał ją rzadko i zawsze tymczasowo, zawsze za coś, zawsze akceptację wydzielał, jakby miłość była wyczerpywalnym źródłem, z którego trzeba oszczędnie korzystać. Wrodzona ułomność duchowa jej ojca była dużo bardziej widoczna w tym, z jakim oporem i niechęcią chwalił jej dziecięce sukcesy, niż w tym, że używał przemocy.

Głos Alana Jamesona na kasecie wyrwał Chris z zamyślenia. Powiedział jej, że miała rację co do Dixona: w jego mieszkaniu znaleźli dokumenty, dane elektroniczne, fałszywe dokumenty i sprzęt do podsłuchu. Skończył, mówiąc: „Mam... Mam nadzieję, że wszystko w porządku”.

- Tak naprawdę - rzuciła w nagłą ciszę - to czuję się fatalnie.

Wyglądało, jakby podjął decyzję: „Zadzwoń później”.

Chris westchnęła. Rozważała telefon do Marii albo nawet do Hugh - miała numer kontaktowy - ale rozmyśliła się, przyznając w duchu, że chciała czuć się fatalnie. Mogła zostać z Marią i Pete, Nicky też ją zapraszała, ale odmówiła im, wybierając pogrążanie się w depresyjnym nastroju.

Ted też zostawił zdanie: „Dryndnij, jak byś chciała pogadać”. Koleżeńskie, niezobowiązujące, żeby zamaskować jego prawdziwe uczucia.

Nie było wiadomości od Simona. Wyłączyła sekretarkę i zaczynała już analizować, dlaczego była taka rozczarowana tym, że się nie odezwał, kiedy nagle zadzwonił telefon.

Na pewno nie chcesz? - spytał Simon. - Na pewno nie chcesz powiedzieć sobie do

diabła z tym wszystkim i pójść na spacer, do kina albo do miejscowego pubu się zalać?

Zgodził się przyjść pomimo to, że było późno i gorąco i prawie ją przekonał, że nie wyobraża sobie przyjemniejszego czwartkowego wieczoru, niż ślęcząc z pracoholiczką w depresji nad przepisywaniem notatek do książki, która była równie zabawna, jak wszystkie wywołujące myśli samobójcze piosenki miłosne Leonarda Cohena.

- Jeśli nie zajmę się czymś konstruktywnym, to chyba oszaleję - powiedziała Chris.

Simon zmarszczył czoło, po czym, wcielając się jakby we Freuda, rzekł:

- Rozumiem, że to ma być przykład taktyki wypierania, tak?

Chris uśmiechnęła się.

- Tego, albo strategii unikania, albo zaprzeczenia, jak wolisz... Poczula, że patrzy na nią z ukosa, tak jak wtedy, kiedy uczyła go tyle lat temu, i podniosła wzrok. Zmarszczki na czole utworzyły między jego prawie prostymi brwiami dwie grube bruzdy podobne do znaku cudzysłowia. Twarz Simona zawsze była najbardziej wyrazista i niekontrolowana, kiedy się głęboko zamyślał. Zawsze tak było, nawet kiedy, jako młody chłopiec, usiłował ukryć swój entuzjazm, swoją radość, swój śmiech, ale przede wszystkim ból pod nieruchomą, kamienną maską, którą zakrywał twarz.

- Unikania? - powiedział. - Zaprzeczania? - powtórzył to słowo, ale szeptem. - Zaprzeczenie miłości do niego? Unikanie przyznania się do tego, tak?

Chris zagapiła się. Czy wiedział, że dużo myśli o ojcu? Coś w jego twarzy powstrzymało ją przed powiedzeniem mu, żeby przestał się zajmować uprawianiem amatorskiej psychologii i zajął się swoimi sprawami. Jak on się czuł, kiedy jego ojciec się zabił? Dlaczego nie był na pogrzebie? Czy z tych samych powodów, dla których ona też najpierw zdecydowała się nie iść na pogrzeb swojego? Chciała wiedzieć.

Westchnęła.

- Prawda jest taka, Simon, że ja nie wiem, co ja czuję.

- Tak. - W tym słowie było zawarte prawdziwe zrozumienie. - Problem w tym, że nie wiadomo, co się powinno czuć - wymamrotał Simon.

Wpatrywał się przez otwarte drzwi balkonowe w ogród. Niebo straciło intensywny niebieski kolor, a słońce stało nisko nad polami. Spowiło złotem fuksję, której kwiaty płonęły czerwienią i wyglądały jak krople krwi zawieszane na końcach gałęzi. Jego twarz, bladą i poważną, oświetlały te same ciepłe promienie słoneczne. Uderzył ją wspaniały zarys jego kości policzkowych oraz gęstość i długość jego rzęs. Przypomnił jej obraz Caravaggia.

- Chodzi mi o to - zmarszczył się jeszcze bardziej - że wszyscy oczekują, że będziesz zmartwiony, kiedy twój tatuś umrze. Ale to nie jest takie proste, prawda? Nienawidziłeś go,

ale on nie żyje i to wszystko zmienia. Nagle zmieniają się reguły gry i jesteś zagubiony. Czy można go ciągle nienawidzić, skoro już nie żyje? Czy to straszny grzech? A może jego grzech był cięższy i to obmywa mnie z mojego? Czy śmierć przynosi rozgrzeszenie? - Chyba nie zauważył, że zaczął mówić w pierwszej osobie. - Pamiętam, że przede wszystkim, bardziej niż cokolwiek innego, czułem ulgę. - Chris poruszyła się nieswojo, ale nie przerywała. - Kiedy żył, był dla mnie czającym się wszędzie złym duchem. Poczulem to pewnego dnia, kiedy się nie kontrolowałem, a on tam był, i wszystko się zawaliło, wszystko, co zbudowałem, wszystko, nad czym pracowałem i wiedziałem, że będzie tak, jak zawsze było. Nic się nie zmieni. - Spojrzał na nią, starając się za wszelką cenę zostać zrozumianym. - Wiedziałem, że nie może mnie zranić fizycznie, ale. - Przerwał i zamknął oczy. Wyglądał, jakby przez chwilę wstrzymywał oddech. - Ulżyło mi, że go nigdy więcej nie zobaczę, a zostało mi tylko... - Wzdrygnął się.

- Poczucie winy - powiedziała Chris.

- Tak. Poczucie winy. -

Uśmiechnął się.

- Nie ma nic równie przemożnego, jak katolickie poczucie winy, prawda, Chris?

- Czy miałeś tylko poczucie winy, bo ulżyło ci, że umarł?

- A z jakiego innego powodu? - spytał Simon.

- Czy...? - Trudno jej było podnieść tę kwestię, nawet na samą myśl o tym czuła gęsią skórę, ale musiała w końcu rozpracować swoje emocje, a czuła, że Simon jest najbardziej odpowiednią osobą, żeby jej w tym pomóc.

- Czy to było - po części - dlatego, że... - Bała się, że Simon nie zrozumie tego, co chce powiedzieć, nie będzie w stanie zrozumieć jej uczuć. - Dlatego, że ciągle go potrzebowałeś i strasznie za nim tęskniłeś? No, może jeśli nie za nim, to przynajmniej za jakimś wyidealizowanym obrazem ojca?

Zaległa cisza, bruzdy na czole Simona stały się płytsze, jego czoło wygładziło się i rozjaśniło.

- Pokrętnie, prawda? - powiedział. - Po tych wszystkich, po wszystkim, co zrobił...

Po wszystkim, co zrobił. Wtedy Chris sobie uświadomiła, że Simon nie mógł wiedzieć, że ona zna prawdę o śmierci jego ojca. Simon nigdy wcześniej nawet nie zrobił do niej aluzji. Więc dlaczego teraz mówił jej to wszystko? Simon patrzył na nią wyczekująco, a ona czuła się zmuszona odpowiedzieć, postąpić według przygotowanego scenariusza.

- Za akceptację takich ludzi jak twój i mój ojciec trzeba drogo zapłacić - powiedziała Chris. Zabrzmiało to jak wymuszony, książkowy komunał, ale wyglądało na to, że Simonowi

wystarczało samo jej zainteresowanie, chęć wysłuchania go.

Pokiwał głową.

- Mama nigdy tego nie rozumiała. Pewnie dlatego mnie obwinia. - Posłał jej krótkie, intensywne spojrzenie. - Myśli, że zabił się, bo się mnie wstydził. Myśli, że to moja wina.

- Wierzysz w to? Że to twoja wina, Simon?

Słaby uśmiech przemknął po jego twarzy.

- Jego też dręczyło poczucie winy - odparł. - To niebezpieczne uczucie, prawda, Chris?

- Prawie równie destrukcyjne jak nienawiść - rzekła, przyglądając mu się bacznie.

- Pamiętasz jak się czułaś po śmierci twojej matki? - spytał. - Mam na myśli w domu.

Chris milczała. Pomyślała o pospiesznym praniu i prasowaniu po szkole. Przygotowywaniu ojcu obiadu na szóstą. Zamykaniu się w swoim pokoju, jak tylko pozwolił jej odejść. Każdego wieczora o dziesiątej, długo przed tym, nim zaczynał wymiotować, przesuwiała starą, ciężką szafę po cienkim, zielonym dywanie i blokowała nią drzwi. Siusiała do wiadra, żeby nie musieć ryzykować wychodzenia z pokoju, kiedy wróci. A jednej nocy, kiedy miała zbyt wysoką gorączkę i była zbyt słaba, żeby przesunąć szafę... O tak, pamiętała, aż za dobrze. Simon przyglądał się uważnie jej twarzy przez chwilę, po czym pokiwał głową, jakby to powiedziała na głos.

- Jego duże, spocone łapska na tobie. Jego śmierzący oddech. - Twarz Simona wykrzywiło obrzydzenie.

- O kim ty teraz mówisz, Simon? - spytała.

Gwałtownie podniósł głowę i spojrzał na nią. Jego oddech był ciężki i nieregularny.

- Założę się, że cieszyłaś się, kiedy cię zbił, bo wtedy wszyscy wiedzieli.

Chris musnęła delikatną, białą bliznę nad brwiami. Była przerażona, zawstydzona i zagubiona. Ale wiedziała też, w jakiejś części swojej osobowości, która wymykała się analizie, że skoro zranił ją w widocznym miejscu, nie będzie musiała do niego wracać. Nie naskarżyła na niego. Nie złamała obietnicy danej matce i ojcu. On sam to zrobił. Nie mógł jej winić - nie zdradziła żadnych tajemnic i to było dla niej w jakiś sposób ważne.

- Tak - powiedziała. - Wtedy chyba tego tak nie odczuwałam, ale w jakiś sposób byłam zadowolona.

- Miało się ochotę go zabić. Za to, że sprawiał, że tak się czułaś...

Chris zamknęła oczy, bo przypomniało jej się bardzo plastyczne wspomnienie; obraz noża podnoszonego w górę, kiedy się nad nią schylił, powiew zapachu piwa na jej twarzy, duszące ciepło jego śmierzącego oddechu, którego zapach już sam w sobie był męczarnią.

Simon krzyknął krótko ściśniętym głosem, jakby widział to samo, i zaczął chodzić po

pokoju.

- To, co on zrobił, to nie twoja wina - powiedziała Chris. - Ufałeś ojcu, tak jak każde dziecko musi i powinno ufać rodzicowi. Ale ty go nie obchodziłeś. On troszczył się tylko o siebie. Więc możesz go nienawidzić, Simon - tak jest bezpiecznie, bo on już nie może cię więcej zranić.

Simon zatrzymał się gwałtownie i spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- To przez niego jestem, jaki jestem - powiedział. - On mnie rani non stop, w każdej minucie mojego życia.

Przeszedł do dużego pokoju i zaczął przyglądać się, jak przed domem zapada zmrok. Po chwili, Chris przyłączyła się do niego.

- Powinieneś z kimś o tym porozmawiać - powiedziała.

Roześmiał się.

- Już trochę na to za późno!

- Nigdy nie jest za późno.

Zajrzał badawczo jej w oczy, chcąc, żeby jej odpowiedź była zupełnie szczerą.

- A z kim ty rozmawiałaś, Chris?

- Przede wszystkim z Marią.

- To było wtedy, a teraz?

Chris zmarszczyła czoło i odwróciła wzrok.

- Nie ma nic do...

- Najpierw dom dziecka, potem Dorothy, teraz Ann. - Znowu poczuła, że bacznie przygląda się jej twarzy. - Chris... - Przerwał. - Wiesz, w poniedziałek, kiedy Ann...

Chris patrzyła przed siebie nic nie widząc. Kiedy Ann zniknęła, spędziła wieczór sama rozpakowując rzeczy po przeprowadzce. Nie mógł myśleć, że ona...

- Nie potrzebuję spowiednika, Simon - powiedziała rozwścieczona. Simon uśmiechnął się zmieszany. Wyraźnie mu ulżyło, cały czas szukał oczyma jej oczu, ale ona unikała kontaktu wzrokowego. Podszedł do półek z książkami.

- Widzisz to? - Podniósł plastikową makietę Statuy Wolności, przyklejoną krzywo do marmurowej podstawki. Była lekko przechylona. - Kiedy zobaczyłem ją na półce któregoś dnia, to się rozpląkałem.

Chris uśmiechnęła się. Simon kupił ją dla niej, kiedy pojechał kiedyś z rodzicami na wakacje do Stanów. Miał jedenaście lat.

- Znalazłam ją, jak się rozpakowywałam - wyjaśniła. - Hugh cały czas marudził, kiedy była na widoku w mieszkaniu, więc musiałam ją schować.

- To tania tandeta - powiedział, nagle zawstydzony.
- Wtedy tak nie myślałeś. Myślałeś, że jest wspaniała.
- A ty zachowałeś ją przez tyle lat. - Wydawał się zdziwiony, że komukolwiek mogło zależeć, żeby trzymać pamiątkę, przypominającą o nim.
- Nigdy nie widziałam w tobie tyle twojej prawdziwej natury, co wtedy, kiedy dałeś mi ten prezent - ciągnęła. - Nigdy nie widziałam ciebie takiego podnieconego, takiego... pełnego życia.

Z trudem odwrócił wzrok od makiety trzymanej w rękach i spojrzał ostrożnie w jej oczy, gotowy cofnąć spojrzenie, jeśliby zobaczył w nich kpinę. Jej oczy zawsze go fascynowały; jej twarz mogła być maską pod pełną kontrolą, jak jego, ale oczy zawsze zdradzały jej prawdziwe uczucia gniewu albo rozbawienia. Nigdy nie widział w tych oczach strachu, strachu przed chłopcami, który był tak wyraźnie widoczny u innych nowych, młodych nauczycieli, pomimo ich krzyków, popisów i wybuchów gniewu. Ale widział w jej oczach, przy jednej z tych rzadkich okazji, kiedy miał zaszczyt patrzeć z wzajemnością w jej oczy, coś starego, może tak starego, jak on sam, co mówiło mu, że mogła przejrzeć jego serce i duszę, przejrzeć jego kamienną maskę i że nie gardziła tym, co pod nią widziała, ale rozumiała to, co można było zrozumieć tylko mając podobne doświadczenia i kiedy sądził, że wzdrygnie się z obrzydzenia przed nim, było jej go żal. Nie było to współczucie, które w połowie wypływa z odrazy, które łyzy i odrzuca tego, do kogo jest skierowane, ale smutek biorący się z empatii, ze świadomości, co czuje druga osoba. Wtedy chciał wszystko jej powiedzieć, ale jego drugie oblicze na to nie pozwalało, więc trwała między nimi cisza.

- Nie poszedłem na pogrzeb. Miałem taką możliwość, ale nie chciałem - zaczął w końcu. - Teraz żałuję. Trudno mi teraz uwierzyć, kiedy nie widziałem, jak wkładają drania do ziemi. - To była kolejna rzecz, którą rozumiała, ale czuł potrzebę powiedzenia tego na głos. Potrzebował wyrzucić z siebie wszystkie tajemnice, które tak długo w sobie dusił. - Myślałem, że będę się czuł bezpieczniej, kiedy umrze, ale czasami mam wrażenie, że on ciągle gdzieś się kręci. Groźba cały czas nade mną wisi. Nie jestem naprawdę bezpieczny. - Uśmiechnął się przeprasząco.

- Jak pomyśleć racjonalnie, to nie można w to wierzyć.

- Nie. Jest tak, jak powiedziałem, wiem, że może mi naprawdę wyrządzić krzywdę, bo on jest jak jakaś choroba w moim organizmie, uśpiona, czekająca na aktywację.

- Tak się czujesz, bo tak naprawdę jest - powiedziała Chris. - On jest w twoim organizmie, zjadając twoją podświadomość. Boisz się, bo bardzo dużo z tego, co cię zraniło, jest w tobie zamknięte i obawiasz się, że może się wydostać.

Mówiła jak psycholog i nagle się na nią zezłościł.

- Chcesz mi powiedzieć, że powinienem stawić czoła swoim demonom, pani doktor?

- Nie żartuj sobie, Simon. Mówię poważnie.

- A ty stawiałaś czoła swoim? Powiedziałaś komuś, co ci robił?

- Nie. - Kłamanie nie miało sensu.

- Nawet Wtedy, kiedy znalazłaś się przez niego w szpitalu. - To było stwierdzenie, a nie pytanie.

Chris uśmiechnęła się i znowu jej palec przejechał po nierównej bliźnie nad jej brwiami.

- Nie było takiej potrzeby - rzekła.

- Ale nie powiedziałaś. - Była w jego głosie natarczywość; domagał się zrozumienia.

- Nie - odparła. - Nie pisałam nikomu ani słówka. Ani wtedy, ani długo potem.

- W takim razie musisz rozumieć, dlaczego ja nikomu nie powiedziałem.

Spojrzała na niego zamyślona.

- Tak, chyba rzeczywiście rozumiem. Wyglądał, jakby mu bardzo ulżyło.

- Musiałem zrobić coś, żeby od niego uciec. Nie mogłem już dłużej wytrzymać. - Jego usta wykrzywiła odraza. - Ale nie chciałem, żeby ludzie wiedzieli. Rozumiesz?

Oczy Simona wypełniły się łzami i Chris ujrzała w nim małego chłopca, którym kiedyś był, rozpaczliwie potrzebującego miłości i pomocy, ale nie będącego w stanie poprosić o żadne z nich.

- To dlatego wzniecałeś pożary?

Wzdrygnął się, wycierając dłonią łzę, która skapnęła mu na policzek.

- Nie wiem, co myślałem. Podejrzewam, że chciałem tylko, żeby ludzie zauważyli, ale nie mogłem im powiedzieć wprost... co on... - Urwał. - Kiedy zrozumiałem, że dostanę wyrok, pomyślałem, że przynajmniej ja decyduję, że idę siedzieć, ale jako podpalacz. Nie jako wykorzystywane seksualnie dziecko. - Zamilkł, zdziwiony przez chwilę własnym wyznaniem. Odstawił statuetkę na półkę, marszcząc brwi z koncentracji, po czym ciągnął dalej, z trudem: - Myślałem, że to coś zmieni - iść siedzieć z reputacją. Oni i tak wiedzieli, co było w mojej kartotece, inni chłopcy - zawsze wiedzą - i w tym się nie pomyliłem. Ale wiedzieli o mnie, patrząc na mnie. To było tak, jak ty na mnie patrzyłaś. Widzieli mnie, wiedzieli, kim jestem.

- Może widzimy w innych to, co sami czujemy - zasugerowała Chris. Chodził wokół pokoju, dotykając ścian czubkami palców, ruszając ozdoby i obrazy, kiedy mijał półki.

- Nie da się tego ukryć - wyszeptał ledwo słyszalnym głosem. - Nie przed chłopakami,

nie przed starszymi chłopakami... Oni byli tak samo źli, jak on. - Zamilkł, a Chris czuła, jak rośnie napięcie, po czym wybuchnął, uderzając w ścianę. - Oni, kurwa, wiedzieli! - krzyknął. Chris jęknęła i zamrugła oczyma, widząc z jaką siłą uderzył. Patrzyła, jak chodzi po pokoju w tę i z powrotem, trzymając się za uszkodzoną rękę. Cztery jaskrawe, czerwone plamki pojawiły się na jego kostkach. Cały czas mamrotał pod nosem: - Wiedzieli. Kurwa, wiedzieli.

- Nie powinienesie siebie winić, Simon.

- A kogo mam winić? - spytał. - Powinienem komuś powiedzieć, tak? Każde normalne dziecko by powiedziało.

- Nie wiedziałeś, co jest normalne, i nie wiedziałeś, co powinno budzić twoje wątpliwości i sprzeciw, Simon. Miałaś rację, mówiąc o mnie. Nie powiedziałam nikomu o moim ojcu, a byłam starsza od ciebie. Powinnam wiedzieć lepiej. Ranił mi twarz, a i tak nie powiedziałam. Ale to normalne - u krzywdzonych dzieci - to normalne.

- Jak się czułaś, kiedy go zobaczyłaś w kostnicy? - Simon był gdzieś indziej. Nie słuchał. - Musiałaś się czuć wspaniale, prawda? Wiedziałaś, że nie będziesz już musiała się dłużej nim zamartwiać. Wiedziałaś, że już nie będzie mógł cię upokarzać. Co?... - uśmiechnął się, ale gorzko i okrutnie. - Co jest największym możliwym upokorzeniem, jeśli nie śmierć?

24

Frank Garrett był z siebie zadowolony. Tego popołudnia wykład mu się udał, sądząc po ilości śmiechów, a Frank był człowiekiem, dla którego miarą sukcesu była częstotliwość i głośność śmiechu. Był koneserem; lubił zaczynać od wywołania grzecznych półuśmiezków i prowadzić do wybuchu spontanicznej wesołości - zdrowego, wstrząsającego całym ciałem śmiechu, rozbudowując w starannie wymierzonym czasie kolejne fazy: poprzez chichot, rechot do szczerego, głośnego wycia. I wiedział, że nie należy popędzać słuchaczy. Nie mógł się spodziewać, że odzianych w nieskazitelnie białe koszule sztywniaków, z którymi przeważnie miał do czynienia, z posępnej powagi, w ciągu zaledwie kilku minut doprowadzi do wesołości. To było dobre dla doświadczonych komików, cieszących się dużym powodzeniem i mających wypracowane gagi, a chociaż lubił rozśmieszać ludzi, musiał też przekazać poważną wiedzę, uwzględniając to, że większość z tych ludzi uczyła przez pół życia, wierząc w banialuki z podręczników i wbijane im do głowy przez psychologów. Dla nich był to rodzaj religii, więc odśpiewywali codzienną mantrę programów nauczania, żeby broń Boże nie ponieść porażki, bo lichy nie śpi. Musiał ulżyć ich trudom. Wykazywał im głupotę filozofii audiowizualnych programów nauczania, prowokując ich, żeby się z tego śmiali.

Zatrzymał się na schodach college'u, uśmiechając się lekko do siebie, po czym wyszedł. Wieczór był przyjemnie ciepły; jego ulubiona pora dnia. Zawiesił marynarkę na palcu i przerzucił ją przez ramię, zdając sobie sprawę, jakie to robi wrażenie, gdyby ktoś na niego patrzył. Nie, żeby oczekiwał, że będą na niego patrzeć: nie był przewrażliwionym na swoim punkcie imbecylem, ale nigdy nic nie wiadomo, a Frank lubił robić wrażenie. Przeszedł przez ciąg zatoczek, pooddzielanych od siebie pochyłymi grządkami irg, róż i bratków. Wszystkie były zapchane samochodami, kiedy przyjechał, i musiał zaparkować na drugim końcu parkingu, między budynkiem głównym i skrzydłem. Teraz w większości były już puste.

Lubił rozśmieszać ludzi. Dzieci, nauczycieli, rodziców, studentów, nieważne kogo. Nic nie dawało się porównać z uczuciem, kiedy masz przed sobą słuchaczy i sprawiasz, że się śmieją. Spojrzał na siebie, patrząc chyłkiem na swoje odbicie w błyszczących drzwiach przeciwpożarowych budynku muzycznego. Wyglądał na zadbanego, może nie był chudy, ale

na pewno nie gruby, jego koszula przylegała ściśle w pasie, ale nie opinała go, starannie dobrany krawat był ciągle nienagannie zawiązany. Krótkie, ciemne włosy były zaczesane do tyłu. Inteligentna twarz, pomyślał.

Ale dla obserwatora było w nim coś niejasnego, trzymana na wodzach niepewność kryjąca się pod uśmiechem samozadowolenia, który zbyt często gościł na jego twarzy. Szedł niespiesznie. Może wstąpi na drinka po drodze do domu, a potem na kolację do swojej ulubionej restauracji. Zarobił na to.

Człowiek stojący w cieniu zauważył, jak Garrett klepie się po brzuchu, kiedy mijał szklane drzwi jednego z budynków. Przyglądał się, sam będąc niewidocznym, zauważył, że mężczyzna idąc, lekko się kołysze. W jego sposobie chodzenia można było dostrzec jakąś butę, która mogła drażnić i była nieco śmieszna. Dziwne, że przedtem tego nie zauważył. Jego pewność siebie i samozadowolenie było takie natrętne, a on sam taki niedoświadczony w rozpoznawaniu defensywnych manieryzmów u dorosłych, że brał tę pozę za prawdziwą. I zawsze potrafił rozśmieszyć. Śmiać się można z czegoś albo z kogoś, a Garrett nie przebierał w doborze tematów do żartów - nie miało dla niego znaczenia, kogo rani, liczyło się tylko wywołanie pożądanej reakcji.

Garrett nie mógł przestać rozkoszować się reakcją, jaką wywołał wśród słuchaczy na dzisiejszym wykładzie. To właśnie aktorzy nazywają jazdą, powiedział sobie. Oczywiście ze słuchaczkami szło łatwiej, chętniej przyjmowały to, że do tej pory się myliły, były bardziej skore do zmiany punktu widzenia, bardziej przyzwyczajone do uśmiechania się i śmiania z kawałów innych ludzi. Chętnie chłoneły jego dzisiejszy wykład. Kiedy doszedł do fragmentu mówiącego o przewadze praktyki nad wglądem psychologicznym, widział głowy kiwające ze zrozumieniem. Kiedy zapytał ich, z rękoma uniesionymi w górę, czy jakiś psycholog powiedział im kiedykolwiek coś, czego by nie wiedzieli, po sali przebiegł szum aprobaty, dzielenia wspólnego doświadczenia, empatyczny przyływ uczuć; słuchacze tworzyli niesamowitą atmosferę, czując, że biorą udział w czymś niezwykle, oczyszczającym, nie bali się spontanicznie okazywać swoich uczuć i przypominali wiernych na jakiejś ceremonii religijnej: cichy, zbiorowy chichot podniósł się gdzieś i ludzie wymieniali uśmiechy. Niektórzy nawet wykrzykiwali odpowiedzi. Więc kiedy dotarł do najważniejszego przesłania, przesłania, któremu zawdzięczał sprzedaż tysięcy egzemplarzy swojej książki w całym kraju, byli gotowi go wysłuchać. „Wy jesteście ekspertami - powiedział im. - Wy możecie dokonywać zmian. Nie potrzebujecie zbyt dużo zarabiającego i nie mającego kontaktu z rzeczywistością psychologa, żeby wam mówić, co jest najlepsze dla waszego dziecka. Nie potrzeba doktoratu, żeby wiedzieć, że nasze dzieci najbardziej potrzebują dobrego przykładu,

cały czas!" Roześmiali się i wybuchł aplauz, ciepły, przyjazny aplauz i wtedy już wiedział, że zarobi dzisiejszego wieczora dużo pieniędzy.

Przyjechał do domu o ósmej trzydzięci, po smacznej kolacji i wypiciu dawki alkoholu minimalnie przekraczającej dopuszczalny limit. Co tam - restauracja była tylko pięć minut jazdy samochodem od domu, a czasem można sobie wziąć na wstrzymanie ze zbyt drobiazgowym przestrzeganiem przepisów. Co to jest pięciominutowa przejażdżka po jakimś drinku czy dwóch?

Wysiadł z samochodu przyjemnie podchmielony. Nie ma potrzeby zamykać go w garażu. To nie taka dzielnica. Wieczorne powietrze było przepełnione zapachem skoszonej trawy i dymem z grilla. U sąsiadów, sądząc po zapachu i wybuchach śmiechu niosących się w ciepłym powietrzu, zabawa jeszcze się nie skończyła.

Kawałek dalej na tej samej ulicy Dave Lilley podlewał swój ogród. Frank pomachał mu, czując do niego sympatię, chociaż koty Dave'a załatwiały się na jego skalniaku, rozsiewając swój przykry zapach po jego iglakach. Ale dzisiejszy wieczór nie sprzyjał takiej drobiazgowości. Sprzedał czterdzieści siedem egzemplarzy swojej książki publiczności liczącej siedemdziesiąt osób, z których każda za samo wejście, żeby go wysłuchać, zapłaciła sześć funtów, więc nawet po odliczeniu kosztów wynajęcia sali i biorąc pod uwagę nędzny procent, który wydawcy mu wyznaczili od każdej sprzedanej książki, i tak na czysto zarobił czterysta funtów. Nieźle jak na godzinę pracy. Siedem funtów na minutę. Prawie tak dobrze płatne jak praca psychoanalityków, którzy byli tak przekonujący, że potrafili wmówić ludziom, że nie mogą się bez nich obyć! Ale nie pozwoli, żeby takie myśli zepsuły jego przyjemny nastrój. Swoją drogą, poruszenie kwestii tych naciągaczy może być dobrym tematem na wykład. Zapamiętał, żeby się tym zająć.

Wszedł do domu, trafiając kluczem w zamek dopiero za drugim podejściem. Zanucił wesoło pod nosem. Nie chciało mu się jeszcze spać, więc przebrał się w krótkie spodnie i polo, otworzył kilka okien, po czym nalał sobie dżinu z tonikiem - z mnóstwem lodu - wyszedł na zewnątrz, podszedł do leżaka i klapnął na nim. Oparł szklanekę na brzuchu, tylko nieco wzdętym po czterodaniowej kolacji, którą właśnie zjadł (uszczuplając swój zysk o pięćdziesiąt pięć funtów i dziewięćdziesiąt dwa pensy, łącznie z napiwkami), a piski i śmiech u sąsiadów przyjemnie współgrały ze śpiewem kosa, który oznaczał swoje terytorium z anteny telewizyjnej znajdującej się na jego domu. Frank był w bardzo łagodnym nastroju. Zaczął powoli zapadać w przyjemny sen, w jaki wplątała się młoda nauczycielka, która nie szczędziła pochwał na temat jego wykładu, kiedy zadzwonił dzwonek.

- Pan Garrett?

Frank uśmiechnął się wesoło do młodego mężczyzny stojącego przy domu.

- Tak? - spytał.

- Z...Zastanawiałem się... - dukał młody mężczyzna. - Czy mógłby pan... - Zanurzył rękę w reklamówce. - Czy mógłby pan to podpisać? - Podał Frankowi egzemplarz jego książki.

- Cóż - rzucił Frank, nieco zdziwiony.

- Byłem na pana wykładzie i uważam, że był wyśmienity, ale już wcześniej kupiłem książkę, a i tak była taka kolejka... I nie wiedziałem, że mieszkamy na tej samej ulicy. Właściwie jesteście sąsiadami! Kiedy zobaczyłem, jak pan przyjechał kilka minut temu, od razu pana rozpoznałem. Nie wiem dlaczego nie skojarzyłem pana ze zdjęciem na obwolucie, ale cóż, po prostu człowiek nie spodziewa się, że jakaś sława może mieszkać na tej samej ulicy. - Nagle zamilkł, wyraźnie nie wiedząc, co jeszcze mógłby powiedzieć, i spojrzał z nadzieją na Franka.

Frank spojrzał na książkę, ustawiając ją pod takim kątem, że złote litery jego nazwiska błyszcząły w świetle zachodzącego słońca.

- Bardzo pana przepraszam - powiedział młody człowiek, wyraźnie nagle uświadamiając sobie, że narzuca się zupełnie obcemu mężczyźnie. - Nie powinienem panu zawracać głowy. Musi być pan wyczerpany po tym wszystkim.

Frank podniósł rękę, żeby powstrzymać kolejną falę słowotoku.

- Wystarczy! - powiedział, śmiejąc się. - Podpiszę ją. - Uśmiechnął się do siebie, dotykając palcami wybrzuszonych liter tytułu I ty możesz być ekspertem - litery podtytułu Jak zatroszczyć się o wykształcenie twojego dziecka wyglądałyby lepiej w nieco bardziej stonowanym odcieniu czerwieni, ale projekt graficzny był i tak dobry. Wyciągnął rękę po długopis.

- Zapomniałem wziąć ze sobą długopisu. Jak pana zobaczyłem, moja reakcja była bardzo spontaniczna. Gdybym zaczął się zastanawiać, nie miałbym odwagi do pana przyjść. - Młody człowiek uśmiechnął się nieśmiało. - Przepraszam za to.

- Nie ma problemu - powiedział Frank.

Po usłyszeniu tylu pochlebstw, był skłonny do wielkoduszności. Wszedł do przedpokoju i wziął długopis ze stolika na telefon. Kiedy się odwrócił, zauważył, że młody człowiek przestąpił próg i uśmiechał się nerwowo. Frank zmarszczył czoło, widząc jego wtargnięcie, ale natychmiast zapomniał o poirytowaniu.

- Normalnie bym tego nie robił, ale bardzo podziwiam pana metodę. Odwzajemnił uśmiech, po czym podpisał się z rozmachem.

- Dla kogo mam zadedykować?

- Nie pamięta mnie pan? - Wydawał się rozczarowany, nawet przestraszony tym, że Frank go nie rozpoznał. Żalotne, naprawdę żalotne, ale jednocześnie rozbijające.

Frank rzucił mu długie, baczne spojrzenie. Wcześniej wyjął szkła kontaktowe, więc rysy twarzy mężczyzny były nieco rozmyte.

- Nazywam się...

- Nie! Niech pan nie mówi - powstrzymał go Frank. - Nigdy nie zapomnę twarzy. - Zastanowił się. - Może szkolenie nauczycieli? - Młody człowiek uśmiechnął się i potrząsnął głową. - Konferencja w Londynie? Nie? W taki razie konferencja Wschód-Zachód? - Rozmazane jasne włosy okalające pociągłą twarz wydały mu się nagle znajome i Frank miał wrażenie, że już go rozpoznaje. - Do diabła! Nie uczyłem pana, prawda? W starych, dobrych czasach?

Kiedy jego admirator się uśmiechnął, błysnęły jego białe zęby.

- Nazy...

- Nie! Niech pan chwilę poczeka.

Ale jego gość zwrócił się do niego profilem i dotknął kciukiem jego ramienia. - Muszę wracać. Moja dziewczyna...

- Dziewczyny, matki siostry - one są po to, żeby się martwić - powiedział Frank. - To ich praca. A naszą pracą jest dawać im pracę.

Ta uwaga sprowokowała śmiech.

- Ciągłe ten sam stary piernik Garrett! - powiedział młody mężczyzna.

Frank tak bardzo koncentrował się na tym, co jest w tej twarzy znajomego, że nawet nie zauważył, że go obrażono.

- Wejdz i napij się ze mną - powiedział. - Przypomni mi się. Zawsze się przypomina.

Przypomniało się. Dwadzieścia minut i kilka wypowiedzi później, kiedy siedzieli w ogrodzie, sącząc drinki. Mieszanka okrzyków, rozmów i zdrowego śmiechu z garden party u sąsiadów zagłuszyła jeden krótki krzyk.

25

Alan? Mówi Etherington. - Dopiero po chwili zastanowienia skojarzył nazwisko znajomego patologa. Etherington ciągnął dalej, nieświadomy zmieszania Jamesona: - Chyba mamy kolejnego. Jameson zaniemówił.

- Jameson?

- Gdzie?

- Pomyślałem, że cię to zainteresuje...

Jameson dotarł pod adres w południowym Liverpoolu dwadzieścia minut później. Na długiej, szerokiej ulicy wysadzonej drzewami nie było dzieci, ale grupki dorosłych zbierały się w dyskretnej odległości od domu Garretta. Teraz przyglądali się jego przybyciu z nieukrywaną ciekawością. Przysłano policjantkę, żeby nie wpuszczała ciekawskich. Odsunęła się, kiedy zbliżył się Jameson.

- Sierżant Foster przyjechał kilka minut temu, sir - powiedziała mu.

Jameson pokiwał głową w podziękowaniu i wszedł do środka. Sam dom wydawał się pusty, ale słyszał rozmawiającego Etheringtona, sądząc po odgłosach, w ogrodzie. Poszedł w kierunku, z którego dobiegał głos patologa, przeszedł przez długi przedpokój i przestronną i raczej zagraconą jadalnię. Oba końce wąskiego, dębowego stołu zdobiły gotyckie świeczniki z zielonkavo-czarnego metalu. Z jednej strony stołu leżał starannie złożony kombinezon. Drzwi na patio były otwarte.

- O, Alan! - wykrzyknął Etherington, widząc go w drzwiach. - Załóż kombinezon i chodź tutaj. Chcę, żebyś to zobaczył.

Jameson nie był pewien, czy chciał to zobaczyć, ale zastosował się niechętnie do polecenia i wyszedł do ogrodu, gdzie Etherington z ekipą, Bob Foster i detektyw konstabl Nolan stali w półokręgu nad leżakiem, na którym leżało rozciągnięte ciało. Jameson najpierw zobaczył czubek jego głowy. Musiał precyzyjnie się z tyłu leżaka, żeby przyłączyć się do zgromadzenia. Zauważył, uważnie przyglądając się ciału, że na metalowym stoliku stały dwa drinki, a obok nich leżała książka. Usta denata były otwarte, a zęby jego dolnej szczęki ledwo widoczne, jakby przewidując rychły rozkład. Zauważył też wymianę spojrzeń między jego pracownikami a Etheringtonem.

- Ten sam sposób działania jak u innych? - spytał, chcąc przejąć kontrolę nad sytuacją.

- Zgadza się. Bardzo podobny, jeśli nie dokładnie ten sam nóż. Podobna rana. Jak właśnie tłumaczyłem twoim kolegom, Alan, morderca mógł postąpić tak samo jak ty, przeciskając się z tyłu leżaka, wychodząc - albo wchodząc. Wyciąga nóż i dźga ofiarę, nim facet orientuje się, co się dzieje. Nie ma śladów walki - dodał.

W takim razie, jakie znaczenie miała ich wymiana spojrzeń.

- Cieszę się, że przydałem się w twoim małym przedstawieniu - powiedział Jameson, niepotrzebnie poirytowany. - Mamy nazwisko ofiary? - Skierował pytanie do Fostera, przesywając go wzrokiem, unikając patrzenia na zwłoki. Zapanował nad chęcią zamknięcia ust denatowi i w ten sposób przywrócenia mu przynajmniej części godności wśród tych wszystkich beznamiętnych, zawodowo zdystansowanych obserwatorów. Stłumił chęć z trudnością i usiłował skupić się na tym, co mówi sierżant.

- Frank Garrett. Nauczyciel, wykładowca i pisarz. Ta książka na stole jest jego.

Jameson włożył rękę do wewnętrznej kieszeni i wyciągnął długopis. Użył go do uniesienia okładki książki. Z najlepszymi życzeniami dla...

- A pod tym jego podpis - powiedział. - Wygląda na to, że morderca potrafi schlebiać, żeby dostać się tam, gdzie chce.

- Widocznie gra jest warta świeczki - zauważył Etherington charakterystycznym dla niego bezbarwnym tonem.

- Jeśli można, sir - odezwał się prawnik jego ekipy - to zapakuję ją i prześlę do laboratorium, żeby zdjęli odciski palców.

- Kieliszki też - powiedział Jameson, odsuwając się. Pozwolił okładce opaść i pokazał gestem, że już skończył. - Sprawdź, czy jego nazwisko jest w kartotece, dobrze? - poprosił Fostera. - Kto go znalazł?

- Sąsiad. Mieli garden party. Chłopak przeskoczył przez płot, żeby przynieść ringo, które im tu wpadło. Nikt nic nie słyszał.

Inspektor odwrócił się do Nolana, który, chociaż nic nie mówił, starał się sprawiać wrażenie gotowości.

- Przejdź się po sąsiadach, dobra? - powiedział. - Dowiedz się, czy ktoś coś widział.

Gdy Nolan wyszedł, Jameson ponownie zaczął oglądać prozaiczne miejsce morderstwa.

- Skoro morderca siedział tutaj, gawędząc z nim, i popijali sobie drinki, mógł zostawić po sobie jakiś ślad.

- Zdejmiemy odciski ze szklanek - padło w odpowiedzi.

- Oczywiście, ale myślę jeszcze o czymś innym. "Włosy, paznokcie, te rzeczy.

- Chce pan, żebym zorganizował dokładne przeszukanie ogrodu? - spytał Foster.

Jameson pokiwał głową. Będzie musiał to jeszcze uzgodnić z Comptonem, ale był pewien, że przydzielili mu ludzi niezbędnych do wykonania tej roboty. Poczł, że w międzyczasie musi sprawdzić, czy wszystko jest w porządku z Chris Radcliffe. Był niespokojny o nią, od telefonu Etheringtona. Wysłał Fostera, żeby sprawdził Garretta w kartotece, po czym przez telefon omówił szczegóły przeszukania ogrodu. Musiał się trochę natrudzić, żeby przekonać nadinspektora Comptona, ale w końcu ustalili, że przeszukanie rozpocznie się jutro o świcie. Policjanci zostali ustawieni z przodu i z tyłu domu i już mieli pełne ręce roboty z trzymaniem na dystans dziennikarzy i innych sępów.

Na podjeździe nie było samochodu Garretta, więc helikopter policyjny został skierowany do pomocy w jego poszukiwaniach. Jeden z sąsiadów - jak się okazało Dave Lilley - podał im opis człowieka, który nim odjechał.

Była dziesiąta trzydzieści. Chris zapaliła kilka świeczek, jej jedyne ustępstwo wobec zapadającego zmroku. Simon mył w kuchni rękę, odmówiwszy jej propozycji pomocy.

Płomienie świeczek, nieruchome w dusznym powietrzu, tworzyły opalizujące kręgi kremowego światła, zachodzące na siebie. Wystarczająco, aby nieco rozweselić, ale nie na tyle, żeby odsunąć mroczne obawy. Chris słuchała, jak Simon kręci się po kuchni. Dała mu trochę gazy i bandaż - Maria kupiła jej apteczkę, twierdząc, że na pewno się przyda, bo przecież mieszka tak na uboczu. Chris usłyszała słaby krzyk, a potem cichszy dźwięk - szloch. Człła się, jakby podsłuchiwała. Klnąc pod nosem, włączyła telewizor i skakała zirytowana po kanałach. Nie potrafiła mu do cholery pomóc - psycholog z wykształcenia i niby przyjaciółka, ale nie potrafiła ulżyć jego cierpieniu.

Regionalne wiadomości właśnie się kończyły: „...ostatni raz widziano go żywym, kiedy parkował samochód przed domem”. Reporterka stała przed nowoczesnym bliźniakiem, wykorzystując do maksimum niespodziewanie nadarzącą się gratkę. Nie co dzień miejscowej ekipie telewizyjnej trafia się taka okazja, więc Tanya Maldrake była już na swoim stanowisku.

„Policja - ciągnęła Tanya, starając się nie wyglądać na zbyt ożywioną, ale wyraźnie podniecona wiadomościami - odmawia potwierdzenia informacji, że jest to ciało Franka Garretta, pisarza i wykładowcy, specjalisty od kształcenia”.

- Frank! - powiedziała Chris, robiąc duże oczy. Pochyliła się do przodu na krześle i zwróciła się nieco w stronę drzwi kuchennych, ale nie odrywając oczu od ekranu. - Simon...

- Widzę - powiedział spokojnie.

„Parę godzin temu policja podała opis i pokazała zdjęcie człowieka, którego chce

przesłuchać w związku z tak zwanymi Miastowymi Zbrodniami. Darren Lewis - zdjęcie Lewisa pojawiło się na ekranie - był przesłuchiwany w ostatni weekend, ale zwolniono go bez postawienia zarzutów. Jeszcze nie wiadomo, czy to zabójstwo jest związane z morderstwem Dorothy Hardy i Ann Lee, chociaż niepotwierdzone doniesienia wydają się wskazywać na podobieństwa między tym a dwoma brutalnymi morderstwami na pracownikach socjalnych i emerytowanym sierżancie policji Jimie Bradburym w poniedziałek".

Chris zerknęła na bladą twarz Simona.

- Wiesz coś na ten temat, Simon, prawda? - spytała. Simon nie spojrzał na nią.

- Simon, powiedziałeś, że mi pomożesz, jak będę tego potrzebowała. Teraz proszę cię o pomoc. Trzeba go powstrzymać. Jeśli wiesz, gdzie jest Darren Lewis, musisz mi powiedzieć...

Jameson podszedł do drzwi wejściowych, zebrał się w sobie, po czym, mrużąc oczy, wyszedł i znalazł się w świetle halogenów i szumie pracujących kamer. Zewsząd posypały się krzyki, usiłując przyciągnąć jego uwagę. Reporterów nie wpuszczano do ogrodu przed domem kompetentna, młoda policjantka, ta sama, którą spotkał Jameson, kiedy przyjechał. Brama podjazdu była zamknięta, ale reporterzy napierali na nią i płot, wszędzie, gdzie tylko mogli się wcisnąć, i kierowali w jego stronę kamery i mikrofony, przekrzykując się nawzajem.

- Czy może pan potwierdzić nazwisko ofiary?

- Jaki jest związek pana Garretta z radą miejską Calderbank?

- Czy znał inne ofiary?

- Czy ma to związek z Miastowymi Zbrodniami?

Jameson spojrzał ostro w stronę zadającego to właśnie pytanie. Milton. Jameson był zmuszony podziwiać wytrzymałość tego człowieka. Wyraźnie wrócił do pracy, jak tylko zwolniono go z aresztu. Inspektor wyciągnął rękę, żeby uciszyć dziennikarzy.

- Nie mogę jeszcze dać jednoznacznej odpowiedzi na temat tożsamości ofiary i nie mogę powiedzieć, czy sprawa ma związek ze strasznymi wydarzeniami ostatnich tygodni. Ale... - wznosił głos ponad protesty. - Ale mogę państwu powiedzieć, że szukamy białego mężczyzny, w wieku dwudziestu, dwudziestu pięciu lat. Ma jasne włosy, ubrany był w dzinsy i jasną koszulkę.

Słychać było szepty „Lewis”: i widać było kiwanie głowami, a potem ktoś krzyknął:

- Czy szukacie Darrena Lewisa w związku z tym morderstwem?

- Chcemy przesłuchać pana Lewisa. Nie mogę powiedzieć nic więcej na ten temat. Mężczyzna, który był widziany, jak rozmawiał z ofiarą krótko przed śmiercią, może jeździć samochodem, jaki ukradziono z podjazdu tego domu. - Jameson mówił powoli i uważnie,

dając czas robiącym notatki. - Jest to niebieski metallic Vauxhall Astra z rejestracją I FG - to osobista rejestracja i bardzo charakterystyczna. - Przez tłum przeszła fala podniecenia, kiedy zebrani dziennikarze przyjęli to za pośrednie potwierdzenie, że ofiarą jest rzeczywiście Frank Garrett. - Jeśli ktokolwiek zobaczy ten samochód, prosimy o telefon i prosimy również, żeby pod żadnym pozorem nie próbować łapać mężczyzny nim jadącego. Może być uzbrojony i bardzo niebezpieczny...

To powinno dać im zajęcie na resztę nocy, pomyślał Jameson z niejaką satysfakcją.

Potem znowu posypały się pytania.

- Pełne oświadczenie otrzymacie państwo jutro na konferencji prasowej. Dziękuję paniom i panom.

Zignorował wszelkie pytania o dodatkowe informacje i poszedł do samochodu.

Właśnie wyjeżdżał z ulicy, kiedy zadzwonił jego telefon komórkowy. Dzwonił Compton, który oglądał wieczorne wiadomości.

- Co ty do cholery wyprawiasz? Podajesz rejestrację samochodu ofiary przed potwierdzeniem jego tożsamości? - spytał

- Sir, szukamy kogoś, kto spokojnie zapukał do drzwi Garretta i tak oczarował tego biednego drania, że ten zaprosił go na drinka, po czym z zimną krwią zakłuł go na śmierć. Media i tak już znały nazwisko ofiary, a wydawało mi się wskazane skorzystanie z ich pomocy. Kilka milionów par oczu będzie próbowało znaleźć zabójcę razem z nami. Podejrzewamy, że znaleziono Garretta kilka minut po ataku, co oznacza, że zabójca może być jeszcze w okolicy, jadąc tym bardzo wyróżniającym się samochodem...

- To jeszcze miej nadzieję, że żaden z tych twoich czujnych obywateli nie zrobi sobie krzywdy, starając się go zaaresztować - rzekł Compton, ale już bez wściekłości w głosie, więc Jameson uważał, że może bezpiecznie kontynuować.

- Jeśli dopuściłem się jakichś nieścisłości, można to będzie sprostować na jutrzejszej konferencji prasowej.

- Chodzi ci o to, że mam nadstawić karku za twój niewyparzony jęzor? To posłuchaj, Jameson, jeśli będzie coś do „sprostowania”, jak to nazywasz, to ty będziesz się z tego przed nimi tłumaczył.

- Dziękuję, sir - rzucił Jameson ponuro, ale uśmiechnął się do słuchawki. Chwilę później telefon zadzwonił ponownie. - Dobry Boże! - wymamrotał - Co znowu?

Zatrzymał się przy krawężniku.

- Foster, szefie. - Głos sierżanta zdradzał napięcie, a może nawet strach. - Sprawdzono Garretta. Pracował przez jakiś czas jako kierownik jakiegoś wydziału w tej samej szkole co

Chris Radcliffe - Wellesthorpe. Teraz jest zamknięta. Miał kontakt z Dorothy i Ann w sprawie kilku wywiadów mających na celu umieszczenie dzieci w szkołach specjalnych. - Zapadła na chwilę niezręczna cisza, po czym Foster powiedział: - Współpracował też z doktor Radcliffe, kiedy zaczęła pracować w poradni psychologicznej. A teraz, sir...

- Czy ktoś się skontaktował z doktor Radcliffe?

- Nie, sir, ale...

- Wyślij do jej domu samochód. Zadzwoń na tamtejszy posterunek, jeśli nikt nie będzie wolny. Chcę, żeby ją ostrzeżono.

- Sir... O tym właśnie próbowałem powiedzieć. Dzwoniła do nas jej opiekunka. Starła się dodzwonić do doktor Radcliffe przez cały wieczór. W końcu pojechała do niej. Dom jest pusty. Drzwi i okna są otwarte. Mnóstwo jej teczek zostało spalonych w kominku i... - Foster zrobiłby bardzo wiele, żeby nie musieć przekazywać tej wiadomości.

Jameson nagle poczuł, jak robi mu się zimno. Ulica zaczęła mu się cofać.

- I? - spytał z szybko bijącym sercem.

- Są ślady krwi, sir. Jeden na ścianie i jeden na takiej statuetce... Jameson zakrył głóśnik ręką. Ogarnął go straszny lęk i po raz pierwszy uświadomił sobie, jak bardzo oczekiwał każdego spotkania z Chris Radcliffe. Była czasami śliska, uparta, wykrętna i zwodnicza, ale udało jej się zaszcześcić w nim optymizm na przyszłość, co wydawało mu się niemożliwe po tym, jak odeszła od niego Roz. Tak, była trudna, ale była też pełna współczucia, wesoła i odważna. Zaczął już, prawie nie zdając sobie z tego sprawy, traktować Chris jak przyjaciółkę i chciał, żeby była jego kochanką.

- Szefie? Jameson odkaszlnął.

- Puść w obieg jej rysopis - powiedział wyraźnie zachrypniętym głosem. - W Merseyside, Wirral i Cheshire. Spraw, żeby jej zdjęcie znalazło się w tylu porannych gazetach, ilu to możliwe. Czy chłopaki z laboratorium znaleźli tam coś ciekawego?

- Badają krew. Jest trochę odcisków palców - podejrzewają, że kilku różnych osób. Poprosiłem panią Steyens i jej rodzinę o odciski palców, żeby je wyeliminować, a pozostałe przepuszczamy przez komputer.

- Dobrze. Informuj mnie na bieżąco. Gdzie jesteś?

- Ciągle w domu doktor Radcliffe, sir.

- Zaczekaj tam na mnie. I każ komuś sprawdzić Garretta i Radcliffe pod kątem podejrzanych - czy oboje kogoś uczyli...

- To znaczy, że trzeba będzie kogoś wyciągnąć z łóżka, ale trudno...

Jechał na włączonym sygnale przez cały czas z Liverpoolu aż do podrzędnej drogi,

przy której stał dom Chris Radcliffe. Była już prawie północ, kiedy tam dotarł.

- Chryste, Bob, to jest jakiś cholerny koszmar. - Patrzył na wyschniętą krew na ścianie w dużym pokoju Chris Radcliffe. Ciężka figurka Statuy Wolności została już zapakowana i zabrana. Nieco krwi skapnęło na drewnianą podłogę i miejsce to zostało starannie oznaczone, sfotografowane i sfilmowane.

Bob Foster poruszył się nerwowo, po czym odchrząknął, przygotowując się do mówienia, ale kiedy Jameson na niego spojrział, stracił odwagę i odwrócił wzrok.

Jameson usiadł i ukrył twarz w dłoniach. Podniósł się kilka minut później, kiedy uświadomił sobie, że może zasnąć.

- Najlepiej będzie, jak pójdziesz do domu, Bob - powiedział łagodnie. - Tutaj nie mamy już nic do roboty. Alison będzie się o ciebie niepokoić... - Foster wyszedł za nim z pokoju. - Policja z Cheshire zabezpieczy to miejsce na noc. Jeśli coś się wydarzy, zadzwonię do ciebie. - Na dworzu dopiero teraz zauważył konstabla Nolana. - Gdzie jest twój samochód? - spytał Jameson.

- Zaparkowałem na poboczu, sir.

Nolan niemal się wyprężył przy tej odpowiedzi, pamiętając jeszcze, jak go Jameson opieprzył po sprawie z Greerem. Chociaż w duchu liczył, że szef zapomniał o jego proceduralnych uchybieniach w tak strasznym dniu.

- Odwieź mnie na komendę, dobrze? Mylą mi się już skrzynki pocztowe z przechodniami, a kiedy skrzynki pocztowe zaczynają do ciebie machać, to już wiadomo, że czas przestać.

Nolan zdusił w sobie przemożną chęć uśmiechnięcia się. Poczul ulgę i wdzięczność, że szef nie żywi już do niego urazy za to, że nie popisali się przy tamtym aresztowaniu. Uśmiechnął się i udało mu się - ledwo - wyglądać na opanowanego, uprzejmego i czujnego.

- Czasem się tak robi po długim dniu - powiedział.

Jechał do Liverpoolu bardzo ostrożnie, jakby zdawał egzamin na prawo jazdy. Jameson drzemał na tylnym siedzeniu. Kiedy był skrajnie wyczerpany, natychmiast zapadał w drzemkę pełną snów.

*

Chris Radcliffe, ubrana jak Statua Wolności, stała boso na krawędzi klifu, a wiatr marszczył jej tunikę. Jej prawa ręka była wzniesiona, ale nie dzierżyła pochodni, tylko nóż, z którego cienką strużką spływała krew po jej ręce i kształtnym ramieniu. Była blada jak

śmierć. Jameson był przekonany, że jest w swoim salonie, oglądając to w telewizji, ale jednocześnie czuł chłodny powiew wiatru marszczącego jej tunikę i mierzwiącego jej włosy.

„Widzisz? - mówiła Roz. - To twoja wina. Kolejna ofiara w twojej przeklętej pracy. Kolejna ofiara na ołtarzu Prawa i Porządku...”

Sylwetka stojąca na klifie obróciła się i Jameson poczuł nieznośny ciężar odpowiedzialności i ogromny strach przed spojrzeniem w jej twarz. I wtedy się obudził.

Jeśli krzyknął, to Nolan taktownie o tym milczał i za to był mu wdzięczny. Zaczął widzieć młodego detektywa konstabla w nowym świetle. Będąc wyjątkowo życzliwie do niego nastawiony, zaczął się zastanawiać, czy dobrze zrobił przydzielając mu do współpracy Quinna, który był, w najlepszym razie, leniwym gliniarzem i nie nadawał się na pomaganie, udzielanie wskazówek i zachęcanie do pracy. Pomyśli o przegrupowaniu pracowników, kiedy ten koszmar wreszcie się skończy.

Dotarł do domu o drugiej nad ranem, przygnębiony i wyczerpany.

Kiedy dwie godziny później zadzwonił telefon przy jego łóżku, parokrotnie próbował wyłączyć budzik i dopiero potem jego zdezorientowany i zmęczony umysł namierzył prawdziwe źródło hałasu.

Zdjął słuchawkę z widełek.

Dzwonił detektyw inspektor z policji w Cheshire.

- Mamy kogoś, kogo szukaliście - powiedział.

Jameson przez ułamek sekundy poczuł rosnący w nim optymizm, ale policjant ciągnął dalej:

- Nazywa się Darren Lee Lewis. Złapaliśmy go właśnie na tyłach domu doktor Radcliffe.

Jameson dopiero po chwili ochłonął i poczuł przemożną chęć uderzenia kogoś z całej siły, po czym kazał dostarczyć Lewisa do komendy głównej Merseyside. Zastanawiał się, czy obudzić Fostera, ale stwierdził, że sierżant Ryman będzie bardziej przydatna przy przesłuchaniu, bo orientuje się w sprawie.

*

Lewis siedział ciężko na krześle, rozwścieczony i wystraszony. Jameson czuł to. Pomimo klimatyzacji Lewis się pocił, a jego bluza pod pachami była zupełnie przemoczona. Palił nerwowo, strząsając popiół z papierosa gwałtownymi ruchami, a jego usta wykrzywił niekontrolowany grymas.

Przydzielili mu opiekunkę, ciemnowłosą, mającą nie więcej niż dwadzieścia pięć lat. Była blada, w półśnie i nieco rozbawiona całą sytuacją.

- Gdzie jest doktor Radcliffe? - spytał Jameson.

- Nie wiem, nie?

- Co robiłeś w jej domu?

Lewis skupił uwagę na metalowej popielniczce, którą mu dostarczono, przerzucając ją z ręki do ręki. Nagle przestał i odstawił wygięty kawałek metalu na sam środek stołu.

- Chciałem z nią tylko porozmawiać. - Pod stołem, nieustannie tupał nogą.

- O czym?

Posłał Jamesonowi wściekłe spojrzenie.

- O niczym.

- Chciałeś się włamać.

- Wcale nie!

- To dlaczego skradałeś się na tyłach domu? Lewis pociągnął krótkie trzy machy z papierosa.

- Tylko się rozglądałem. Chciałem się upewnić, czy jest sama.

- Żeby ją uprowadzić.

- Co? - Lewis odchylił się gwałtownie i głośno położył obie ręce na stole. - Chciałem z nią tylko porozmawiać.

- O czwartej rano?

Lewis skrzywił się, wzruszył ramionami, zgasił papierosa i zaczął stukać kłykciami w stół. Podniósł paczkę papierosów, odłożył ją na stół, ponownie podniósł, wyjął jednego, zapalił go i znowu zaczął zaciągać się krótko i gwałtownie. Jameson dziwił się, że ktoś może mieć w sobie tyle wściekłości i nie wybuchnąć.

- Byłeś tam już wcześniej, Darren, prawda? - spytał.

- Nie.

- Spaliłeś trochę papierów.

- Że co?

- Nie wszystkie spaliły się doszczętnie. Było tam twoje nazwisko. To uraziło jego zawodową dumę.

- Gdybym ja to zrobił, nic by nie zostało...

- W pożarach jesteś dobry, prawda, Darren?

Lewis posłał mu zaniepokojone spojrzenie, ale uśmiechnął się i grymas na jego twarzy zrobił się bardziej widoczny.

- Kto tak twierdzi?

- Sam właśnie to powiedziałaś. I jeden albo dwóch twoich przyjaciół zdecydowało się nam troszkę pomóc.

Lewis odwrócił wzrok; uśmiech osłabł, ale ledwo zauważalnie. Wyglądało na to, że nadal był pewny, że jego kumple by go nie sypnęli.

- Uprowadzenie to bardzo poważny zarzut, Darren. A są granice, do których posuną się twoi przyjaciele.

- W dodatku poparzona mieszkanka squatu jest w stanie krytycznym, a twoi przyjaciele mogą się ulotnić jak mgła w letni dzień - dodała Ryman.

- Posłuchajcie - Lewis gwałtownym ruchem wystawił palec w stronę Jamesona. - Nawet jej nie dotknąłem! Usłyszałem ją w radiu i pomyślałem, że może będzie w stanie mi pomóc. Nie chciałem, żeby mnie w coś wrobili. Ale jej nawet nie dotknąłem.

Przerwało im pukanie do drzwi.

Kiedy Jameson wrócił do stołu, skończył przesłuchanie.

- Wrócisz do celi, aż przyjedzie ktoś z wydziału „A” - wyjaśnił Jameson. - Chcieliby ci zadać kilka pytań.

26

Chris obudziła się przestraszona i zdezorientowana. Panowały egipskie ciemności. Chciała się ruszyć, ale odkryła, że ma związane ręce i nogi. Starła się uwolnić, cicho stękając, aż mdłości i ból głowy sprawiły, że zrobiło jej się słabo. Czuła zapach stęchlizny, odór suchego kurzu, który przypominał jej poddasze jej nowego domu. To pomieszczenie też było stare, pełne kurzu i odizolowane włóknem szklanym. Ale tutaj było dużo więcej przestrzeni, sądząc po pogłosie. Jęki, które wydawała, próbując się uwolnić, wracały do niej odbite od ścian i sparodiowane. Skrzywienie, nieregularnie kapiąca woda, słabe, ale nie do pomylenia drzenie i skrzywienie uginającego się sufitu. Oprócz tych dźwięków, jakby wplecionych w większą całość, słychać było odgłosy tajemniczych, szybkich ruchów i czasami pojedynczy pisk.

Krzyknęła, chcąc wezwać pomoc, ale jej głos był równie suchy jak otaczające ją duszne powietrze i w odpowiedzi usłyszała tylko odbite od ściany zachrypnięte krakanie. Strasznie bolał ją tył głowy. Był obolały i nabrzmiały. Czuła, że coś ciepłego i gęstego wpływa zza jej prawego ucha i wpływa w szczelinę między jej szczęką a szyją.

O Boże, umrę w tym strasznym miejscu, pomyślała i zaczęła płakać. Słyszając szybkie kroki nad sobą, powstrzymała płacz i gwałtownie wciągnęła powietrze. Znowu. Oblizła językiem wyschnięte wargi, starając się pobudzić gruczoły ślinowe do działania.

- Na pomoc! - krzyknęła, tym razem głośniejsze, ale wysiłek spowodował atak kaszlu, który wydawał się rozrywać nabrzmiące miejsce z tyłu jej czaszki.

- Chris?

Światło latarki pojawiło się na jej twarzy i poczuła niewyobrażalną ulgę.

- Dzięki Bogu!- powiedziała, gdy przestała kaszleć. - Pomóż mi. Silne ręce uniosły ją i oparły o słup podpierający sufit pomieszczenia, które wyglądało na dużą piwnicę. Szerokie rury ogrzewania i przewody elektryczne wypełniały przestrzeń między podłogą i niskim sufitem i Chris nagle poczuła się klaustrofobicznie.

- Krwawisz. - Odwrócił się do niej i dopiero wtedy poznała, że to Simon.

Dlaczego przerwał pan przesłuchanie, sir? - spytała Ryman. - Dopiero zaczynał się rozgrzewać.

- Laboratorium coś ma - fragment odcisku palca na książce Garretta jest taki sam, jak odcisk na statuetce i zgadza się z odciskiem palca podpalacza, który już kiedyś za to siedział - powiedział. - Niejakiego Simona Webstera.

Jameson przypomniał sobie, że go raz spotkał - poczuł falę wyrzutów, że nie sprawdził go dokładnie; potem przypomniał sobie, że sama Chris miała o Simonie jak najlepsze zdanie.

Wykonał parę pospiesznych telefonów. Zlecił detektywowi inspektorowi Stainesowi nadzór nad przeszukaniem ogrodu Garretta i przekonał funkcjonariusza miejscowych służb specjalnych do włączenia się do akcji i znalezienia ostatniego znanego adresu Simona Webstera.

Przejeżdżał nieuważnie maszynką elektryczną po podbródku, żeby zająć się czymś, czekając na rezultat pracy komputera, kiedy przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Przeklinając siebie w duchu za to, że nie wpadł na to wcześniej, zadzwonił do centrali i poprosił o numer sekretarki Chris. Kilka minut później, usłyszał w słuchawce głos Nicky.

- Nie wiem tak z marszu - powiedziała - ale Chris będzie go miała w swoich dokumentach. Spotkam się z panem w biurze.

Czekał na pustej ulicy przez najwyżej dziesięć minut. Przyjechała Nicky ubrana w obcisłe dżinsy i koszulkę, bo ranek już był upalny. Włosy leżały jej płasko na głowie, bo zaczesła je w kitek. Nie miała makijażu i zdziwił się, widząc jej zadziwiająco bladą skórę i trochę piegów. Zauważyła jego taksujące spojrzenie i uśmiechając się blado powiedziała:

- Tak witam dzień.

Odwzajemnił uśmiech, czując do niej sympatię. Jej straszna bladość zrobiła na nim niesłychanie silne wrażenie i uświadomił sobie, że nie spała i była nieprzytomna z niepokoju o Chris, ale była zdecydowana zapanować nad sobą przez wzgląd na swoją przyjaciółkę.

Wyłączyła alarm, po czym podeszła wprost do jednej z szafek i natychmiast znalazła teczkę. Adres był z Old Swan, dokąd natychmiast wysłał radiowóz. Następne dwa telefony zapewniły mu nakaz rewizji i posłańca, który mu go dostarczy. Do tego zadania wybrał Boba Fostera.

Mieszkanie znajdowało się w podupadłym budynku z żółtej cegły, który kiedyś był małym domem jednorodzinny. Ściana frontowa była złowieszczo wybrzuszona, a słupy od bramy przekrzywione do siebie. Lokator mieszkania na parterze otworzył drzwi wejściowe, szykując się do opryskliwej uwagi, ale kiedy zobaczył ich legitymacje służbowe, cofnął się gwałtownie, ściągając pod szyję poły brudnego szlafroka, żeby przykryć swój wychudły tors.

- Nie ma powodów do obaw - powiedział Jameson z ponurym wyrazem twarzy. - Niech pan już wejdzie do środka.

Mężczyzna natychmiast zniknął, zatraskując za sobą drzwi od mieszkania.

Zbudowano przegrodę z dykty, żeby rozdzielić prywatną przestrzeń góry domu od parteru, a po drugiej stronie schodów były słabe drzwi. Zrobili dziurę w dykcie po lewej stronie drzwi i włożyli tam rękę, żeby otworzyć zatrask. Drzwi otworzyły się na zewnątrz.

Na schodach nie było dywanu, ale były czyste, a na półpiętrze stało kilka półek na książki, ograniczając i tak już wąską przestrzeń. Była jedna ciasna sypialnia, a w niej łóżko, starannie zasłane lekkim kocem. Jego krawędzie były zawinięte pod materac - wyraźny znak byłego służbisty albo kogoś po doświadczeniach z poprawczakiem, pomyślał Jameson. W szafie, która z braku miejsca między nią a łóżkiem miała suwane drzwi, było kilka par dżinsów i koszul, jeden garnitur, jedna para butów - wszystko czyste i starannie ułożone.

W dużym pokoju stało jeszcze więcej półek na książki własnej roboty, ale starannie wykończonych, kanapa, krzesła przykryte wzorzystymi narzutami, radio, nie było telewizora, kilka reprodukcji Moneta i dwa trochę bardziej drastyczne dzieła Bacona. Jeden kąt pokoju zajmował bardzo stary przenośny gramofon Dansette. Błyszczał jak nowy.

Jameson rzucił okiem na półki i zobaczył równy stosik skórzanych aktówek. Przejrzał je. W kilku były jakieś notatki, ale inne zawierały wydarte kartki, które były dokumentami z nadrukiem rady miejskiej Calderbank. W wielu wymienione było nazwisko Chris Radcliffe, Dorothy i Ann. Wszystkie odnosiły się do Simona Webstera.

- Bingo - wymamrotał Jameson.

*

Simon zapalił zapalkę, a nią lampę gazową i wyłączył latarkę, żeby nie marnować baterii. Krzątał się pracowicie, unikając jej wzroku. Otworzył pięciolitrowy zbiornik i przechylił go, żeby namoczyć wełnianą szmatkę. Potem podniósł Chris do góry, co wywołało jęk bólu. Przeprosił i zaczął przecierać jej ranę z tyłu głowy. Chris była zbyt osłabiona z bólu i wycieńczenia, żeby się opierać.

Pracował ostrożnie przez kilka minut, a potem przykrył czymś jej oczyszczoną ranę i obwiązał jej głowę jakimś prowizorycznym bandażem. Delikatnie spuścił ją na dół w ten sposób, że jej plecy były cały czas oparte o słup, po czym odchylił się.

Chris przyglądała mu się ponuro. Była pełna obaw i niepewności, ale przede wszystkim była zła. Zła na bezradność, do której została przez niego zmuszona, zła na siebie

za to, że nie zauważyła, że to Simon ją śledził niebieską fiestą - kiedyś nawet jej powiedział, że ktoś w warsztacie poprawczaka pokazał mu, jak włamać się do samochodu i zapalić go w niecałe pięć minut, a mimo to nigdy go nie podejrzewała. Simon obserwował ją z krzaków, śledził ją, obawiając się, że odkryje, kto zabijał.

- Wypuść mnie - powiedziała.

Unikał jej wzroku.

- Nie mogę. - Zaczął gryźć dolną wargę. - Przepraszam. Nigdy nie chciałem nikogo skrzywdzić. Chciałem tylko ich powstrzymać, żeby się nie dowiedzieli.

- A teraz chcesz mnie powstrzymać... - Głos jej się łamał, więc musiała zamilknąć.

Odwrócił się i nalał jej wody do plastikowego kubka. Chciałaby mieć dosyć stanowczości, żeby odmówić, ale strasznie jej się chciało pić, a kiedy łąpczywie piła, on zaczął mówić.

- Całymi dniami kręciłem się koło magistratu, usiłując zebrać się na odwagę i porozmawiać z nimi. Widziałem je obie, panią Lee i panią Hardy i one też mnie widziały. Potem pewnego wieczora pojechałem za panią Hardy do domu. Myślałem, że ze mną porozmawia. Chciałem... - Zamilkł na chwilę, wpatrując się w coś nad nią i zauważyła błysk odbitego światła w jego szaroniebieskich oczach. - Chciałem, żeby mi wytłumaczyła dlaczego - kontynuował. - Siedziałem przed jej domem kilka godzin. Już chciałem zrezygnować, kiedy wyszła. Poszła do miejscowego ośrodka na aerobik. Gdy wracała, zebrałem całą swoją odwagę, ale ona się przestraszyła, zaczęła, krzyczeć i wzywać pomocy. Chciałem tylko porozmawiać. Nie wiedziałem, co robić. Spanikowałem.

Chris czekała na ciąg dalszy, ale on siedział wpatrując się przez kilka minut w swoje ręce.

- A Ann? - spytała Chris, odzyskując głos. - Z nią też spanikowałeś? A Jim Bradbury - co z nim?

- Nie mogę tam wrócić - powiedział. To było spokojne stwierdzenie faktu. - Nie wrócę do więzienia. Pani Lee - Ann - widywała mnie, rozmawiała ze mną. Mogłaby powiedzieć policji. Policjant widział, jak wracam z lasu, stamtąd, gdzie ją zostawiłem. Gdzie zostawiłem je obie. Szedł nad stawy. Nawet ze mną rozmawiał. Był policjantem, który czasami mnie kontrolował po tym, jak mnie wypuścili. Nie poznał mnie, ale nie mogłem ryzykować, że później sobie przypomni.

- Chryste! - Głos Chris się załamał. - Mówimy o życiu ludzi, a podajesz to tak, jakbyś musiał coś zachachmęcić na liście gości zaproszonych na imprezę. One nie chciały cię zranić i nie zasługiwały na śmierć - powiedziała. - Już ja jestem bardziej winna, niż one. Ja dużo

lepiej wiedziałam, że powinno się ciebie odebrać rodzicom - no, ojcu.

Uśmiechnął się słabo.

- Myślałem, że wy psycholodzy nie macie brać na siebie cudzych problemów - powiedział. - Wiem, do czego się posunęłaś. Wiem, że zawiesili cię z mojego powodu...

Gryzł dolną wargę.

Chris przypomniała sobie, jak zadzwoniła do matki Simona i starała się ją przekonać, że byłoby lepiej dla Simona, gdyby go umieścić w internacie, a pani Webster złożyła zażalenie w wydziale oświaty. Skutkiem tego było czterotygodniowe zawieszenie.

- Nie jestem bohaterką, za którą mnie masz - powiedziała.

- Mama chciała, żeby mnie wysłał do szkoły z internatem. Pewnie po tym, jak zadzwoniłaś. Ale on nie chciał słuchać... - Prawie płakał.

- Więc podпалиłeś swój dom.

- On nie był mój - odparł gwałtownie. - Nigdy nie był mój. Był ich - tak naprawdę jego. Dom to miejsce, gdzie się czujesz bezpieczny, kochany, gdzie się o ciebie troszcza.

- Robert Frost powiedział „Dom jest takim miejscem, że kiedy musisz tam iść, to oni muszą cię przyjąć”.

Niespodziewanie Simon uśmiechnął się i nieco rozluźnił.

- Jak więzienie - powiedział.

- W wielu sprawach rzeczywiście jak więzienie - zgodziła się Chris, ale nie mogła odwzajemnić jego uśmiechu. Potem spytała ze śmiałością, której sama po sobie się nie spodziewała. - Po co marnować siebie na bezużyteczną zemstę?

Jego twarz przybrała kamienny wyraz i przez to była dużo bardziej przerażająca, bardziej niepokojąca niż jego wściekłość czy jego łzy.

- Moje życie się skończyło, kiedy ojciec mnie zgwałcił, jak miałem dziewięć lat.

- Nie. Wcale się nie skończyło. Mogłeś coś osiągnąć.

- Co na przykład? - warknął. - Co mogłem zrobić, po tym wszystkim, co mi zrobili? Mój ojciec i chłopaki w poprawczaku. Wiedzieli, kim jestem. Wyczuli to. Wykorzystywali mnie tak jak on. Jak mógłbym w ogóle umówić się z dziewczyną? Zobaczyłaby kim jestem przed drugą randką. Więziennym cwelem. Mniej niż człowiekiem.

- To czysty wymysł!

Wyglądał, jakby się zawahał, po czym odwrócił wzrok.

- Byłem nikim, powietrzem, przez całe życie.

- Tylko nie wtedy, kiedy próbowałeś wzniecić pożar w szkole i udało ci się spalić dom twoich rodziców. Co ty chcesz powiedzieć, Simon? Że zabiłeś czworo ludzi, żeby zostać

zauważonym?

Simon wyciągnął rękę, żeby ją uspokoić. Opuścił ją jednak, gdy zauważył przerażenie na twarzy Chris.

Zobaczyła, jak zmienia pozycję powoli i ostrożnie, żeby jej nie wystraszyć. Wyciągnął spod siebie nogi i usiadł wygodniej - po turecku.

- Nie skrzywdzę cię - powiedział, ale głosem, który brzmiał raczej jak postanowienie, a nie uspokojenie. - I nie wrócę. To musi się skończyć. Dorothy to był wypadek. Nie chciałem jej skrzywdzić. Chciałem tylko odpowiedzi na pytania. Ty wiesz, jakie to ważne... - W ostatnim zdaniu była błagalna nuta, przez co brzmiało ono jak pytanie.

- Czasami nie ma żadnych powodów. Czasami rzeczy się zdarzają, bo się zdarzają - powiedziała Chris.

Simon zmarszczył czoło - wyglądał, jakby rozproszył go jakiś ruch. Zakurzone girlandy pajęczyn zwisały z rur nad ich głowami.

- Chyba oczekiwałem przeprosin za wszystkie lata krzywd, które musiałem znieść po tym, jak odrzucili twoje zalecenie, żeby mnie umieścić z dala od domu. Nie prosiłem o wiele, prawda?

- Spodziewałeś się przeprosin od Jima Bradbury'ego? Od Franka Garretta?

- Garrett lubił dręczyć ludzi, był sadystą.

- Był beznadziejnym, słabym, małym gnojem. Zgadza się, lubił dokuczać. Ale czy to powód, żeby go zabijać?

- Był systematycznym, koszmarnym sadystą i wielokrotnie mnie upokarzał. Na początku nawet mnie nie rozpoznał...

Nagle Chris poczuła, że czuje obrzydzenie do jego płacznego rozczulania się nad sobą. Zaczęła walczyć z więzami, czując wzbierającą w niej wściekłość!

- Rozwiąż mnie! - krzyknęła. - Kopnę cię w tę twoją pieprzoną egocentryczną dupę!

Zmrużył oczy i spojrzał na nią zatrwożony.

- Skrzywdzisz się - ostrzegł ze szczerą troską.

Więzy zacieśniały się, kiedy się rzucała i wrzeszczała z pasją, zbyt rozwścieczona, żeby się bać.

- To wszystko? - rzekła. - Tylko o to chodziło? - Poddana się z krzykiem frustracji i leżała tam, gdzie upadła, sapiąc i patrząc na niego złowrogo.

- Staram się wyjaśnić...

- Boże! Nie wierzę ci! Prosisz o wybaczenie kobiecie, którą walnąłeś w głowę, przyciągnąłeś do tej zawszonej nory i związałeś jej ręce i nogi. Popelnili straszny błąd,

Simon! Drogo musiałeś za niego zapłacić - to przyznaję - ale niemniej jednak tylko błąd. Smutny, pozbawiony przyjaciół Garrett nie miał z tym zupełnie nic wspólnego. Nie chcę twoich wyjaśnień - twoich skomlących wymówek.

Simon nalał sobie kubek wody. W piwnicy było strasznie duszno i gorąco. W żółtym świetle lampy widziała, że jego koszulka jest mokra, a plamy krwi już zaczynają matowieć.

- Nie muszę tego słuchać - powiedział.

- Nie. To ja jestem związana. Możesz odejść, jak chcesz. - Zamilkła, dając mu szansę, żeby poszedł, ale został. - No dobrze - zaczęła. - Pozwól sobie coś wytłumaczyć: tak naprawdę pierwszy raz poczułeś się silny i ważny, kiedy podłożyłeś ogień w szkole. - Zobaczyła, że ledwo zauważalnie kiwnął głową. - Potem zacząłeś dla mnie pracować i rzeczy zaczęły wyglądać bardziej różowo. Zauważyłeś, że masz też mózg i możliwość wyjścia z dołu, który wykopali ci twoi rodzice.

Spojrzał na nią głodnym wzrokiem. Płomień w lampie przygasł, więc włączył latarkę, zdmuchnął ogień, po czym uważnie napełnił zbiorniczek ciecżą z plastikowego pojemnika. W powietrzu rozniósł się zapach parafiny i Chris musiała powstrzymać chęć zwymiotowania. Postawił lampę z dala od rozlanego paliwa, żeby ją ponownie zapalić, a Chris ciągnęła dalej:

- I tu ja się wychyłam. To mój błąd. Kiedy zaproponowałeś, że pomożesz mi wnieść rzeczy na poddasze, zgodziłam się. To było głupie, bo moje dokumenty były wśród tych rzeczy, między innymi twoja teczka, a ty nie tylko je wniosłeś, ty je przeczytałeś. Naprawdę spieprzyłam sprawę. Pozwoliłam ci przeczytać moje notatki. Zamiast wziąć urlop na przeprowadzkę, który mi przysługiwał, dałam ci dostęp do teczek, których nigdy nie powinieneś zobaczyć.

Simon wzdrygnął się.

- Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie, Simon. Postąpiłam źle. Naprawdę źle. Nie chciałam, żeby stało się coś złego, na pewno nie bardziej niż Ann czy Dorothy, ale nie powinnam ci dawać dostępu do tajnych, poufnych teczek. Pomimo to ja żyję, a one są martwe.

- To nie przez ciebie.

- Przez nie też nie, Simon. Przez twojego ojca i przez twoją matkę, bo nie zrobiła nic, żeby temu zapobiec. A skoro on nie żyje, postanowiłeś ukarać jakichś biednych drani, którzy pomylili się w ocenie twojej sytuacji. - Ciągnęła dalej, chociaż zrobiło jej się słabo i poczuła nagle zimno. - Chodzi o zemstę i usprawiedliwienie. Zemściłeś się za całe życie pełne krzywd, ale na ludziach, którzy byli tylko widzami. A teraz chcesz się usprawiedliwić wmawiając mi, że musiałeś się ochronić?

- Nie! - Skoczył na nogi i zaczął chodzić po omacku.

Chris słyszała, jak potyka się o rury i śmieci leżące tuż poza kręgiem światła.

- Dorothy była nieszkodliwym, niewinnym stworzeniem. Dlaczego po prostu nie uciekłeś? Gdybyś jej nie dotknął, co by mogła powiedzieć? Dorothy bała się własnego cienia! A nie można trafić do więzienia za rozmawianie z kimś. - Słyszała, jak oddycha i szlocha w ciemności. - Skąd wiesz, że Ann cię widziała? Nawet jeśli cię widziała, to skąd wiesz, że cię rozpoznała? A Jim? Musiał widzieć mnóstwo młodocianych przestępców w swoim życiu. Skąd ci przyszło do głowy, że będzie cię pamiętał po jednym czy dwóch spotkaniach? Staw temu czoła, Simon. To nie był strach przed tym, że cię rozpoznają, to była wściekłość spowodowana tym, że cię nie rozpoznali. Wściekłość, że ty, który cierpiełeś tak bardzo z powodu ich braku kompetencji, byłeś dla nich nikim - niczym, nieznanym.

- Przestań.

Jego warknięcie dobiegło skądś zza jej pleców.

- Co powiedziałaś o Franku Garrettcie? Upokorzył cię i nawet cię nie poznał, kiedy spotkaliście się twarzą w twarz. Pomimo tego, że teraz jesteś gwiazdą. Jak to cię określają brukowce? „Miastowy Morderca”. Ale to anonimowa sława, prawda?

Nagle jego twarz pojawiła się tuż przed nią, wykrzywiona gniewem i bólem.

- Przestań, Chris, proszę! Nie! Nie chcę cię skrzywdzić. Zamknęła oczy i uspokoiła się trochę, po czym powiedziała głosem, który brzmiał cicho i bojaźliwie: - Czy mam być kolejnym stopniem na twojej drodze do sławy?

Zapanowała martwa, napięta cisza i kiedy w końcu Chris otworzyła oczy, zobaczyła, że był zdumiony, zraniony.

- Nic nie zrozumiałaś, prawda?

- Czyżby? - spytała Chris, uciekając się do starego chwytu, bo była zbyt wycieńczona i obolała, żeby się spierać.

- Opiekowałem się tobą przez długi czas.

Chris spojrzała mu w oczy.

- Skoro chciałeś mnie ochronić, to po co to wszystko?

- Bo chcę, żebyś zrozumiała, dlaczego. W jednym masz rację. Rzeczywiście zabiłem Garretta z zemsty. Ale pozostałych nie. Kiedy poszłaś porozmawiać z moją mamą, myślałem, że ona ci powiedziała. Myślałem, że wiedziałaś.

Więc wtedy też ją śledził.

- Myślałeś, że co mi powiedziała? Chcesz powiedzieć, że twoja mama wiedziała o morderstwach?

W odpowiedzi usiadł i schował twarz w rękach. Patrzyła, jak szlocha cicho, aż pomyślała, że dłużej tego nie wytrzyma i wtedy, powoli, zaczął mówić.

- Odwiedziłem ją po przeczytaniu teczek. Cały czas wiedziała, co on ze mną robił. Wiedziała, co robił, i nie uczyniła nic, żeby z tym skończyć. - Zamilkł i usiadł w przysiadzie, patrząc jej w twarz. - Nie chciała ze mną rozmawiać. Ale zmusiłem ją do słuchania. I powiedziałem jej, że wyciągnę z niej odpowiedzi.

Chris zamknęła oczy. Wiedziała i nic nie powiedziała... Wszystko się zgadzało - odtworzyła sobie teraz te ukradkowe spojrzenia pani Webster na męża, sprawdzające jego reakcję. Introwersja Simona, bariera zimnej izolacji, którą zbudował, żeby się chronić, bo w świecie tego małego chłopca nie było nikogo, kto by mu pomógł czy ochronił go.

- Poczucie winy ją wykończy, tak jak wykończyło mojego ojca i twojego - wymamrotał. - Powinienem być komuś powiedzieć. To była moja wina. Ale ona była najbardziej winna ze wszystkich.

- Co ty mówisz, Simon? - Ale on już nie słuchał. On przemierzał jakiś wewnętrzny krajobraz, którego nie mogła zrozumieć ani w którym nie mogła mu towarzyszyć.

- Tu już nie ma nic do mówienia. Ty wiedziałas, że musiałem od niego uciec. Wiedziałas, czego potrzebowałem. Gdyby ciebie posłuchali... odesłali mnie z powrotem, kiedy ja krzychałem... - Szarpnął koszulkę i podniósł ją do góry. - Tu, w środku. Krzychałem, a ty byłaś jedyną, która mnie usłyszała.

- Nie posiadam mocy nadprzyrodzonych - powiedziała i bardzo jej ulżyło, kiedy usłyszała, że jej głos jest stosunkowo spokojny. - Nie umiem czytać w myślach. Wiedziałam, że jesteś bardzo nieszczęśliwy. Wszyscy to wiedzieliśmy. I myślałam, że boisz się ojca, ale nie wiedziałam dlaczego. Nie wiedziałam do dzisiejszego wieczora, kiedy mi powiedziałeś. Widziałam samotne, wystraszone dziecko potrzebujące pomocy. Ale nie umiałam czytać w twoich myślach, Simon. Oni też nie umieli.

Zapatrzył się na swoje ręce, zmieszany tym co powiedziała.

- Staralaś się mnie od niego wyrwać. Gdyby ciebie posłuchali... - Podniósł wzrok.

- Jednak nie posłuchali. Ale to był błąd, Simon. - Powtórzenie sprawiło, że poczuła się znużona i głęboko zasmucona.

Uśmiechnął się i było w jego uśmiechu współczucie i żal.

- Przeczytałem notatki, Chris - powiedział. - To była decyzja finansowa. Też im to powiedziałaś. Byłem zbyt cenny, żeby na mnie oszczędzać. Nigdy nie chciałem, żeby to się stało - ciągnął, szczypiąc i ściskając impulsywnie bandaż na rękę, aż rany zaczęły ponownie krwawić. - Przysięgam, że nigdy tego nie chciałem. Byłem zdezorientowany i zły, kiedy

czytałem twoje notatki.

Zmusiła się, żeby mówić spokojnym głosem.

- Wiesz, że musisz mnie wypuścić, prawda, Simon? Wymamrotał coś i poprosiła go, żeby powtórzył.

- Nie mogę - powiedział.

Spojrzała na niego. Łzy błyszczały na jego twarzy. W oczach pojawił się strach.

- Nie mogę - powtórzył, jakby starając się przekonać siebie samego.

- To nie może trwać w nieskończoność.

- Jeszcze się nie skończyło.

- Już zaszło za daleko.

Zadrgał mu mięsień przy szczęce.

- Nie dosyć daleko.

- Czy twoja matka...? Jest bezpieczna? - Wlepiała w niego wzrok, całą uwagę skupiła na tym, co miał zamiar jej powiedzieć.

Zamiast tego chwycił ją pod pachy i zaczął stawiać ją na nogi. Chris krzyknęła, czując ból w nadgarstkach i kostkach.

- Zobaczysz - powiedział. - Wyjaśnię ci. Zrozumiesz.

Wniósł ją po schodach i znaleźli się na korytarzu pełnym gruzu. Chryste!, pomyślała. To tu mnie przywiózł? Wandale pogięli poręcze, powybijali okna, powyrywali drzwi z zawiasów i wszędzie było graffiti, ale rozpoznała to miejsce - szkoła Wellesthorne, gdzie uczyła krótko i gdzie Simon był uczniem przez cztery lata. Simon pchnął drzwi przeciwpożarowe i wyniósł ją na słońce. Chris zaskowityła, mrużąc oczy, oślepią nagłym światłem. Po chwili padła na tylne siedzenie samochodu.

Musiła stracić przytomność na kilka minut, może dłużej, bo kiedy się ocknęła, jechali po otwartej drodze. Widziała wielką połąć nieba i rzadkie grupy drzew przemykające za oknami samochodu.

- Wiesz, za co najbardziej gardzę moim ojcem? - spytał Simon. Chris nie odpowiadała. Nie mogła, bo kiedy była nieprzytomna, Simon zakleił jej usta plastrem, a ona za wszelką cenę starała się nie zwymiotować. Blisko twarzy czuła parafinę, słyszała jak chlupocze w niewidocznym pojemniku.

- Najbardziej gardzę moim ojcem - powiedział Simon, po czym roześmiał się szczerze rozbawiony. - Brzmi jak początek szkolnego wypracowania, prawda? - Zaczął od nowa, rozkoszując się słowami: - Najbardziej gardzę moim ojcem za to, w jaki sposób się zabił. Skończył swe tchórzliwe życie w samochodzie pełnym spalin. Zaszył się w kącie i czekał na

koniec. Jak w notce w brukowcu. Żałosny koniec. Epitafium dla nikogo.

Jechał jak szaleniec, nieświadomy wiszącego w pewnej odległości za nim policyjnego helikoptera, przekazującego wiadomości o jego trasie policji z Lancashire. Mieli rozkaz tylko obserwować.

- To nie dla mnie. Nie odejdę tak. Ludzie mnie zobaczą. Może po raz pierwszy. I zadbam o to, żeby zapamiętali na bardzo długo.

Zaparkował na parkingu na tyłach domów, wybierając gęsty cień rozłożystego klonu.

- Zostawię otwarte okno, żebyś się nie udusiła - powiedział. - Ktoś cię w końcu znajdzie.

Chris chciała koniecznie coś powiedzieć.

- Czas na rozmowy dobiegł końca - rzekł bez zajadłości. - Nie winie cię za to - dodał. - To była ich wina. Mamy i taty. Sprawa rodzinna. A teraz za to zapłaci. - Odsunął mokry kosmyk włosów z oczu Chris, wyprostował go i odsunął do tyłu. - Nigdy nie mógłbym cię skrzywdzić.

Zmarszczył się, jakby chciał powiedzieć jej coś jeszcze, ale nie wiedział, jak ubrać to w słowa. I odszedł.

*

Jameson jechał szybko przez zatłoczone po południu ulice, migając światłami i trąbiąc na ospałych kierowców blokujących drogę.

Dotarł do budynku, dziesięć minut po tym, jak Simon wszedł do środka za ogrodnikiem, któremu przytrzymał drzwi, kiedy ten wnosił narzędzia do skrzyni, z jakiej zmuszony był korzystać, od kiedy jego szopa została zniszczona przez wandalów.

„Nie ma pan nic przeciwko, prawda? - spytał go Simon. - Nie będę musiał zawracać sobie głowy obchodzeniem budynku. Mama się mnie spodziewa, a już jestem trochę spóźniony...” - Wykrzywił twarz, podnosząc reklamówkę pełną zakupów.

Ogrodnik, który dobrze znał wymagających starszych rodziców, wymamrotał, że nie ma sprawy i Simon znalazł się w środku.

Jameson rozmawiał z dwoma detektywami stojącymi przed budynkiem.

- Ani śladu, sir. Helikopter zgubił go w centrum. Dzisiaj jest taki cholerny ruch, przecież zaczynają się wakacje.

- No dobra, miejcie oczy otwarte. Sprawdzę z tyłu.

Świeża nawierzchnia nowego parkingu rozsiewała zapach asfaltu i migotała w

popołudniowym upale. Drzwi na tyłach budynku były dobrze zabezpieczone. Jameson szybko rozejrzał się po parkingu, o mało co nie przegapiając niebieskiego metalica Vauxhall Astry, stojącego w cieniu drzewa na drugim końcu parkingu. Był ustawiony do niego pod kątem prostym, więc musiał do niego podejść, żeby sprawdzić rejestrację, I FG. Nawet nie zmienił rejestracji. Okna były lekko uchylone. Zaczął skradać się do samochodu bardzo ostrożnie, wszystkie jego mięśnie stężały. Podeszedł i zajrzał do środka.

- Chris! - Drzwi były zamknięte, ale siłą obniżył okno i otworzył je od środka. Była nieprzytomna. Włosy z tyłu miała przylepione plastrem do czaszki i nasączone krwią. Jej głowa była owinięta brudnym bandażem. Była strasznie blada, ale ciągle oddychała. Bardzo ostrożnie odkleił plaster z jej ust i rozwiązał sznur krępujący jej ręce i nogi.

Poruszyła się i jęknęła. Sięgnął ręką do kieszeni po telefon komórkowy.

- Jest w środku - powiedział. - Przyślijcie karetkę. Tylko nie na sygnale. Doktor Radcliffe tu jest. Ranna w głowę. Nie wiem jak poważnie, ale jest nieprzytomna. Połącz mnie z dozorcą i skontaktuj się z miejscowym posterunkiem na wypadek, gdyby zadzwonił do nich, że włamano się do mieszkania pani Webster. Powiedz im, żeby nic nie robili. Nie chcemy, żeby zaczęli panikować.

Chris nagle krzyknęła, zakaszła, po czym ponownie krzyknęła, tym razem z bólu.

- Już w porządku - rzekł Jameson, przykucając koło niej. - Już dobrze, Chris. Leż spokojnie. Wezwałem karetkę.

Chris wymamrotała coś wyschniętymi i spuchniętymi wargami.

- Powstrz...

- Mamy go, nie ucieknie.

Chris wydała jęk frustracji. Wyszepiała coś słabo - brzmiało jak „szalony”.

- Jego matkę wywieziono stąd - powiedział Jameson, podejrzewając co może ją niepokoić. - Już jesteś bezpieczna.

Chris pograżyła się w szarej półświadomości.

Jego matki nie było. Simon jakoś czuł, że nie będzie jej tutaj, żeby być świadkiem ostatniego aktu. Zauważył, że szara sierra, która śledziła Chris przez kilka dni, była zaparkowana przy promenadzie. Wydawało mu się, że nawet rozpoznał jednego funkcjonariusza w cywilu, który kręcił się przy balustradzie, patrząc na budynek.

Skorzystał z telefonu matki. Może tak będzie najlepiej. Skoro ona miała żyć, dzisiaj zacznie pokutę w czyścicu, która będzie trwała całą wieczność. Dla Simona czyściec był rzeczywistym miejscem. Czuł, że spędził w nim większość życia, a teraz będzie jej kolej.

Karetką wjechała cicho na parking, po czym delikatnie i fachowo umieszczono Chris

w środku, ale ona ciągle cicho protestowała. Jameson poczekał, aż karetka odjedzie i obszedł budynek. Pan Jones wpuścił go do środka, nie robiąc trudności, a za nim weszło dwóch detektywów konstabli, którzy mieli służbę. Zapukali do drzwi pani Webster i Simon krzyknął, żeby zostawili go w spokoju.

- Zabiję się, przysięgam!

Wycofali się, Jameson postawił jednego policjanta niedaleko drzwi, a sam zadzwonił do komendy, żeby przysłali zespół negocjatorów. Za drzwiami, twarz Simona była ukryta pod kamienną maską. Chodził z pokoju do pokoju, dotykając wszystkich ozdób, obrusu w jadalni, wystukał kilka chaotycznych dźwięków na dziecięcym pianinie, wchłaniając jej niepowtarzalne zapachy: talku Imperiał Leather, wody różanej, schnącego prania, starannie rozwieszzonego na linkach na zewnątrz. Usiadł w jednym z jej kremowych foteli i wyciągnął nogi na różowawozielonym puszystym chińskim dywanie, przyglądając się delikatnym i raczej bladym kolorom i typowemu dla niej stylowi, mając absolutną pewność i głęboką satysfakcję, że dla niej to mieszkanie będzie na zawsze skażone jego obecnością.

Godzinę zajęło przedstawicielom liverpoolskich mediów zjawienie się w słonecznym, nadmorskim miasteczku. Jameson, który przy pomocy miejscowych funkcjonariuszy oczyszczał promenadę z ludzi, przestał na chwilę i zapytał tylko:

- Kto im, kurwa, powiedział?

Simon usłyszał, że przyjeżdżają. Czekał już od jakiegoś czasu, ale był przyzwyczajony do czekania. Potraktowali go poważnie, bo zażądał rozmowy z samym Miltonem i podał szczegóły, które mogła znać tylko policja i Miastowy Morderca. Być może Milton najpierw go sprawdził. Nie miało to żadnego znaczenia. Zjawili się wszyscy, wiedział, że tak będzie, i czekali na niego. Popijając chłodną lemoniadę z wysokiej szklanki, przyglądał się, jak rozstawiają statywy i umieszczają na nich kamery, mikrofony i ręczne kamery wideo, reflektory i resztę sprzętu i poczekał, aż usłyszał pracę generatorów. Otworzył balkon i rozszerzył nozdrza, kiedy poczuł pierwszy słaby powiew spalin i ozonu i przypomniały mu się wesołe miasteczka i przejażdżki ogromnymi karuzelami.

- Wkrótce - wymamrotał. - Już za chwilę.

Spojrzał pogardliwie na drzwi, przez które usiłował z nim rozmawiać negocjator, bo wyłączył telefon.

Simon nie zwracał uwagi na hałas z zewnątrz i skoncentrował się na swoim oddechu. Spojrzał na zegarek. Szósta wieczorem. Już czas. Wyjął warzywa z reklamówki, wyciągnął plastikowy pojemnik różowego paliwa i odkręcił wieczko. Wyciągnął zapalniczkę, którą kupił razem z warzywami, nastawił ją na maksimum i zapalił ją. Wzbił się z niej

dwudziestocentymetrowy płomień. Ruszył w stronę balkonu, uginając się na lewą stronę od ciężaru parafiny. Z promenady usunięto wszystkich z wyjątkiem licznych dziennikarzy. Jego oczy lekko łzawiły w świetle słońca, reflektorów i skrzącej się wody. Wyszedł na balkon, zamknął za sobą drzwi, odkręcił wieczko zbiornika, po czym z zadowoleniem usłyszał, jak wszyscy wstrzymują oddech. Wylał sobie parafinę na głowę, zamykając szczelnie oczy, żeby je uchronić przed żrącą cieczą. Z tłumu dobiegł szum strachu. Widział w duchu, jak odchylają się, z dala od potencjalnego niebezpieczeństwa, robią kilka szybkich kroków do tyłu, wahając się między niepowtarzalną okazją na zdobycie dobrego materiału a troską o własne bezpieczeństwo. Sięgnął do kieszeni po chusteczkę i wytarł oczy, nim je otworzył. Oparł obie ręce na poręczy balkonu, jak mąż stanu mający pozdrowić tłum, i powiedział wyraźnym głosem:

- To ja jestem Miastowym Mordercą. Ja, Simon Webster.

Przystawił zapalniczkę do twarzy i zapalił ją.

EPILOG

Chris westchnęła, widząc schludną sylwetkę, która siedziała przy stole.

- Byłam ostatnio trochę nieobecna, co? - powiedziała.

Siostra Aloysius pojawiła się w drzwiach bez zapowiedzi. Chris podejrzewała, że Maria w tajemnicy przed nią zorganizowała wizyty odwiedzających. Była przekonana, że dobrze to Chris zrobi i wybierała takich, którzy w jej mniemaniu będą mieli na nią dobry wpływ i których ocenie jej stanu ducha mogła ufać.

Siostra Aloysius pokiwała głową.

- Zrozumiałe - odparła.

- Nim się to wszystko stało, myślałam, że zadedykuję mu moją książkę.

- Teraz to już raczej niemożliwe - powiedziała siostra Aloysius bardzo nieznacznie unosząc brwi.

- Powinnam to była widzieć.

- Dlaczego?

- Bo go zawiodłam. Wiedziałam, że trzeba go zabrać od ojca, i nie doprowadziłam do tego. Bo byłam mu najbliższa. Bo wiedziałam, że coś nie daje mu spokoju, ale nigdy mi nie przyszło do głowy...

- A dlaczego miałoby?

- Myślisz, że jest w piekle?

Siostrę jakby wystraszyło to pytanie.

- Myślałam, że nie wierzysz w piekło.

- Masz rację - powiedziała Chris, uśmiechając się słabo. - Nie wierzę. Dobrze, że mi o tym przypomniałaś.

Zadzwonił dzwonek i Chris poszła otworzyć drzwi, podejrzewając, że to Maria - przeważnie odwiedzający przychodzili w odpowiednich odstępach.

- O - rzekła. - Myślałam... - Spojrzała niepewnie przez ramię.

Siostra Aloysius, która podążyła za nią do przedpokoju, ujrzała stojącego na progu wysokiego, elegancko ubranego i dobrze zbudowanego mężczyznę. Wyglądało na to, że inspektor Jameson zaczął o siebie dbać.

- Właśnie wychodziłam - oznajmiła, rzucając Chris figlarne spojrzenie w odpowiedzi

na jej oskarżycielski wzrok. Unikała tego spotkania przez kilka tygodni.

- Martwiłem się o ciebie - powiedział, wręczając jej kwiaty. - A skoro nie chciałaś ze mną rozmawiać przez telefon, pomyślałem, że równie dobrze mogę wpaść. Może poszlibyśmy na spacer...

- Będzie padać - ostrzegła siostra Aloysius, otwierając samochód.

- Boże, mam nadzieję.

Zabrzmiało to z takim entuzjazmem, że Chris się uśmiechnęła, na co on rozpromienił się z uznaniem.

Chris zdjęła marynarkę z wieszaka przy drzwiach i wyszła na dwór, kiedy pierwsze krople spadły na glinianą ścieżkę, wzbudzając małe eksplozje kurzu.